

Tytan

Varley John

Książka I z Tytan



calibre 0.9.43

Rozdział 1

- Rocky, mogłabyś na to rzucić okiem?

- Dla ciebie - kapitan Jones. Zobaczą rano.

- Wydaje mi się, że to dość ważne.

Cirocco stała przy umywalce z namydloną twarzą. Po omacku odszukała ręcznik i wytarła zielonkawą maź. Tylko takie mydło mogły strawić urządzenia oczyszczające.

Zerknęła na dwa zdjęcia, które podsunęła jej Gaby.

- Co to takiego?

- Po prostu dwunasty księżyc Saturna. - Gaby nie udało się ukryć podniecenia.

- Poważnie? - Girocco ze zmarszczonymi brwiami przyjrzała się obu zdjęciom. - Dla mnie to po prostu kupa małych czarnych punkcików.

- No cóż, tak. Rzeczywiście niczego tu nie widać bez kompatometru. O, to jest dokładnie tutaj. - Pokazała kawałek zdjęcia małym palcem.

- Przyjrzyjmy się.

Cirocco przetrząsnęła swoją szafkę i wreszcie wygrzebała uniform w kolorze groszkowym, jak wszystkie inne. Większość praktycznych, zapinanych na rzepy pasków została pooddzierana.

Jej pokój znajdował się u podstawy karuzeli, pomiędzy drabinkami nr 3 i 4. Ruszyła za Gaby krętym korytarzem, a później w górę po drabince.

Z każdym szczeblem stawały się lżejsze, by w końcu - blisko osi - przejść w stan zupełnej nieważkości. Odepchnęły się od wirującego powoli pierścienia i poszybowały

wzdłuż centralnego korytarza do zespołu pomieszczeń naukowych, w żargonie NASA zwanego SCIMOD. Światło zgaszono, by łatwiej było odczytywać wskazania przyrządów, a sala była tak kolorowa, jak wnętrze szafy grającej. Cirocco podobało się tu. Mrugały zielone światełka, a ustawione w długich rzędach ekrany szemrały tylko, emanując białą poświatę przypominającą konfetti tumanów śniegu. Eugene Springfield i siostry Polo lewitowali wokół głównego holozbioru. Ich twarze były skąpane w czerwonym blasku. Gaby wsadziła klisze do komputera, włączyła program powiększania obrazu i pokazała Cirocco ekran, na którym miały obserwować zdjęcia. Po chwili ukazały się, wyostrome i nałożone na siebie, a potem nagle zmieniły się. Dwa maleńkie punkciki migotały; dzieliła je niewielka odległość.

- Oto one - powiedziała Gaby z dumą. - Niewielki ruch, ale zdjęcia zostały wykonane w odstępie zaledwie dwudziestu trzech godzin.

- Zbliżają się obiekty orbitalne - powiedział Gene.

Gaby i Cirocco przysunęły się do niego. Cirocco przelotnie rzuciła okiem i dostrzegłszy jego ramię gestem posiadacza obejmujące kibić Gaby, szybko odwróciła wzrok. Zauważyła, że siostry Polo również to zobaczyły, ale udawały, że nie widzą. Wszyscy nauczyli się nie wtykać nosa w nie swoje sprawy.

Saturn tkwił pośrodku holozbioru, gruby i pomarańczowoczerwony, otoczony ośmioma błękitnymi, coraz szerszymi kręgami, które układały się w płaszczyźnie równika. Na każdym okręgu znajdowała się kula, niczym samotna perła nawleczona na nić, a obok owych pereł wypisano nazwy i liczby: Mnemozyne, Janus, Mimas, Enceladus, Tetyda, Dione, Rea, Tytan i Hyperion. Daleko poza ich orbitami znajdowała się jeszcze jedna kula o wyraźnie nachylonej trajektorii - Japetos. Phoebus, najodleglejszy księżyc, nie mógł być widoczny w tej skali.

Właśnie rysowano kolejną krzywą. Była to asymetryczna elipsa, niemalże stykająca się z orbitami Rei i Hyperiona i przecinająca okrąg przedstawiający orbitę Tytana.

Cirocco patrzyła uważnie przez chwilę, po czym wyprostowała się. Zauważyła głębokie zmarszczki na czole Gaby, która manipulowała przy klawiaturze. Przy nawoływaniu kolejnych programów zmieniały się liczby na ekranie.

- Przed mniej więcej trzema milionami lat znalazł się bardzo blisko Rei - rzuciła Gaby. - Jest wystarczająco wysoko ponad orbitą Tytana, chociaż perturbacje są wyraźne. Jest daleki od stabilizacji.

- Cóż to oznacza? - spytała Cirocco.

- Przechwycony asteroid? - zasugerowała Gaby, z jedną brwią uniesioną w grymasie niedowierzania.

- Mało prawdopodobne. Za blisko płaszczyzny równika - powiedziała jedna z sióstr Polo.

- April czy August? - zastanawiała się Cirocco. Mimo osiemnastu miesięcy wspólnego rejsu nadal nie mogła ich odróżnić.

- Bałam się, że to zauważysz. - Gaby przygryzła pięść. - Ale gdyby ukształtował się wraz z innymi, powinien być mniej asymetryczny.

Polo wzruszyła ramionami.

- Można to wytłumaczyć. Jakaś katastrofa w niedalekiej przeszłości. Trzeba niewiele wysiłku, żeby go przesunąć.

Cirocco zmarszczyła brwi.

- A więc, właściwie, jak duży jest ten obiekt?

Polo - August, była niemal pewna, że to ona, popatrzyła na nią z tym spokojnym, a jednak dziwnie niepokojącym wyrazem twarzy.

- Powiedziałabym, że około dwóch lub trzech kilometrów. Być może nawet mniej.

- I to wszystko?

Gene wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Daj mi namiary, a tam wyląduję.

- Co masz na myśli, mówiąc: „I to wszystko?” - powiedziała Gaby. - Przecież nie może być dużo większy, bo byśmy go zauważyli przez teleskopy z Księżyca. Wiedzielibyśmy o nim już trzydzieści lat temu.

- W porządku. Przerwałaś mi kąpiel dla jakiegoś cholernego kamyka. Nie wydaje mi się, żeby było warto.

Gaby wyglądała na zadowoloną z siebie.

- Dla ciebie może nie, ale nawet gdyby był dziesięć razy mniejszy, i tak musiałabym go nazwać. Odkrycie komety czy asteroidu to inna sprawa, ale zaledwie kilku ludzi w ciągu stulecia ma okazję nazwać nowy księżyc.

Cirocco uwolniła stopy z uchwytów na holozbiorze i z godnością obróciła się w stronę korytarza. Zanim wypłynęła z pomieszczenia, jeszcze raz rzuciła okiem na dwa maleńkie punkciki, które nadal błyszczały wysoko na ekranie.

Język Billa zaczął od koniuszków palców u nóg Girocco, a teraz penetrował jej lewe ucho. Lubiła to. To była cudowna podróż, a Girocco kochała każdy jej centymetr:

niektóre przystanki były doprawdy niezwykle. Teraz niepokoił płatek jej ucha, próbując delikatnie odwrócić ją ustami i zębami. Pozwoliła mu na to.

Trącał jej ramię podbródkiem i nosem, przyspieszając obrót. Zaczęła się kręcić.

Czuła się jak wielki, czuły asteroid. Ta metafora spodobała jej się. Podążając w myśli tym tropem, widziała już linię równika okalającą ją tak, by wystawić pagórki i doliny jej ciała na światło słoneczne.

Ciocco lubiła kosmos, lekturę i seks, niekoniecznie w tej kolejności. Nigdy nie udało jej się osiągnąć zadowalającego połączenia wszystkich trzech elementów, ale nie było źle. Nieważkość dawała możliwość wypróbowania nowych igraszek, jak ta, którą nazywali „bez rąk”. Można było używać stóp, ust, kolan albo barków, by ustawić partnera.

Wymagało to dużej delikatności i ostrożności, ale poprzez powolne kąsanie i szczypanie można było dokonać wszystkiego, i to w bardzo interesujący sposób.

Wszyscy od czasu do czasu wpadali do sali upraw hydroponicznych. „Ringmaster” miał siedem indywidualnych kabin, niezbędnych ich mieszkańcom niczym tlen. Jednak nawet w położonej blisko osi obrotu statku kabynie Ciocco stawało się tłoczno, gdy w środku było dwoje ludzi. Wystarczyło raz spróbować kochać się w stanie nieważkości, by łóżko wydało się nagle równie niewygodne, jak tylne siedzenie chevroleta.

- Dlaczego nie obrócisz się trochę w ten sposób? - spytał Bill.

- A dlaczego miałabym to zrobić?

Pokazał jej, dlaczego i dała mu nawet trochę więcej niż prosił. Potem stwierdziła nagle, że to ona dostaje trochę więcej, niż oczekiwała, ale - jak zwykle - wiedział, co robi.

Zacisnęła nogi wokół jego bioder i pozwoliła mu czynić według jego woli.

Bill miał czterdzieści lat i był najstarszym członkiem załogi. Charakterystyczną cechą jego twarzy był kluchowaty nos i obwisłe policzki, które mogły być ozdobą bassetta.

Łysiał, a jego zęby też nie były zachwycające. Ciało miał jednak szczupłe i twarde, o dziesięć lat młodsze od twarzy, a ręce zgrabne i precyzyjne w ruchach. Znał się na maszynach, ale nie tych zasmarowanych i hałaśliwych: jego skrzynka z narzędziami zmieściłaby się w kieszonce koszuli, a same instrumenty były tak małe, że Ciocco nie ważyłaby się nawet ich dotknąć.

Jego delikatny dotyk - podobnie jak wyrafinowane upodobania - bardzo się

przydawał, kiedy się kochali. Cirocco zastanawiała się, dlaczego tyle czasu musiała go szukać.

Na pokładzie „Ringmastera” było trzech mężczyzn i Cirocco kochała się z wszystkimi. Tak samo zresztą, jak Gaby Plauget. Kiedy siedmioro ludzi podróżowało zamkniętych w tak małej przestrzeni, tajemnicy nie dało się utrzymać. Wiedziała na przykład, że to, co siostry Polo robiły za zamkniętymi drzwiami ich sąsiadujących pokoi, w stanie Alabama nadal było ścigane przez prawo..

Wszyscy stale na siebie wpadali, zwłaszcza w pierwszych miesiącach podróży. Gene był jedynym żonatym członkiem załogi i już na bardzo wczesnym etapie jasno dał do zrozumienia, że on i jego żona mają w tych sprawach wszystko dograne. Mimo to jednak, przez długi czas spał sam, bo siostry Polo miały siebie, Gaby w ogóle zdawała się nie interesować seksem, a Cirocco nieodparcie ciągnęło do Calvina Greene.

Była tak uparta, że Calvin w końcu poszedł z nią do łóżka i to nie jeden raz, ale aż trzy. Za trzecim razem nie było jednak lepiej niż za pierwszym, więc nim zdążył odczuć jej rozczerowanie, ochłodziła stosunki i pozwoliła mu uganiać się za Gaby - kobietą, do której ciągnęło go od początku. Calvin był lekarzem pokładowym wyszkolonym przez NASA na kwalifikowanego biologa i ekologa okrętowego. Był czarny, ale niezbyt się tym przejmował, bo urodził się i wychował na O’Neil One. Był też jedynym członkiem załogi wyższym od Cirocco. Nie sądziła, by mogło to mieć jakiś związek z jego atrakcyjnością: wcześniej nauczyła się nie przywiązywać wagi do wzrostu mężczyzn, bo od większości z nich była wyższa. Sądziła, że urzekły ją raczej jego oczy, łagodne, brązowe i wilgotne. I jego uśmiech.

Te właśnie oczy i ten uśmiech nie robiły żadnego wrażenia na Gaby, podobnie jak wdzięki Cirocco nie interesowały Gene’a, jej drugiego wybrańca.

- O czym myślisz? - spytał Bill, widząc, jak się uśmiecha.

- Nie sądzisz, że dostarczasz mi dostatecznie dużo powodów do radości? - odparła trochę zadyszana. Naprawdę jednak myślała o tym, jak zabawna musiałyby się wydać ich cała czwórka Billowi, który nie uczestniczył w tych cielesnych przetasowaniach. To właśnie było charakterystyczne dla niego: siedzieć cicho i pozwolić innym łamać sobie serca, a włączyć się dopiero wtedy, gdy już im się sprzykrzy.

Calvin na pewno był przygnębiony. Ciocco również. Czy to na skutek zaabsorbowania Gaby, czy też braku doświadczenia, Calvin nie był nadzwyczajnym kochankiem. Był spokojny, nieśmiały i lubił grzebać się w książkach. Jegoteczka personalna wskazywała, że większość życia spędził w szkole, obciążony nauką do tego stopnia, że niewiele czasu zostawało mu na zabawę.

Gaby niczym się natomiast nie przejmowała. Zespół Naukowy „Ringmastera” był najwspanialszą zabawką, jaką dostała kiedykolwiek w życiu. Była tak zakochana w swojej pracy, że wstąpiła do korpusu astronautów i ukończyła go z najlepszymi ocenami z całej klasy, dzięki czemu mogła teraz oglądać gwiazdy bez przeszkody w postaci atmosfery, chociaż bardzo nie lubiła podróży. Kiedy pracowała, wszystko inne przestawało dla niej istnieć, i wcale nie wydawało się jej dziwne, że Calvin spędzał prawie tyle samo czasu w SCIMOD co ona, szukając okazji, by podać jej kliszę fotograficzną albo osłonę obiektywu, i wreszcie - klucze do swojego serca.

Również Gene wydawał się niczym nie przejmować. Ciocco wysyłała sygnały, za które dostałaby od piątki do dożywocia, gdyby dowiedziała się o nich Federalna Komisja Komunikacji, ale Gene niestety ich nie odbierał. Po prostu szczyrzył zęby w chłopięcej, doskonale aryjskiej twarzy, okolonej zmierzwionym włosiem i opowiadał o lataniu. Miał zostać pilotem Modułu Podróży Satelitarnych, kiedy statek dotrze do Saturna. Ciocco

też lubiła latanie, ale przyszedł czas, że kobiety zapragnęły robić coś innego.

W końcu jednak Calvin i Cirocco dostali, czego chcieli, i wkrótce też obojgu się odechciało.

Cirocco nie wiedziała, jak się układają stosunki Calvina z Gaby; żadne z nich o tym nie mówiło, było jednak oczywiste, że był to stan w najlepszym przypadku znośny.

Calvin nadal ją widywał, ale ona w tym czasie widywała się również z Gene.

Gene najwyraźniej spodziewał się, że Cirocco przestanie go nękać. Kiedy to robili, przesuwał się na bok i dyszał jej ciężko do ucha. Nie lubiła tego, a cała reszta jego techniki nie była ani trochę lepsza. Kiedy przestawali się kochać, wyglądał prawie tak, jakby oczekiwał podziękowań za udany wyczyn. Na Cirocco niełatwo było zrobić wrażenie, Gene byłby strasznie zdziwiony, gdyby dowiedział się, jak nisko spadł w jej prywatnym rankingu.

Z Billem natomiast... Cóż, to był niemal przypadek, chociaż od tego czasu zdążyła się przekonać, że Bill raczej nie bywa zamieszany w przypadki. Z jednej sprawy wynikała następna, a teraz właśnie zabierali się do pornograficznego zilustrowania Trzeciej Zasady Dynamiki Newtona, tej, która mówi o „akcji i reakcji”.

Cirocco przeprowadziła szybko kilka obliczeń, stwierdzając, że siła wtrysku nie wystarczała, by wytłumaczyć gwałtowne przyśpieszenie, które zawsze obserwowała w tym momencie. Przyczyną były z pewnością skurcze potężnych mięśni nóg, efekt na pewno piękny, ale i odrobinę przerażający. Wyglądało to, jakby stali się wielkimi, wypuszczającymi powietrze balonami, odpychającymi się od siebie w chwili największego zbliżenia. Kołysali się i zderzali, by wreszcie znowu do siebie przyłgnąć.

Bill również był zachwycony. Uśmiechnął się szeroko, a lampy oświetlające hydroponiczne uprawy sprawiły, że jego nierówne zęby zaśniły fosforyzującym blaskiem.

SKDZ „RINGMASTER” (NASA 447D, L5/1, HOUSTON- COPERNICUS GCR BASELINE).

JONES CIROCCO, DOWÓDCA DO PRZERÓBKI I NATYCHMIASTOWEJ WYSYŁKI POCZĄTEK:

Gaby zdecydowała się nadać nowemu księżycowi nazwę Temida. Calvin się z nią zgadza, chociaż do nazwy doszli dwiema różnymi drogami. Gaby wspomina o rzekomej obserwacji w 1905 r. dziesiątego księżyca Saturna przez Williama Henry’ego Pickeringa - odkrywcy Phoebusa. Pickering nazwał obiekt właśnie Temidą, ale później nikt go już nie widział.

Calvin wskazuje, że pięć spośród księżyców Saturna nosi nazwy od imion tytanów z mitologii greckiej (co należy do jego specjalnych zainteresowań; zob. STOS/SPOŁ RAPORT NR 0009; 1/3/24), a szósty nosi nazwę Tytan. Temida była tytanidą, co w zupełności zadowala Calvina. Temida ma pewne cechy wspólne z księżycem, który miał jakoby zaobserwować Pickering, jednakże Gaby nie jest przekonana, czy tamten rzeczywiście go widział. (Gdyby tak było, nie mogłaby być uznana za jego odkrywcę. Jednak mówiąc uczciwie, wydaje się, że jest on zbyt mały i zbyt słabo świecący, by można go było dostrzec nawet przy użyciu najlepszych teleskopów księżycowych). Gaby buduje katastroficzną teorię powstania Temidy w wyniku zderzenia Rei i przelatującego asteroidu. Temida może być pozostałością po tym asteroidzie, albo też kawałkiem wybitym z Rei. Tak więc Temida jest interesującym wyzwaniem dla - tej cudownej kupy idiotów, którą teraz tak dobrze znacie, załogi SKDZ „Ringmaster”. - Cirocco wyprostowała się znad sensorowej klawiatury, założyła ręce za głowę i z trzaskiem wyłamała palce.

- Byle co - zamruczała. - Również gównu.

Na ekranie przed nią świecił się ciąg zielonych liter, nie zakończony znakiem przestankowym.

Była to ta część jej obowiązków, z wypełnieniem której zawsze zwlekała tak długo, aż nie można już było ignorować nalegań NASA. Temida była nieciekawym odłamkiem skały, na to w każdym razie wyglądało, ale departament Opinii Publicznej rozpaczliwie szukał jakiegoś szlagieru. Chcieli mieć również zainteresowanie ludzi, „dziennikarstwo osobiste”, jak to nazywali. Cirocco robiła, co mogła, nie mogła się jednak zmusić do wchodzenia w takie szczegóły, jakich domagali się redaktorzy biuletynów prasowych. Prawdopodobnie i tak miało to niewielkie znaczenie, ponieważ to, co właśnie napisała, miało być dopiero zredagowane, przepisane, przedyskutowane w toku konferencji i ogólnie podkoloryzowane w celu „humanizacji” astronautów.

Ogólnie rzecz biorąc, Cirocco uważała to za pożyteczne. Niewielu ludzi obchodził program kosmiczny. Byli przekonani, że te pieniądze z większym pożytkiem mogły być wydane na Ziemi, Księżycu czy w koloniach L5. Po diabła pchać pieniądze w badanie jakiejś mysiej dziury, kiedy o wiele więcej korzyści można by odnieść z rzeczy tak solidnych, jak na przykład rozbudowa produkcji na orbicie okołozemskiej. Badania okropnie dużo kosztowały, a na Saturnie była tylko kupa kamieni i kosmiczna próżnia. Próbowała właśnie pomyśleć o jakimś nowym sposobie usprawiedliwienia swojej obecności na pierwszej misji badawczej od jedenastu lat, kiedy na ekranie ukazała się twarz jednej z sióstr Polo. Znowu to dziwne uczucie - której? April czy August?

- Kapitanie, przepraszam, że przeszkadzam.

- W porządku. Nie byłam zajęta.

- Mamy tutaj coś, co powinnaś zobaczyć.

- Zaraz będę.

Pomyślała, że to była August. Cirocco starała się ich nie mylić, ponieważ bliźniaki na ogół tego nie lubią. Stopniowo zdała sobie jednak sprawę, że akurat tym było to obojętne.

April i August nie były bowiem zwykłymi bliźniaczkami.

W pełnym brzmieniu nazywały się April 15/02 Polo i August 3/02 Polo. Tak było napisane na ich probówkach i tak napisali w ich metrykach naukowcy, którzy spełnili w tym przypadku rolę akuszerki. Cirocco utwierdzało to tylko w przekonaniu, że uczonym nie należy pozwalać wygłupiać się i eksperymentować z istotami, które żyją, oddychają i płaczą.

Ich matka, Susan Polo, umarła pięć lat przed ich narodzinami i nie mogła ich bronić.

Wyglądało na to, że nikomu nie spieszyło się, by je przygarnąć, miały więc tylko siebie i trzy wyklonowane siostry. August powiedziała kiedyś Cirocco, że kiedy cała piątka dorastała, miały tylko jednego prawdziwego przyjaciela, w postaci małpki - rezusa z podrasowanym mózgiem. Rozdzielono je z nim, gdy dziewczynki miały siedem lat.

- Nie chciałabym, żeby zabrzmiało to zbyt brutalnie - powiedziała August tej nocy, kiedy wypity po kilka szklanek sojowego wina Billa. - Ci uczeni nie byli potworami. Wielu z nich zachowywało się niczym czule ciotki i kochający wujaszkwowie. Miałymy chyba wszystko, czego mogłyśmy zapragnąć. Jestem pewna, że wielu z nich naprawdę nas kochało. - Pociągnęła kolejny łyk. - Mimo wszystko - powiedziała - kosztujemy masę pieniędzy.

Za swoje pieniądze uczeni mieli pięciu spokojnych, raczej uduchowionych geniuszy, czyli dokładnie to, co zamówili. Cirocco wątpiła, czy zamówienie obejmowało również kazirodczy homoseksualizm, ale jakoś czuła, że można się było tego spodziewać w równym stopniu, jak wysokiego ilorazu inteligencji. Wszystkie zostały wyklonowane

z jednej matki - córki japońskiego Amerykanina w trzecim pokoleniu i Filipinki. Suzan

Polo otrzymała nagrodę Nobla w dziedzinie fizyki i umarła młodo.

Cirocco przyglądała się August, kiedy ta studiowała fotografię na stoliku do map.

Zupełnie przypominała swoją słynną matkę: malutka, z kruczoczarnymi włosami, szczupłą figurą i ciemnymi, pozbawionymi wyrazu oczami. Girocco nigdy nie podzielała zdania rasy kaukaskiej, że wszystkie twarze Azjatów są do siebie podobne, ale twarze April i August nie różniły się nawet na jotę. Ich skóra miała kolor kawy z dużą ilością śmietanki, ale w czerwonym świetle panującym w Zespole Naukowym twarz August wydawała się niemal czarna.

Spojrzała znad stołu na Girocco z twarzą bardziej podnieconą niż zwykle. Girocco przez chwilę patrzyła jej prosto w oczy, a później opuściła wzrok. Na polu upstrzonym punkcikami gwiazd sześć malutkich światełek układało się w doskonały sześciokąt.

Girocco przyglądała mu się przez dłuższą chwilę.

- To najdziwniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziałam na firmamencie - przyznała. -

Co to jest?

Gaby siedziała przypięta do fotela po drugiej stronie kabiny, sącząc kawę z plastikowej butelki.

- To jest najnowsze zdjęcie Temidy - powiedziała. - Zrobiłam je w ciągu ostatniej godziny moim najczulszym sprzętem i przy użyciu programu komputerowego korygującego obroty statku.

- Myślę, że to jest odpowiedź na moje pytanie - odezwała się Girocco. - Ale co to właściwie jest?

Gaby długo zwlekała z odpowiedzią, znowu pociągając kawę z pojemnika.

- Jest taka możliwość - powiedziała, a jej ton był odległy i marzycielski - że kilka ciał

niebieskich krąży wokół wspólnego środka ciężkości. Teoretycznie. Nikt jeszcze nigdy czegoś takiego nie widział. Układ taki nazywany jest rozetą.

Ciocco cierpliwie czekała. Wreszcie prychnęła, nie słysząc żadnym innych komentarzy.

- W środku systemu księżyców Saturna? Przez mniej więcej pięć minut - być może.

Później pozostałe księżyce musiałyby wywołać perturbacje.

- Owszem - zgodziła się Gaby.

- A w jaki sposób w ogóle miałyby się coś takiego zdarzyć? Szanse powstania takiego układu są niezmiernie małe.

- Owszem, to również prawda.

April i Calvin weszli do pomieszczenia. Calvin rozejrzył się.

- Czy ktoś to wreszcie powie? To nie jest naturalny układ. Ktoś to musiał stworzyć.

Gaby potarła czoło.

- Nie słyszałeś wszystkiego. Traciłam to radarem. Odbicie mówi, że Temida ma ponad 1300 kilometrów średnicy. Dane na temat gęstości mówią, że jest ona nieco mniejsza niż woda. Myślałam, że odczyty są zafałszowane, bo pracowałam na resztkę mocy sprzętu. Wtedy dostałam ten obrazek.

- Sześć obiektów czy jeden? - spytała Ciocco.

- Nie mogę powiedzieć na pewno. Wszystko wskazuje na jeden.

- Opisz go jakoś. Jak sądzisz, co możesz o nim powiedzieć?

Gaby zajrzała do swoich wydruków, najwyraźniej jednak mogła się bez nich obyć.

Wszystkie liczby miała w głowie.

- Temida ma 1300 kilometrów średnicy. Oznacza to, że jest to trzeci co do wielkości księżyc Saturna, mniej więcej rozmiarów Rei. Poza tymi sześcioma punktami musi być

zupełnie czarny. To jest zdecydowanie najśłabsza poświata wśród wszystkich ciał niebieskich w systemie słonecznym, jeśli cię to interesuje. Jest to również ciało o najniższej gęstości. Jest bardzo możliwe, że jest w środku puste, a także, że nie jest okrągłe. Być może ma kształt dysku albo torusa. Tak czy inaczej mam wrażenie, że porusza się niczym kręcąca się płyta, z prędkością 1 obrotu na godzinę. To spora prędkość, więc na pewno nic na powierzchni się nie utrzyma, siła odśrodkowa przeważa nad siłą ciężenia.

- Jeżeli jednak to ciało jest wydrążone, a my znaleźli byśmy się po wewnętrznej stronie... - Cirocco nie spuszczała wzroku z Gaby.

- Wewnątrz, jeżeli rzeczywiście jest puste w środku, działałaby na nas siła odpowiadająca 1/4 siły przyciągania ziemskiego G.

Cirocco przyglądała się jej badawczo, chcąc zadać następne pytanie i Gaby nie wytrzymała tego spojrzenia.

- Zbliżamy się z każdym dniem. Obraz powinien się stale poprawiać. Ale nie mogę ci obiecać, kiedy upewnię się co do wszystkich tych przypuszczeń.

Cirocco ruszyła w kierunku drzwi.

- Będę musiała wysłać to, co masz.

- Ale bez żadnych teorii, dobrze?! - krzyknęła za nią Gaby. Po raz pierwszy Cirocco widziała, że Gaby nie jest uszczęśliwiona tym, co dostrzegła przez teleskop. - W każdym razie nie przypisuj ich mnie.

- Żadnych teorii - zgodziła się Cirocco. - Powinno wystarczyć faktów.

Rozdział 2

RAPORT INFORMACYJNY NR 0931

(ODPOWIEDŹ NA PRZEKAZ Z HOUSTON NR 5455, 5-20-25) 5-21-25.

SKDZ „RINGMASTER” (NASA 447D, L5/1, HOUSTON-COPERNICUS GCR

BASELINE)

JONES CIROCCO, DOWÓDCA.

SPRZEŻENIE BEZPIECZEŃSTWA „WŁĄCZONE”.

KOD: SYMBOL DELTADDELTA,

POCZĄTEK:

1. Zgadza się z waszą analizą, że Temida jest międzygwiazdowym pojazdem kosmicznym nowego typu. Nie zapominajcie, że wpadliśmy na to pierwsi.
2. Najnowsze zdjęcie wkrótce. Zwróćcie uwagę na wyraźniej występujące jasne miejsce. Nadal nie udało nam się zaobserwować urządzeń cumowniczych w pobliżu osi obrotu. Będziemy kontynuować obserwacje.
3. Potwierdzamy wasz pośredni kurs 5/22.
4. Potrzebujemy uaktualnionej trajektorii w miarę zbliżania się do nowej wstawki orbitalnej, poczynając od 5/25 i dalej aż do rozpoczęcia wstawki, później mocniejszej. Nie obchodzi mnie, czy wymaga to przełączenia na inny komputer; nie sądzę, by nasza pokładowa maszyna dała sobie radę z taką ilością danych.
5. Zwrot 5/22, 0400 czasu uniwersalnego, po włączeniu silników w środku kursu.

KONIEC RAPORTU Osobiste (obieg ograniczony do Komitetu Kontroli Misji „Ringmastera”). Początek:

Dot. Komitetu Łączności, który wstawił mi taką mowę:

„Zjeżdżajcie”. Nie obchodzi mnie, KTO jest na tym cholernym statku. Dostaję sprzeczne instrukcje, które brzmią jak bezpośrednie rozkazy. Może nie podobają się wam moje pomysły albo sposób, w jaki się do tego zabieram, a może jest odwrotnie. Fakty są takie, że to ja gram główną rolę w tej sztuce. Wystarczającym powodem jest opóźnienie

przebiegu informacji wynikające z odległości. Daliście mi statek i odpowiedzialność, więc ODWALCIE SIĘ ODE MNIE.

KONIEC.

Cirocco wcisnęła klawisz KODOWANIE, potem TRANSMISJA i wygodnie rozparła się w fotelu. Potarła oczy. Jeszcze kilka dni temu mieli tak niewiele do roboty. Teraz była przytłoczona sprawdzaniem gotowości „Ringmastera” do wejścia na orbitę.

Wszystko się zmieniło i to przez sześć małych świetlnych punkcików w teleskopie Gaby. Badanie pozostałych księżyców Saturna nie miało teraz, jak się zdawało, wiele sensu. Przygotowywali się na rychłe spotkanie z Temidą.

Wywołała listę czynności, które należało jeszcze wykonać, a potem grafik dyżurów, który - najwyraźniej - znowu został przekonstruowany. Miała dołączyć do April i Calvina na zewnątrz. Ruszyła pospiesznie do szafki.

Jej kombinezon był gruby i szczelny. Wydawał lekkie pomruki, a radio szumiało spokojnie. Pachniał wygodą, szpitalnym plastykiem i świeżym tlenem.

„Ringmaster” miał wydłużoną konstrukcję, składającą się z dwóch głównych członów połączonych pustą rurą o średnicy trzech metrów i długą na sto metrów. Wytrzymałość konstrukcji zapewniały trzy kompozytowe wzdłużniki po zewnętrznej stronie, z których każdy przenosił moc jednego silnika na system podtrzymania życia umieszczony na szczycie rury.

Po drugiej stronie rury znajdowały się silniki i szereg odczepianych zbiorników paliwowych, osłoniętych szeroką płytą ekranu przeciwpromiennego, który otaczał centralną rurę niczym ochrona przed szczurami na linie cumowniczej oceanicznego frachtowca. Nie byłoby bezpiecznie znaleźć się po drugiej stronie ekranu.

Po drugiej stronie rury był system podtrzymania życia, składający się z zespołu

naukowego, modułu sterowniczego i karuzeli.

Moduł sterowniczy znajdował się na samym przodzie i stanowił stożkowane wybrzuszenie wyrastające ze scimodu przypominającego duży dzbanek do kawy. Tylko ta część na całym statku miała okna, bardziej zresztą w imię tradycji niż z praktycznych względów.

Modułu naukowego niemal nie było widać spoza gąszczy instrumentów. Górowała tu ultraczuła antena, zamontowana na końcu długiego masztu i wycelowana w Ziemię. Były tu też dwie okrągłe anteny radarowe i pięć teleskopów, w tym centymetrowy newtonowski teleskop Gaby.

Zaraz za tym wszystkim była karuzela: grube, białe koło zamachowe. Kręciło się powoli dookoła reszty statku, połączone z nim czterema szprychami.

Do głównego trzonu przymocowane były inne elementy, łącznie z bębnami z uprawami hydroponicznymi i częściami lądownika: systemem podtrzymywania życia, silniczkami korekcyjnymi, dwoma pomostami do schodzenia i boosterem.

Lądownik przeznaczony był do badań księżyców Saturna, w szczególności Japetosa i Rei. Po Tytanie - który posiadał atmosferę i z tego względu nie nadawał się do badań w czasie tej wyprawy - Japetos był najciekawszym ciałem niebieskim w tej okolicy. Do lat 1980-tych jego jedna półkula była wyraźnie jaśniejsza, ale przez ostatnie ponad dwadzieścia lat obraz bardzo się zmienił i obecnie poświata była prawie jednolita. Natomiast na wykresie względnej jasności przeciwległych punktów orbity pojawiły się dwa wcięcia. Zadaniem lądownika było zbadanie przyczyn tych różnic.

Obecnie, wobec znacznie bardziej kuszącego obiektu, jakim była Temida, tamta wyprawa została odłożona.

„Ringmaster” przypominał inny statek kosmiczny: fikcyjny „Discovery”, sondę na

Jowisza z klasycznego filmu S. Kurbicka „2001: Odyseja kosmiczna”. Nie było w tym nic dziwnego. Oba statki zostały zaprojektowane dla podobnych celów i musiały mieć zbliżone parametry, chociaż jeden z nich podróżował tylko na taśmie filmowej.

Cirocco wyszła na zewnątrz, by usunąć ostatnią płytę odbijającą promienie słoneczne, która osłaniała system podtrzymywania życia „Ringmastera”.

Na statku kosmicznym problemem jest zazwyczaj odprowadzenie ciepła, jednakże obecnie byli w takiej odległości od słońca, że opłacało się raczej wchłonąć go tyle, ile się dało.

Przymocowała linę bezpieczeństwa do rury biegnącej od osi karuzeli do wjazdu i zabrała się do ostatnich płyt. Były srebrne, o średnicy jednego metra, wykonane ze złożonych razem dwóch arkuszy cienkiej folii. Dotknęła śrubokrętem jednego z rogów i ostrze szczęknęło napotkawszy szczelinę. Przeciwwaga wykręciła i połknęła luźną śrubę, zanim ta uniosła się w przestrzeń kosmiczną.

Jeszcze trzy takie operacje i płyta odchyliła się od warstwy pianki przeciwmeteorowej. Girocco przytrzymała ją i odwróciła ku słońcu, przeprowadzając nieformalny test na przebicie. Trzy małe jasne punkciki znaczyły miejsca, gdzie arkusz został uderzony drobiną meteorowego pyłu.

Płyta utrzymywała sztywność dzięki drutowi biegnącemu wzdłuż jej brzegów. Girocco zgięła arkusz na pół: po piątym złożeniu był tak mały, że mieścił się w kieszeni umieszczonej na udzie kombinezonu. Zapięła pasek i przesunęła się do następnej płyty. Czas był teraz na wagę złota. Kiedy tylko mogli, łączyli oba zespoły, tak że przy końcu dnia pokładowego Girocco leżała na swojej koi, podczas gdy Calvin aplikował jej cotygodniową gimnastykę, a Gaby pokazywała najnowsze zdjęcie Temidy. W pokoju zrobiło się ciasno.

- To nie jest zdjęcie - mówiła Gaby. - Właściwie, jest to wspomagany komputerowo obraz teoretyczny. Jest zrobiony w podczerwieni, która jest najlepszą częścią widma.

Ciocco podparła się na łokciu, starając się nie wyłączyć żadnej z elektrod. Zaciśnęła w ustach końcówkę termometru, aż Calvin zmarszczył się z niezadowoleniem.

Odbitka przedstawiała grubą obręcz, otoczoną szerokimi, jasnoczerwonymi plamami w kształcie trójkąta o szerokiej podstawie. Sześć takich czerwonych obszarów znajdowało się wewnątrz obręczy, wyraźnie mniejszych i prostokątnych.

Wielkie trójkąty po zewnętrznej stronie to części najgorętsze - powiedziała Gaby. -

Wyobrażam sobie, że są to elementy systemu sterowania temperaturą. Wchłaniają ciepło ze słońca albo wydają jego nadmiar.

- W Houston już się zdecydowali na taką interpretację - zauważyła Ciocco. Rzuciła okiem na kamerę telewizyjną umieszczoną nad sufitem. Kontrola naziemna cały czas obserwowała ich. Gdyby coś im wpadło do głowy, Ciocco dowiedziałaby się o tym najdalej za kilka godzin, choćby ją mieli budzić.

Podobieństwo do obręczy koła byłoby niemal doskonałe, gdyby nie te chłodzące czy nagzewające płetwy, które wykryła Gaby. W środku znajdowała się piasta z dziurą, przez którą można by przetknąć oś, gdyby Themis rzeczywiście był kołem od wozu. Od piasty promieniście rozchodziło się sześć szprych, które stopniowo rozszerzały się, zanim dochodziły do „obręczy” koła. Pomiedzy każdą parą szprych na obwodzie widać było jeden z tych jaśniejszych, prostokątnych obszarów.

- To jest coś nowego - powiedziała Gaby. - Te obszary są nachylone pod pewnym kątem. To właśnie je zobaczyłam na początku: sześć świecących punktów. Są płaskie, w przeciwnym wypadku bowiem rozpraszałyby znaczną część światła. Takie jakie są, mogą odbijać światło w kierunku Ziemi tylko wtedy, gdy ustawią się dokładnie pod

odpowiednim kątem, a to zdarza się rzadko.

Pod jakim kątem? - wysepleniła Cirocco. Calvin wyjął termometr z jej ust.

- No dobra. Światło pada wzdłuż tej osi, pod takim kątem - wskazała Gaby

wyciągniętym palcem na odbitce. - Zwierciadła są ustawione tak, by odbijać światło pod

kątem 90 stopni w kierunku szczytu koła. - Dotknęła papieru palcem, przekreśliła go

i wskazała obszar znajdujący się pomiędzy dwiema szprychami.

- Ta część koła jest cieplejsza od pozostałych, ale nie aż tak ciepła, by mogła

wchłaniać całe ciepło, jakie otrzymuje. Nie odbija go ani nie pochłania, a więc dokądś

przekazuje. Jest przezroczysta albo półprzezroczysta. Po prostu większość światła

przechodzi przez nią do tego, co jest pod spodem, czymkolwiek to jest. Czy coś wam to

mówi?

Cirocco oderwała oczy od odbitki.

- Co masz na myśli?

- W porządku. Wiemy już, że koło jest puste w środku. Być może tak samo jest ze

szprychami. W każdym razie, wyobraźmy sobie to koło. Podobne jest do opony

samochodowej, wielkiej, grubej i spłaszczonej u dołu, by dać więcej przestrzeni

życiowej. Siła odśrodkowa wypycha z piasty wszystko, co się tam znajduje.

- Na razie wszystko to rozumiem - powiedziała Cirocco z leciutkim rozbawieniem.

Gaby potrafiła wkładać tyle serca w swoje wyjaśnienia.

- Właśnie. A więc, kiedy się stoi wewnątrz koła, jest się albo pod szprychą, albo pod

reflektorem, prawda?

- Taak? No tak. A więc...

- A więc w konkretnym miejscu panuje albo dzień, albo noc. Szprychy są

przymocowane sztywno, a reflektory są nieruchome, tak samo jak świetliki. A więc to

musi być urządzone właśnie tak. Stała noc albo stały dzień. Jak sądzicie, dlaczego właśnie tak to zbudowali?

- Żeby na to odpowiedzieć, musielibyśmy się z nimi spotkać. Muszą mieć potrzeby odmienne od naszych. - Znowu spojrzała na rysunek. Musiała sobie stale przypominać o rozmiarach całej tej sprawy. Tysiąc trzysta kilometrów średnicy, cztery tysiące w obwodzie. Perspektywa spotkana z istotami, które zbudowały taką konstrukcję z każdym dniem niepokoiła ją coraz bardziej.

- W porządku. Mogę poczekać. - Gaby nie była już tak bardzo zainteresowana Temidą jako statkiem kosmicznym Dla niej był to fascynujący przedmiot obserwacji. Cirocco znowu spojrzała na rysunek.

- Ta piasta - zaczęła, a potem przygryzła wargę. Kamera pod sufitem była stale włączona i Cirocco nie chciała niczego mówić zbyt pochopnie.

- O co chodzi?

- No cóż, to jedyne miejsce, gdzie można by zacumować. Jedyne nieruchoma część.

- Nie w takim położeniu, jak teraz. Otwór w samym środku jest dość duży. Zanim dotrzesz do czegoś trwałego, przesunie się o dobry kawałek. Mogę obliczyć...

- Mniejsza z tym. To nie jest teraz najważniejsze. Problem polega na tym, że tylko w samym środku, tam gdzie ruch obrotowy ustaje, można przycumować bez większych kłopotów. Na pewno nie chciałbym tego spróbować.

- Więc?

- Musi być jakiś przekonywający powód, dla którego nie ma tam żadnych widocznych urządzeń do cumowania. Coś na tyle ważnego, by uzasadniało poświęcenie tego miejsca, jakiś powód, żeby w środku pozostawić wielki otwór.

- Silnik - powiedział Calvin. Cirocco rzuciła na niego okiem i pochwyciła spojrzenie

brązowych oczu w chwili, gdy wracał do swojej pracy.

- Tak też sobie pomyślałam. Wielki, prawdziwy przepływowy silnik termojądrowy.

Cała maszyna mieści się w piasku, elektromagnetyczne generatory pola kierują międzygwiazdny wodór do centrum, gdzie ulega spalaniu.

Gaby wzruszyła ramionami.

- To ma sens. Ale co z cumowaniem?

- No cóż, opuszczenie tego czegoś może być dość łatwe. Trzeba po prostu wybić dziurę w dnie i nabrać prędkości, żeby się oderwać i jeszcze trochę, żeby się kręcić w kółko. Musi tam być jednak coś w rodzaju tratwy ratunkowej dla odbierania statków zwiadowczych, która mogłaby się przesuwać aż do osi obrotu, kiedy silnik nie pracuje.

Główny silnik musi być właśnie tam. Jedyne inne sposoby to rozmieszczenie silników wokół obręczy. Musiałyby być przynajmniej trzy. Im więcej by ich było, tym lepiej.

Odwróciła się w stronę kamery.

- Przyślijcie mi, co tam macie na temat przepływowych silników wodorowych - powiedziała. - Sprawdźcie też, czy możecie dać mi jakieś wyobrażenie o tym, czego powinnam szukać, gdyby Temida miała taki silnik.

- Będziesz musiała zdjąć koszulę - powiedział Calvin.

Ciocco sięgnęła w górę i wyłączyła kamerę, pozostawiając tylko kanał dźwiękowy.

Calvin opukał i osłuchał jej plecy, podczas gdy Ciocco i Gaby nadal studiowały obraz Temidy. Nie doszły do niczego nowego, dopóki Gaby nie podniosła sprawy kabli.

- Na ile mogę ocenić, tworzą okrąg mniej więcej w połowie odległości pomiędzy piastą i obręczą. Podtrzymują górne krawędzie płyt odblaskowych i przypominają trochę olinowanie żaglowca.

- A co powiesz o tych? - spytała Ciocco, wskazując obszar pomiędzy dwiema

szprychami. - Masz jakiś pomysł, do czego mogą służyć?

- Nie. Jest ich sześć i przebiegają promieniście w połowie odległości pomiędzy szprychami, od piasty do obręczy. Przechodzą przez płyty odblaskowe, jeżeli cokolwiek ci to mówi.

- Niezupełnie... Jeżeli jednak jest tam więcej takich rzeczy, być może mniejszych, powinniśmy się za nimi rozglądać. Te kable są około... jak powiedziałaś? Długie na około trzy kilometry?

- Raczej pięć.

- W porządku. A więc niewielki w porównaniu z nimi obiekt - powiedzmy mający w obwodzie tyle co nasz „Ringmaster” - mógłby być dla nas niedostrzegalny przez długi czas, zwłaszcza jeżeli jest tak czarny jak reszta Temidy. Gene ma zamiar trochę powęszyć w module badawczym. Byłoby paskudnie, gdyby wleciał na jeden z takich obiektów.

- Wprogramuję to do komputera - powiedziała Gaby.

Calvin zaczął pakować swój sprzęt.

- Tak samo obrzydliwie zdrowa jak zawsze - powiedział. - Nigdy nie dajecie mi szansy. Jeżeli nie wypróbuję tego szpitala za pięć milionów dolarów, to w jaki sposób mam ich przekonać, że prawidłowo ulokowali swoje pieniądze?

- Chcesz, żebym złamała komuś rękę? - poddała Cirocco.

- Nie. Już to kiedyś zrobiłem, jeszcze w szkole medycznej.

- To znaczy: złamałeś czy składałeś?

Calvin roześmiał się.

- Wyrostek robaczkowy. A teraz jest coś, czego chciałbym spróbować. Rozlane wyrostki raczej się dziś już nie zdarzają.

- Chcesz powiedzieć, że nigdy nie wycinałeś wyrostka? Czego was tam dzisiaj w tych

szkołach uczą?

- Uczą nas, że jeżeli poznasz teorię, palce jakoś już sobie poradzą. Jesteśmy zbyt inteligentni, żeby brudzić sobie ręce. - Znowu się roześmiał, a Cirocco poczuła, jak drżą cienkie ścianki jej pokoju.

- Chciałabym wiedzieć, kiedy żartuje, a kiedy mówi serio - powiedziała Gaby.

- Chcesz powagi? - spytał Calvin. - Jest coś takiego, o czym nigdy byś nie pomyślała: chirurgia plastyczna. Ludzie, macie pod ręką jednego z najlepszych chirurgów... -

Przerwał, by ustały gwałtowne hałasy. - Oto jeden z najlepszych chirurgów. Czy ktoś z tego korzysta? Ani trochę! Robota przy nosie w domu będzie cię kosztowała 7-8 tysięcy. Tu masz za darmo.

Cirocco wyprostowała się i rzuciła mu lodowate spojrzenie.

- Nie mówisz chyba o mnie, prawda?

Calvin wyciągnął kciuk i spojrzał zezem na twarz Cirocco.

- Oczywiście, są jeszcze inne typy chirurgii plastycznej. Jestem całkiem dobry we wszystkich rodzajach. To było moje hobby. - Opuścił trochę kciuk. Cirocco spróbowała go kopnąć, przeganiając za drzwi.

Usiadła roześmiana. Gaby ciągle jeszcze tam była, z arkuszem pod pachą. Przysiadła na małym składanym stołeczku obok koi.

Cirocco uniosła brew.

- Coś jeszcze?

Gaby spojrzała w bok. Otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale nie zdołała wykrztusić słowa. Wreszcie klepnęła gołe udo otwartą dłonią.

- Nie, myślę, że nie. - Zaczęła się podnosić, ale jakoś jej to nie wyszło.

Cirocco spojrzała na nią z namysłem, a potem wyłączyła kanał dźwiękowy

w kamerze.

- Czy tak lepiej?

Gaby wzruszyła ramionami.

- Może. I tak miałam cię prosić, żebyś to wyłączyła, jeśli kiedyś zbiorę się i zacznę mówić. Myślę... że to nie moja sprawa.

- Ale miałaś uczucie, że powinnaś coś powiedzieć. - Cirocco czekała.

- Tak, no dobrze. To twoja rzecz, jak dowodzisz tym statkiem. Chcę, żebyś wiedziała, że zdaję sobie z tego sprawę.

- Dalej. Nie boję się krytyki.

- Spałaś z Billem.

Cirocco zaśmiała się cicho.

- Nigdy z nim nie śpię. Łóżko jest zbyt małe. Ale rozumiem, co masz na myśli.

Cirocco miała nadzieję, że w ten sposób jakoś rozluźni Gaby, ale najwyraźniej jej się to nie udało. Gaby wstała i przechadzała się powoli, mimo że od ściany dzieliły ją zaledwie cztery kroki.

- Kapitanie, nie przywiązuję wielkiej wagi do seksu. - Wzruszyła ramionami. - Nie, żeby miałam jakąś awersję do tych spraw, ale też nie wariuję na tym punkcie. Jeżeli nie prześpię się z kimś przez dzień czy rok, nawet tego nie zauważę. Większość ludzi jednak traktuje to inaczej. Zwłaszcza mężczyźni.

- Ja też tak to traktuję.

- Wiem. Dlatego zastanawiałam się, jak... To znaczy, jakie właściwie uczucia żywisz do Billa.

Teraz Cirocco zaczęła przemierzać kabinę. Jednak pomagało jej to jeszcze mniej niż Gaby, bo była od tamtej wyżej i mogła postawić wszystkiego trzy kroki.

- Gaby, wzajemne oddziaływanie ludzi w zamkniętych środowiskach jest dziedziną dobrze zbadaną. Próbowano wysłać statki z wyłącznie męską załogą. Raz nawet z załogą złożoną wyłącznie z kobiet. Próbowano samych małżeństw, próbowano z wyłącznie wolną załogą. Ustalano regulaminy zakazujące seksu albo też ustalano, że nie obowiązują żadne reguły. Ani jedno z tych rozważań się nie sprawdziło. Ludzie działają sobie na nerwy i zawsze będą uprawiali seks. Dlatego nikomu nie mówię, co ma robić w życiu prywatnym.

- Wcale nie chcę powiedzieć, że...

- Chwileczkę. Powiedziałam to wszystko po to, byś wiedziała, że mam świadomość potencjalnych problemów. O problemach konkretnych jednak powinnam wiedzieć.

Czekała.

- Chodzi o Gene'a - powiedziała Gaby. - Robiłam to i z Gene'em i z Calvinem. Jak mówię, dla mnie nie jest to nic specjalnego. Wiem, że Calvin mnie chce. Przywykłam do tego. W domu po prostu bym go spławiła. Tutaj pieprzę się z nim, żeby był szczęśliwy. Dla mnie to właściwie żadna różnica. Ale z Gene'em pieprzę się, bo on... on ma... tę energię. Rozumiesz? - Zaciśnęła dłonie w pięści, a później rozłożyła je i popatrzyła na Cirocco, szukając zrozumienia.

- Trochę tego doświadczyłam, owszem. - Cirocco kontrolowała głos.

- W porządku, on cię nie zaspokaja. Mówił mi. To go dręczy. Ten rodzaj intensywności przeraża mnie, być może dlatego, że go nie rozumiem. Widziałam, jak próbuje rozładować to napięcie.

Cirocco oblizwała usta.

- Postawmy sprawę jasno. Chcesz, żebym go od ciebie wzięła?

- Nie, nie, o nic cię nie proszę. Mówiłam ci, po prostu zwracam ci uwagę na problem,

jeżeli sama jeszcze go nie zauważyłaś. Co z tym zrobisz - zależy wyłącznie od ciebie

Ciocco kiwnęła głową.

- W porządku. Cieszę się, że mi powiedziałaś. Będzie jednak musiał jakoś z tym żyć.

Jest zrównoważony, dobrze przystosowany, ma odrobinę skłonności do dominacji, ale dobrze ją kontroluje, w przeciwnym razie bowiem nic byłby z nami.

Gaby kiwnęła głową.

- Sama wiesz, jak jest najlepiej.

- I jeszcze jedno. Nie należy do twoich obowiązków ciągle zaspokajanie

czyichkolwiek potrzeb seksualnych. Wszelkie obciążenia w tym kierunku są dobrowolne.

- Rozumiem.

- Na pewno. Zupełnie nie podoba mi się myśl, że mogłaś sądzić, iż oczekuję tego od ciebie. Albo że mogłaś tego oczekiwać ode mnie. - Popatrzyła jej w oczy, zmuszając wzrokiem do ucieczki, a potem poklepała po kolanie. - Poza tym, to się samo ułoży.

Będziemy wkrótce wszyscy zbyt zajęci, żeby myśleć o waleniu.

Rozdział 3

Z nawigacyjnego punktu widzenia Temida była koszmarem.

Nikt nigdy nie próbował wejść na orbitę ciała w kształcie torusa. Temida miała 1300

kilometrów średnicy i tylko 250 kilometrów grubości. Przy zewnętrznym brzegu

obwarzanek był spłaszczony do grubości 175 kilometrów. Gęstość wahała się w dużym przedziale, co mogło potwierdzać tezę, że konstrukcja składała się z grubej podstawy po zewnętrznej stronie, atmosfery i cienkiej osłony u góry, która utrzymywała powietrze.

Było jeszcze sześć szprych o długości 420 kilometrów. Miały przekrój eliptyczny,

o osiach odpowiednio 100 i 50 kilometrów, z wybrzuszeniami u podstawy, tam gdzie

łączyły się z torusem. W samym środku była piasta, masywniejsza niż szprychy,

o średnicy 160 kilometrów i z liczącym sobie 100 kilometrów średnicy otworem w środku.

Podchodzenie do takiego obiektu stanowiło dla pokładowego komputera odpowiednik załamania nerwowego. Nie tylko zresztą dla komputera, ale i dla Billa, który musiał przygotować możliwy do przyjęcia model.

Najprostsza orbita prawdopodobnie leżała w płaszczyźnie równikowej Saturna, co pozwoliłoby im wykorzystać posiadany już pęd. Ta droga była jednak zamknięta. Temida była tak ustawiona, że jej oś obrotu była równoległa do płaszczyzny równikowej. Ponieważ oś przebiegała przez otwór w samym środku Temidy, każda dająca się wymyślić orbita w płaszczyźnie równikowej Saturna zmuszałaby „Ringmastera” do przechodzenia przez obszary dzikich skoków grawitacji.

Pozostawała jedynie orbita leżąca w płaszczyźnie równikowej Temidy. Taka orbita musiała być jednak kosztowna, biorąc pod uwagę moment kątowy. Jediną jej zaletą był fakt, iż po jej osiągnięciu mogłaby być bez problemów utrzymana.

Manewry rozpoczęli jeszcze przed osiągnięciem Saturna. W ostatnim dniu podejścia jeszcze raz przeliczyli kurs. Cirocco i Bill polegali na pracy komputerów na Ziemi i nawigacji według tak odległych obiektów, jak Mars i Jowisz. Mieszkali w module sterowniczym i obserwowali, jak Saturn stawał się coraz większy w rufowych ekranach telewizyjnych.

Później włączyli silniki.

W czasie którejś z nielicznych swobodniejszych chwil Cirocco włączyła kamerę w module badawczym. Gaby spojrzała z wyrazem udręki.

- Rocky, nie mogłabyś czegoś zrobić z tą wibracją?

- Gaby, silnik pracuje zgodnie z parametrami. Musi trząść, to wszystko.

- Najlepszy czas dla obserwacji w czasie całej pieprzonej wyprawy - mruknęła Gaby.

Siedzący obok Cirocco Bill roześmiał się.

- Jeszcze pięć minut, Gaby - powiedział. - Naprawdę sędzę, że nie powinniśmy ich trzymać ani chwili krócej, niż to zaplanowaliśmy. Tak będzie znacznie lepiej.

Silniki zostały wyłączone punktualnie. Rozglądali się za ostatecznym potwierdzeniem, że są tam, dokąd pragnęli dolecieć.

- Tu „Ringmaster”, przy sterach C. Jones. Dotarliśmy na orbitę Saturna o godzinie 1341.453 Czasu Uniwersalnego. Prześlę namiary dla korekty kursu, kiedy stąd wyjdę. Na razie schodzę z tego kanału.

Pstryknęła odpowiednim przełącznikiem.

- Jeśli ktoś chce popatrzeć na zewnątrz, to ma do tego ostatnią sposobność.

Było bardzo ciasno, ale August, April, Gene i Calvin zdołali się jakoś wcisnąć. Cirocco obróciła statek o dziewięćdziesiąt stopni.

Saturn był ciemnoszarą dziurą, szeroką na siedemnaście stopni i tysiąc razy większą niż tarcza księżycy widziana z Ziemi. Pierścienie miały niewiarygodną szerokość czterdziestu stopni.

Wyglądały jak zrobione z ciężkiego, połyskliwego metalu. „Ringmaster” podchodził od północnej strony równika, więc widzieli górną półkulę. Każda cząstka była oświetlona od drugiej strony, tak że wyglądała jak cienki sierp, Słońce było zbliżającym się do Saturna, błyszczącym punktem na godzinie dziesiątej.

Milczeli, kiedy Słońce zbliżało się do punktu zaćmienia. Widzieli, jak cień Saturna pada na część najbliższego pierścienia, tnąc go niczym brzytwa.

Zachód Słońca trwał piętnaście sekund. Kolory pociemniały i zmieniały się gwałtownie: czysta czerwień, żółć i ciemny granat podobny do tego, który widzi się

z samolotu w czasie lotu stratosferycznego.

W kabinie słyhać było cichy chór westchnień. Osłony okien przeszły w stan niespolaryzowany, wywołując ponowne westchnienia, kiedy pierścienie stały się jaśniejsze i otoczyły intensywny, niemal jarzący się błękit wyznaczający zarys północnej półkuli. Na powierzchni planety pojawiło się szare prążkowanie, podświetlone światłem pierścieni. Później szalały burze o rozmiarach porównywalnych z rozmiarami ziemskich.

Odrywając w końcu wzrok od tego widoku, Cirocco spojrzała na ekran po lewej.

Gaby nadal była w zespole naukowym. Nawet nie spojrzała na obraz Saturna na ekranie.

- Gaby, nie masz ochoty przyjść i obejrzeć tego? Cirocco zobaczyła, jak tamta przecząco potrząsnęła głową. Śledziła cyfry biegnące wzdłuż wąskiego ekranu.

- I miałabym stracić najlepszy czas dla obserwacji z całej wyprawy? Jeszcze nie zwariowałam.

Zeszli najpierw na długą eliptyczną orbitę z najniższym punktem odległym o dwieście kilometrów od teoretycznego promienia Temidy. Była to oczywiście pewna matematyczna abstrakcja, ponieważ orbita była nachylona pod kątem trzydziestu stopni do płaszczyzny równika Temidy, co sprawiało, że unosili się ponad ciemną stronę. Minęli wirujący torus i wyszli na oświetloną stronę. Temida rozciągała się przed nimi i można ją było teraz obserwować nieuzbrojonym okiem.

Nie było tam nic specjalnego do oglądania. Temida była niemal tak samo ciemna jak otaczająca ją przestrzeń kosmiczna, mimo iż padały na nią promienie słoneczne.

Przyglądali się ogromnej masie koła z trójkątnymi żaglami pochłaniającymi światło słoneczne na obwodzie, przypominającymi ostre zęby gigantycznego trybu, które prawdopodobnie wchłaniały światło słoneczne i przekształcały je w ciepło.

Statek przesuwał się nad wnętrzem ogromnej obręczy. Ukazały się szprychy

i reflektory słoneczne. Wydawały się niemal tak samo ciemne jak reszta Temidy,

z wyjątkiem miejsc, w których odbijały się niektóre jaśniejsze gwiazdy.

Cirocco nadal martwił problem braku widocznego wejścia. Ziemia strasznie naciskała

na to, by spenetrowali wnętrze Temidy, a Cirocco - pomimo swojej instynktownej

ostrożności - pragnęła tego równie mocno.

Musiał być jakiś sposób. Nikt nie wątpił, że Temida była tworem sztucznym.

Dyskusja natomiast dotyczyła tego, czy był to międzygwiazdny pojazd kosmiczny czy też

cały sztuczny świat na podobieństwo O'Neil Jeden. Różnice sprowadzały się do kwestii

ruchu i pochodzenia. Statek kosmiczny powinien mieć silnik, który musiał się znajdować

w miejscu przypominającym piastę koła. Kolonia musiała być zbudowana przez kogoś

z okolicy. Cirocco słyszała teorie o mieszkańcach Saturna czy Tytana, Marsjanach -

choć poza krzemiennym grotem strzały nikomu niczego więcej nie udało się na Marsie

znaleźć - a także dawnych mieszkańcach Ziemi, którzy opuścili ją - ruszyli

w Kosmos. Nie wierzyła w żadną z nich, nie miało to jednak większego znaczenia.

Statek czy kolonia, Temida musiała być Przez kogoś zbudowana, a zatem powinna mieć

wejście.

Trzeba go było szukać w piąście koła, ale wymogi balistyki kazały jej wejść na

możliwie najbardziej odległą od niej orbitę.

„Ringmaster” wszedł na orbitę przebiegającą 400 kilometrów ponad równikiem.

Lecieli zgodnie z kierunkiem obrotu, jednakże ruch Temidy był szybszy niż prędkość

orbitalna. Za oknem po stronie Cirocco widać było czarną płaszczyznę. W regularnych

odstępach czasu przemykała za nim jedna z płyt słonecznych, niczym skrzydło

monstrualnego nietoperza.

Na powierzchni można teraz było dostrzec pewne szczegóły. Widać było długie, pofałdowane krawędzie, które zbiegały się na płytach słonecznych, prawdopodobnie pokrywające ogromne rurociągi przeznaczone do transportu płynu lub gazu, który miał być ogrzewany ciepłem Słońca. W ciemności widać też było rozrzucone bezładnie kraterzyki, niektóre z nich głębokie na 400 metrów. Dookoła nich nie było jednak rumoszu skalnego. Nic, co nie było dobrze przytwierdzone, nie mogło utrzymać się na powierzchni.

Ciocco zamknęła swój pulpit sterowniczy. Na tapczanie obok niej spał Bill. Oboje nie opuszczali modułu sterowniczego od dwóch dni.

Przeszła przez pomieszczenie krokiem lunatyka. Gdzieś tam na dole było łóżko z miękkim prześcieradłem i poduszką i wygodne 1/4 G, wytwarzane przez obracającą się ciągle karuzelę.

- Rocky, mamy tu coś dziwnego.

Zatrzymała się z jedną nogą na szczeblu drabinki D i zamarła na chwilę.

- Co powiedziałaś? - Jej ostry głos sprawił, że Gaby podniosła wzrok.

- Ja też jestem zmęczona - powiedziała rozdrażnionym tonem. Klepnęła przełącznik

i na górnym ekranie pojawił się obraz. Ukazywał zbliżający się brzeg Temidy. Widać tam było wybrzuszenie, które wydawało się rosnąć, kiedy się doń zbliżali.

- Przedtem tego nie było. - Pomiędzy brwiami Ciocco próbującej otrząsnąć się ze zmęczenia ukazały się głębokie zmarszczki.

Rozległ się słaby brzęk sygnału, którego przez moment nie była w stanie umiejscowić. Po chwili, w miarę jak żyły zaczęły tłoczyć adrenalinę, wszystko stało się ostre i klarowne. To był dzwonek alarmowy z modułu sterowniczego.

- Kapitanie - w głośniku rozległ się głos Billa - mam tutaj dziwne odczyty. Według

nich nie zbliżamy się do Temidy, za to coś zbliża się do nas.

- Zaraz tam będę. - Chwytając za poręcz, by się podciągnąć, doznała uczucia

lodowatego zimna. Spojrzała na ekran. Obiekt eksplodował, przypominało to wybuch gwiazdy.

- Teraz widzę - powiedziała Gaby. - Nadal jest połączony z Temidą. Wygląda niczym długie ramię albo wysuwający się wysięgnik. Myślę...

- Urządzenie cumownicze!! - wrzasnęła Cirocco. - Chcą nas pochwycić! Bill, zacznij odliczanie do odpalenia silnika, zatrzymaj karuzelę i przygotuj się do startu.

- Ależ to zajmie nam trzydzieści minut...

- Wiem. Ruszaj!

Odepchnęła się od burty statku, z której prowadziła obserwację i wylądowała w swoim siedzeniu, sięgając po mikrofon.

- Cała załoga. Stan pogotowia. Alarm dekompresyjny. Ewakuować karuzelę.

Gotowość do akceleracji. Zapiąć pasy. - Uderzyła lewą ręką przycisk alarmowy, słysząc, jak w pomieszczeniu za nią narasta niesamowite wycie. Rzuciła okiem w lewo.

- Ty też, Bill. Załóż kombinezon.

- Ależ...

- Ruszaj się!

Wyskoczył z fotela i dał nura w boczny właz. Odwróciła się i zawołała przez ramię:

- Przynieś mój kombinezon!

Obiekt można było teraz obserwować przez okno. Przybliżał się szybko, co sprawiło, że czuła się bezsilna jak nigdy dotąd. Ignorując procedurę programowania systemu

kontroli położenia, zdołała odpalić wszystkie silniki odrzutowe Po tej stronie statku,

którą był zwrócony w stronę Temidy, ale wyglądało na to, że to nie wystarczy. Ogromna

masa „Ringmastera” właściwie nie drgnęła. Rezygnując jednak z tej możliwości mogłaby tylko usiąść, obserwować automatyczne odliczanie i liczyć wlokące się sekundy. Po chwili wiedziała już, że nie zdołają umknąć. Przedmiot był duży i poruszał się szybko. Wrócił Bill w kombinezonie, niosąc jej strój.

Pięć postaci tkwiło przypiętych pasami do amortyzujących przyspieszenie foteli, nieruchomo wpatrując się w ekran. Nałożyła hełm. Otoczył ją bezładny chaos dźwięków.

- Spokój. - Jazgot ucichł. - Ma być cisza w eterze, chyba że wyraźnie poproszę o wypowiedź.

- Co się dzieje, dowódco? - odezwał się Calvin.

- Mówiłam: żadnych rozmów. Wygląda na to, że chcą nas zgarnąć jakimś automatem.

To pewnie jest to urządzenie cumownicze, którego tak szukaliśmy.

- Dla mnie wygląda to bardziej na atak - mruknęła August.

- Musieli robić to już przedtem. Z pewnością wiedzą, w jaki sposób wykonać bezpiecznie operację przechwycenia. - Nawet dla niej nie brzmiało to do końca przekonująco. Jeszcze mniej w chwilę później, gdy całym statkiem zatrzęsło.

- Kontakt - powiedział Bill. - Mają nas.

Ciocco pospieszyła na swoje miejsce, nie widząc przesuwanego się w górze kształtu. Statkiem znowu rzuciło, a z tylnej części dobiegł okropny hałas.

- Jak to wygląda?

- Ogromne macki jak ośmiornicy, tylko bez przyssawek. - Bill był wyraźnie wstrząśnięty. - Są ich setki, wiją się ze wszystkich stron. - Statek jeszcze mocniej się przechylił, rozdzwoniły się następne sygnały alarmowe. Na pulpicie sterowniczym rozgorzał pożar czerwonych świateł.

- Mamy przebicie kadłuba - powiedziała Ciocco ze spokojem w głosie, którego

faktycznie nie odczuwała. - Tracimy powietrze z centralnego systemu. Zamykamy
grodzie 14 i 15. - Operowała przyrządami jak w transie, widząc światełka i przyciski jak
przez odwrócony teleskop. Wskaźnik przyspieszenia zaczął się kręcić jak oszalały, rzuciło
nią gwałtownie do przodu, a później w bok. Wylądowała na Billu, a potem z trudem
wciągnęła się w swój fotel i zapięła pasy.

W chwili gdy klamra zaskoczyła, statek znowu skoczył do tyłu, znacznie gwałtowniej
niż za pierwszym razem. Coś przebiło śluzę i walnęło w wizjer, rysując go siateczką
pęknięć.

Zawisła nad fotelem, ciało napierało na pas. Przez właz przeleciała butla z tlenem.
Szkło rozprysło się, a odgłos upadku zagłuszył wybuch zimnych, twardych odłamków
szkła wirujących jej przed oczami. Wszystkie przedmioty w kabinie, które nie były
umocowane, skakały i waliły przez wystrzępioną paszczę, która kiedyś była
iluminatorem.

Wisząc ponad czarną dziurą bez dna, czuła w głowie tętniącą krew. W słonecznym
blasku powoli i leniwie obracały się wielkie przedmioty. Jednym z nich był zespół
silnikowy „Ringmastera”, szybujący na wprost niej, tam, gdzie nie miał prawa się znaleźć.
Widać było wyraźnie odłamany ogryzek łączącego trzonu. Jej statek rozpadał się.

- O cholera - powiedziała, a potem przemknęło jej przez głowę wspomnienie zapisu
czarnej skrzynki samolotu, którego kiedyś słuchała. To właśnie były ostatnie słowa pilota
na kilka sekund przed uderzeniem, kiedy wiedział już, że musi zginąć. Ona wiedziała to
również i myśl ta napawała ją ogromnym obrzydzeniem.

Z uczuciem pełnego zgrozy otępienia obserwowała, jak urządzenie, które pochwyciło
silniki, oplatało je wciąż nowymi mackami. Przypomniała sobie obraz portugalskiego
wojownika omotanego zabójczym uściskiem ośmiornicy. Bezgłośnie, z jakimś

niesamowitym wdziękiem pękł zbiornik paliwa. Jej świat rozpadał się bezdźwięcznie.

Chmura sprężonego gazu, która wydobyła się ze zbiornika, rozproszyła się w mgnieniu oka. Narzędzie, które tak systematycznie niszczyło statek, zdawało się na to nie reagować.

Macki pochwyciły tymczasem inne fragmenty statku. Wydawało się, że ultraczuła antena odpływa, ruch ten był jednak zbyt wolny i nie pozwolił uniknąć wciągnięcia przez dziurę poniżej.

- Żyje - wyszeptała. - To żyje.

- Co powiedziałaś? - Bill próbował obiema rękami utrzymać się tablicy sterowniczej.

Był porządnie przypięty do fotela, ale pręty, którymi mebel był przymocowany do podłogi, pękły jak zapalki.

Statek ponownie zadrzał i Cirocco poczuła, że szybuje wraz z fotelem. Zaczepiła udami o brzeg tablicy rozdzielczej i szamotała się teraz, próbując się uwolnić.

- Rocky, tu się wszystko wali. - Nie była pewna, kto się odezwał, ale rozpoznała brzmiały w głosie lęk. Odpychając się jedną ręką, drugą zdołała rozpiąć pas. Wyśliznęła się bokiem, a fotel lewitował dalej w kabinie, odbijając się o potrzaskane przyrządy, na chwilę zatrzymał się w rozwalonym włazie, a potem wystrzelił w przestrzeń.

Miała uczucie, że ma połamane nogi, stwierdziła jednak z niejaką ulgą, że może nimi poruszać. Zmobilizowała resztki sił, żeby uwolnić Billa z fotela i ten wysiłek zagłuszył na chwilę ból. Za późno: oczy miał zamknięte, czoło i cały hełm od środka umazane były krwią. Kiedy jego ciało przesunęło się bezwładnie wzdłuż deski rozdzielczej, zauważyła wyłom, jakiego dokonał w niej jego hełm. Zdołała chwycić go za udo, potem za łydkę, wreszcie za odzianą w but stopę, a on spadał i spadał w strumieniu błyszczącego, tłuczonego szkła.

Oprzytomniała skulona pod deską rozdzielczą. Potrząsnęła głową, nie mogąc sobie przypomnieć, co ją tam rzuciło. Siła hamowania nieco teraz osłabła. Temida zdołała dostosować „Ringmastera” - albo to, co z niego zostało - do własnej prędkości obrotowej. Nikt się nie odzywał. Owszem, w słuchawkach hełmu był orkan oddechów, nie padło jednak ani jedno słowo. Nie było o czym mówić, wrzaski i przekleństwa wyczerpały się. Stała na równe nogi, złapała krawędź luku ponad głową, podciągnęła się i pogрузzyła w dzikim chaosie.

Nie działało żadne światło, ale promienie słoneczne wdzierały się przez rozwalone resztki wyposażenia, sterczące wokół wielkiej wyrwy w ścianie. Cirocco przedzierała się przez szczątki; odziana w kombinezon postać usunęła się z drogi.

W głowie tętniła jej krew, jedno oko miała tak spuchnięte, że nie dało się otworzyć. Szkody były olbrzymie. Dopiero po sprzątnięciu, co długo potrwa, będzie można oszacować ich rozmiary.

- Chcę mieć pełny raport o szkodach z wszystkich wydziałów - powiedziała, nie adresując tego specjalnie do nikogo. - Ten statek nie został zbudowany z myślą o przetrzymaniu takiego traktowania.

Tylko trzy osoby stały. Ktoś klęczał w rogu, trzymając za rękę kogoś przysypanego rumowiskiem.

- Nie mogę ruszać nogami. Nie mogę.

- Kto to powiedział? - krzyknęła Cirocco, próbując przezwyciężyć zawroty potrzęsaniem głową, ale tylko pogorszyła swój stan.

- Calvin, zajmij się rannymi, a ja tymczasem sprawdzę, co da się zrobić dla statku.

- Tak, kapitanie.

Ku zdziwieniu Cirocco nikt się nie ruszył. Wszyscy jej się przyglądali. Dlaczego?

- Jeżeli będziecie mnie potrzebowali, będę w swojej kabinie. Nie... nie czuję się najlepiej.

Jedna z postaci zrobiła krok w jej stronę. Ruszyła, próbując się wymknąć i stopą przebiła pokład. Ból przeszył jej nogę.

- To wchodzi do środka, o tam. Widzisz? Teraz przyszło po nas.

- Gdzie?

- Nic nie widzę. O Boże! Teraz widzę.

- Kto to mówi? Ma być cisza na tym kanale!

- Uważaj! Za tobą!

- Kto to mówi? - Urwała, zlana potem. Coś wślizgiwało się za nią, czuła to, było to coś podobnego do stworów, które odwiedzają sypialnie po zgaszeniu światła. Nie był to szczur, ale coś gorszego: pozbawiony twarzy stwór, wstęga szlamu i trupio zimne, oślizgłe ręce. Macając w czerwonym mroku, dostrzegła wijącego się węża śmigającego przez pas światła przed nią.

Było tak cicho. Dlaczego nie wydawali żadnego dźwięku?

Zacisnęła dłonie na czymś twardym. Podniosła to i zaczęła walić jak szalona, kiedy to coś znalazło się w jej zasięgu.

Na próżno. To żyło i najwidoczniej nie zamierzało zdychać: owinięło ją w pasie i zaczęło ciągnąć.

Odziane w kombinezony postaci skakały i miały się na małej przestrzeni, ale macki wystrzeliwały nici, które przyklejały się niczym gorąca smoła. Przeszywały pomieszczenie we wszystkie strony. Coś chwyciło Cirocco za nogi i próbowało rozerwać niczym kurczaka. Poczowała ból, jakiego nie doznała nigdy w życiu, nadal jednak tłukła mackę, dopóki nie straciła przytomności.

Rozdział 4

Było zupełnie ciemno.

Nawet takiej informacji można się było ucześcić. Stwierdzenie, że spowijająca wszystko ciemność była wynikiem braku czegoś, co nazywamy światłem, kosztowało ją znacznie więcej, niż mogłaby sądzić kiedyś, gdy czas składał się jeszcze z kolejno po sobie następujących chwil, niczym paciorków nanizanych na sznurek. Teraz te paciorki przelatywały jej między palcami, układając się w ponurą kpinę z przyczynowości.

Wszystko musi mieć układ odniesienia. Żeby ciemność znaczyła cokolwiek, musi istnieć choćby wspomnienie światła. Teraz to wspomnienie zatarło się.

To już się zdarzało i jeszcze zdarzy. Czasami było imię dla nazwania odcieleśnionej świadomości. Częściej była jedynie świadomość istnienia.

Znajdowała się w brzuchu bestii.

(Jakiej bestii?)

Nie mogła sobie przypomnieć. Ale to minie, pamięć wróci. Zawsze tak było, jeśli tylko dostatecznie długo poczekać. Czekanie nie wymagało wysiłku. Tysiąclecia nie miały więcej znaczenia niż milisekundy. Solidny, wielopiętrowy gmach czasu rozpadł się.

Miała na imię Cirocco.

(Co to jest Cirocco?)

- Shur-rock-o. To gorący pustynny wiatr albo stary model volkswagena. Mamusia nigdy mi nie mówiła, od czego się to wzięło. - To była jej zwykła odpowiedź.

Przypomniała sobie, że to mówiła, niemal czuła nieuchwytnie usta formułujące słowa pozbawione znaczenia.

- Nazywaj mnie kapitan Jones.

(Kapitan czego?)

Kapitan SKDZ „Ringmaster”. SKDZ oznacza Statek Kosmiczny Dalekiego Zasięgu,
z załogą liczącą siedmiu ludzi, w drodze do Saturna. Jednym z nich była Gaby Plauget.

(Kto to jest...)

...i...i był jeszcze... Bill.

(Co to znowu za imię?)

Miała to już na końcu języka. Język był miękkim, mięsistym przedmiotem...

znajdował się w ustach, które z kolei...

Miała to przed chwilą, cóż to jednak takiego jest chwila?

Coś o świetle. Cokolwiek.

Było zupełnie ciemno. Czy nie była tu już kiedyś? Tak, na pewno, ale mniejsza z tym,
trzymaj się tego, nie pozwól, by myśl uleciała. Nie istniało światło i nie było niczego czy
czegoś innego, ale co może być innego?

Żadnego zapachu. Żadnego smaku. Żadnego dotyku. Brak zmysłu równowagi
i orientacji ciała w przestrzeni. Nawet uczucia odrętwienia.

Cirocco! Miała na imię Cirocco.

„Ringmaster”. Saturn. Temida. Bill.

W jednej chwili wszystko wróciło, tak jakby przeżywała to od nowa, w ułamku
sekundy. Wydawało jej się, że zwariuje od natłoku wrażeń i z tą myślą powróciło inne
jeszcze, późniejsze wspomnienie. To się zdarzyło przedtem. Przypominało jej się tylko na
chwilę, by zaraz potem odpłynąć w niepamięć. Miała już takie zaburzenia, wiele razy.

Wiedziała, że nić, której się uchwyciła, jest bardzo cienka, ale nie miała niczego
innego. Wiedziała, gdzie jest, znała również charakter problemu.

Zjawisko zostało zbadane w ostatnim stuleciu. Ubierało się człowieka w kombinezon
z pianki neoprenowej, zasłaniało oczy, unieruchamiało ręce i nogi w ten sposób, by nie

mógł się dotknąć, odcinało wszelkie dochodzące dźwięki i zanurzało w ciepłej wodzie. Jeszcze lepszy jest po prostu stan nieważkości. Pewne udoskonalenia mogą polegać na dożylnym odżywianiu i eliminacji zapachów, ale na dobrą sprawę nie są niezbędne. Rezultaty są zaskakujące. Pierwszymi obiektami badań byli piloci doświadczalni - dobrze przystosowani, odpowiedzialni, wrażliwi ludzie. Dwadzieścia cztery godziny pozbawienia zmysłów przekształcały ich w zgadzające się na wszystko dzieci. Dłuższy okres doświadczeń mógł być rzeczywiście niebezpieczny. Stopniowo umysł wytwarzał nowe urozmaicenia: bicie serca, zapach neoprenu, ciśnienie wody.

Ciocco знаła te testy. Dwudziestoczwierogodzinne odcięcie wszelkich zmysłów było również elementem jej wyszkolenia. Wiedziała, że jeżeli dostatecznie długo będzie się starać, powinna odnaleźć głos i uczucie oddychania. To było coś, nad czym mogła panować: rzecz nierytmiczna, jeżeli tak zdecyduje. Spróbowała szybkich oddechów, spróbowała kaszlnąć. Niczego nie poczuła.

A więc ciśnienie. Jeżeli coś ją trzymało, na pewno będzie można napiąć mięśnie i przeciwstawić się temu skrępowaniu, choćby po to, by przekonać się, że faktycznie coś ją trzyma w uścisku, choćby łagodnym. Próbując sobie uzmysłować każdy mięsień z osobna, izolując go, wyobrażając sobie jego położenie i połączenie z resztą ciała, próbowała zmusić go do ruchu. Wystarczyłby skurcz ust. Stanowiłby dowód, że nie jest martwa, a tego zaczynała się obawiać.

Porzuciła tę myśl. Żywiła oczywiście normalną obawę przed śmiercią, jako kresem wszelkiej świadomości. To, co jej przemknęło przez głowę, wyglądało znacznie gorzej: a co by było, gdyby ludzie nie umierali nigdy?

A co by było, gdyby po śmierci ciała zostało *to*? Mogło więc istnieć życie wieczne, które upływałoby w wiecznym braku wrażeń?

Szaleństwo zaczęło wyglądać pociągająco.

Próby poruszania się nie miały sensu. Zrezygnowała więc z nich, próbując przeszukać najświeższe wspomnienia, w nadziei, że klucz do jej obecnego położenia będzie mogła znaleźć w ostatnich świadomych sekundach na pokładzie „Ringmastera”.

Roześmiałyby się, gdyby zlokalizowała odpowiednie mięśnie w ten sposób. O ile nie była martwa, musiała być uwięziona w brzuchu potwora tak dużego, że był w stanie pochłonąć statek wraz z całą załogą.

Po jakimś czasie i to zaczęło się wydawać atrakcyjne. Jeżeli to była prawda, jeżeli rzeczywiście została pożarta, a jednak jakoś pozostała przy życiu, wówczas śmierć była jeszcze przed nią. Wszystko było lepsze od wiecznego koszmaru, którego ogromną daremność dopiero teraz w pełni pojmowała.

Stwierdziła, że jest zdolna do bezcielesnego szlochu. Bez łez, bez pochlipywania, bez palenia w gardle Cirocco rozszochała się beznadziejnie. Była dzieckiem w ciemności, wypełnionym krzywdą i bólem. Poczwała, że jej umysł znowu pracuje, ucieszyła się i przygryzła język.

Ciepła krew zalała jej usta. Płynęła w niej z rozpaczliwym strachem i głodem małej rybki w dziwnym słonym morzu. Była ślepy mrobakiem, po prostu gębą z twardymi okrągłymi zębami i napuchniętym językiem, na ślepo szukającym tego cudownego smaku krwi, który rozpraszał się nawet wtedy, gdy go czuła.

Jeszcze raz zacisnęła zęby, kłapiąc zapamiętałe - nagrodą był świeży strumień czerwieni. Zastanawiała się, czy można smakować kolor? Nie dbała o to. Bolało.

Wspaniale. Ból przeniósł ją w przeszłość. Uniosła twarz znad potrzaskanych zegarów i potłuczonej szyby małego samolotu, czując, jak pęd powietrza chłodzi jej krew w otwartych ustach. Ugryzła się w język. Włożyła rękę do ust i wygrzebała dwa

umazane na czerwono zęby. Patrzyła na nie, nie rozumiejąc, skąd się wzięły. W kilka tygodni później, kiedy wypisywali ją ze szpitala, znalazła je w kieszeni kurtki. Trzymała je w pudełeczku na nocnym stoliku, z myślą o tych chwilach, kiedy budziła się, słysząc śmiertelnie spokojny szept wiatru w uszach. *Drugi silnik nie działa, w dole widać tylko drzewa i śnieg.* Wtedy chwyciła pudełeczko i grzechotała zębami w środku: *Przeżyłam.* Przypomniła sobie jednak, że było to przed wieloma laty - kiedy pulsowało jej w twarzy. Zdejmowali bandaż. Strasznie filmowy widok. Co za cholerny wstyd, że nie mogę tego zobaczyć. Twarze stłoczone wokół z wyrazem oczekiwania - kamera prześlizguje się po nich - brudna gaza spadająca obok łóżka, warstwa odsłaniająca kolejną pod nią i potem...

... dlaczego... dlaczego, doktorze... ona jest taka piękna.

Nie była piękna. Powiedzieli jej, czego się ma spodziewać. Dwa monstrualne sińce wokół oczu i wydęta, podrażniona czerwona skóra. Rysy pozostały nietknięte, nie było blizn, nie była jednak piękniejsza, niż była zawsze. Nos ciągle przypominał tasak. I co z tego? Nie był złamany, a duma nie pozwalała jej zmieniać go z przyczyn wyłącznie kosmetycznych.

(Prywatnie nie cierpiała tego nosa i myślała, że w połączeniu ze wzrostem zapewnił jej dowództwo „Ringmastera”. Były naciski, żeby wybrać kobietę, ale ci, którzy decydowali o tych sprawach, jednak nie mogli przemóc się na tyle, by powierzyć dowodzenie kosztownym statkiem ładniutkiej, niedużej kobietce).

Kosztowny statek kosmiczny.

Ciocco, znowu dryfujesz. Ugryź się w język.

Zacisnęła zęby i poczuła krew...

... i zobaczyła, jak zamrożone jezioro pędzi jej na spotkanie, poczuła, jak wali twarzą

w tablicę przyrządów, podnosi głowę z potłuczonego szkła, które natychmiast znika w studni bez dna. Pasy utrzymywały ją ponad otchłanią. Ciało prześliznęło się przez ruinę i sięgnęła w kierunku jego buta...

Znowu mocno się ugryzła i poczuła, że trzyma coś w ręku. Minęły całe wieki i poczuła, że coś dotyka jej kolana. Złożyła oba wrażenia do kupy i zrozumiała, że się obmacuje.

W ciemności odbyła się subtelna orgia z udziałem jednej kobiety. Do szaleństwa doprowadzała ją miłość do odkrytego na nowo ciała. Skuliła się w kłębek, lizała i gryzła wszystko, czego zdołała dosięgnąć, a jej dłonie szczypały i ciągnęły. Była gładka i bezwłosa i wiła się jak węgorz.

Gęsty, galaretowaty płyn pluskał w jej nozdrzach, kiedy próbowała oddychać. Nie było to nieprzyjemne, nic było nawet niepokojące, jeśli się do tego przyzwyczaić.

Słyszeć też było dźwięk. Niski dźwięk, który musiał być biciem jej serca.

Nie mogła dotknąć niczego z wyjątkiem własnego ciała, bez względu na to, jak daleko sięgała. Przez chwilę próbowała pływać, nie była jednak w stanie stwierdzić, czy się porusza.

Zastanawiając się, co dalej - zasnęła.

Przebudzenie było procesem stopniowym i wątpliwym. Przez chwilę nie była w stanie stwierdzić, czy to jeszcze sen czy jawa. Kąsanie nie pomagało. Równie dobrze mogła przecież śnić, że gryzie.

Pomyślała o tym, jak mogła spać w takiej chwili? Zastanowiła się nad tym i nie miała już pewności, czy w ogóle spała. Zdała sobie sprawę, że różnica była raczej problematyczna. Poszczególne stany świadomości były bardzo podobne i było tak mało wrażeń, które mogłyby nadać im kształt. Sen, marzenia senne, przytomność umysłu,

szaleństwo, czuwanie, drzemka - brak było kontekstu, w którym te pojęcia mogłyby cokolwiek znaczyć.

Słyszała oznakę przerażenia w przyspieszonym biciu swojego serca. Zaczynała wariować, wiedziała o tym. Walcząc z szaleństwem, kurczowo trzymała się osobowości, którą odbudowała z takim trudem.

Nazwisko: Cirocco Jones. Wiek: 34. Kolor skóry: nie czarny, ale i nie biały.

Była bezpaństwowa, w sensie prawnym Amerykanką, a aktualnie członkiem pozabawionej korzeni Trzeciej Kultury - korporacji wielonarodowych. Każde duże miasto na Ziemi miało swoją Dzielnicę Amerykańską pełną szeregowych domków, angielskich szkół i z siecią barów szybkiej obsługi. Cirocco mieszkała w większości z tych miast. To trochę tak, jakby się było dzieckiem wojny, tylko nie tak bezpieczne.

Jej matka była niezamężna i jako inżynier-konsultant często pracowała dla spółek energetycznych. Nie miała zamiaru mieć dzieci, ale nie wzięła pod uwagę arabskiego strażnika więziennego. Zgwałcił ją, kiedy została pojmana po incydencie granicznym pomiędzy Irakiem i Arabią Saudyjską. Kiedy ambasador Texaco negocjował jej uwolnienie, urodziła się Cirocco. Na pustyni umieszczono kilka ładunków jądrowych, a incydent graniczny przerodził się w otwarty konflikt po tym, jak oddziały brazylijskie i irackie zdobyły więzienie. Kiedy polityczny układ sił uległ zmianie, matka Cirocco ruszyła w stronę Izraela. Pięć lat później, wskutek skażenia radioaktywnego zachorowała na raka płuc i następnych piętnaście lat spędziła na kuracjach tylko trochę mniej bolesnych niż sama choroba.

Cirocco wyrastała samotnie na dużą dziewczynę. Jedyńm jej przyjacielem była matka. Po raz pierwszy ujrzała Stany Zjednoczone w wieku dwunastu lat. Umiała już wtedy czytać i pisać, więc jej rozwój nie mógł już ucierpieć pod wpływem

amerykańskiego systemu szkolnictwa. Inną sprawą był rozwój emocjonalny. Niełatwo nawiązywała sympatie, jednak wobec tych niewielu przyjaciół, których miała, była niezwykle lojalna. Matka miała wyrobiony pogląd na wychowanie młodej dziewczyny. Obejmowało ono posługiwanie się pistoletem i znajomość karate, jak również taniec i ćwiczenia dykcji. Na zewnątrz nie brakowało jej wiary we własne siły. Tylko ona sama wiedziała, jak bardzo przerażona i krucha istota kryła się pod maską pewności siebie. To była jej tajemnica - skrywana tak starannie, że zdołała omamić nawet psychologów z NASA, aż dali jej dowództwo statku.

Zastanawiała się, na ile to wszystko było prawdą? Nie było sensu kłamać. Tak, odpowiedzialność dowódcy przerażała ją. Być może wszyscy dowódcy w skrytości ducha byli niepewni siebie, gdzieś tam, głęboko w środku przekonani byli, że nie są dostatecznie dobrzy, by sprostać nałożonej na nich odpowiedzialności. O takie rzeczy jednak nikt nie pytał. A jeśli inni się nie bali? Wtedy jej tajemnica się wyda.

Stwierdziła, że zastanawia się, w jaki sposób doszła do dowodzenia statkiem, tak jakby tego nie chciała. Czegóż więc chciała naprawdę?

Chcę się stąd wydostać - spróbowała powiedzieć. - Chcę, żeby coś się wreszcie wydarzyło.

I rzeczywiście coś się stało.

Lewą ręką wyczuła ścianę. Po jakimś czasie prawą ręką namacała drugą ścianę.

Ściany były ciepłe, gładkie i sprężyste - tak właśnie wyobrażała sobie wnętrze żołądka.

Czuła, jak przesuwają się pod dłonią.

Wtedy zrozumiała, że ściany się zaciskają.

Tkwiała w nierównym tunelu z głową do przodu. Ściany kurczyły się. Po raz pierwszy poczuła klaustrofobię. Przedtem ciasne pomieszczenia nigdy jej nie przeszkadzały.

Ściany pulsowały i marszczyły się, przesuwając ją do przodu, aż głowa prześliznęła się do wnętrza chłodnej i chropowatej struktury. Ścisnęło ją, a płyn bąbelkami uwalniał się z jej płuc. Zakaszłała. Wciągnęła powietrze i stwierdziła, że usta ma wypełnione piaszczystym płynem. Znowu zakaszłała, wyrzucając więcej cieczy, ale ręce miała teraz wolne, wytknęła więc głowę w ciemność, żeby uniknąć wciągania następnej porcji piachu. Charcząc i plując oddychała przez nos.

Po ramionach przysła kolej na biodra: zaczęła dłubać w gąbczastej substancji, która ją trzymała. Zapach przywołał wspomnienia z dzieciństwa, kiedy bawiła się w chłodnej, odkrytej pod ziemią piwnicy, tam, gdzie dorośli zaglądali bardzo rzadko. Pachniało dzieciństwem i grzebaniem w piachu.

Uwolniła jedną nogę, później drugą, a potem zamarła z głową tkwiącą w niewielkiej przestrzeni uformowanej przez ramiona i klatkę piersiową. Oddychała wilgotnymi spazmami.

Piach osypywał się zza jej karku i opadał po ciele grożąc całkowitym zapchaniem niszy, którą sobie wyskrobała. Była pogrzebana, ale żywa. Musiała kopać, jednak nie mogła używać ramion.

Powściągając popłoch, zmusiła się do powstania. Bolały ją mięśnie ud, trzeszczało w stawach, poczuła jednak, że przygniatająca ją masa ustępuje.

Przebiła się głową na powietrze i światło. Gwałtownie chwytając powietrze, plując i wyciągając najpierw jedno, a potem drugie ramię z ziemi, wyczołgała się na coś, co w dotyku przypominało chłodną trawę. Na czworakach odczołgała się od dziury i padła.

Wbiła palce w błogosławioną ziemię i rozpaczliwie zapragnęła snu.

Cirocco nie chciała się obudzić. Walczyła, udając, że śpi. Kiedy jednak poczuła, że trawa gdzieś znika, a ciemność powraca, prędko otworzyła oczy.

Kilka centymetrów od jej nosa rozpościerał się bladozielony dywan, który przypominał trawę. Nawet podobnie pachniał. Był to ten gatunek trawy, który można spotkać tylko na dobrze utrzymanych polach golfowych. Był cieplejszy niż powietrze i nie bardzo wiedziała dlaczego. Zresztą, może to wcale nie była trawa.

Potarła ręką i powąchała. Niech będzie, że to trawa.

Usiadła, słysząc irytujący dźwięk. Na szyi miała błyszczącą metalową opaskę, a inne, mniejsze okalały jej przeguby rąk i kostki. Z dużej obręczy zwisało wiele dziwnych przedmiotów spiętych drutem. Odsunęła je, zastanawiając się, gdzie już coś takiego widziała.

Prawie w ogóle nie mogła się skoncentrować. Rzecz, którą trzymała, była tak złożona, tak różnorodna, że nie była w stanie ogarnąć jej zmęczonym umysłem.

A przecież był to jej własny kombinezon, odarty z wszystkich plastikowych i gumowych części, z których się głównie składał. Teraz został tylko metal.

Zestawiając razem wszystkie te cząstkowe spostrzeżenia, zdała sobie wreszcie sprawę, że była kompletnie naga. Pod Powłoką brudu jej ciało było całkowicie pozbawione owłosienia. Nawet brwi gdzieś przepadły. Z jakiegoś powodu na myśl o tym zrobiło jej się bardzo smutno.

Ukryła twarz w dłoniach i zaczęła płakać.

Nie płakała łatwo ani często. Przychodziło jej to z trudem. Ale po bardzo długim czasie znowu wiedziała, kim jest. Teraz mogła także spróbować dowiedzieć się, gdzie jest.

Jakieś pół godziny później poczuła, że może wyruszyć Decyzja ta zrodziła jednak od razu kilkanaście pytań. Na przykład: dokąd?

Miała zamiar zbadać Temidę, ale to było wtedy, gdy miała jeszcze statek kosmiczny i zasoby ziemskiej techniki. Teraz wszystko, czym dysponowała, to goła skóra i kilka

kawałków metalu.

Znajdowała się w lesie złożonym z trawy i jednego gatunku drzew. Nazwała je drzewami na takiej samej zasadzie, na jakiej to, co pokrywało podłoże, nazwała trawą.

Jeżeli coś jest wysokie na siedemdziesiąt metrów, ma brązowy, krągły pień i coś z dużej odległości bardzo przypominającego liście, to chyba jest to drzewo. Oczywiście nie oznaczało to, że twór ten nie mógł jej z wdziękiem pożreć, gdyby nadarzyła się okazja.

Musiała zacząć rozwiązywać swoje problemy od właściwego miejsca: przestać dręczyć się sprawami, na które w ogóle nie miała wpływu i odrzucić te, na które miała wpływ niewielki. Powinna wreszcie zapamiętać, że jeśli chciałoby się być tak ostrożnym, jak podpowiada zdrowy rozum, to jedyną alternatywą była śmierć z głodu w tej jamie.

Powietrze stanowiło pierwszy problem. Mogło zawierać truciznę.

- A więc przestań oddychać, od razu! - powiedziała na głos. W porządku.

Przynajmniej miało świeży zapach i sprawiało, że przestała kasłać.

Co do wody... w tej sprawie niewiele dało się zrobić. W końcu będzie przecież musiała czegoś się napić, o ile coś do picia znajdzie - to było jedno z najważniejszych zadań. Jeżeli znajdzie, być może zdoła również rozniecić ogień i przegotować wodę.

Jeżeli nie - trudno, wypije razem z drobnoustrojami i wszystkim, co tam będzie pływało.

Następną sprawą, która martwiła ją bardziej niż inne, było jedzenie. Nawet jeżeli w pobliżu nie było niczego, co miałoby ochotę na nią, nie było żadnego sposobu, by się przekonać, czy żywność, którą znajdzie, nie okaże się trująca. Mogło się również okazać, że jej wartość odżywcza nie będzie większa od wartości celofanu.

Jakby nie dość tego, istniała też sprawa skalkulowania ryzyka. Jak przewidzieć, co jest niebezpieczne, jeżeli może się okazać, że drzewo nie jest wcale drzewem?

Właściwie, te twory przypominały drzewa tylko w bardzo ogólnym sensie. Pnie

wyglądały, jakby zrobiono je z polerowanego marmuru. Wyższe gałęzie biegingy poziomo i w jednakowej odległości od pnia zaginały się pod kątem prostym. Wysoko w górze liście były płaskie i przypominały trochę talerzowate liście lilii wodnych, o średnicy 3-4 metrów.

Co było nadmiernym ryzykiem, a co nadmierną ostrożnością? Nie było przewodnika, w którym oznaczono by wszystkie niebezpieczeństwa. Nie mogła jednak ruszyć z miejsca, nie robiąc kilku założeń, a ruszyć przecież musiała. Zaczynała odczuwać głód. Zacisnęła zęby i poczłapała do najbliższego drzewa. Klepnęła je dłonią - pozostało w wyniosłej obojętności.

- Po prostu głupie drzewo.

Przyjrzała się dziurze w ziemi, z której się wydostała.

Wyglądała niczym brązowa rana wyszarpana w schludnej połaci trawy. Wokół niej leżały kawałki wywróconej darni, utrzymywane wiążącą je puszystą siatką korzeni. Sama dziura miała teraz najwyżej pół metra głębokości: ścianki zapadły się, wypełniając resztę.

- Coś próbowało mnie pożreć - powiedziała. - Coś zjadło wszystkie organiczne części mojego ubioru, wszystkie moje włosy, a potem resztki wydalilo właśnie tutaj. Włącznie ze mną. - Zauważyła mimochodem, iż była zadowolona, że to coś uznało ją za odpadek.

Ale cóż to była za bestia. Wiedzieli, że zewnętrzna część torusa - teren, na którym teraz siedziała - miała trzydzieści kilometrów grubości. To coś było wystarczająco duże, by zgarnąć „Ringmastera” szybującego po orbicie odległej o czterysta kilometrów.

Spędziła sporo czasu w brzuchu bestii i z jakiegoś powodu okazała się niestrawna.

Przeryło ją przez grunt aż do tego miejsca i w końcu wydalilo.

I to właśnie po prostu nie miało żadnego sensu. Jeżeli bestia mogła zjeść plastik, czemu nie zjadła jej? Czy kapitan statku kosmicznego to niestrawny kąsek?

To coś zjadło dokładnie cały jej statek, części tak wielkie jak zespół silnikowy i inne, po prostu małe drobiny szkła lub miotające się, skulone figurki odziane w kombinezony z porozbijanymi hełmami.

- Bill! - Zerwała się na równe nogi, napinając wszystkie mięśnie. - Bill! Tu jestem!

Żyj! Gdzie jesteś?

Puknęła się w czoło. Gdyby mogła jakoś przebić się przez to uczucie otępienia, które tak spowalniało bieg jej myśli. Nie zapomniała o załodze, jednak dopiero teraz zdołała ich powiązać z tą nowo narodzoną Cirocco, która stała tutaj, naga i bezwłosa na ciepłym gruncie.

- Bill! - zawołała jeszcze raz. Nasłuchiwała przez chwilę, a potem znowu usiadła na podkurczonych nogach. Zaczęła szarpać trawę.

- Pomyśl przez chwilę. Przypuszczalnie ten stwór potraktował go jako jeszcze jeden szczątek. Ale przecież on był ranny. Po chwili przypomniała sobie, że właściwie ona też była ranna. Zbadała swoje uda, ale nie znalazła nawet jednego zadrapania. Niczego jej to nie wyjaśniło. Mogła spoczywać we wnętrzu tego potwora przez pięć lat albo zaledwie kilka miesięcy.

Pozostali członkowie załogi mogą się w każdej chwili wynurzyć na powierzchnię.

Gdzieś tam w środku, jakieś półtora metra w głąb, był rodzaj otworu wydalniczego potwora. Jeżeli poczeka i jeśli bestia nie przepada za ludzkimi stworzeniami w ogóle, a nie tylko za Cirocco, wówczas być może wszyscy spotkają się znowu.

Usiadła, żeby na nich poczekać.

Pół godziny później (a może było to zaledwie dziesięć minut?) uznała, że to nie ma sensu. Stworzenie było naprawdę wielkie. Zjadło „Ringmastera” niczym miętówkę po obiedzie. Musi się rozciągać na dużej przestrzeni podziemnego świata Temidy. Więc nie

miało specjalnego sensu twierdzenie, że właśnie przez ten otwór przechodzi całe wydalanie. Mogą być też inne, rozrzucone po całej okolicy.

W chwilę później przysła jej do głowy jeszcze inna myśl. Była wdzięczna losowi, że w ogóle przychodzi jej do głowy jakieś myśli, choćby tak bardzo rozproszone. Ta była prosta: była spragniona, głodna i brudna. Niczego na świecie nie pragnęła tak bardzo jak wody.

Teren łagodnie opadał. Mogła założyć się, że gdzieś tam w dole płynął strumień.

Wstała i kopnęła kupkę metalowych szczątków. Były jej jedynymi narzędziami.

Wzięła jeden z mniejszych krążków, a potem podniosła większą obręcz, która była kiedyś podstawą hełmu i z której ciągle zwisały resztki elektroniki kombinezonu.

Nie było to wiele, ale musiało wystarczyć. Zarzuciła większy krążek na ramię i ruszyła w dół zbocza.

Zbiornik był zasilany dwumetrowym wodospadem, który stanowił ujście dla kamienistego koryta strumienia, wijącego się w niewielkiej dolinie. Wokoło wznosiły się ogromne drzewa, całkowicie przysłaniając niebo konarami. Stała na kamieniu przy brzegu zbiornika, próbując ocenić jego głębokość i rozważając w myśli skok.

Poprzestała na zamiarach. Woda była czysta, nie sposób było jednak powiedzieć, co napotka pod powierzchnią. Przeskoczyła przez krawędź tworzącą wodospad. Przy 1/4 ciężenia ziemskiego nie było to trudne. Krótki spacer zaprowadził ją na piaszczystą plażę.

Woda była ciepła, słodka, musująca i o tak wybornym smaku, jakiego jeszcze nie spotkała. Napiała się do syta, a potem przykucnęła i wyszorowała piaskiem, cały czas bacznie się rozglądając. Wodopój to miejsce, gdzie lepiej zachować ostrożność. Kiedy uporała się z myciem, po raz pierwszy od momentu przebudzenia poczuła się jako tako po ludzku. Usiadła na mokrym piasku i zanurzyła stopy w wodzie.

Była chłodniejsza niż powietrze i ziemia, ale i tak zaskakująco ciepła jak na coś, co jako żywo przypominało strumień zasilany przez górski lodowiec. Wtedy uprzytomniła sobie, że ich pierwotne wnioski o lokalizacjach źródła ciepła Temidy gdzieś w środku były całkiem sensowne. Światło słoneczne na orbicie Saturna nie mogło go dać zbyt wiele. Trójkątne płetwy były teraz gdzieś pod nią i prawdopodobnie chwyciły i magazynowały energię słoneczną. Wyobraziła sobie ogromne rzeki gorącej wody, płynące kilkaset metrów pod powierzchnią.

Sytuacja wymagała, by ruszyć w drogę. Tylko którą? Droga na wprost nie wchodziła w rachubę. Za strumieniem teren znowu zaczynał się wznosić. Najłatwiej byłoby pójść w dół strumienia, co pozwoliłoby w krótkim czasie wydostać się na równinę.

- Decyzje, decyzje - mruknęła do siebie.

Spojrzała na metalową obręcz, którą dźwigała całe... Co to właściwie było?

Popołudnie? Ranek? Być może taka rachuba czasu nie ma tu wielkiego sensu. Mogła mówić tylko o upływie czasu, ale nie miała pojęcia, jaki był jego wymiar.

Ciągle trzymała w ręku podstawę hełmu. Przyglądając się jej bliżej, zmarszczyła brwi w zamyśleniu.

Jej kombinezon był kiedyś wyposażony w radio. Oczywiście, trudno się było spodziewać, by przeszło tę ciężką próbę w stanie nienaruszonym, ale przecież znalazła jego szczątki. Ostała się maleńka bateria i to, co zostało z przełącznika. To wszystko.

Większa część radia zbudowana była z krzemowych mikroelementów i metalu, istniała więc pewna, choć słaba nadzieja.

Spojrzała ponownie. Gdzie jest głośnik? Powinien być gdzieś mały metalowy rożek - resztką słuchawek. Znalazła go wreszcie i uniosła do ucha.

- ... *pięćdziesiąt osiem, pięćdziesiąt dziewięć, pięćdziesiąt trzy sześćdziesiąt...*

- Gaby! - Zerwała się krzyząc, ale znajomy głos nadal odliczał, nie reagując. Cirocco przyklęła na kamieniu i trzęsącymi się palcami zebrała na nim szczątki swojego hełmu, trzymając głośnik słuchawki przy uchu, i grzebiąc w pozostałościach układów radia.

Znalazła laryngofon.

- Gaby, Gaby, proszę, odezwij się! Czy mnie słyszysz?!

- ...osiemdziesiąt - Rocky! Czy to ty, Rocky?

- To ja. Gdzie... gdzie są... - Zrobiła wysiłek, żeby odzyskać spokój, przełknęła ślinę i ciągnęła: - Dobrze się czujesz? Widziałaś resztę?

- Och, kapitanie. Najokropniejsze rzeczy... - Jej głos załamał się i Cirocco usłyszała szloch. Gaby wyrzucała teraz niezborny potok słów: jak się ucieszyła, słysząc głos Cirocco, jak bardzo była samotna, wreszcie jak bardzo była pewna, że jest jedynym pozostałym przy życiu członkiem załogi, dopóki nie usłyszała w radiu dźwięków.

- Dźwięków?

- Tak, jeszcze ktoś pozostał przy życiu, chyba że to ty płakałaś.

- Ja... do diabła, płakałam niewąsko. To mogłam być ja.

- Nie sądzę - powiedziała Gaby. - Jestem prawie pewna, że to był Gene. Czasami również śpiewa. Rocky, jak to wspaniale słyszeć twój głos.

- Wiem. Ja też się cieszę, że cię słyszę. - Musiała nabrać głęboko powietrza i rozluźnić uścisk na obręczy hełmu. Głos Gaby był znowu opanowany, ale Cirocco znajdowała się na granicy hysterii. To uczucie zupełnie się jej nie podobało.

- Ale co się ze mną działo! - mówiła Gaby. - Byłam martwa, kapitanie, a potem w niebie, a przecież nawet nie jestem wierząca, ale...

- Gaby, uspokój się. Weź się w garść.

Zapadła cisza, przerywana pociąganiem nosem.

- Myślę, że już wszystko w porządku. Przepraszam.

- Nie ma sprawy. Jeżeli przeszedłeś przez to samo co ja, to doskonale cię rozumiem. Ale gdzie właściwie jesteś? Chwila przerwy, a potem chichot.

- Tu nie ma tabliczek z nazwami ulic - powiedziała Gaby. - Jest tu wąwóz, niezbyt głęboki. Na dole usłany jest kamieniami, pomiędzy którymi płynie strumień. Po jego obu stronach rosną śmieszne drzewa.

- Dość mocno przypomina mi to okolice, w której ja się znajduję. Ale który wąwóz? - zastanawiała się. - Jaką szłaś drogą? Liczyłaś kroki?

- Tak. W dół. Gdybym mogła wydostać się z tego lasu, mogłabym objąć wzrokiem pół Temidy.

- Też tak myślałam.

- Potrzebujemy po prostu kilku punktów orientacyjnych w terenie, żeby stwierdzić, czy jesteśmy w tej samej okolicy.

- Myślałam, że musimy być, skoro się słyszemy.

Gaby nic nie powiedziała i Cirocco zrozumiała swoją pomyłkę.

- Racja - powiedziała. - Pole widzenia.

- Sprawdźmy. Te aparaty mają zupełnie niezły zasięg. Tutaj horyzont zakrzywia się w górę.

- Lepiej bym to zrozumiała, gdybym to zobaczyła. Miejsce, w którym teraz jestem, przypomina czarodziejski las w Disneylandzie późnym popołudniem.

- Disney zrobiłby to lepiej - powiedziała Gaby. - Byłoby więcej szczegółów, a z drzew skakałyby różne potwory.

- Wypluj to słowo. Czy widziałaś tam coś takiego?

- Trochę owadów, tak w każdym razie to wyglądało.
- A ja widziałam gromadkę małych rybek. Wyglądały jak ryby. Aha, przy okazji, nie wchodzi do wody. Mogą być niebezpieczne.
- Widziałam je. Już po wyjściu z wody. Nic takiego mi nie zrobiły.
- Czy mijiałaś coś charakterystycznego? Jakaś niezwykłą nierówność terenu?
- Kilka wodospadów. Dwa przewrócone drzewa.

Ciocco rozejrzała się i opisała sadzawkę i wodospad.

Gaby powiedziała, że przechodziła obok kilku takich miejsc. To mógł być ten sam strumień, nie było jednak sposobu, by to sprawdzić.

- W porządku - powiedziała Ciocco. - Zrobimy tak. Kiedy znajdziesz kamień zwrócony w górę strumienia, zrób na nim znak.

- Ale jak?

- Innym kamieniem. - Wyszukała kamień wielkości pięści i walnęła nim w głaz, na którym siedziała. Udało jej się wydrapać duże „C”. Nie można było wziąć go za znak powstały w sposób naturalny.

- Robię to teraz.

- Rób znaki mniej więcej co sto metrów. Jeżeli jesteśmy nad tą samą rzeką, jedna z nas będzie szła po śladach drugiej i ta z przodu będzie mogła poczekać, aż druga ją dogoni.

- To brzmi sensownie. Aha, Rocky, na jak długo wystarczą te baterie?

Ciocco skrzywiła się i potarła czoło.

- Może na miesiąc. To zależy od tego, jak długo byliśmy... no wiesz, jak długo byliśmy w środku. Ja nie mam o tym najmniejszego pojęcia. A ty?

- Nie. Czy masz jakieś włosy?

- Ani jednego. - Potarła ręką głowę i zauważyła, że nie była w dotyku taka zupełnie gładka. - Ale odrastają.

Cirocco ruszyła w dół strumienia trzymając słuchawkę i mikrofon w pogotowiu, tak by w każdej chwili mogły się porozumieć.

- Kiedy pomyślę o jedzeniu, jestem okrutnie głodna - powiedziała Gaby. - A właśnie teraz o tym myślę. Czy widziałaś może te małe krzaczki jagód?

Cirocco rozejrzała się, ale nie zauważyła niczego takiego.

- Jagody są żółte i mniej więcej wielkości czubka kciuka. Mam jedną w ręku. Jest miękka i półprzezroczysta.

- Chcesz ją zjeść?

Chwila ciszy.

- Właśnie miałam zamiar cię spytać.

- Prędzej czy później będziemy musiały czegoś spróbować. Może jedna nie zabije cię od razu?

- Najwyżej mnie zemdli - zaśmiała się Gaby. - Ta pękła mi pod zębem. W środku jest gęsta galaretka, przypominająca miód o miętowym smaku. Rozpływa się w ustach... już jej nie ma. Skórka nie jest taka słodka, ale i tak ją zjem. To może być jedyna jako tako pożywna część tego owocu.

Oby tak było - pomyślała Girocco. Nie było żadnego powodu, żeby akurat one mogły wyżywić się czymkolwiek, co tu rośnie. Było jej bardzo przyjemnie, że Gaby tak dokładnie opisała swoje wrażenia przy jedzeniu jagody, ale wiedziała dobrze, po co to robiła.

Zespoły saperskie stosowały tę samą technikę. Jeden pozostawał w bezpiecznej odległości, a drugi opisywał wszystkie czynności przy użyciu radia. Kiedy bomba wybuchła, ten, który przeżył, wiedział już trochę więcej i następnym razem mógł

uchronić się przed wybuchem.

Kiedy uznały, że upłynęło już dostatecznie dużo czasu, a symptomy chorobowe nie występowały, Gaby zabrała się na serio do jedzenia jagód. Po jakimś czasie Cirocco znalazła trochę. Były prawie tak samo smaczne jak tamten pierwszy łyk wody.

- Gaby, prawie padam z nóg. Zastanawiam się, jak długo już nie śpimy?

W słuchawce zapadła dłuższa cisza, więc wywołała tamtą jeszcze raz.

- Tak? O, cześć. Jak się tu dostałam? - Sądząc z głosu, była lekko pijana.

Cirocco zmarszczyła się.

- Co to znaczy tu? Gaby, co się dzieje?

- Usiadłam na chwilę, żeby dać ulgę nogom. Musiałam zasnąć.

- Postaraj się obudzić na tyle, żebyś mogła znaleźć przynajmniej odpowiednie miejsce do tego. - Cirocco sama już się za tym rozglądała. To rzeczywiście mógł być problem. Nic nie wyglądało odpowiednio, a wiedziała, że najgorszy z możliwych pomysłów, to położyć się samemu w obcym kraju. Gorsze od tego było jedynie samotne czuwanie.

Podeszła do pobliskich drzew i pomyślała z rozmarzeniem, jak miękka jest trawa, po której stąpała gołymi stopami. O tyle lepsza niż kamienie. Jak przyjemnie byłoby usiąść na chwilkę.

Obudziła się na trawie, usiadła szybko i rozejrzała się dookoła. Nie dostrzegła żadnego ruchu.

W odległości metra wokół miejsca, w którym spała, trawa zbrązowiała i wyschła niczym siano.

Wstała i spojrzała na wielki kamień. Podeszła do niego od dołu, kiedy szukała miejsca na drzemkę. Teraz obejrzała go z drugiej strony i zauważyła wielką literę „G”.

Rozdział 5

Gaby upierała się, żeby wracać. Cirocco nie oponowała, pomysł wydał się jej rozsądny, chociaż sama nigdy by się nie zdobyła na jego zgłoszenie.

Ruszyła w dół strumienia, mijając gęsto rozmieszczone znaki Gaby. W jednym miejscu musiała zejść z piaszczystego brzegu i wejść trochę wyżej na trawę, by ominąć wielki stos otoczków. Kiedy doszła do trawy, dostrzegła ciąg owalnych, brązowych plam przypominających odciski stóp. Uklękła i dotknęła ich ostrożnie. Były suche i łamliwe, tak jak trawa, na której spała.

- Znalazłam twój trop - powiedziała do Gaby. - Twoje stopy nie mogły dotykać trawy dłużej niż przez sekundę, a jednak coś, co zawiera twoje ciało, zabiło źdźbła w tych miejscach.

- Zauważyłam to samo, kiedy się obudziłam - odpowiedziała Gaby. - Co o tym myślisz?

- Myślę, że wydzielamy substancję, która dla tej trawy jest trująca. Jeżeli rzeczywiście tak jest, możemy nie pachnieć zbyt apetycznie dla jakichś dużych zwierząt, które mogłyby się nami interesować w sensie kulinarnym.

- To dobra wiadomość.

- Niestety, to może również oznaczać, że nasza budowa biochemiczna znacznie różni się od powszechnej tutaj. Nie rokuje to dobrze perspektywie wyżywienia.

- Tak miło się z tobą rozmawia.

- Czy to ty jesteś tam przede mną?

Cirocco zmrużyła oczy, spoglądając pod bladożółte światło. Rzeka biegła tutaj zupełnie prosto, a na odległym zakręcie widać było niewielką postać.

- Tak, ja, jeżeli to ty tak wymachujesz rakami.

Gaby wydała okrzyk radości, który niemal rozniósł maleńką słuchawkę. W chwilą

później Cirocco znów usłyszała ten dźwięk, tylko znacznie słabszy. Czowała, że uśmiecha się coraz szerzej. Nie chciała biec, wyglądałoby to jak scena z kiepskiego filmu, ale nie mogła się powstrzymać, tak samo jak Gaby, która sadziła w słabym ciężeniu absurdalnie długimi susami.

Zderzyły się tak gwałtownie, że przez chwilę obie nie mogły złapać tchu. Cirocco objęła i podniosła w górę mniejszą od siebie dziewczynę.

- A niech cię, wyglądasz świetnie! - powiedziała Gaby. Drgała jej jedna powieka i szczękały zęby.

- Hej, już dobrze, nie przejmuj się - pocieszała ją Cirocco, poklepując obiema rękami po plecach. Gaby uśmiechała się tak szeroko, że aż przykro było na nią patrzeć.

- Przepraszam, ale myślę, że wpadnę w histerię. Czy to jest śmiech? - Gaby zaśmiała się, ale jej głos był płaski i przykry dla uszu, a w chwilę później przeszedł w gwałtowny szloch. Ścisnęła Cirocco tak mocno, że omal nie połamała jej żeber. Cirocco nie próbowała się opierać: trzymając mocno, opuściła ją na piaszczysty brzeg rzeki, a olbrzymie, wolno toczące się łyzy spadały jej na ramiona.

Cirocco nie była pewna, w którym momencie pocieszające uściski przerodziły się w coś innego. To przyszło stopniowo. Gaby przez dłuższy czas nie reagowała, więc było czymś naturalnym trzymać i głaskać ją, kiedy odzyskiwała spokój. Równie naturalne wydawało się, że Gaby powinna głaskać ją i że splotą się w uścisku. Dopiero wtedy, gdy zorientowała się, że całuje Gaby, a ta oddaje pocałunki, Cirocco pomyślała, że dzieje się coś niezwykłego. Przyszło jej do głowy, że powinna to natychmiast przerwać, ale Wcale nie miała ochoty, ponieważ nie potrafiła już powiedzieć, czy łyzy, których smak czuła w ustach, były jej własne czy Gaby.

A poza tym, w rzeczywistości nie nabrało to w ogóle jednoznacznie erotycznego

charakteru. Gładziły się i całowały w usta, a kiedy przyszedł orgazm, wydawał się niemal bez związku z tym, co działo się przedtem. Przynajmniej tak to sobie tłumaczyła. Kiedy już było po wszystkim, któraś musiała coś powiedzieć i wydawało się, że najlepiej będzie omijać starannie to, co przed chwilą robiły.

- Czy teraz dobrze się czujesz?

Gaby skinęła głową. W jej oczach jeszcze błyszczały łzy, na twarzy jednak gościł teraz uśmiech.

- Aha. Być może jednak nie na długo. Obudziłam się z krzykiem. Naprawdę boję się zasnąć.

- Ja też za tym nie przepadam. Wiesz, myślę, że jesteś najśmieszniejszym stworzeniem, jakie w życiu widziałam.

- To tylko dlatego, że nie masz lusterka.

Gaby przez wiele godzin nie zamykały się usta i była rozczarowana, kiedy Cirocco się od niej uwolniła. Znalazły mniej eksponowane miejsce wśród drzew, a potem usiadły. Cirocco siedziała oparta o pień drzewa, a Gaby leżała z głową na jej piersi.

Gaby opowiadała o swojej wyprawie w dół rzeki, ale nie mogła oprzeć się pragnieniu, by mówić o swoich przeżyciach w brzuchu bestii. Dla Cirocco brzmiało to jak długi sen, który miał niewiele wspólnego z jej własnymi przeżyciami, ale być może było tak na skutek braku odpowiednich słów.

- Ja też, podobnie jak ty, obudziłam się w ciemności - powiedziała Gaby. - Wtedy niczego nie czułam, nie słyszałam i nie widziałam, ale na pewno nie chciałam pozostawać w takim stanie zbyt długo.

- Stale nachodziły mnie wspomnienia przeszłości. Były niezwykle żywe. Mogłam je... czuć.- Ja też - powiedziała Gaby. - U mnie jednak nie była to powtórka. To były same

nowe sprawy.

- Czy przez cały czas miałaś świadomość tego, kim jesteś? U mnie to było najgorsze: przypominać sobie o tym i zaraz zapominać. Już nie wiem, ile razy się to zdarzyło.

- Tak, cały czas wiedziałam, kim jestem. Ta samoświadomość coraz bardziej mnie jednak męczyła, jeżeli wiesz, co mam na myśli. Możliwości były tak bardzo ograniczone.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Gaby wykonała rękami niezdecydowany ruch, jakby próbując zgarnąć coś z powietrza. Zrezygnowała i przekręciła się w ramionach Cirocco, by popatrzeć jej przez dłuższą chwilę w oczy. Potem znów położyła głowę na piersi przyjaciółki. Rocky doznała niepokojącego uczucia, ale ciepło i bliskość ich kontaktu były zbyt przyjemne, by z nich rezygnować. Spojrzała w dół na pozbawioną włosów głowę Gaby i z trudem przemogła się, by jej nie pocałować.

- Byłam tam dwadzieścia albo trzydzieści lat - powiedziała Gaby spokojnie. - Nie próbuj mi mówić, że to niemożliwe. Mam też świadomość, że ten upływ czasu nie dotyczy całego wszechświata. Nie, nie zwariowałam.

- Wcale tego nie powiedziałam. - Cirocco pogłaskała ją po ramieniu, gdy tamta zaczęła dygotać, i drzenie ustało.

- Właściwie, nie powinnam nawet mówić, że nie zwariowałam. Nikt nigdy nie musiał mnie niańczyć, więc nie powinnam była płakać. Przykro mi.

- Co za różnica? - mruknęła Cirocco i rzeczywiście było jej to obojętne. Stwierdziła z zaskoczeniem, jak łatwo szeptać zapewnienia do ucha innej kobiety. - Gaby, nie ma szans, by któraś z nas mogła przejść przez to wszystko bez szwanku. Ja płakałam godzinami. Wymiotowałam. Może się to powtórzyć, więc jeśli nie będę mogła się opanować, chciałabym, żebyś się mną opiekowała.

- Na pewno, nie martw się. - Wydawało się, że trochę się odprężyła.

- Prawdziwy czas nie ma znaczenia - powiedziała Gaby w końcu. - Liczy się czas wewnętrzny. Licząc według niego, byłam tam przez wiele lat. Wzbiłam się do nieba po Przeklętych szklanych schodach i mogę w myślach odtworzyć każdy rok z równą pewnością jak ta, że teraz tu z tobą siedzę. Czuję jeszcze przemykające chmury i słyszę, jak moje stopy skrzypią pocierając o szkło. To było niebo w hollywoodzkim stylu, z czerwonym dywanem zaścielającym ostatnie trzy-cztery kilometry, ze złotymi wrotami przypominającymi drapacze chmur i z ludźmi o skrzydłach aniołów. Rozumiesz, nie wierzyłam i wierzyłam w to zarazem. Wiedziałam, że śnię, wiedziałam, że wszystko jest strasznie głupie, a kiedy w końcu poczułam do tego jakiś dystans, wtedy odeszło.

Ziewnęła i zaśmiała się spokojnie.

- Po co ci to wszystko opowiadam?

- Być może, aby wyrzucić to z siebie. Czy to ci pomaga?

- Trochę.

Przez chwilę nie odzywała się i Cirocco pomyślała, że zasnęła, ale jednak nie.

Wzdrygnęła się i wtuliła mocniej w pierś Cirocco.

- Miałam dość czasu, żeby się sobie dobrze przyjrzeć - powiedziała, niewyraźnie wymawiając słowa. - Niezbyt mi się to podoba. Zaczęłam się zastanawiać, co z sobą zrobiłam. Przedtem nigdy nie przejmowałam się takimi sprawami.

- Co niby było w tobie takiego złego? - spytała Cirocco. - Jakoś zawsze cię lubiłam.

- Naprawdę? Nie bardzo wiem za co. Pewnie, nikomu nie przysparzałam kłopotów, umiałam się o siebie zatroszczyć. Ale poza tym? Co wartościowego było we mnie?

- Byłaś bardzo dobra w swoim fachu. Właściwie, tylko tego od ciebie wymagałam.

Jesteś absolutnie najlepsza, w przeciwnym wypadku nie wybranoby cię do tej misji.

Gaby westchnęła.

- W jakiś sposób już mi to nie imponuje. Chcę powiedzieć, że po to, aby stać się tak dobrą, poświęciłam prawie wszystko, co tworzy istotę ludzką. Jak powiedziałam, rzeczywiście miałam czas, żeby trochę pogrzebać w swojej duszy.

- I co zdecydowałaś?

- Po pierwsze - skończyłam z astronomią.

- Gaby!

- To prawda. A cóż u licha? Nigdy się stąd nie wydostaniemy, nie ma gwiazd, nie ma na co patrzeć. Będę musiała i tak znaleźć dla siebie inne zajęcie. Nie ma pośpiechu.

Miałam dużo, bardzo dużo czasu, żeby podjąć decyzję. Czy wiesz, że na całym świecie nie ma nikogo, kto by mnie kochał? Nie mam nawet jednego przyjaciela.

- Ja jestem twoją przyjaciółką.

- Nie. Nie w ten sposób, o jakim myślę. Ludzie szanowali mnie z racji pracy, mężczyźni pragnęli mojego ciała. Nigdy jednak nie miałam przyjaciół, nawet w dzieciństwie. Nie takich, przed którymi można otworzyć serce.

- To nie takie trudne.

- Mam nadzieję. Mam zamiar stać się zupełnie kimś innym. Chcę ludziom powiedzieć, jaka jestem w rzeczywistości. Po raz pierwszy poznałam siebie naprawdę. Pragnę kochać. Chcę się troszczyć o ludzi. Wygląda na to, że o ciebie. - Uniosła głowę i uśmiechnęła się do Cirocco.

- Co masz na myśli? - spytała Rocky marszcząc nieznacznie brwi.

- To śmieszne uczucie, ale dotarło do mnie zaraz, jak cię ujrzałam. - Znowu oparła głowę. - Myślę, że cię kocham.

Cirocco przez chwilę nie mogła wykrztusić słowa, a potem zmusiła się do śmiechu.

- Hej, kotku, ciągle jeszcze bujasz w hollywoodzkim niebie. Nie istnieje nic takiego jak miłość od pierwszego wejrzenia. Na to trzeba czasu. Gaby?

Kilkakrotnie jeszcze próbowała do niej coś powiedzieć, ale tamta albo spała, albo bardzo dobrze udawała. Oparła ze znużeniem głowę.

- O mój Boże.

Rozdział 6

Rozsądek nakazywał, żeby ustalić dyżury. Cirocco zastanawiała się - gdy już otrząsnęła się z resztek snu - dlaczego tak rzadko udawało jej się zrobić coś mądrego od czasu, kiedy dostała się na Temidę. Będą się musiały przystosować do tej dziwnej bezczasowości. Nie mogą tak chodzić do upadłego.

Gaby spała z kciukiem w ustach. Cirocco próbowała wstać nie budząc jej, okazało się to jednak niemożliwe. Gaby jęknęła i otworzyła oczy.

- Czy jesteś tak samo głodna jak ja? - ziewnęła.

- Trudno powiedzieć.

- Myślisz, że to wpływ tych jagód? Może nie są dobre.

- Nie ma możliwości, żeby ocenić po tak krótkim czasie. Ale spójrz tutaj. To może być nasze śniadanie.

Gaby spojrzała tam, gdzie wskazywała Cirocco. W dole strumienia gasiło pragnienie jakieś zwierzę. Uniosło głowę i popatrzyło na nie z odległości nie większej niż dwadzieścia metrów. Cirocco sprężyła się, gotowa na wszystko. Zwierzę mrugnęło i znowu opuściło głowę.

- Sześcionogi kangur - powiedziała Gaby. - I na dodatek bezuchy.

To był rzetelny opis. Zwierzę pokryte było krótkim futrem. Dwie długie, tylne łapy nie były tak długie jak u kangura. Cztery przednie łapy były krótsze. Futro miało jasny,

żółto-zielony kolor. Zwierzę nie zadało sobie trudu, żeby się schronić.

- Chętnie bym się przyjrzała jego zębom. Mogłybyśmy się czegoś o nim dowiedzieć.

- Najrozsądniej byłoby zwiewać stąd w te pędy - powiedziała Gaby. Westchnęła i rozejrzała się wokół po terenie. Podniosła się, zanim Cirocco zdołała ją zatrzymać, i ruszyła w stronę zwierzaka.

- Gaby, przestań - syknęła Cirocco, próbując nie spłoszyć zwierzęcia. Widziała, że Gaby dzierży w dłoni kamień.

Stwór znowu na nie spojrzał. Jego gęba w innych okolicznościach mogłaby nawet uchodzić za zabawną. Okrągła głowa, pozbawiona widocznych uszu czy nosa - po prostu para wielkich, łagodnych oczu. Sam pysk sprawiał jednak wrażenie, jakby bestia zaciskała w nim basową harmonijkę ustną: był dwukrotnie szerszy niż reszta głowy, co przydawało zwierzakowi głupawego uśmiechu.

Zwierzę podniosło wszystkie cztery przednie łapy i podskoczyło na trzy metry w górę. Gaby podskoczyła w zaskoczeniu niemal równie wysoko, zdążyła jednak wykonać w powietrzu dziki obrót, zanim spadła na tyłek. Cirocco złapała ją, próbując wydrzeć jej kamień.

- Daj spokój, Gaby, aż tak bardzo nie potrzebujemy mięsa.

- Spokojnie - powiedziała Gaby przez zaciśnięte zęby. - Robię to również dla ciebie. -

Wyrwała rękę i ruszyła biegiem naprzód.

Stworzenie wykonało jeszcze dwa susy, każdy liczący osiem-dziewięć metrów. Później stanęło spokojnie, z przednimi łapami dotykającymi ziemi i opuszczoną głową i dalej skubało trawę.

Kiedy Gaby zatrzymała się o dwa metry od niego, znowu spojrzało na nią łagodnie.

Wydawało się, że się nie boi, a kiedy Cirocco poszła śladem Gaby, powróciło znow do

posiłku.

- Czy myślisz, że powinniśmy...

- Ciii... - Gaby wahała się tylko przez chwilę, a później podeszła do zwierzęcia.

Uniosła ramię i rąbnęła mocno kamieniem w jego głowę, natychmiast odskakując.

Bestia wydała dźwięk podobny do kaszlu, zachwiała się i upadła na bok, a potem

wierzgnęła i zamarła w bezruchu.

Przyglądały się przez chwilę, a później Gaby podeszła i trąciła zwierzę piętą.

Ponieważ nic się nie stało, przyklękła obok na jedno kolano. Stwór był nie większy niż

mały jeleń. Cirocco przykucnęła z łokciami wspartymi o kolana, próbując pohamować

uczucie obrzydzenia. Wydawało się, że Gaby brakuje tchu.

- Myślisz, że jest martwy? - spytała.

- Na to wygląda. Przykre, nie sądzisz?

- Dla mnie w porządku.

Gaby przeciągnęła ręką po czole, a potem kilkakrotnie walnęła kamieniem w łeb

zwierzęcia, aż pociekła czerwona krew. Cirocco skrzywiła się. Gaby rzuciła kamień

i wytarła ręce o uda.

- I na tym koniec. Wiesz, gdybyś mogła zebrać trochę tego suchego poszycia, myślę,

że udałoby mi się rozniecić ogień.

- W jaki sposób?

- Mniejsza o to. Po prostu przynieś drewno.

Cirocco nazbierała całe naręczce, zanim przestała się zastanawiać, jak doszło do tego,

że Gaby zaczęła jej wydawać rozkazy.

- No cóż, teoretycznie wszystko się zgadza - powiedziała Gaby ponuro.

Cirocco jeszcze raz szarpnęła włókniste mięso, które mocno przywierało do kości.

Gaby przez całą godzinę pociła się z kawałkiem swojego kombinezonu i kamieniem, próbując skrzesać iskrę, ale nic z tego nie wyszło. Miały całą kupę chrustu, delikatnej substancji podobnej do mchu, a także wióry starannie zestrugane z trzech gałęzi przy pomocy ostrej krawędzi hełmu Cirocco. Miały wszystkie składniki konieczne do rozpalenia ognia - brakowało tylko iskry.

W ciągu tej godziny opinia Cirocco o zabójstwie dokonany przez Gaby diametralnie się zmieniła. Kiedy odarła zwierzę ze skóry, a Gaby zrezygnowała z prób skrzesań ognia, przekonały się, że mogą jeść to mięso na surowo.

- To zwierzę nie miało chyba żadnych wrogów - powiedziała Cirocco z wypchanymi ustami. Mięso było smaczniejsze niż się spodziewała, przydałaby się tylko odrobina soli.

- W każdym razie nie zachowywałoby się tak, gdyby miało - zgodziła się Gaby.

Przykucnęła z drugiej strony martwego ciała, a jej oczy penetrowały teren ponad ramieniem Cirocco, która zresztą robiła to samo.

- To może oznaczać brak drapieżników na tyle dużych, by mogły nas niepokoić.

Obiad trwał bardzo długo, bo niestety musiały mocno napracować się szczękami.

Spędziły ten czas badając ubite zwierzę. Dla niewprawnych oczu Cirocco nie był to stwór godny uwagi. Chciałaby, żeby był tu Calvin i wyprowadził ją z błędu. Mięso, skóra, kości i futro miały zwyczajny kolor i fakturę, nawet zapach był prawidłowy. Były tam jednak również organy, których nie potrafiły rozpoznać.

- Skóra powinna się do czegoś przydać - zauważyła Gaby. - Mogłybyśmy zrobić sobie z niej ubrania.

Cirocco zmarszczyła nos.

- Jeśli chcesz w tym chodzić - proszę bardzo. Na pewno wkrótce zaczniesz śmierdzieć.

Jak na razie, jest dość ciepło, żeby obyć się bez ubrań.

Zostawienie większości pożywienia na pewno nie było dobrym rozwiązaniem, ale nie miały innego wyjścia. Obie zatrzymały po kości udowej, która mogła służyć za oręż, a Cirocco odrąbała wielki kawał mięsa, podczas gdy Gaby wycinała ze skóry paski, by powiązać razem resztki kombinezonu. Zrobiła dla siebie prosty pas i przytroczyła swój dobytek. Następnie podjęły dalszą wędrówkę w dół strumienia.

Widziały jeszcze inne kangurowate stwory, pojedynczo i w stadkach liczących trzy do sześciu sztuk. Były tam również inne, mniejsze zwierzęta, które poruszały się w górę i w dół po pniach drzew w tempie, które prawie uniemożliwiało obserwację, a wreszcie były i takie, które trzymały się brzegu rzeki. Do wszystkich można było bez trudu podejść. Zwierzęta nadrzewne wydawały się nie mieć w ogóle głowy, jeżeli zawierzyć wynikowi obserwacji tak ruchliwych obiektów. Były podobne do niebieskich kulek futra z sześcioma szponiastymi łapami rozmieszczonymi na obrzeżu i poruszały się z równą łatwością w dowolnym kierunku. Gębę miały pod spodem, pośrodku przypominających rozgwiadę kończyn.

Krajobraz zaczynał się zmieniać. Nie tylko dlatego, że pojawiało się coraz więcej zwierzyny, ale również szata roślinna stawała się bardziej zróżnicowana. Z trudem posuwały się w świetle, które zmieniło teraz barwę na bladozieloną, sącząc się poprzez pokrywę lasu. Szły w tempie stu tysięcy kroków na teoretyczną, dwudziestoczwierogodzinną dobę.

Niestety, wkrótce straciły rachubę. Ogromne, proste w rysunku drzewa ustąpiły setce rozmaitych gatunków i tysiącu rodzajów kwitnących krzewów, wijących się pnączy i pasożytniczych porostów. Jediną rzeczą, która nie uległa zmianie, był strumień, a także zauważalna wśród drzew Temidy skłonność do przybierania gigantycznych rozmiarów. Każde z pewnością otrzymałoby stosowną tabliczkę pomnika przyrody

i ściągnęłoby tłumy turystów w Narodowym Parku Sekwoi.

Przestało również być cicho. Pierwszego dnia wędrówki towarzyszyły im jedynie odgłosy własnych kroków i grzechot ocalałych resztek kombinezonów. Teraz w lesie rozbrzmiewał świergot, ujadanie i zawodzenie.

Kiedy zatrzymały się na odpoczynek, mięso smakowało im jak nigdy przedtem.

Ciocco pochłaniała je żarłocznie, siedząc ramię w ramię z Gaby obok sękatego pnia drzewa, który był znacznie cieplejszy niż powinien, o miękkiej korze i korzeniach splecionych w węzły większe niż domy. Górne gałęzie gubiły się w niewiarygodnej płataninie gdzieś wysoko ponad ich głowami.

- Założę się, że w tych drzewach jest więcej życia niż tu na ziemi - zauważyła Ciocco.

- Popatrz tam - powiedziała Gaby. - Wydaje mi się, że te pnącza wyglądają, jakby je ktoś utkał. Widać wodę przeciekającą przez ich spód.

- Musimy o tym pomówić. Co sądzisz o możliwości istnienia tu rozumnych form życia? Jak byśmy je rozpoznały? To jeden z powodów, dla których próbowałam cię powstrzymać przed zabiciem tamtego zwierzaka. Gaby trawiła tę myśl przez chwilę.

- Czy powinnam najpierw próbować do niego przemówić?

- Bardzo się bałam, że odwróci się i odgryzie ci nogi. Ale teraz, kiedy już wiemy, że nie jest agresywne, może rzeczywiście powinnymy to zrobić? Spróbować do któregoś zagadać.

- Jakoś tak głupio, rozumiesz. To coś ma mózg mniejszy niż połowa mózgu krowy.

Mogłaś to dostrzec w jego oczach.

- Prawdopodobnie masz rację.

- Nie, to ty masz rację. To znaczy, chcę powiedzieć, że ja mam rację, ale ty masz słuszność co do tego, że powinnymy być ostrożniejsze. Zupełnie mi się nie podoba myśl

o zjadaniu czegoś, z czym mogłabym i powinnam pomówić. Hej, a cóż to było?

Nie był to hałas, ale nagłe wrażenie, że hałas ustał. Tylko plusk wody i szelest liści w górze zakłócały ciszę. Potem, narastając tak cicho i tak powoli, że słyszały go na kilka minut przedtem, nim mogły go rozpoznać, dobiegł je potężny jęk.

Bóg mógłby jęczeć w ten sposób, gdyby utracił wszystko, co kiedykolwiek umiłował i gdyby miał krtań niczym piszczalka organowa długości tysiąca kilometrów. Jęk narastał w tonacji, która w jakiś sposób podnosiła się, jednocześnie nie odrywając się jednak od najniższych rejestrów słyszalnych dla ludzkiego ucha. Czuly go we wnętrznościach i w gałkach oczu.

Wydawał się wypełniać cały wszechświat, a jednak jeszcze się wzmagał. Dołączył doń dźwięk sekcji smyczkowej: wiolonczeli i elektronicznych kontrabasów. Ponad tą solidną podstawą muzyczną unosiły się syczące ultradźwięki. Cała orkiestra stała się jeszcze głośniejsza wtedy, kiedy zdawało się, że jest to już niemożliwe.

Cirocco myślała, że pęknie jej czaszka. Jak przez mgłę czuła, że Gaby trzyma ją w objęciach. Z opuszczonymi szczękami patrzyły na lecący na nie z potężnego sklepienia deszcz liści. Wirując i zderzając się zaczęły spadać również niewielkie zwierzęta. Ziemia zadrżała i poczęła wzlatywać kawałkami, rozpryskując się w powietrzu. Małe trąby powietrzne niosące masy piachu kręciły się niezdecydowanie. Gaby i Girocco obsypał deszcz różnych szczątków.

Ponad nimi ozwał się łoskot, a wiatr zaczął docierać aż do podszycia lasu. Olbrzymia gałąź runęła w sam środek strumienia. Teraz już cały las kołysał się, trzeszczał i protestował dźwiękami przypominającymi karabinowe wystrzały, jak gwoździe wyrywane z suchego drewna.

Gwałtowne zjawiska osiągnęły najwyższe nasilenie i utrzymywały się na tym

poziomie. Wiatr wiał z prędkością około sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, wyżej musiał być jeszcze silniejszy. Dziewczyny nie wychylały się spod osłony korzeni drzewa, obserwując w niemym podziwieniu furię burzy wokół nich. Ciocco musiała krzyczeć, żeby jej głos mógł się przebić przez basowe zawodzenie.

- Jak myślisz, dlaczego to się stało tak szybko?!

- Nie mam pojęcia! - odkrzyknęła Gaby. - Miejscowe przegrzanie albo oziębienie, gwałtowna zmiana ciśnienia powietrza. Nie wiem jednak, co mogło ją spowodować.

- Myślę, że najgorsze mamy już za sobą. Hej, szczękas zębami.

- Już się nie boję. Strasznie mi zimno.

Ciocco czuła to samo. Temperatura gwałtownie spadała. W ciągu kilku minut powietrze z balsamicznego stało się chłodne, a teraz miały wrażenie, że stają się mroźne. Przy wietrze wiejącym z prędkością sześćdziesięciu kilometrów nie było to wcale zabawne. Objęły się, ale Ciocco czuła, że ciepło gwałtownie ucieka przez nieosłonięte plecy.

- Musimy poszukać jakiegoś schronienia! - krzyknęła.

- Tak, ale gdzie?

Żadna nie chciała opuścić nędznej kryjówki, w której siedziały. Próbowały przysypać się wzajemnie piachem i zeschniętymi liśćmi, ale porywał je wiatr.

Kiedy były już pewne, że zamarzną na śmierć, wiatr gwałtownie ustał. Nie zelżał, ale po prostu ustał w jednej chwili, tak że Ciocco zabołało w uszach. Na chwilę ogłuchła, a potem zmusiła się do ziewnięcia.

- No! Słyszałam o zmianach ciśnienia, ale nie aż takich.

W lesie znowu było cicho. Wtedy Ciocco przekonała się, że kiedy wsłuchiwała się mocno, mogła usłyszeć zamierające ostatnie tchnienie czegoś, co wydawało ten jęczący

dźwięk. Sprawilo to, ze zaczęła dygotać, ale już nie z zimna. Nigdy nie uważała się za kogoś obdarzonego bujną wyobraźnią, ale jęk tak bardzo przypominał ludzki głos, choć w nieporównywalnie większej skali. Sprawiał, że pragnęła położyć się i umrzeć.

- Nie śpij, Rocky. Mamy tu coś jeszcze.

- Co znowu? - Otworzyła oczy i zobaczyła, że z góry leci drobny, biały proszek.

Połyskiwał w bladym świetle.

- Moim zdaniem to śnieg.

Ruszyły tak szybko, jak tylko mogły, by nie pozwolić zdrętwieć nogom, a Cirocco wiedziała, że tylko ciszy w powietrzu zawdzięczały przeżycie. Było zimno, nawet ziemia była teraz zimna. Cirocco czuła się jak pod wpływem narkotyku. To nie mogło się zdarzyć. Była kapitanem statku kosmicznego: jak mogła skończyć tak marnie, przedzierając się na golasa przez zamieć?

Jednak śnieg również okazał się tylko chwilowym problemem. W pewnym momencie brodziły w nim na głębokość kilku centymetrów, ale potem zaczęło go topić podziemne ciepło. Wkrótce ociepliło się także powietrze. Kiedy Poczwały, że niebezpieczeństwo minęło, znalazły odpowiednie miejsce na ciepłej ziemi i zasnęły. Kiedy się ocknęły, kawał mięsa, który ze sobą dźwigały i skórzany pas Gaby nie pachniały już zbyt apetycznie. Wyrzuciły więc to wszystko i umyły się w strumieniu, a potem Gaby zabiła jeszcze jednego zwierzaka tego gatunku, który nazwały śmieszkiem. Poszło równie łatwo jak za pierwszym razem.

Po śniadaniu poczuły się znacznie lepiej. Uzupełniły je odrobiną pospolicie wyglądających owoców, których była tu ogromna obfitość. Cirocco szczególnie zasmakowała w owocu przypominającym kluchowatą gruszkę, o miąższu podobnym do melona. Smakował jak ostry ser cheddar.

Czuła się tak, że mogłaby chyba maszerować cały dzień, ale okazało się, że to niemożliwe. Strumień, który był ich przewodnikiem w całej dotychczasowej wyprawie, zniknął w ogromnym otworze u podstawy wzgórza.

Stały obie przy krawędzi otworu i spoglądały w dół. Słysząc było bulgot jak w otworze spustowym wanny, a co jakiś czas jakby odgłos ssania przerywany głębokim beknieniem. Cirocco cofnęła się, zupełnie jej się to nie podobało.

- Może jestem stuknięta - powiedziała - ale zastanawiam się, czy bestia, która nas zjadła, właśnie tu nie pobiera swojej porcji wody?

- Być może. Nie mam zamiaru nurkować, żeby to sprawdzić. Co teraz zrobimy?

- Też chciałabym wiedzieć.

- Możemy wrócić do miejsca, z którego wyszliśmy i tam poczekać. - Gaby nie była zbyt entuzjastycznie nastawiona do tego pomysłu.

- Cholera by to! Byłam prawie pewna, że jeśli tylko zajdziemy dostatecznie daleko, znajdziemy miejsce, z którego będziemy mogli się rozejrzeć. Czy myślisz, że całe wnętrze Temidy zajmuje jeden wielki las tropikalny?

Gaby wzruszyła ramionami.

- Nie mam wystarczająco dużo informacji.

Cirocco przez dłuższą chwilę przeżuwała tę myśl. Gaby najwidoczniej jej pragnęła zostawić podejmowanie decyzji.

- W porządku. Przede wszystkim wejdziemy na szczyt tego wzgórza i rozejrzemy się tam trochę. Jeżeli nie znajdziemy tam niczego ciekawego, chciałabym spróbować wejść na któreś z tych drzew. Być może uda się nam wspiąć dostatecznie wysoko, żeby coś zobaczyć. Myślisz, że nam się uda?

Gaby uważnie oglądała pień.

- Pewnie, przy tym słabym ciężeniu. Chociaż nie ma pewności, czy będziemy mogli wystawić głowę górą.

- Wiem. Chodźmy na wzgórze.

Teren był bardziej stromy niż ten, który dotąd pokonywały. Były nawet miejsca, gdzie musiały wspinać się na czworakach. Gaby obejmowała wtedy prowadzenie jako mająca większe doświadczenie we wspinaczce. Była zwinna, dużo mniejsza i zręczniejsza niż Cirocco, dlatego też wkrótce tamta odczuła każdy miesiąc różnicy wieku pomiędzy nimi.

- Jasna cholera, popatrz tylko na to!

- Co jest? - Cirocco została kilka metrów z tyłu. Kiedy podnosiła głowę, widziała tylko nogi i pośladki Gaby, pod absolutnie niezwykłym kątem. To takie dziwne, pomyślała, że widziała nago wszystkich męskich członków załogi, ale musiała trafić aż na Temidę, żeby zobaczyć Gaby. Jak dziwnie wyglądała bez włosów.

- Znalazliśmy nasz punkt widokowy - powiedziała Gaby. Odwróciła się i podała rękę Cirocco.

Szczyt wzgórza porośnięty był drzewami, jednak nie tak wysokimi jak te, które pozostawiły za sobą. Chociaż rosły gęsto i pokryte były pnączami, żadne nie przekraczało dziewięciu metrów wysokości.

Cirocco chciała wejść na wzgórze, żeby przekonać się, co jest po jego drugiej stronie.

Teraz wiedziała: wzgórze nie miało drugiej strony.

Gaby stała o kilka metrów od krawędzi urwiska. Z każdym kolejnym krokiem, który stawiała Cirocco, widok zmieniał się, poszerzał, obejmując coraz większy obszar. Kiedy stanęła obok Gaby, nadal nie mogła dostrzec ściany urwiska, mogła sobie jednak wyobrazić jej wysokość. Na pewno całe kilometry. Poczuła, że wywraca jej się żołądek.

Stały w naturalnym oknie, utworzonym przez dwudziestometrową szczyrbę

pomiędzy dwoma najbardziej wysuniętymi drzewami. Przed nimi na przestrzeni dwustu kilometrów rozciągało się tylko powietrze.

Znajdowały się na brzegu obręczy i spoglądały przez całą szerokość Temidy na drugą stronę. Hen, po drugiej stronie z trudem dostrzegły cienki jak włos cień, który mógł być takim samym urwiskiem, jak to, na którym stały. Ponad tą linią widać było zielony ląd, przechodzący w biel, a później w szarość i wreszcie kończący się połyskliwą żółcią, kiedy podnosiły oczy aż do półprzezroczystej powierzchni sklepienia.

Rocky przebiegła wzrokiem w dół krzywizny ku odległemu urwisku. Poniżej rozciągał się intensywnie zielony teren, białe chmury niemal muskały grunt albo unosiły się niewiele wyżej.

Przypominało to widok z górskiego szczytu na Ziemi, ale była jednak pewna różnica.

Teren wydawał się płaski, dopóki nie spojrziała w lewo albo prawo.

Jednak był nachylony. Przełknęła ślinę i wyciągnęła szyję wykręcając ją i próbując znaleźć poziom, żeby zaprzeczyć temu, co widziała: że tam, daleko, teren, wcale się nie podnosząc, był wyższy niż tutaj.

Nabrała pełną pierś powietrza i opadła na kolana. Tak było bezpieczniej. Ciągłe patrzyła w lewo. Daleko przed nią rozciągała się pogrążona w półmroku kraina, nachylona tak, że mogła ją obserwować. Ciemne morze połyskiwało w nocnej poświacie, morze, które w jakiś sposób nie opuszczało swoich brzegów, a jednak nachylało się w jej stronę. Po jego drugiej stronie widać było inny, jaśniejszy obszar, podobny do tego, który rozciągał się przed nią, niknąc w oddali. Dalej widok zasłaniało sklepienie, które zdawało się opadać na spotkanie lądu. Wiedziała, że to złudzenie optyczne: sklepienie powinno być tak samo wysokie w każdym punkcie.

Znajdowały się na krawędzi jednego z obszarów wiecznego dnia. Zamglona granica

pomiędzy dniem i nocą zaczęła spowijać teren po prawej stronie, nie tak ostra i wyraźna jak obszar na planecie widzianej z kosmosu, ale blaknąca poprzez strefę zmierzchu, której szerokość szacowała na jakieś trzydzieści do czterdziestu kilometrów. Poza tą strefą panowała noc, ale nie była smoliście czarna. Migotało tam ogromne morze, dwa razy tak wielkie jak to, które dostrzegła po drugiej stronie, i wyglądające tak, jakby padało nań jasne światło księżyca. Iskrzyło się niczym równina usiana brylantami.

- Czy nie z tego kierunku nadleciał wiatr? - spytała Gaby.

- Tak, o ile nie skręciłyśmy razem z nurtem rzeki.

- Nie sędzę. Wygląda mi to na lód.

Cirocco zgodziła się. Kra pękała w miejscu, gdzie morze zwężało się, tworząc rzekę płynącą na wprost niej i uchodzącą do drugiego morza. Teren był górzysty i pofałdowany niczym tarka. Nie mogła zrozumieć, w jaki sposób rzeka mogła przedrzeć się przez góry, by wpaść do morza po drugiej stronie. Uznała, że musi być nadal pod wpływem złudzenia wywołanego specyficzną perspektywą. Woda nie może płynąć do góry, nawet na Temidzie.

Poza obszarem lodu widać było jeszcze jedną strefę dnia, jaśniejszą i bardziej żółtą niż inne, które mogły stąd dostrzec, i przypominającą wyglądem piasek pustyni. Żeby tam dojść, musiałyby przejść poprzez zamrożone morze!

- Trzy dni i trzy noce - powiedziała Gaby. - To całkiem dobrze pasuje do teorii.

Powiedziałam, że z dowolnego punktu będziemy mogły widzieć prawie połowę wnętrza Temidy. Nie przewidziałam tylko tego.

Cirocco pobiegła wzrokiem tam, gdzie wskazywał palec Gaby i dostrzegła cały szereg czegoś, co przypominało liny, które wyrastały z ziemi i biegły stromo w górę w kierunku sklepienia. Na wprost nich widać było trzy, ustawione dokładnie jedna za

drugą, tak, że najbliższa niemal przesłaniała pozostałe. Cirocco widziała je już przedtem, ale prześliznęła się po nich tylko wzrokiem, bo nie mogła ogarnąć wszystkiego od razu.

Teraz przyjrzała się uważnie, marszcząc brwi. Podobnie jak przygnębiająco wiele rzeczy na Temidzie, również i te liny były ogromne.

Najbliższa z nich dawała dobre wyobrażenie o ramionach pozostałych. Przebiegała w odległości pięćdziesięciu kilometrów, ale i tak Cirocco widziała, że została spleciona z co najmniej stu włókien. Każde takie włókno mogło mieć dwieście - trzysta metrów grubości. Pozostałe szczegóły nikły w tej odległości.

Trzy liny przebiegały pod stromym kątem ponad zamrożonym morzem, wznosząc się na sto pięćdziesiąt albo i więcej kilometrów i łącząc się ze sklepieniem w punkcie, który - jak pamiętała - musiał być jedną ze szprych widzianą od środka. Widać było stożkowatą gardziel, niczym kielich trąbki, która wybrzuszała się, przechodząc w sklepienie i boki obręczy. Po drugiej stronie kielicha, o jakieś pięćset kilometrów od miejsca, w którym stała, mogła domyślić się dalszych lin.

Po lewej stronie widać było więcej kabli, ale te biegły prosto w górę ku łukowemu stropowi, dochodząc doń i niknąc. Poza nimi widać było dalsze, ustawione w rzędach i nachylone w kierunku podstawy szprychy, której nie mogły dostrzec ze swojego punktu obserwacyjnego, bo zawieszona była ponad morzem w górach.

Tam, gdzie kable stykały się z ziemią, przechodziły w wybrzuszenia o rozmiarach pokaźnej góry o szerokiej podstawie.

- Wyglądają podobnie jak liny wiszącego mostu - powiedziała Cirocco.

- Zgoda. Myślę, że to właśnie to. Nie potrzeba wież dla ich podtrzymania. Liny mogą być umocowane w środku. Temida jest po prostu okrągłym wiszącym mostem.

Cirocco podpełzła jeszcze nieco bliżej krawędzi. Wytknęła głowę i spojrzała

w dwukilometrową przepaść.

Urwisko było prawie pionowe na tyle, na ile jest to możliwe w przypadku naturalnej powierzchni. Jedynie przy samym dnie opadało łagodnie, łącząc się z lądem w dole.

- Nie myślisz chyba tam schodzić, prawda? - spytała Gaby.

- Chodziło mi to po głowie, przyznaję, ale oczywiście nie mam na to wielkiej ochoty.

Zresztą, co mogłoby tam w dole być lepszego niż tu na górze? Mamy zupełnie niezły pomysł na przetrwanie tu na górze. - Urwała. Czy to miał być ich jedyny cel?

Gdyby miała szansę, przedłożyłaby przygodę ponad bezpieczeństwo, jeżeli to bezpieczeństwo miało oznaczać zbudowanie szałasów i przejście na dietę składającą się z surowego mięsa i owoców. Zwariowałyby w ciągu miesiąca.

A kraj tam w dole był piękny. Niesamowicie strome góry z połyskującymi, błękitnymi jeziorami, lśniącymi niczym klejnoty. Widziała bujne stepy i gęste lasy, a daleko na wschodzie spokojne, nocne morze. Trudno było orzec, jakie niebezpieczeństwa krył ten ląd, a jednak wzywał ją i pociągał.

- Mogłybyśmy spuścić się po tych pnączach - powiedziała Gaby, sięgając ponad krawędzią i wskazując możliwą drogę zejścia.

Ściana urwiska usiana była roślinami. Dżungla przelewała się przez krawędź niczym zamarznięta kipiela. Potężne drzewa wyrastały z nagiej skalnej ściany, przyczepionej do niej jak małże do morskiego dna. Sama skała była widoczna tylko w niektórych miejscach, ale nawet i tam sprawy nie przedstawiały się najgorzej. Wyglądała na bazalt gęsto naszpikowany wiązkami krystalicznych słupów z szerokimi sześciokątnymi platformami w miejscach, gdzie kolumny się odłamały.

- Da się zrobić - powiedziała w końcu Cirocco. - Ale nie będzie to ani łatwe, ani bezpieczne. Będziemy musiały wymyślić dobry powód, żeby podjąć taką próbę. „Tam,

w dole jest coś więcej niż tylko nieokreślony zew, który czuję teraz w sobie” - pomyślała.

- Do diabła, też nie chcę tutaj tkwić - powiedziała Gaby z uśmiechem.

- A więc kłopot z głowy - odezwał się spokojny głos zza ich pleców.

Cirocco poczuła, jak sztywnieje każdy mięsień jej ciała. Przygryzła wargę, zmuszając się do powolnych ruchów, dopóki nie stanęła w bezpiecznej odległości od krawędzi.

- Tu na górze. Czekałem na was.

Na gałęzi, trzy metry ponad ziemią, majtając gołymi nogami siedział Calvin Greene.

Rozdział 7

Zanim Girocco zdążyła ochłonąć, siedzieli w kręgu, a Całym opowiadał.

- Wyszedłem na powierzchnię niedaleko miejsca, w którym znika rzeka - mówił. -

Siedem dni temu. Usłyszałem was od razu następnego dnia.

- Dlaczego w takim razie się nie odezwałeś? - spytała Girocco.

Calvin pokazał jej szczątki swojego hełmu.

- Brakuje mikrofonu - powiedział, wyciągając urwany koniec przewodu. - Mogłem słuchać, ale nie mogłem nadawać. Czekałem. Odżywiałem się owocami. Po prostu nie stać mnie było na ubicie któregoś z tych zwierzaków. - Rozłożył swoje wielkie ręce i wzruszył bezradnie ramionami.

- Skąd wiedziałeś, że tu właśnie powinieneś czekać? - spytała Gaby.

- Nie wiedziałem na pewno.

- No dobrze - powiedziała Girocco. Klepnęła się dłońmi po udach, a potem roześmiała się. - Dobrze. Popatrzcie tylko. Właśnie wtedy, kiedy na dobrą sprawę straciłyśmy już nadzieję na znalezienie kogokolwiek z naszych, wpadamy na ciebie. To zbyt piękne, żeby było prawdziwe. Prawda, Gaby?

- Co? O tak, to wspaniałe.

- I ja się cieszę, że was widzę, ludzie. Słucham was od pięciu dni. To miło słyszeć znajome głosy.

- Czy rzeczywiście minęło aż pięć dni?

Calvin puknął w urządzenie, które nosił na przegubie. Był to cyfrowy zegarek.

- Nadal pokazuje bardzo dokładny czas - powiedział. - Kiedy wrócimy, muszę napisać list pochwalny do producenta.

- Podziękowałabym wytwórcy paska - powiedziała Gaby. - Twój jest stalowy, a mój był skórzany.

Calvin wzruszył ramionami.

- Pamiętam go. Kosztował więcej, niż dostawałem na miesiąc jako praktykant.

- Ciągle jednak wydaje mi się, że minęło dużo czasu. Spałyśmy zaledwie trzy razy.

- Wiem. Bill i August mają takie same kłopoty z oceną upływu czasu.

Ciocco aż podskoczyła.

- Bill i August żyją?

- Tak, słyszałem, jak rozmawiali. Są tam w dole, na dnie. Mogę ci pokazać to miejsce.

Bill, podobnie jak wy, ma kompletne radio, August ma tylko odbiornik. Bill wybrał kilka charakterystycznych punktów w terenie i zaczął tłumaczyć, jak możemy go odszukać.

Przez dwa dni się nie ruszał, a August znalazła go całkiem szybko. Teraz odzywają się regularnie. August pyta tylko ciągle o April i często płacze.

- Jezu - westchnęła głęboko Ciocco. - Tak myślałam. Masz jakieś pojęcie, gdzie może być April albo Gene?

- Wydawało mi się raz, że słyszę Gene'a. Płakał - powiedziała Gaby.

Ciocco pomyślała chwilę i zmarszczyła brwi.

- Dlaczego Bill nas nie słyszał? Powinien również słuchać radia, prawda?

- Musiał być czymś przesłonięty - powiedział Calvin. - Krawędź urwiska mogła odciąć łączność z wami. Tylko ja słyszałem obie grupy, ale nic nie mogłem poradzić.

- W takim razie powinni nas słyszeć teraz, jeśli...

- Nie podniecaj się. Teraz śpią i cię nie usłyszą. Te słuchawki brzęczą jak komary.

Powinni się obudzić za jakieś pięć-sześć godzin. - Spoglądał to na jedną, to na drugą. -

Wam też przydałoby się trochę snu. Szłyście ponad dwadzieścia pięć godzin.

Tym razem Cirocco uwierzyła mu bez trudu.

Wiedziała, że na nogach trzyma ją tylko napięcie, a powieki same jej opadają. Jednak nie mogła jeszcze się poddać.

- A co z tobą, Calvin? Miałeś jakieś kłopoty?

Uniósł jedną brew.

- Kłopoty?

- Wiesz, o czym mówię.

Wydawało się, że zamyka się w sobie.

- Nigdy o tym nie mówię. Nigdy.

Skłonna była nie naciskać. Wydawał się spokojny, jak gdyby pogodził się z czymś.

Gaby wstała i przeciągnęła się, ziewając potężnie.

- Ja bym się zwinęła - powiedziała. - Gdzie chcesz się wyciągnąć, Rocky?

Calvin podniósł się również.

- Mam miejsce, w które włożyłem trochę pracy - powiedział. - Tu na górze, na tym

drzewie. Możecie użyć go obie, a ja trochę jeszcze zostanę i posłucham, czy nie odezwie się Bill.

Było to uwite z gałązek i pnączy ptasie gniazdo. Calvin wymościł je puszystym

materiałem. Było tam masę miejsca, Gaby jednak wolała położyć się blisko Cirocco, tak

jak to robiły przedtem. Cirocco zastanawiała się, czy nie powinna położyć temu kres, ale zdecydowała w końcu, że jest to bez znaczenia.

- Rocky?

- Co tam?

- Chciałabym, żebyś była z nim ostrożna.

Cirocco ocknęła się z najgłębszego snu.

- Taak? Z Calvinem?

- Coś się z nim stało.

Cirocco spojrzała na Gaby przekrwionymi z niewyspania oczyma.

- Idź spać, Gaby, dobrze? - Klepnęła ją po nodze.

- Lepiej na niego uważać - mruknęła Gaby.

Żeby tylko był jakiś najmniejszy znak oznaczający poranek - pomyślała Cirocco ziewając. W ten sposób wstawanie byłoby o wiele łatwiejsze. Coś w rodzaju piania koguta albo promieni słonecznych padających pod właściwym kątem.

Gaby ciągle spała przy jej boku. Rocky uwolniła się i stanęła na grubej gałęzi drzewa.

Calvina nie było w pobliżu. Śniadanie było w zasięgu ręki: purpurowy owoc wielkości ananasa. Zerwała jeden i zjadła razem ze skórką, a potem zaczęła wspinaczkę.

Było łatwiej, niż mogło się wydawać na pierwszy rzut oka. Wchodziła na górę prawie tak szybko jak po drabinie. Z pewnością trzeba to było przypisać również słabemu ciężeniu, ale drzewo było jakby stworzone dla wspinaczki, lepsze od wszystkiego w tym względzie, z czym spotkała się od czasu, gdy miała osiem lat. Sękata kora dawała zaczepienie tam, gdzie gałęzie były rozmieszczane rzadziej. Zarobiła kilka zadrapań do kolekcji, ale tę cenę gotowa była zapłacić.

Po raz pierwszy od czasu przybycia na Temidę czuła się szczęśliwa. Nie liczyła chwil

spotkania z Gaby i z Calvinem, ponieważ były tak naładowane emocjami, że graniczyły z histerią. Teraz czuła się po prostu dobrze.

- Do diabła, dawno się tak nie czułam - mruknęła do siebie. Nigdy nie była ponurakiem. Było trochę przyjemnych momentów na pokładzie „Ringmastera”, ale niewiele naprawdę zabawnych. Próbując sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz czuła się tak dobrze, stwierdziła, że było to na przyjęciu, na którym dowiedziała się, że po siedmiu latach prób dostała wreszcie dowództwo. Uśmiechnęła się na samo wspomnienie - to było bardzo dobre przyjęcie.

Wkrótce jednak uwolniła się od wszelkich myśli i oddała samej czynności. Czuła każdy mięsień, każdy centymetr skóry. Wspinaczka na golasa po drzewie dawała zadziwiające poczucie swobody. Jej nagość była dotąd przeszkodą i zagrożeniem. Teraz czuła się świetnie. Czuła szorstką powierzchnię drzewa pod palcami i podatną sprężystość gałęzi. Miała ochotę wydać okrzyk niczym Tarzan.

Kiedy doszła do wierzchołka, usłyszała nowy dźwięk. Było to powtarzające się skrzypienie, dochodzące z miejsca, którego nie mogła dostrzec poprzez gęstwą żółtozielonych liści na wprost i kilka metrów poniżej.

Poruszając się ostrożniej, opuściła się na poziomą gałąź i przesunęła bokiem ku otwartej przestrzeni.

Przed nią wznosiła się niebieskoszara ściana. Nie miała pojęcia, co to mogło być.

Skrzypienie rozległo się ponownie, jeszcze głośniejsze i trochę wyżej od niej. Przed nią poruszył się kłęb połamanych gałęzi. Potem, bez ostrzeżenia, pojawiło się oko.

- Rany! - krzyknęła, zanim pomyślała, że może powinna być cicho. Bez namysłu odskoczyła na trzy metry kołysząc się wraz z ruchem drzewa i patrząc jak zaczarowana w potworne oko. Było tak wielkie, że z trudem mogłaby je objąć rozłożonymi

ramionami, połyskujące wilgocią i zadziwiająco ludzkie w wyrazie.

Mrugnęło.

Cienka błona ściągnęła się ze wszystkich stron niczym przesłona w obiektywie, a potem nagle znowu błyskawicznie się otworzyła.

Pobiła wszelkie rekordy schodząc na dół, nie czując podrapanych kolan i wrzeszcząc całą drogę. Gaby już nie spała. W ręku dzierżyła gotową do użycia kość udową.

- Na dół, na dół! - wrzeszczała Cirocco. - Tam na górze coś jest. Mogłoby użyć tego drzewa jako wykałaczki. - Ostatnie osiem metrów przeleciała w powietrzu, upadła na czworaki i ruszyła w dół wzgórza, zderzając się po drodze z Calvinem.

- Nie słyszałeś, jak wołam? Musimy się stąd wynosić. Tam coś jest...

- Wiem, wiem. - Uspokajał ją, rozkładając ręce. - Wiem wszystko, nie ma się czym przejmować. Nie zdążyłem wam opowiedzieć, zanim poszłyście spać.

Cirocco poczuła, że napięcie trochę opada, jednak daleka była od pełnej równowagi.

To było okropne - tyle nerwowej energii i żadnej możliwości wyładowania. Nogi rwały jej się do biegu. Zamiast tego wyładowała się na nim.

- Do jasnej cholery, Calvin! Nie zdążyłeś powiedzieć mi o czym *takim*? Co to jest i co o tym wiesz?

- To nasz sposób na spuszczenie się z urwiska - powiedział. - Nazywa się... - oblizął usta i zagwizdał akord z trzech tonów zakończony świergotem... - ale widzę, że to raczej dziwne używać tego na zmianę z angielskim. Nazywam go Gwizdkiem.

- Nazywasz go Gwizdkiem - powtórzyła tępo Cirocco.

- Tak jest. To jest miękkołot.

- Miękkołot.

Spojrzał na nią dziwnie, a ona zgrzytnęła zębami.

- Wygląda raczej na sterowiec, ale nim nie jest, bo nie ma sztywnego szkieletu.

Zawołałam go i będziesz mogła przekonać się sama. - Włożył dwa palce do ust i wygwizdał przeciągły, skomplikowany dźwięk, podzielony na dziwne muzyczne odcinki.

- Woła go - powiedziała Cirocco.

- Przecież słyszę - powiedziała Gaby. - Dobrze się czujesz?

- Tak. Jednak myślę, że jak odrosną mi włosy, będę siwa.

W odpowiedzi z góry ozwała się seria treli, a potem przez kilka minut nic się nie działo. Czekali.

Gwizdek pojawił się z lewej. Był o trzysta do czterystu metrów od ściany urwiska i poruszał się równoległe do niej - nawet z takiej odległości mogły dostrzec jedynie małą jego część. Wyglądał jak wielka niebieskoszara zasłona rozciągnięta przed ich wzrokiem. Potem Cirocco dostrzegła oko. Calvin zagwizdał ponownie, a oko obracało się bez celu, dopóki wreszcie ich nie odnalazło. Calvin spojrzał przez ramię.

- On za dobrze nie widzi - wyjaśnił.

- Jeżeli tak, to proponuję nie wchodzić mu w drogę - powiedziała Gaby z przerażeniem. - Jego tyłek jest pewnie gdzieś w sąsiednim hrabstwie.

Nos zniknął i Gwizdek zaczął przesuwać się bokiem. Szybował i szybował, wydawało się, że bez końca.

- Dokąd on leci? - spytała Cirocco.

- Zatrzymanie się zajmuje mu trochę czasu - wyjaśnił Calvin. Zaraz ustawi się pod wiatr.

Cirocco i Gaby w końcu dołączyły do Calvina stojącego na skraju urwiska i obserwującego całą operację.

Miękkolot Gwizdek miał od dziobu do rufy dobry kilometr. Gdyby miał jeszcze

wymalowaną na ogonie swastykę, do złudzenia przypominałby nadludzki rozmiarów replikę niemieckiego sterowca „Hindenburg”.

Nie, zdecydowała Ciocco, to niezupełnie tak. Była miłośnikiem statków powietrznych, a kiedyś aktywnie zaangażowała się w projekcie NASA, mającym na celu zbudowanie czegoś prawie tak wielkiego jak Gwizdek. Pracując razem z inżynierami - projektantami, dość dobrze poznała projekt LZ-129.

Kształt był taki sam: wydłużone cygaro, z tępym nosem, zwężające się ku rufie. Pod nim nawet rodzaj gondoli, chociaż znacznie dalej ku tyłowi niż na „Hindenburgu”. Inny był kolor, a także faktura powierzchni. Nie było konstrukcji wzmacniającej. Gwizdek był gładki, jak stare balony Goodyera, a w słońcu błyszczał tęczowo niczym macica perłowa. Podstawowy szaroniebieski kolor był jakby powleczony cienką warstwą oleju.

Poza tym „Hindenburg” nie miał włosów. Gwizdek natomiast - tak: wzdłuż poprzecznych brzusznym pręgi miał gęstniejące i dłuższe pośrodku włosy, które przechodziły w rzadki błękitny puch na końcach. Poniżej centralnego węzła, czy gondoli, czy cokolwiek to w końcu było, zwisał pęk delikatnych wąsów.

Dalej były oczy, a wreszcie płetwy ogonowe. Ciocco widziała jedno oko, patrzące w bok, i pomyślała, że jest ich może więcej. Zamiast czterech powierzchni lotnych na ogonie Gwizdek miał tylko trzy: dwie poziome i jedną sterową. Ciocco widziała, jak się wyginają, kiedy olbrzymie stworzenie próbowało odwrócić się nosem w ich kierunku, jednocześnie skręcając grzbiet w połowie długości. Płetwy były cienkie i przezroczyste, niczym skrzydła lotni i elastyczne jak meduza.

- Ty... no, ty mówisz do tego czegoś? - spytała Calvina.

- Zupełnie nieźle. - Uśmiechał się do sterowca. Ciocco jeszcze nie widziała go tak szczęśliwym.

- Czy łatwo nauczyć się tego języka?

Zmarszczył brwi.

- Nie, tego bym nie powiedział.

- Jak długo tu byłeś? Siedem dni?

- Powiem ci: wiem, jak z tym mówić. Wiem o nim bardzo dużo.

- A więc w jaki sposób się tego nauczyłeś?

Pytanie najwidoczniej było dla niego kłopotliwe.

- Obudziłem się z tym.

- Co proszę?

- Po prostu to wiem. Kiedy tylko go zobaczyłem, wiedziałem o nim wszystko.

Rozumiałem go, gdy mówił. Tak po prostu.

Ciocco była pewna, że nie było to aż tak proste. On jednak najwidoczniej nie życzył sobie, żeby go w tej sprawie indagowano.

Prawie godzinę zajęło Gwizdkowi zajęcie właściwej pozycji, a następnie ostrożne zbliżenie się dziobem do ściany urwiska. W czasie całej operacji Gaby i Ciocco cofnęły się na bezpieczną odległość. Lepiej się czuły, gdy widziały jego gębę z daleka.

Przypominała szeroką na metr szramę, dziwnie drobną jak na stworzenie wielkości Gwizdka, położoną dwadzieścia metrów poniżej przedniego oka. Poniżej gęby znajdował się osobny otwór, zamknięty podwójnym mięśniem - zwieraczem, spełniający rolę gwizdka zaworu regulującego ciśnienie.

Długi, sztywny przedmiot wysunął się z gęby i opuścił do ziemi.

- Chodźcie - powiedział Calvin, kiwając na nie. - Wsiadamy.

Ani Gaby, ani Ciocco nie powstało w głowie, żeby za nim pójść. Po prostu się gapiły.

Przez chwilę wyglądał na poirytowanego, a potem znowu się uśmiechnął.

- Wiem, że trudno w to uwierzyć, ale to prawda. Wiem bardzo dużo o tych stworzeniach. Już tym kiedyś leciałem. On jest absolutnie uległy, zresztą i tak zmierza w tę samą stronę co my. Poza tym jest całkowicie *bezpieczny*. Odżywia się tylko roślinami i to w bardzo niewielkiej ilości. Nie może jeść za dużo, boby opadł na ziemię. - Postawił stopę na długiej kładce i ruszył w stronę wejścia.

- Co to jest, to, na czym stoisz?

- Zdaje się, że można by to nazwać językiem.

Gaby zaczęła się śmiać, ale wyszło jakoś nieszczerze i śmiech przeszedł w kaszel.

- Czy to wszystko nie jest trochę zbyt... Chcę powiedzieć, Jezu, Calvin! Do licha, stoisz sobie na języku tego cholerstwa, namawiając mnie, żebym weszła do jego paszczy.

Przypuszczam, że na końcu... możemy to nazwać gardzielą? Więc na końcu gardzieli jest coś, co może nie jest prawdziwym żołądkiem, ale spełnia przecież tę samą funkcję. Jak zaczną nas zalewać soki żołądkowe, to też będziesz miał pewnie jakieś miłe i elokwentne wytłumaczenie!

- Hej, Gaby, przyrzekam ci, to jest bezpieczne jak...

- Nie, bardzo dziękuję! - wrzasnęła Gaby. - Mogę być najgłupszą córką Mamy

Plauget, ale nikt nigdy nie powie, że nie miałam dość oleju w głowie, żeby trzymać się z daleka od gęby jakiegoś pieprzonego potwora. Boże! *Czy ty w ogóle wiesz, do czego nas namawiasz?* W czasie tej wyprawy raz już byłam zjedzona żywcem. Nie mam zamiaru pozwolić, żeby to się powtórzyło.

Teraz już wrzeszczała, trzęsła się, a twarz nabiegła jej krwią. Cirocco zgadzała się ze wszystkim, co tamta mówiła, w każdym razie na płaszczyźnie emocjonalnej. A jednak stanęła na języku. Był ciepły, ale suchy. Odwróciła się i wyciągnęła rękę.

- Chodź, koleżanko. Wierzę mu.

Gaby przestała się trząść i wyglądała na oszołomioną.

- Nie zostawiłabyś mnie tutaj?

- Oczywiście, że nie. Idziesz z nami. Musimy dostać się na dół, by spotkać Billa i August. No chodź, gdzie twoja odwaga?

- To nieuczciwe - powiedziała płaczliwie Gaby. - Nie jestem tchórzem. Po prostu nie możesz ode mnie wymagać, żebym to zrobiła.

- Ja cię proszę. Jedyne sposob, by pokonać twój strach, polega na stawieniu mu czoła. No dalej, wchodzimy.

Gaby wahała się przez dłuższą chwilę, a później wtuliła głowę w ramiona i ruszyła jak na ścięcie.

- Zrobię to dla ciebie - powiedziała - ponieważ cię kocham. Muszę być z tobą, gdziekolwiek pójdziesz, nawet gdyby to miało znaczyć, że razem umrzemy.

Calvin spojrzał na nią dziwnie, ale nie odezwał się słowem. Weszli do paszczy i znaleźli się w wąskiej, półprzezroczystej rurze o cienkiej podłodze zawieszanej w przestrzeni. To był długi spacer.

Pośrodku był duży worek, który widzieli z zewnątrz. Zrobiony z grubego, przezroczystego materiału miał sto metrów długości i trzydzieści szerokości, a jego dno wypełniał pył drzewny i liście. Były tam również małe zwierzęta: kilka śmieszków, kolekcja przedstawicieli mniejszych gatunków i tysiące maleńkich, gładkoskórych stworzeń, mniejszych od ryjówki. Jak i inne zwierzęta na Temidzie, również i te nie zwracały na nich uwagi.

Mogli rozglądać się na wszystkie strony, więc zaraz stwierdzili, że odbili już na pewną odległość od ściany urwiska.

- Jeżeli to nie jest żołądek Gwizdka, to cóż to jest? - spytała Cirocco.

Calvin wydawał się zaskoczony.

- Nie powiedziałem, że to nie jest żołądek. Stoimy na jego pożywieniu.

Gaby jęknęła i próbowała biec z powrotem do wyjścia. Cirocco chwyciła ją i przytrzymała. Spojrzała na Calvina.

- W porządku - powiedział. - Może trawić tylko z pomocą tych małych zwierząt.

Wchłania ich odchody. Jego soki trawienne nie mogą wam wyrządzić większej krzywdy niż słaba herbata.

- Słyszałaś, Gaby? - wyszeptała jej Cirocco do ucha. - Wszystko będzie dobrze.

Uspokój się, kochanie.

- Sły... słyszę. Nie złość się na mnie. Boję się.

- Wiem. No chodź, wstań i popatrz. Uwolnisz się od tego. - Pomogła jej wstać

i razem podeszły brodząc do przezroczystej ściany żołądka. Miały wrażenie, że spacerują po trampolinie. Gaby przycisnęła do ściany nos i ręce i resztę drogi spędziła chlapiąc i patrząc tępo w przestrzeń. Cirocco zostawiła ją i podeszła do Calvina.

- Musisz być z nią bardziej ostrożny - powiedziała spokojnie. - Pobyt w ciemności oddziaływał na nią silniej niż na nas. - Zmrużyła oczy i przyjrzała mu się uważnie. - Chociaż o tobie właściwie nic nie wiem.

- Czuję się dobrze - powiedział. - Nie chcę jednak mówić o moim życiu przed powtórными narodzinami. To już przeszłość.

- Zabawne. Gaby mówiła podobne rzeczy. Ja nie mogę tak na to patrzeć.

Calvin wzruszył ramionami, najwidoczniej mało go obchodziło, co każda z nich myśli.

- W porządku. Byłabym wdzięczna, gdybyś mi opowiedział wszystko, co wiesz. Nie obchodzi mnie, w jaki sposób się tego dowiedziałeś, jeżeli nie chcesz o tym mówić.

Calvin pomyślał chwilę, a potem kiwnął głową.

- Nie mogę cię tak szybko nauczyć ich języka. Przede wszystkim opiera się on na barwie i długości dźwięku, a zresztą mówię i tak tylko uproszczoną wersją, opartą na dźwiękach słyszalnych. Miękkoloty występują w rozmaitych rozmiarach, od dziesięciometrowych do nieco większych niż ten tutaj. Często podróżują stadami: również i ten ma kilka mniejszych towarzyszy podróży, których nie widziałyście, ponieważ pozostają po jego drugiej stronie. Teraz możesz zobaczyć kilka.

Wskazał za „okno”, gdzie kilka dwudziestometrowych sterowców obijało się o siebie, szukając dogodnej pozycji. Wyglądały jak nieruchawe ryby. Cirocco słyszała wysokie gwizdy.

- Są przyjazne i dość inteligentne. Nie mają tu żadnych naturalnych wrogów.

Wytwarzają wodór z pożywienia i utrzymują go pod niewielkim ciśnieniem. Jako balast zabierają wodę, którą wyrzucają, kiedy chcą obniżyć lot czy wylądować. Ich skóra jest mocna, ale jej uszkodzenie zwykle powoduje śmierć. Mają niewielką zdolność manewrową. Sterowanie nie jest zbyt precyzyjne, a ruszenie z miejsca zabiera im sporo czasu. Czasami są zaskakiwane przez ogień. Jeżeli nie zdołają umknąć, wybuchają niczym bomba.

- A co z tymi wszystkimi stworzeniami? - spytała Cirocco, rozglądając się. - Czy potrzebują wszystkich, by móc strawić pożywienie?

- Nie, tylko tych małych żółtych. Te stworki nie mogą jeść niczego oprócz tego, co ten sterowiec im przygotowuje. Nie znajdziesz ich nigdzie poza żołądkiem miękkolotów. Cała reszta to - podobnie jak my - autostopowicze albo pasażerowie.

- Nie rozumiem. Po co ten skórolot to robi?

- To rodzaj symbiozy, połączony z inteligencją pozwalającą na wolny wybór

i robienie tego, co się chce. Jego rasa żyje w zgodzie z innymi tutejszymi rasami, zwłaszcza z Tytaniami. Świadczy im drobne przysługi, a oni w zamian za to...

- Tytanie?

Uśmiechnął się niepewnie i rozłożył ręce.

- Tym słowem zastępuję gwizdy, których on używa. Mam tylko bardzo niejasne o nich wyobrażenie, ponieważ nie najlepiej rozumiem złożone opisy. Wiem, że mają sześć nóg i wszystkie są rodzaju żeńskiego. Nazywam je Tytaniami, ponieważ tak w greckiej mitologii nazywano tytanów - kobiety. Nazwałem również inne rzeczy.

- Na przykład?

- Regiony, rzeki, łańcuchy górskie. Nazwałem obszary lądów imionami poszczególnych Tytanów.

- Co... ach tak, teraz sobie przypominam. - Calvin w ramach hobby studiował mitologię. - A więc, kim byli Tytani?

- Synami i córkami Urana i Gai. Gaja wynurzyła się z chaosu. Zrodziła Urana i uczyniła równym sobie, a potem spłodzili Tytanów: sześciu mężczyzn i sześć kobiet. Nazwałem noce i dni ich imionami, jako że mamy tu sześć dni i sześć nocy.

- Jeżeli wszystkie noce nazwałeś imionami kobiet, wymyślę dla nich własne nazwy.

Uśmiechnął się.

- Nic z tych rzeczy. Wynikło to raczej z przypadku. Spójrz za siebie, na zamarznięty ocean. Powinien to być Okeanos i tak też go nazwałem. Kraj, nad którym teraz przelatujemy, nazwałem Hyperionem, a tamta noc przed nami, z górami i nieregularnym morzem, nazywa się Rea. Kiedy patrzysz na nią z Hyperiona, północ masz po lewej, a południe po prawej. Potem, idąc po okręgu - większości, rozumiesz, nie widziałem, ale wiem, że tam są - mamy Kriosa, którego możesz teraz dostrzec, potem

wzdłuż łuku Fojbe, Tetyda, Teja, Metis, Dione, Hapetos, Kronos i Mnemozynie. Możesz dostrzec Mnemozynę po drugiej stronie Okeanosa, za nami. Przypomina pustynię.

Cirocco próbowała zebrać je razem w myśli.

- Nigdy tego wszystkiego nie zapamiętam.

- Tak naprawdę liczy się teraz Okeanos, Hyperion i Rea. Właściwie nie wszystkie nazwy biorą się od Tytanów. Jednym z tytanów jest Temida, więc pomyślałem, że może to stworzyć pewne zamieszanie. A więc... no cóż... - Spojrzał w bok z trochę baranim uśmiechem. - Po prostu nie mogłem sobie przypomnieć imion dwóch Tytanów. Użyłem więc Metis - co oznacza mądrość i Dione.

Cirocco naprawdę było wszystko jedno. Nazwy były poręczne i na swój sposób systematyczne.

- Pozwól, że zgadnę chociaż rzeki. Także mitologia?

- Tak. Wybrałem dziewięć największych rzek w Hyperionie, gdzie zresztą jest ich - jak łatwo dostrzec - całe mnóstwo i nazwałem je imionami Muz. Tam na południu mamy Uranię, Kalippe, Terpsychorę i Euterpe. Polihymnia przepływa przez strefę brzasku, wpadając do Rei. Tam na północnym stoku, wypływając na wschodzie, jest Melpomena. Bliżej są Talia i Erato, które wyglądają, jakby tworzyły układ podwójny. Ta, wzdłuż której szłyście, jest dopływem Klio, która jest właśnie teraz mniej więcej prosto pod nami.

Cirocco spojrzała w dół i dostrzegła błękitną wstążkę, wijącą się wśród gęstego, zielonego lasu. Pobieгла spojrzeniem aż do ściany urwiska za nami i zaniemówiła.

- A więc ta rzeka uchodziła tędy! - zawołała.

Woda spadała łukiem ze ściany urwiska, mniej więcej łukiem poniżej miejsca, gdzie przedtem stali i przypominała wygiętą sztabę metalu. Po pięćdziesięciu metrach

strumień rozpylał się gwałtownie, by opaść na ziemię w postaci mgły.

Około tuzina innych wodnych pióropuszy tryskało z urwiska, ale żaden nie był tak blisko, ani nie był tak efektowny jak tamten. Każdemu z nich towarzyszyła tęcza.

Z miejsca, z którego patrzyła Rocky, łuki tęczy układały się jak bramki krykietowe.

Widok zapierał dech, niemal zbyt piękny, żeby mógł być prawdziwy.

- Chciałabym mieć wyłączność na produkcję widokówek z tego miejsca -
powiedziała.

Calvin roześmiał się.

- Ty będziesz sprzedawała filmy do aparatów, a ja bilety na przejazd. Co o tym
sądzisz?

Ciocco popatrzyła na Gaby, która zamarła w bezruchu przy oknie.

- Reakcje wydają się być mieszane. Mnie się podoba. Jak się nazywa ta duża rzeka?

Ta, do której wpadają wszystkie pozostałe?

- Ophion. Wielki wąż północnego wichru. Jeżeli dobrze się przyjrzysz, zauważysz, że
wypływa z niewielkiego jeziora w strefie mroku pomiędzy Mnemozyną i Okeanosem.
To jezioro też musi mieć jakieś źródło zasilające i podejrzewam, że jest nim podziemny
nurt Ophion płynącej pod piaskami pustyni. Nie widać jednak miejsca, w którym znika
pod ziemią. Poza tym płynie bez przerwy, wpada do morza i wypływa z drugiej strony.
Ciocco biegła wzrokiem wzdłuż poskręcane go toru rzeki i przekonała się, że Calvin
ma rację.

- Myślę, że geograf powiedziałby ci, że jeżeli rzeka wpada do morza, a później
wypływa z przeciwnej strony, to nie jest to już ta sama rzeka - powiedziała. - Rozumiem
jednak, że tamte reguły zostały ustalone dla ziemskich rzek. W porządku, nazwijmy ją
zatem rzeką okrężną.

- Tam właśnie są Bill i August - powiedział Calvin, wskazując ręką. - Mniej więcej w połowie biegu Klio, tam gdzie ten trzeci dopływ...

Bill i August. Mieliśmy spróbować się z nimi połączyć.

W całym tym zamieszaniu związanym z podróżą sterowcem...

- Pożyczyłem sobie twoje radio. Są już na nogach i czekają na nas. Możesz ich teraz wywołać, jeśli chcesz.

Cirocco wzięła resztkę hełmu i radio od Gaby.

- Bill, słyszysz mnie? Mówi Girocco.

- Aa... tak, tak! Słyszę cię. Jak ci idzie?

- A czego się można spodziewać, jadę w żołądku miękkołota. A co u ciebie?

Wyszedłeś z tego cały? Żadnych ran?

- Nie, w porządku. Posłuchaj, chciałbym... chcę powiedzieć, jak to dobrze słyszeć twój głos.

Poczuła łzę spływającą po policzku i szybko ją starła.

- Wspaniale jest cię słyszeć, Bill. Kiedy wypadłeś przez to okno... A, cholera tam!

Przecież tego nie możesz pamiętać, prawda?

- Masy rzeczy nie pamiętam - powiedział. - Później musimy to wszystko sobie szczerze wyjaśnić.

- Tak bardzo chciałabym cię zobaczyć. Czy masz jakieś włosy?

- Odrastają mi na całym ciele. Lepiej z tym poczekajmy. Mamy masę do obgadania, ja i ty, i Calvin, i...

- Gaby - podrzuciła szybko po przerwie, która wydawała się bardzo długa.

- Gaby - powiedział bez wielkiego przekonania. - Wiesz, pewne sprawy są dla mnie trochę poplątane. Ale nie powinno być problemu.

- Jesteś pewien, że dobrze się czujesz? - Poczwała nagły chłód, więc szybko zatarła ręce.

- Pewnie. Kiedy się mamy was spodziewać?

Ciocco spytała Calvina, który zagwizdał parę krótkich nut. Odpowiedział im inny dźwięk gdzieś z góry.

- Miękkoloty nie mają zbyt dobrze wykształconego poczucia czasu - powiedział. - Chyba jakieś trzy-cztery godziny.

- Czy można tym pojazdem jakoś sterować?

Rozdział 8

Ciocco usadowiła się z przodu gondoli - nie miało przecież sensu myślenie o tym jako o żołądku - aby być sama. Gaby ciągle tkwiła jak skamieniała w jednym miejscu, a rozmowa z Calvinem przestała być zabawna, kiedy powiedział już wszystko, co wiedział o baloniastym stworze. Nie miał ochoty mówić na tematy, które interesowały Ciocco.

Przydałaby się poręcz. Ściana gondoli aż do samych jej stóp była przezroczysta niczym szkło, podobnie zresztą jak dół, który jednak przesłonięty był teraz dywanem z częściowo strawionych liści i gałązek. Od tego rozległego widoku trochę kręciło jej się w głowie.

Przelatywali nad gęstą dżunglą, bardzo podobną do krajobrazu powyżej urwiska.

W wielu miejscach widać było rozsiane jeziora. Rzeka Klio, szeroka, żółta i wolno tocząca swoje wody wiła się pomiędzy nimi: lina rzucona byle jak na ziemię i skrzycona najzupełniej przypadkowo.

Była zdumiona przejrzystością powietrza. Nad Reą unosiły się chmury, zbijające się w krągłe masy cumulusów zapowiadających burzę na północnym wybrzeżu morza, ale

mogła spoglądać ponad nimi. Sięgała wzrokiem w obu kierunkach tak daleko, jak pozwalała na to krzywizna Temidy.

Gromada dużych miękkołotów unosiła się na różnych wysokościach wokół podtrzymującego kabla najbliższego Gwizdkowi. Nie potrafiła określić, co tam robiły, pomyślała jednak, że mogą się pożywiać. Kabel był na tyle masywny, iż z powodzeniem mogły na nim rosnąć drzewa.

Spoglądając prosto w dół widziała na ziemi olbrzymi cień, który rzucał ich sterowiec.

Im bardziej się obniżali, tym cień stawał się większy. Po czterech godzinach był olbrzymi, a ciągle jeszcze unosili się ponad wierzchołkami drzew. Cirocco zastanawiała się, w jaki sposób Gwizdek ma zamiar wylądować. Nie widać było żadnej nie zarośniętej przestrzeni na tyle dużej, by mogła go pomieścić.

Zaskoczył ją widok dwóch postaci stojących w łuku rzeki, na jej zachodnim brzegu i machających do niej. Pomachała do nich, niepewna, czy ją widzą.

- No więc, jak zejdziemy na ziemię? - spytała Calvina.

Skrzywił się.

- Nie wiedziałem, jak to przyjmiecie, więc w ogóle o tym nie mówiłem. Nie ma sensu, żebyś się martwiła. Zeskoczymy na spadochronach.

Cirocco nie zareagowała, a on - jak się wydawało - odczuł ulgę.

- To murowany sposób, naprawdę. Nie ma się czego bać. Nie może być bezpieczniej.

- Aha, Calvin, przepadam za skokami ze spadochronem. Myślę, że to wiele zabawy.

Chciałabym jednak przejrzeć i zwinąć mój spadochron. Lubię wiedzieć, kto go

wyprodukował i czy to dobry wyrób. - Rozejrzała się. - Popraw mnie, jeśli się mylę, ale nie wydaje mi się, żebyś miał jakiś spadochron na pokładzie.

- Gwizdek je ma - powiedział. - Nigdy nie zawodzi.

Ciocco znówu nic nie powiedziała.

- Ja pójdę pierwszy - powiedział tonem perswazji. - Będiesz mogła się przekonać.

- Hmm, Calvin, czy mam rozumieć, że to jedyny sposób, żeby się dostać na ziemię?

- Można by też polecieć sto kilometrów stąd na wschód, na step. Miękkolot cię tam zawiezie, ale później będziesz musiała wracać przez bagno.

Ciocco spojrzała na ziemię niewidzącymi oczami. - Wzięła wdech, a potem wypuściła powietrze.

- Dobra. Zobaczmy te spadochrony. - Podeszła do Gaby i dotknąwszy jej ramienia, odciągnęła ją delikatnie od bocznej ściany i poprowadziła na tył gondoli bezwolną jak dziecko. Gaby trzymała ramiona sztywno i cała się trzęsła.

- Właściwie to nie mogę ci ich teraz pokazać - powiedział Calvin. - Dopiero wtedy, kiedy skoczę. Wytwarzają się wtedy, kiedy wypadasz. Po prostu tak.

Wyciągnął rękę i zebrał garść wiszących, białych wąsów. Wyprostowały się. Zaczął je rozdzielać, aż uzyskał luźną sieć. Materiał przypominał toffi, ale zachowywał kształt, gdy go nie ciągnięto.

Wcisnął jedną nogę w otwór sieci, a potem drugą. Podciągnął sieć tak, że obejmowała go w biodrach, tworząc ciasny kosz. Wcisnął ręce w inne otwory, tak że jego ciało tkwiło w końcu niczym w kokonie.

- Ty już przedtem skakałaś i wiesz, jak się to robi. Dobrze pływasz?

- Bardzo dobrze, o ile stawką jest moje życie. Gaby? Umiesz pływać?

Ocknęła się po dobrej chwili, a w jej oczach błysnęła iskierka zainteresowania.

- Pływać? Pewnie. Jak ryba.

- W porządku - powiedział Calvin. - Patrz na mnie i rób to co ja. - Zagwizdał,

a przed nim rozchylił się otwór w podłodze. Pomachał im ręką, przestąpił umięśniony

brzeg i spadł jak kamień. Nie było to faktycznie aż tak prędko przy tej sile ciężenia, ale jednak, jak na nie sprawdzony spadochron... - pomyślała Cirocco.

Oslona rozsunęła się za nim niby pajęczna nić. Potem pojawiła się, ciasno związana, bladobłękitna płachta, która rozwinęła się w ciągu sekundy. Spojrzały w dół w samą porę, by zobaczyć jak spadochron otworzył się, i usłyszeć łopot, a potem trzask, gdy nabrał powietrza. Calvin spływał w dół, machając do nich.

Skinęła na Gaby, która założyła uprząż. Tak jej się spieszyło na zewnątrz, że skoczyła, zanim Cirocco zdążyła wszystko sprawdzić.

To już dwoje - pomyślała, wkładając nogę w trzeci komplet linek. Były ciepłe i elastyczne, a jeżeli się je ułożyło we właściwym miejscu - nawet wygodne.

Skok był normalny, o ile cokolwiek na Temidzie mogło być normalne. Spadochron odcinał się błękitną czaszą na tle żółtego nieba. Wydawał się mniejszy niż powinien, ale pewnie taki wystarczał przy słabym ciężeniu i wysokim ciśnieniu. Zagarniając pęk linek, sterowała w kierunku brzegu rzeki.

Wylądowała na stojąco i prędko wyplątała się z uprzęży. Spadochron upadł na mulisty brzeg, niemal przykrywając Gaby. Stała w wodzie po kolana i patrzyła na Billa, który do niej podchodził. Trudno się było nie roześmiać. Wyglądał jak blade, oskubane kurczę z krótką szczeciną porastającą pierś, nogi, ręce, twarz i głowę.

Rocky przeciągnęła dłońmi po swojej pokrytej puchem czaszce, uśmiechając się coraz szerzej w miarę, jak się do niej zbliżał.

- Czy jestem taka, jaką mnie pamiętasz? - spytała.

- Nawet łagodniejsza. - Pluskając na wszystkie strony przebiegł ostatnie kilka

kroków, które ich dzieliły, objął ją i pocałował. Nie płakała i nie czuła potrzeby, by myśleć o tym, że przepełnia ją szczęście.

Bill i August dokonali cudów w ciągu zaledwie sześciu dni, dysponując tylko ostrymi krawędziami zniszczonych hełmów. Zbudowali dwa szałas, a trzeci miał dwie ściany i połowę dachu. Zrobione były z gałęzi powiązanych i zlepionych mułem. Dachy były spadziste i pokryte strzechą.

- Najlepsze, jakie mogliśmy zrobić - powiedział Bill, kiedy już wszystko im pokazał. -

Myślałem o budowli z cegieł, mułu i słomy, ale słońce by ich nie wysuszyło dostatecznie szybko. Chronią przed wiatrem, w znacznej mierze również przed deszczem.

Wnętrza chat miały wymiary dwa metry na dwa, a podłoga pokryta była grubą warstwą suchej słomy. Cirocco nie mogła się w nich wyprostować, ale ani myślała narzekać. Posiadanie osłoniętego kąta do spania to było nie byle co.

- Nie zdążyliśmy wykończyć następnej przed waszym przybyciem - ciągnął. - Ale z pomocą waszej trójki wystarczy jeden dzień. Gaby, ta jest dla ciebie i Calvina. Ja i Cirocco wprowadzimy się do tej, w której mieszkała August. Mówi, że chce tę nową. -

Ani Calvin, ani Gaby nie odezwali się, ale Gaby nie odstępowała Cirocco.

August wyglądała strasznie. Postarzała się o pięć lat od czasu, gdy Cirocco widziała ją ostatni raz. Była chudym upiorem o zapadniętych oczach, z nieustannie trzęsącymi się rękoma. Wyglądała tak, jakby odcięto jej połowę ciała.

- Nie mieliśmy dziś czasu, by coś upolować - powiedział Bill. - Byliśmy zbyt zajęci przy nowym domu. August, czy zostało jeszcze coś od wczoraj?

- Tak sędzę - powiedziała.

- Mogłabyś to przynieść?

Odwróciła się. Bill pochwycił spojrzenie Cirocco, oblizał usta i powoli potrząsnął głową.

- Zupełnie żadnych wieści o April? - powiedział miękko.

- Ani słowa. Tak samo jak o Gene.

- Nie wiem, co z nią będzie.

Po jedzeniu Bill zagonił ich do pracy przy trzeciej chałupie. We troje pracowali bardzo sprawnie. Była to nudna robota, ale przynajmniej niezbyt męcząca fizycznie. Mogli bez trudu przenosić nawet duże kłody, jednak przecięcie nawet najmniejszej przysparzało nie lada kłopotów. W rezultacie owoc ich pracy nie mógł być przedmiotem szczególnego podziwu.

Kiedy się z tym uporali, Calvin wszedł do chaty, którą mu przydzielono, a August przeniosła się do nowej. Gaby wydawała się trochę zagubiona, w końcu jednak zdołała wyjąkać, że idzie rozejrzeć się po okolicy i nie będzie jej przez kilka godzin.

Powędrowała, sprawiając wrażenie opuszczonej.

Bill i Cirocco spojrzeli po sobie. Bill wzruszył ramionami i machnął ręką w stronę ostatniej chaty.

Cirocco siadła niezgrabnie. O tak wiele spraw chciała go spytać, że nie wiedziała, jak zacząć.

- Jak to przeszedłeś? - spytała wreszcie.

- Jeśli masz na myśli czas, jaki upłynął między zderzeniem i przebudzeniem się tutaj, to muszę cię rozczarować. Nic nie pamiętam.

Wyciągnęła rękę i delikatnie dotknęła jego czoła.

- Żadnych zawrotów, żadnych bólów głowy? Calvin powinien cię obejrzeć.

Zmarszczył brwi.

- Byłem ranny?

- I to dość poważnie. Miałeś zakrwawioną twarz i wypadłeś bez przytomności. Tylko tyle zdołałam dostrzec w ciągu tych kilku sekund. Myślałam, że masz pękniętą czaszkę.

Dotknął swojego czoła i przebiegł palcami na boki, w kierunku skroni i potylicy.

- Nie wyczuwam żadnego wrażliwego miejsca. Nie ma też żadnych blizn. Cirocco, ja...

Położyła mu rękę na kolanie.

- Mów do mnie Rocky, Bill. Wiesz, że jesteś jedynym, od którego to z chęcią przyjmuję.

Nadał się i spojrzał bokiem.

- W porządku, Rocky. Właśnie o tym chciałem pomówić. To nie jest tylko ten... ciemny okres, jak go nazywa August. Nie chodzi tylko o to, że niczego nie pamiętam.

Wiele różnych spraw wydaje mi się dość niejasnych.

- O jakich sprawach mówisz?

- Na przykład o tym, gdzie się urodziłem, ile mam lat, czy gdzie się wychowałem i chodziłem do szkoły. Przypominam sobie twarz mojej matki, ale nie pamiętam jej imienia, ani tego, czy żyje, czy umarła. - Potarł ręką czoło.

- Żyje i ma się bardzo dobrze w Denver, gdzie dorastałeś. - powiedziała Cirocco spokojnie. - W każdym razie tak było wtedy, gdy do nas zadzwoniła na twoje czterdzieste urodziny. Ma na imię Betty. Wszyscy ją lubiliśmy.

Wydawało się, że poczuł ulgę, ale potem znowu stał się jakiś przygnębiony.

- Myślę, że to coś znaczy - powiedział. - Pamiętałem ją, ponieważ jest dla mnie kimś ważnym. Również i ciebie pamiętałem.

Cirocco popatrzyła mu uważnie w oczy.

- Ale nie pamiętałeś mojego imienia. Czy właśnie to z takim trudem chciałeś mi powiedzieć?

- Tak. - Wyglądał żałośnie. - Czy to nie okropne? August powiedziała mi twoje imię, ale nie powiedziała mi, że nazywałem cię Rocky. Nawiasem mówiąc, to zdrobnienie

o wiele bardziej mi się podoba.

Cirocco roześmiała się.

- Próbowałam pozbyć się tego imienia przez większą część mojego dorosłego życia, ale zawsze się poddaję, gdy ktoś mi je szepcze do ucha. - Wzięła go za rękę. - Co jeszcze o mnie pamiętasz? Przypominasz sobie, że byłam kapitanem statku?

- O, na pewno. Pamiętam, że byłaś pierwszym kapitanem - kobietą, pod którą służyłem.

- Bill, w stanie nieważkości nie ma znaczenia, kto jest na górze, a kto na dole.

- Nie to chcę... - Uśmiechnął się, kiedy zrozumiał, że Cirocco żartuje. - Co do tego też nie jestem pewien. Czy my... to znaczy, czy my razem...?

- Czy się pieprzyliśmy? - Zdziwiona potrząsnęła głową. - Przy każdej okazji, kiedy tylko przestałam napastować Gene'a i Calvina i rozumiałam, że najbardziej męskim mężczyzną na statku jest mój główny inżynier. Bill, mam nadzieję, że nie ranie twoich uczuć, ale w jakiś sposób lubię cię takim, jakim jesteś.

- A jaki jestem?

- Nie potrafiłbyś się zmusić, żeby spytać, czy byliśmy sobie... bliscy. - Przydała przerwie możliwie dramatyczny wydźwięk, spuszczaając nieśmiało oczy, a on się roześmiał. - Taki byłeś, zanim się poznaliśmy. Nieśmiały. Myślę, że to zawsze będzie jak za pierwszym razem, a pierwszy raz zawsze jest szczególny, zgodzisz się ze mną? -

Mrugnęła do niego i wyczekała stosowną chwilę, ale on się nie poruszył, więc podeszła do niego i mocno się przytuliła. Wcale jej to nie zaskoczyło: ona też chciała okazać swoje uczucia, jak za pierwszym razem.

Kiedy przerwali pocałunek, spojrział na nią z uśmiechem.

- Chciałem ci powiedzieć, że cię kocham. Nie dałaś mi okazji.

- Nigdy przedtem tego nie mówiłeś. Być może nie powinieneś się deklarować, póki nie odzyskasz pamięci.

- Myślę, że mogłem wtedy nie wiedzieć, że cię kocham. Więc... wszystko, co mi zostało, to twoją twarz i uczucie. Temu zawierzę. Naprawdę tak myślę.

- Hmm. Miły jesteś. Czy pamiętasz, co z tym robić?

- Jestem pewien, że przypomnę sobie w praktyce.

- A więc myślę, że najwyższy już czas, żebyś zaczął znowu pode mną służyć.

Dało im to tyle samo radości, co za pierwszym razem, ale bez zakłopotania, które temu wówczas towarzyszyło. Cirocco zapomniała o wszystkim innym. Było wystarczająco dużo światła, by mogła widzieć jego twarz i dokładnie tyle siły ciężenia, by uczynić snop słomy delikatniejszym niż najszlachetniejszy jedwab.

Bezczasowa jakość tego długiego popołudnia miała niewiele wspólnego z niezmiennym światłem Temidy. Cirocco nie chciała być nigdzie indziej, nie chciała dokądkolwiek iść, nigdy.

- A teraz czas na papierosa - powiedział. - Jak by to było dobrze...

- Strzepywać na mnie popiół - docięła mu. - Wstrętny zwyczaj. Ja chciałabym mieć odrobinę kokainy. Wszystko przepadło razem ze statkiem.

- Możesz się bez niej obejść.

Nie odsunął się od niej. Pamiętała, jak bardzo lubiła na „Ringmasterze” chwile, kiedy czekała, aż będzie można znowu wrócić do dzieła. Z Billem przeważnie nie musiała długo czekać.

Teraz było trochę inaczej.

- Bill, obawiam się, że w tej pozycji trochę mnie drażnisz.

Uniósł się na rękach, zmniejszając ciężar, który ją przygniatał.

- Słoma drapie cię w plecy? Teraz ja mogę być na dole, jeśli chcesz.

- To nie słoma, kotku, i nie chodzi o plecy. To jest coś trochę bardziej osobistego.

Obawiam się, że drapiesz jak papier ścierny.

- Ty zresztą też, ale byłem zbyt grzeczny, żeby to powiedzieć. - Sturlał się z niej

i podłożył ramię pod jej plecy. - Śmieszne, że kilka minut wcześniej jakoś tego nie zauważyłem.

Roześmiała się.

- Gdyby ci kilka minut temu wyrosły kolce, też bym nic nie zauważyła. Ale

chciałabym jednak, żeby nam znowu wyrosły włosy. Tak jak teraz czuję się dość głupio, poza tym jest to diabelnie niewygodne.

- Myślisz, że tobie jest źle? Mnie odrastają wszędzie. Czuję, jakby na całej skórze

tańczyły mi muchy. Przepraszam, ale muszę się podrapać. - Uczynił to z lubością,

a Cirocco pomogła mu w miejscach na plecach, do których nie mógł dosięgnąć. - Taak...

Czy już ci mówiłem, że cię kocham? Byłem szalony, nie wiedziałem, co to miłość. Dopiero teraz wiem.

Akurat w tym momencie w drzwiach pojawiła się Gaby.

- Przepraszam, Rocky, ale zastanawiałam się, czy nie powinniśmy czegoś zrobić ze spadochronami. Jeden z nich już porwała rzeka.

Cirocco usiadła szybko.

- Co niby mamy z nimi zrobić?

- Zachować je. Mogą się przydać.

- Ty... w porządku, Gaby. Może masz rację.

- Po prostu pomyślałam, że może to dobry pomysł. - Spojrzała na podłogę i zaszurała stopą, dostrzegając wreszcie Billa.

- No... dobrze. Pomyślałam, że może... mogłabym coś dla ciebie zrobić. - Wybiegła z chałupy.

Bill usiadł i oparł łokcie na kolanach.

- Czy doszukuję się w tym czegoś więcej, niż powinienem?

Ciocco westchnęła.

- Obawiam się, że nie. Gaby będzie dla nas nie lada problemem. Ona też myśli, że jest we mnie zakochana.

Rozdział 9

- Co masz na myśli mówiąc: do widzenia? Dokąd się wybierasz?

- Przemyslałem to wszystko - powiedział spokojnie Calvin. Zdjął swój zegarek i podał Ciocco. - Wam bardziej się przyda niż mnie.

Ciocco była bliska wybuchu.

- I to ma nam służyć za całe wytłumaczenie: „Przemyslałem to sobie”?! Calvin, musimy się trzymać razem. Ciągle jeszcze jesteśmy wyprawą badawczą, a ja nadal jestem twoim kapitanem. Powinniśmy razem pracować nad tym, żeby się stąd jak najszybciej wydostać.

Uśmiechnął się blado.

- A dokładnie jak mamy to zrobić?

Wolałaby, żeby nie zadawał tego pytania.

- Nie miałam czasu, żeby opracować odpowiedni plan - powiedziała mętnie. - Musi przecież być coś, co możemy zrobić.

- To daj mi znać, kiedy coś wymyślisz.

- Rozkazuję ci pozostać z nami.

- A niby jak masz zamiar mnie powstrzymać od odejścia, jeśli tego zechcę? Rąbniesz

mnie i zwiążesz? Ile energii będziesz potrzebowała, żeby mnie pilnować przez cały czas?

Trzymając mnie tutaj będziesz miała tylko kłopot. Jeżeli pójdę, możesz mieć z tego pożytek.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Po prostu. Miękkoloty mogą się porozumiewać na całym obwodzie Temidy. Są pełne nowin, wszyscy tutaj ich słuchają. Jeżeli kiedykolwiek będę do czegoś potrzebny, wrócę. Wszystko, co muszę zrobić, to nauczyć was prostych sygnałów. Umiesz gwizdać?

- Mniejsza o to - powiedziała Cirocco, z irytacją machając ręką. Potarła czoło

i rozluźniła się. Jeżeli miała go zatrzymać, to musiała go przekonać, a nie zmusić.

- Nadal nie rozumiem, dlaczego chcesz odejść. Nie podoba ci się tu z nami?

- Ja... nie, nie bardzo. Byłem szczęśliwy, kiedy byłem sam. Między wami jest zbyt wiele napięcia. Zbyt wiele złości.

- Wszyscy wiele przeżyliśmy. Powinno nam pójść lepiej, kiedy wyjaśnimy sobie szczerze niektóre sprawy.

Wzruszył ramionami.

- Wtedy możesz mnie zawołać, i wtedy znowu spróbuję. Nie interesuje mnie już jednak towarzystwo mojego własnego gatunku. Miękkoloty są wolne i mądrzejsze. Nigdy nie byłem tak szczęśliwy, jak podczas tego lotu.

Wykazywał większy entuzjazm niż kiedykolwiek od momentu spotkania na szczycie urwiska.

- Miękkoloty są stare, kapitanie. Zarówno jako jednostki, jak i jako rasa. Gwizdek ma może trzy tysiące lat.

- Skąd wiesz? Skąd on to wie?

- Są okresy ochłodzenia i pory cieplejsze. Myślę, że spowodowane są tym, że Temida

cały czas zwrócona jest w jednym kierunku. Teraz oś wycelowana jest dokładnie w stronę słońca, ale co piętnaście lat obręcz zasłania światło słoneczne tak długo, aż Saturn przesunie się i odwróci drugi biegun w stronę słońca. Są tu więc lata, ale każdy rok trwa piętnaście lat ziemskich. Gwizdek widział już dwieście takich przemian.

- W porządku, w porządku - powiedziała Cirocco. - Dlatego właśnie cię potrzebujemy, Calvin. W jakiś sposób możesz rozmawiać z tymi stworzeniami. Dużo się od nich nauczyłeś. Niektóre z tych rzeczy mogą być dla nas ważne. Tak jak te sześcionogi, które nazwałeś...?

- Tytanie. Tylko tyle o nich wiem.

- No cóż, mógłbyś się dowiedzieć czegoś więcej.

- Kapitanie, tu jest zbyt wiele rzeczy do poznania. Jednak wy musicie poruszać się tylko po najbezpieczniejszej części Temidy. Zostańcie tu, a wszystko będzie w porządku. Nie idźcie do Oceanusa, ani nawet do Rei. Te miejsca są zbyt niebezpieczne.

- Widzisz? Skąd mielibyśmy to wiedzieć? Potrzebujemy cię.

- Nie rozumiesz. Nie mogę dobrze poznać tego miejsca, nie zobaczywszy go. Język Gwizdka dociera do mnie jedynie wrywkowo.

Cirocco poczuła, jak wzbiera w niej gorycz porażki. Do cholery, John Wayne przeciągnąłby sukinsyna pod kilem. Charles Laughton zakułby go w kajdany.

Wiedziała, że poczułaby się znacznie lepiej, gdyby po prostu strzeliła w głowę tego upartego sukinsyna, ale to pomogłoby jej tylko na chwilę. Nigdy nie dowodziła w ten sposób. Pozyskała i utrzymała szacunek załogi, wykazując odpowiedzialność i wykorzystując całą mądrość, jaką mogła z siebie wykrzesać w każdej sytuacji. Musiała stawić czoła faktom i wiedziała, że Calvin ich opuści, a jednak nie czuła się z tym dobrze.

Ale dlaczego? - pomyślała. - Ponieważ osłabiałoby to jej autorytet?

Na pewno trochę i dlatego, a trochę również i dlatego, że czuła się odpowiedzialna za jego los. Sprowadzało się to jednak z powrotem do problemu, z którym borykała się od momentu objęcia dowództwa: braku dostatecznych wzorców dowódcy-kobiety.

Zbadała wszystkie przesłanki i tylko ta wydała jej się poprawna. To, co się sprawdzało w przypadku admirała Nelsona w British Navy, mogło się nie sprawdzać w odniesieniu do niej.

Na pewno powinna być dyscyplina i powinna być władza. Kapitanowie marynarki byli wymagający, stawiali na swoim przez tysiące lat, a ona nie miała zamiaru lekkomyślnie rozstawać się z nagromadzonym przez stulecia doświadczeniem. Tam, gdzie kwestionowano autorytet kapitana, zwykle zdarzało się nieszczęście.

Ale kosmos to jednak nie to samo, wbrew temu, co wypisywały całe pokolenia autorów science fiction. Ludzie badający przestrzeń kosmiczną byli niezwykle inteligentni, właściwie byli genialnymi indywidualistami, najlepszymi jakich mogła dać Ziemia. Musiała być jakaś elastyczność i kodeks prawny NASA regulujący stosunki w czasie podróży kosmicznych dalekiego zasięgu uwzględniał to.

Nie mogła również zapomnieć o jeszcze jednym czynniku: Nie miała już przecież statku. Przytrafiła jej się najgorsza rzecz, jaka może się przydarzyć kapitanowi. Utraciła dowództwo. Będzie o tym myślała z goryczą przez resztę życia.

- W porządku - powiedziała spokojnie. - Masz rację. Oszczędzę sobie czasu i energii na pilnowanie cię, nie mam też zamiaru cię zabijać, chyba tylko w przenośni. - Zmusiła się, żeby przestać, kiedy zdała sobie sprawę, że zgrzyta zębami i z rozmysłem rozluźnia szczękę. - Musisz jednak wiedzieć, że kiedy wrócimy, oskarżę cię o niesubordynację.

Jeśli odejdziesz, będzie to wbrew mojej woli i wbrew interesom naszej misji.

- Zgoda - powiedział beznamiętnie. - Przekonasz się, że to ostatnie nie jest prawdą.

Będę bardziej użyteczny, kiedy odejdę, niż gdybym tu został. Ale my i tak nie wrócimy na Ziemię.

- Zobaczymy. A teraz, może byś nauczył kogoś, jak porozumiewać się z miękkołotami? Myślę, że wołałabym cię już więcej nie oglądać.

Ostatecznie jednak to Cirocco musiała się nauczyć gwizdanych sygnałów, ponieważ miała najlepszy słuch. Jej wycucie wysokości tonu było niemal doskonałe, a to okazało się najważniejsze dla opanowania mowy sterowców.

Wystarczyło opanować tylko trzy frazy, przy czym najdłuższa z nich składała się z siedmiu tonów zakończonych trelem. Pierwsza oznaczała „dobry start” i była uprzejmym pozdrowieniem. Druga „Chcę Calvina”, a trzecia „pomocy!”

- Pamiętaj, nigdy nie wzywaj miękkołota, jeżeli masz rozpalony ogień.

- Ale z ciebie optymista.

- Wkrótce uda się wam go rozpalić. Ach, zastanawiałem się... Czy chcesz, żebym uwolnił cię od August? Może czułaby się lepiej, gdyby była ze mną? Możemy przemierzać większe odległości w poszukiwaniu April.

- Sami zajmiemy się swoimi rannymi - powiedziała zimno Cirocco.

- Jeżeli uważasz, że tak będzie lepiej...

- Ona prawie nie zdaje sobie sprawy z tego, że nas opuszczasz. Zejdź mi po prostu z oczu, dobrze?

Okazało się, że August wcale nie jest tak odrętwiała jak myślała Cirocco. Kiedy usłyszała, że Calvin odchodzi, uparła się, że z nim pójdzie. Po krótkiej sprzeczce Cirocco zrezygnowała, choć z jeszcze większymi wątpliwościami niż w pierwszym przypadku.

Miękkolot obniżył się i zaczął prząść linę. Widzieli, jak drżała i skręcała się

w powietrzu.

- Dlaczego on chce to robić? - spytał Bill. - Co z tego ma?

- Lubi mnie - powiedział Calvin zwyczajnie. - Prócz tego nawykł do przenoszenia pasażerów. Istoty czujące odwdzięczają się mu, przenosząc pożywienie z pierwszego żołądka do drugiego. On nie ma mięśni, którymi mógłby to sam załatwić. Musi oszczędzać na wadze.

- Czy wszystko tu jest tak przyjazne? - spytała Gaby. - Jak na razie nie widzieliśmy żadnych mięsożernych zwierząt.

- Są, ale niewiele. Podstawową regułą życia tutaj jest symbioza. A także - uwielbienie. Gwizdek mówi, że wszystkie wyższe formy życia są winne posłuszeństwo bóstwu, a boskość ulokowana jest w piąście Temidy. Myślałem o bogini, która rządzi całą tą ziemią dookoła. Nazywam ją Gają, z greckiego: matka.

Wbrew sobie Cirocco zainteresowała się tą opowieścią.

- Kim jest ta Gaja, Calvin? Czymś w rodzaju prymitywnej legendy, czy też sterownią tego całego urządzenia?

- Nie wiem. Temida jest znacznie starsza niż Gwizdek i znaczna jej część jest mu ciągle nie znana.

- Ale kto tym kieruje? Powiedziałaś, że mieszkają tu różne rasy. Jakie? Czy z sobą współpracują?

- Tego też nie wiem. Czytałaś historie o wielopokoleniowych statkach, na których coś się popsuło i cała załoga cofnęła się do etapu pierwotnej hordy? Myślę, że coś takiego może mieć miejsce tutaj. Wiem, że coś tutaj nadal działa. Może maszyny, a może rasa, która zamieszkuje piastę. To może być źródłem tego uwielbienia. Tak czy inaczej Gwizdek jest pewien, że ktoś tym wszystkim steruje.

Cirocco skrzywiła się. Jak może mu pozwolić odejść, z tymi wszystkimi informacjami w głowie? Ta wiedza była oczywiście bardzo różnej próby i nie było sposobu, by sprawdzić, co jest prawdą, a co nie, ale tylko to mieli.

Było jednak zbyt późno, żeby się rozmyślić. Trzymał już nogę w strzemieniu na końcu długiej liny. August poszła za nim i miękko wciągnął ich na górę.

- Kapitanie! - krzyknął, nim zniknęli. - Gaby nie powinna nazwać tego miejsca Temidą. Nazwijcie je Gają.

Pogrążona w czarnej rozpaczycy Cirocco rozmyślała o ich odejściu. Siedziała nad brzegiem rzeki i zastanawiała się nad tym, co powinna była zrobić. Żadne, nawet najgorsze przekleństwo nie oddawało dobrze jej nastroju.

- A co z jego przysięgą Hipokratesa? - spytała Billa w pewnej chwili. - Wysłali go w tę podróż tylko po to, by dbał o nasze zdrowie, gdybyśmy tego potrzebowali.

- Wszystkich nas tu odmieniło, Rocky.

Z wyjątkiem mnie - pomyślała, choć nie powiedziała tego głośno. W końcu, o ile mogła ocenić, rzeczywiście nie doznała żadnych trwałych skutków tego doświadczenia.

W jakiś sposób było to jeszcze bardziej tajemnicze niż to, czego doznali inni. Wszyscy powinni byli popaść w schizofrenię katatoniczną. Zamiast tego mieli zanik pamięci, osobowość obsesyjną, kobietę z regresem dojrzewania oraz mężczyznę zakochanego w żywych sterowcach. Tylko Cirocco miała jako tako poukładane w głowie.

- Nie żartuj sobie - mruknęła. - Prawdopodobnie wydajesz im się równie śmieszna jak oni tobie. - Odrzuciła jednak i tą myśl. Zarówno Bill, jak i Gaby i Calvin wiedzieli, że przejścia ich odmieniły, chociaż Gaby nigdy nie przyznałaby się, że jej miłość do Cirocco była efektem ubocznym tych przeżyć. August była tak przybita poniesioną stratą, że w ogóle o niczym nie mogła myśleć.

Znowu pomyślała o April i Gene'em. Czy jeszcze żyli, a jeśli tak, to w jakim stanie?

Czy błąkali się w pojedynkę, czy też udało im się spotkać?

Wprowadzili regularne seanse nasłuchu i nadawania, próbując nawiązać kontakt z zagubioną dwójką, jednak nic z tego nie wyszło. Nikt już nie usłyszał płaczącego mężczyzny, i nikt nie słyszał żadnej wieści od April.

Czas mijał niemal niepostrzeżenie. Cirocco miała teraz zegarek Calvina, który wskazywał im, kiedy mają się kłaść spać, ale i tak trudno się im było przyzwycząić do ciągłego światła. Nigdy nie sądziła, że może z tym mieć kłopoty grupa ludzi, która żyła w sztucznym środowisku „Ringmastera”, gdzie dzień wyznaczał pokładowy komputer, a zmiany mogły być wprowadzane dowolnie.

Życie było tutaj łatwe. Wszystkie owoce, których próbowali, były jadalne, wydawało się również, że zaspokajają ich potrzeby odżywcze. Gdyby brakowało jakichś witamin, z pewnością zaobserwowaliby już pierwsze objawy. Niektóre owoce były słone, a inne miały posmak, który - mieli nadzieję - pochodził od witaminy C. Pełno było zwierzyny, której ubicie nie przedstawiało żadnych trudności.

Wszyscy byli nawykli do życia astronauty, ściśle wyznaczonych terminów, gdzie każde z codziennych zadań wyznaczała kontrola naziemna i gdzie główna rozrywka polegała na narzekaniu, że to niemożliwe i mimo wszystko wykonywaniu tego. Byli przygotowani do walki o przetrwanie we wrogim otoczeniu, ale Hyperion był mniej więcej tak samo wrogi, jak Zoo w San Diego. Oczekiwali Robinsona Crusoe albo przynajmniej Robinsona Szwajcarskiego, ale Hyperion okazał się łatwizną. Nie przyzwyczaili się jeszcze myśleć w kategoriach misji.

W dwa dni po odejściu Calvina i August Gaby podarowała Cirocco ubranie, które zrobiła z podartych spadochronów. Cirocco była głęboko poruszona wyrazem twarzy

Gaby, gdy je przymierzała.

Ubiór składał się z togi i luźnych spodni. Materiał był cienki, ale zadziwiająco mocny. Pocięcie go na odpowiednie kawałki i zszycie igłą odłamaną z kolczastej rośliny kosztowało Gaby wiele ciężkiej pracy.

- Gdybyś zrobiła coś w rodzaju mokasynów - powiedziała Cirocco - po powrocie awansuję cię od razu o trzy stopnie.

- Właśnie nad tym pracuję.

Przez cały następny dzień chodziła rozpromieniona, brykając jak żreback i ocierając się o Cirocco i jej piękną szatę pod najbardziej błahym pretekstem. Tak strasznie chciała jej sprawić przyjemność.

Cirocco siedziała nad brzegiem rzeki, była sama i była z tego zadowolona. Nie w smak jej było stanowić kość niezgody pomiędzy dwojgiem kochanków. Billa zaczęło irytować zachowanie Gaby i poczuł, że musi coś z tym zrobić.

Usiadła wygodnie, z długim wędziskiem w ręku i przypatrywała się spławikowi przyczepionemu do linki. Jej myśli krążyły wokół możliwości wsparcia stąd ewentualnej ekspedycji ratunkowej, gdyby w ogóle jakaś po nich przyleciała. Wiadomość, którą zdołała nadać w czasie katastrofy „Ringmastera” mówiła o wrogim działaniu i mogło to mieć olbrzymie następstwa. Z pewnością załoga mogła być uznana za poległą, ale trudno byłoby zapomnieć o Temidzie - Gai. Wkrótce powinien nadlecieć statek.

- W porządku - powiedziała do siebie. - Gaja powinna mieć gdzieś sprzęt łączności.

Prawdopodobnie znajdował się blisko osi. Nawet gdyby były tam również silniki, centralne położenie wydawało się logiczną lokalizacją centrum sterowniczego. Być może byli tam też ludzie, którzy tym kierują, ale równie dobrze mogło ich nie być. Z pewnością podróż nie wydawała się łatwa, ani kierunek bezpieczny. Być może to miejsce było

starannie strzeżone przed penetracją i sabotażem.

Jeżeli jednak jest tam gdzieś radio, powinna zrobić wszystko, żeby do niego dotrzeć.

Ziewnęła, podrapała się po żebrach i leniwie pomachała nogą. Spławik podskakiwał na wodzie. Czas zdawał się idealny na drzemkę.

Nagle spławik zatańczył na wodzie i zniknął pod powierzchnią. Cirocco popatrzyła na niego przez chwilę, zanim wreszcie z lekkim zaskoczeniem zrozumiała, że coś chwytła przynętę. Wstała i zaczęła ciągnąć.

Ryba nie miała oczu, łusek ani płetw. Rocky trzymała ją w ręku i oglądała z ciekawością. To była pierwsza złowiona tu ryba.

- Co ja do cholery robię? - zapytała głośno. Wyrzuciła rybę z powrotem do wody, zwinęła wędkę i ruszyła wzdłuż rzeki do obozu.

W połowie drogi puściła się pędem.

- Przykro mi, Bill, wiem, że włożyłeś masę roboty w urządzenie tego miejsca, ale kiedy przyjadą po nas, zastaną mnie przy ciężkiej pracy na rzecz wydostania się stąd - powiedziała Cirocco.

- W zasadzie się z tobą zgadzam. Masz jakiś pomysł?

Wyjaśniła swoje domysły dotyczące piasty Temidy, przypuszczenie, że gdyby ta olbrzymia konstrukcja miała jednak jakiś centralny punkt sterowniczy, to musiałby się on znajdować właśnie tam.

- Nie wiem, co tam znajdziemy. Być może same zakurzone pajęczyny i okaże się, że wszystko tu na dole kręci się po prostu siłą inercji. Albo może kapitan i załoga tylko czekają, żeby nas rozwalić na strzępy za najazd na ich statek. Ale musimy się przekonać.

- Jak mamy się tam dostać? Co proponujesz?

- Nie mam jeszcze pewności. Zakładam, że miękkołoty nie mogą nas tam przenieść,

bo gdyby mogły, na pewno mogłyby coś więcej powiedzieć o bogini, o której opowiadają. Być może nawet w szprychach nie ma już powietrza.

- To może trochę skomplikować sprawę - powiedziała Gaby.

- Nie dowiemy się tego, dopóki nie sprawdzimy. W górę szprych można się posuwać wzdłuż podtrzymujących kabli. Powinny iść aż do środka, aż na sam szczyt.

- Mój Boże - mruknęła Gaby. - Nawet te ukośne mają ze sto kilometrów długości.

A to tylko wyprowadzi nas na dach. Stamtąd jeszcze dalszych pięćset kilometrów do piasty.

- Moje plecy - jęknął Bill.

- Co z tobą? - spytała Cirocco. - Nie powiedziałam wcale, że będziemy się na kable wspinać. Zdecydujemy, kiedy dobrze się im przyjrzymy. Próbuję wam tylko powiedzieć, że zupełnie nie znamy tego miejsca. Z tego, co wiem, w samym środku tego bagna tkwi ekspresowa winda, która przeniesie nas na sam szczyt. Albo mały człowieczek, sprzedający bilety na helikopter, albo latające dywany. Nigdy niczego się nie dowiemy, jeżeli nie zaczniemy się rozglądać.

- Nie podniecaj się - powiedział Bill. - Jestem z tobą.

- A ty, Gaby?

- Pójdę tam, gdzie i ty - powiedziała rzeczowo. - Wiesz o tym.

- W porządku. Powiem wam, co myślę. Na zachodzie, w stronę Okeanosa biegnie nachylony kabel. Jednak rzeka płynie w drugą stronę, więc powinniśmy ją wykorzystać jako drogę transportu. Może nawet zdołamy w ten sposób dostać się do następnego rzędu kabli szybciej niż przedzierając się przez dżunglę. Myślę, że powinniśmy kierować się na wschód, w stronę Rei.

- Calvin powiedział, że powinniśmy się od niej trzymać z daleka - przypomniał Bill.

- Nie powiedziałam, że będziemy się tam zapuszczać. Jeżeli jest coś trudniejszego do zniesienia niż to wieczne popołudnie, to tylko wieczna noc i wcale się nie palę, żeby tam iść. Ale po drodze jest szmat kraju. Możemy go sobie obejrzyć.

- Przyznaj się, Rocky. Jesteś urodzoną turystką.

Musiała się uśmiechnąć.

- To raczej poczucie winy. Przed chwilą sobie pomyślałam: oto jesteśmy w tym niewiarygodnym miejscu. Wiemy, że jest tu tuzin inteligentnych ras. I cóż robimy? Siedzimy sobie i łowimy ryby. No cóż, to nie dla mnie. Chciałabym trochę powęszyc. Za to nam przecież płacą i - do licha - właśnie to lubię. Może szukam przygód.

- Mój Boże - powiedziała Gaby z nikiącym uśmiechem. - Czego ci jeszcze trzeba?

Mało miałaś przygód?

- Przygody mają to do siebie, że czasami źle się kończą - powiedział Bill.

- Myślisz, że nie wiem? Ale i tak posuwaliśmy się w dół tej rzeki. Chciałabym ruszyć po najbliższej drzemce. Czuję się, jakbym była naćpana.

Bill rozważał to przez chwilę.

- Myślisz, że to możliwe? Coś w którymś z tych owoców?

- Co? Naczytałeś się science fiction, Bill?

- Posłuchaj, nie czepiam się twoich starych, czarno-białych filmów, a ty nie czepiaj się moich czytelniczych gurtów.

- Ale tamto to prawdziwa sztuka. Mniejsza z tym. Przypuszczam, że mogliśmy zjeść coś, co uspokaja, choć bardziej odpowiada mi myśl, że jest to po prostu staromodne lenistwo.

Bill ciągle stał. Sięgnął po swoją nie istniejącą fajkę zirytowany tym, że ciągle zapomina, że jej nie ma, otrzepał nerwowo rękę.

- Zbicie jakiejś tratwy zabierze nam trochę czasu -powiedział.

- Dlaczego tratwy? A co myślicie o którymś z tych wielkich strąków nasiennych, które spływają rzeką? Są dostatecznie duże, by nas utrzymać.

Bill zmarszczył brwi.

- Tak, myślę, że masz rację, ale czy sądzisz, że będzie nimi można sterować w burzliwej wodzie? Chciałbym najpierw rzucić okiem na dno...

- Sterować? Myślisz, że tratwa byłaby lepsza?

Wyglądał na zaskoczony, a potem nagle się zasmucił.

- Wiesz, może rzeczywiście zaczynam tracić tempo. Prowadź, dowódco.

Rozdział 10

Strąki rosły na najwyższych drzewach w całym lesie. Każde drzewo wytwarzało tylko jeden strąk, który - kiedy nasiona dojrzały - pękał z hukiem armatniego wystrzału. Od czasu do czasu słyszeli, jak strzelają. Po eksplozji zostawało coś na podobieństwo łupiny orzecha, podzielonej równo i dokładnie.

Kiedy zobaczyli jedną taką dużą łupinę płynącą rzeką, złapali ją i wyciągnęli na brzeg. Zanurzenie pustej łupiny było niewielkie. Jednak nawet po załadowaniu jej „burty” nadal sterczały wysoko ponad powierzchnię.

Dwa dni zajęło im wyposażenie łupiny i próby zamocowania steru. Udało się również zrobić długi drąg z szeroką płetwą na końcu i mieli nadzieję, że to wystarczy. Prócz tego mieli na wszelki wypadek prymitywne wiosło, gdyby trafili na burzliwe wody.

Gaby rzuciła linę. Cirocco zepchnęła ich na środek rzeki i zajęła miejsce na rufie, lekko dzierząc w ręce rumpel. Zerwała się bryza i Cirocco jeszcze raz pomyślała, jakby to było dobrze mieć znowu włosy. Jakie to wspaniałe - rozpuścić włosy na wiatr. Brakuje nam właśnie takich prostych rzeczy - pomyślała.

Gaby i Bill byli podnieceni, zapomnieli chwilowo o wzajemnej wrogości, siedzieli po przeciwnych stronach łodzi i obserwowali rzekę przed sobą, ostrzegając Cirocco przed niebezpiecznymi miejscami.

- Zaśpiewaj nam jakąś szantę, kapitanie! - wrzasnęła Gaby do tyłu.

- Wszystko ci się pomyliło, głuptasie - roześmiała się Cirocco. - To właśnie wy, nędzne typy na dziobie, pompujecie wodę z zęzy i śpiewacie piosenki. Nigdy nie widziałaś „Wiedźmy morskiej”?

- Chyba nie. Czy to było w superwizji?

- To dwuwymiarowy film ze starym dobrym Johnem Wayne'em. „Wiedźma morska” to był statek.

- Myślałam, że tak nazywał się kapitan. Właśnie wybrałaś sobie ksywę.

- Pilnuj się, bo zobaczę, czy nie da się czasem zmontować dla ciebie deski do szorowania.

- Jak nazwiemy naszą łódź, Rocky? - spytał Bill.

- Hej, powinna mieć jakieś imię, prawda? Tak byłam zajęta szukaniem, gdzie można by tu zwędzić szampana do ceremonii chrztu, że zupełnie o tym zapomniałam.

- Nie mów mi o szampanie - jęknęła Gaby.

- Jakieś sugestie? Masz okazję się wykazać.

- Wiem, jak by ją nazwał Calvin - powiedział nagle Bill.

- Nie mów mi o Calvinie.

- Niemniej przywiązaliśmy się już jakoś do mitologii greckiej. Powinna nosić imię „Argo”.

Cirocco miała wątpliwości.

- Czy nie wiązało się to czasem z poszukiwaniem złotego runa? O tak, teraz sobie

przypominam ten film.

- Ale my niczego nie szukamy - zauważyła Gaby. - Wiemy, dokąd zmierzamy.
- A co powiecie na... - urwał i zastanawiał się przez chwilę. - Myślę o Odyseuszu. Czy jego okręt miał jakieś imię?

- Nie wiem. Nasz znawca mitów porzucił nas dla przerośniętej reklamy opon. Jednak nawet gdyby taka nazwa była, nie chciałabym jej użyć. Odyseusz miał same kłopoty.
Bill wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Jesteś przesadna, kapitanie. Nigdy bym w to nie uwierzył.

- Jesteśmy na morzu, chłopcze. Dziwne rzeczy się tu dzieją z człowiekiem.

- Nie częstuj mnie dialogiem z ostatniego seansu filmowego. Głosuję za nadaniem łodzi nazwy „Titanic”. To był statek dla ciebie.

- Zardzewiałe wiadro. Nie kuś losu, przyjacielu.

- Mnie też się podoba „Titanic” - zaśmiała się Gaby. - Kto by uwierzył, na łódce zrobionej z orzeszka?

Cirocco popatrzyła z namysłem.

- Niech wam będzie. Może być „Titanic”. Płyn po morzach i oceanach. Możecie wrzasnąć.,’

Załoga krzyknęła trzykrotnie „hurra”, a Girocco uśmiechnęła się i skłoniła nisko.

- Niech żyje kapitan! - wrzasnęła Gaby.

- Słuchajcie no - powiedziała Girocco. - Czy nie powinniśmy wymalować nazwy na zderzaku czy czymś takim?

- Na czym?! - Gaby spojrzała ze zgrozą.

Cirocco wyszczerzyła zęby.

- Najlepszy moment, żeby wam powiedzieć, że ni cholery nie znam się na statkach.

Ktoś z was kiedyś pływał?

- Ja, trochę - powiedziała Gaby.

- Będziesz więc pilotem statku. Zamień się ze mną na miejsca. - Zwolniła rumpel i przeszła ostrożnie na dziób, położyła się na plecach, wyciągnęła i podłożyła ręce pod głowę. - Będę podejmować tylko ważne decyzje dowodzę - powiedziała, potężnie ziewając. - Nie przeszkadzajcie mi, chyba, że zerwie się huragan. - Zamknęła oczy przy wtórze chóralnego gwizdu.

Klio była długa, kręta i płynęła powoli. Na jej środku czterometrowe drągi nie dotykały dna. Kiedy zanurzali je w wodzie, czuli, jak coś się o nie obija. Nigdy nie dowiedzieli się, co to było. Utrzymywali „Titanica” mniej więcej w równej odległości pomiędzy środkiem nurtu i brzegiem za lewą burtą.

Cirocco planowała nie opuszczać łodzi i schodzić na ląd tylko dla uzupełnienia zapasów żywności, co nie zabierało więcej niż dziesięć minut. Stała wachta nie była jednak dobrym pomysłem. „Titanic” będzie musiał często lądować, co zmuszałoby do budzenia śpiących. Cała trójka musiała spychać łódź na głęboką wodę, kiedy odbijali od mulistego brzegu.

Rychło przekonali się, że „Titanic” był mało zwrotny i trzeba było sporego wysiłku dwojga ludzi z drągami, by odepchnąć łódź od mielizny.

W końcu zdecydowali się rozbijać obóz co 15-20 godzin. Girocco zrobiła harmonogram, który zapewniał, że dwójka zawsze była na nogach w czasie żeglugi, a jedna osoba trzymała wartę, gdy obozowali.

Klio wiała się po prawie płaskim terenie niczym wąż naszprycowany nembutalem. Jeden nocny obóz mógł się więc znaleźć w prostej linii nawet i o pół kilometra od poprzedniego. Straciliby na pewno orientację, gdyby nie podtrzymujący kabel, który

łączył się z ziemią w środku Hyperiona. Cirocco pamiętała z powietrznego rozpoznania, że kabel ten jeszcze długo pozostanie na wschód od nich, nawet gdy wpłyną już na rzekę Ophion.

Kabel był zawsze widoczny, wznosił się niczym jakiś niewiarygodny drapacz chmur.

Wydawał się ku nim nachylony, aż do miejsca, gdzie niknął w sklepieniu i kosmosie.

Powinni przepływać blisko niego w drodze do nachylonych kabli podtrzymujących, które prowadziły do szprychy nad Reą. Cirocco miała nadzieję przyjrzeć mu się wtedy z bliska.

Wkrótce popadli w rutynę i stali się doskonale zgranym zespołem, rozumiejącym się niemal bez słów. Przez większość czasu jedyne ich zajęcie stanowiło ciągłe baczenie na ławice piasku. Gaby i Bill spędzali masę czasu przy naprawianiu odzieży. Oboje nabrali wielkiej wprawy w operowaniu igłami z cierni. Bill nieustannie dłuwał przy sterze i starał się podnieść komfort wnętrza łodzi.

Cirocco większość czasu spędzała śniąc na jawie i obserwując przepływające chmury.

Rozważała możliwe sposoby dotarcia do piasty i próbowała przewidzieć trudności, które mogą się pojawić, ale było to w gruncie rzeczy jałowe zajęcie. Było zbyt wiele rozmaitych możliwości, by można było cokolwiek racjonalnie zaplanować. Wolała już raczej bujać w obłokach.

Wreszcie, ku ich wielkiemu zaskoczeniu, zaczęła śpiewać. Jako dziecko przez

dziewięć lat pobierała lekcje śpiewu i gry na fortepianie, myślała nawet o karierze

śpiewaczki, zanim nie wciągnął jej kosmos. Aż do wyprawy na „Titanicu” nikt o tym nie

wiedział. Sądziła, że zabawianie załogi piosenkami nie pasuje do jej pozycji. Teraz

przestała się tym przejmować, a śpiew jeszcze bardziej ich zbliżył. Miała mocny, czysty

alt, który najlepiej sprawdzał się w starej muzyce ludowej, w balladach oraz

w piosenkach Judy Garland.

Bill zrobił lutnię z łupiny orzecha, linek od spadochronu i skóry śmieszka. Nauczył się na niej grać, a Gaby wtórowała mu na bębenku z łupiny. Cirocco nauczyła ich piosenek i podzieliła na głosy: Gaby miała znośny sopran, a Bill fałszywy tenor. Śpiewali piosenki pijackie z O'Neil One, piosenki z listy przebojów, kreskówek i starych filmów. Jedna, ze względu na sytuację, szybko stała się ich hymnem. Mówiła o żółtej, brukowanej drodze i czarodzieju z Oz. Ryczeli ją każdego ranka, kiedy ruszali w drogę, tym głośniejsze, im głośniejsze wtórowały im wrzaski w lesie.

Upłynęło kilka tygodni, zanim dopłynęli do Ophion. Tylko dwukrotnie coś zakłóciło spokojny rytm codziennych zajęć.

Pierwszy incydent wydarzył się w trzecim dniu podróży, kiedy o niecałe pięć metrów od „Titanica” wynurzyła się z wody gałka oczna na długiej szypułce. Nie ulegało wątpliwości, że było to oko, tym bardziej że widzieli już podobne u miękkołota.

Przypominało kulę o średnicy dwudziestu centymetrów, osadzoną w elastycznym zielonym oczodole, który na pierwszy rzut oka przypominał rękę: palcami oplatającymi od tyłu gałkę oczną. Samo oko było nieco jaśniejsze, z szeroką źrenicą.

Zaczęli odpychać się drągami w kierunku brzegu, gdy tylko je zobaczyli. Oko zwracało się ku nim, nie zdradzając ani zainteresowania, ani emocji. Wydawało się zupełnie nie przejmować tym, że przepływali obok. Obserwowało ich przez dwie czy trzy minuty, a potem zniknęło tak cicho, jak się pojawiło.

Kiedy byli już na brzegu, doszli do zgodnego wniosku, że niewiele mogą w tej sprawie zrobić. Stworzenie nie próbowało zrobić im krzywdy, co wcale jednak nie znaczyło, że w przyszłości zachowa się tak samo. Nie mogli jednak przerwać podróży tylko dlatego, że rzekę zamieszkiwały naprawdę wielkie ryby.

Wkrótce dostrzegli ich więcej i w końcu się przyzwyczaili. Tak bardzo przypominały

peryskopy, że Bill nazwał je *U-bootami*.

Drugi wypadek już raz się zdarzył, więc byli nań w jakiś sposób przygotowani. Był to ów potężny jęczący wiatr, który Calvin nazwał Lamentem Gai.

Mieli dość czasu, zanim zaczęło na dobre wiać, by wyciągnąć „Titanica” na plażę i poszukać schronienia po zawietrznej stronie łodzi. Cirocco nie chciała wchodzić pod drzewa, pamiętając o tym, że poprzednio omal nie została trafiona spadającą gałęzią.

Warunki do obserwacji nie były najlepsze, wiatr bowiem smagał jej twarz, a nad głową przetaczały się chmury, ale zdołała złowić błysk burzy nadchodzącej z nad Oceanusa. Nadeszła z góry. Schodzące z ogromnej szprychy ponad zamarzniętym morzem obłoki kłębiły się niczym lodowate tchnienie Boga. Wiatr runął na taflę lodu, skruszył ją i podzielił się na trąby powietrzne, które z odległości wydawały się małe, ale w rzeczywistości musiały być olbrzymie.

Poprzez chmury, które gwałtownie ruszyły w kierunku Hyperiona Cirocco mogła dostrzec pochyłe kable podtrzymujące, które łączyły ziemię z niebem ponad Okeanosem. Jeżeli nawet poruszały się na wietrze, był to ruch zbyt powolny, by go dostrzec, choć z pewnością musiały się przynajmniej kołysać czy napręzać. Z kabli sypała się drobniutka, szara mgiełka. Cirocco patrzyła, jak opada ona w dół, wewnątrz ostrego kąta, który skośne kable tworzyły z ziemią i musiała sobie przypominać, że drobiny, które widziała z takiej odległości, muszą być wielkości drzew. Później chmury zasłoniły cały widok i zaczął padać śnieg. Wkrótce potem woda w rzece bardzo się wzburzyła i podniosła, prawie dosięgając wyciągniętego na plażę „Titanica”. Cirocco pomyślała, że czuje, jak rusza się ziemia.

Wiedziała, że ma okazję obserwować działanie części systemu obiegu powietrza na Gai i zastanawiała się, w jaki sposób powietrze jest wciągane do szprychy i jaki

mechanizm z powrotem je wydmuchuje. Zastanawiała się również, dlaczego proces ten był aż tak gwałtowny. Obserwacje Calvina mówiły, że upłynęło siedemnaście dni od ostatniego Lamentu. Miała nadzieję, że do następnego upłynie co najmniej tyle samo czasu.

Tak, jak i poprzednio, zimno nie trwało dłużej niż jakieś sześć-siedem godzin, a śnieg długo się nie utrzymał, tym razem znieśli to lepiej, stwierdzając, że ubrania z jedwabiu, wytwarzanego przez miękkołoty, chroniły lepiej, niż o się mogło zrazu wydawać, zwłaszcza przed wiatrem.

Trzydziesty dzień od ich pojawienia się był pamiętny: dwóch powodów: tego, co się wydarzyło i tego, co się nie wydarzyło.

Pierwszym wydarzeniem było dotarcie do zbiegu Klio potężnej rzeki Ophion. Byli wtedy daleko w głębi południowego Hyperionu, mniej więcej w równej odległości pomiędzy centralnym kablem pionowym i kablem południowym, które górowały teraz nad nimi.

Ophion była niebieskozielona, szersza i bystrzejsza niż Qio. Zagarnęła „Titanica” na środek nurtu i po pewnym kresie wzmożonej uwagi i sondowania tyczkami podróżnicy zdecydowali, że najbezpieczniej będzie w nim pozostać. Rozmiarami i prędkością biegu Ophion przypominała Sillowi i Cirocco Mississippi, z tym, że brzegi były bardziej zarośnięte i zalesione. Szeroka i głęboka rzeka Opion przebijała się przez gęstą dżunglę. Cirocco była jednak bardziej zmartwiona tym, co nie zaszło, a na co czekała, licząc dni na zegarku Calvina. Od dwudziestu lat była z tym regularna niczym przyływ i odpływ, więc bardzo ją martwiło, że nie ma okresu.

- Wiedziałaś, że dzisiaj mija trzydzieści dni? - spytała Cirocco Gaby tego wieczora.

- Czyżby? Nie myślałam o tym. - Zmarszczyła brwi.

- Tak. A ja jestem bardzo po czasie. Zawsze dostawałam po dwudziestu dziewięciu dniach, czasem o dzień wcześniej, ale nigdy później.

- Wiesz, mnie też się opóźnia.

- Tak też myślałam.

- Chryste, to zupełnie nie ma sensu.

- Zastanawiałam się, jakie stosowałaś środki, kiedy byliśmy na „Ringmasterze”.

Czyżbyś o nich już wtedy zapomniała?

- Zupełnie nieprawdopodobne. Calvin dawał mi co miesiąc środki.

Ciocco westchnęła.

- Obawiałam się, że może to być coś niezbyt niezawodnego. Ja nie mogę brać pigułek, tyję od nich. Używałam jednej z tych montowanych na stałe wkładek. Miałam ją, kiedy nas wciągnęło. Nie miałam zamiaru jej szukać aż do chwili... no cóż, aż do spotkania z Billem i August, a wtedy mogło być już za późno. - Miała opory, żeby omawiać to z Gaby. Nie było tajemnicą, że spała z Billem, nie było też czasu, ani miejsca, ani odosobnienia na te rzeczy na „Titanicu”, kiedy Gaby stale się kręciła.

- Tak czy siak, wkładka przepadła. Domyślam się, że zjadło ją to samo, co zjadło nasze włosy. Cierpnie mi od tego skóra.

Gaby wzdrygnęła się.

- Myślałam, że to może Bill. Teraz naprawdę nie wiem. - Wstała i podeszła do śpiącego na ziemi Billa. Obudziła go i czekała, aż spojrzy przytomnie.

- Bill, obie jesteśmy w ciąży.

Bill jeszcze się chyba na dobre nie obudził. Zaskoczony zamrugał, a potem zmarszczył brwi.

- No cóż, nie patrz tak na mnie. Nawet ty nie mogłabyś być ze mną. A ostatni raz

z Gaby robiliśmy to wkrótce po starcie z Ziemi. Poza tym, mam zastawkę.

- Nic takiego nie powiedziałam - uspokajała go. Z Gaby, co? - pomyślała. Nie wiedziała o tym, a myślała, że wie o wszystkim, co się dzieje na „Ringmasterze”. - To po prostu jeszcze bardziej mnie upewniło, że dzieje się coś bardzo dziwnego. Ktoś albo coś stroi sobie z nas okrutne żarty, ale mnie nie jest bynajmniej do śmiechu.

Calvin dotrzymał słowa. W dwa dni po tym, jak Cirocco okrzyknęła przelatującego miękkołota, zawisł nad nimi Gwizdek, zrzucając błękitny kwiat z uwieszonym pod nim wędrownym lekarzem. Zaraz potem wylądowała August. Spadli do wody przy samym brzegu.

Cirocco musiała przyznać, że Calvin wyglądał dobrze. Uśmiechał się, a w jego ruchach była jakaś zadzierzystość. Pozdrowił całą trójkę i wcale nie narzekał, że go wezwano. Chciał opowiedzieć o swoich podróżach, ale Cirocco zbyt było pilno usłyszeć, co sądzi o tej nowej sytuacji. Zrobił się bardzo poważny na długo przedtem, zanim skończyły opowiadać.

- Czy miałaś okres od czasu, jak się tu dostaliśmy? - spytał August.

- Nie, nie miałam.

- To już trzydzieści dni - powiedziała Cirocco. - Czy to u ciebie niezwykle? -

Z rozszerzonych oczu August wywnioskowała, że tak jest rzeczywiście. - Kiedy miałaś ostatni raz stosunek z mężczyzną?

- Nigdy nie miałam.

- Obawiałam się, że to właśnie usłyszę.

Calvin przez chwilę milczał, rozważając to, co usłyszał. Później zmarszczka na jego czole pogłębiła się.

- Cóż mogę powiedzieć? Wiecie, jest możliwe, że kobieta nie ma okresu z innych

powodów. Sportsmenki czasami nie mają przez dłuższy czas i nie bardzo wiadomo dlaczego! Może wskutek stresu emocjonalnego lub fizycznego.

Myślę jednak, że są bardzo niewielkie szanse, by przydarzyło się to wam trzem jednocześnie.

- Z tym bym się zgodziła - powiedziała Cirocco.

- Może to być skutek odżywiania się. Nie sposób tego jednak stwierdzić. Mogę wam powiedzieć, że wszystkie trzy - ty, Gaby i... April przeszłyście pewien proces upodobnienia.

- Co to znaczy? - spytała Gaby.

- Czasami przytrafia się to kobietom, które mieszkają razem, na przykład na statku kosmicznym, w ciasnych pomieszczeniach. Jakiś hormonalny sygnał działa na rzecz zsynchronizowania menstruacji. April i August już od dawna miały taki sam rytm, a cykl Cirocco był przesunięty tylko o kilka dni. Dwa wcześniejsze okresy i wyrównało się.

Gaby, ty miałaś kaprysy, jeśli pamiętam.

- Nigdy nie zwracałam na to szczególnej uwagi - powiedziała.

- No cóż, tak było. Ale i tak nie wiem, jaki to ma związek z tym, co się tu teraz dzieje.

Przypomniałem to tylko po to, żeby podkreślić, iż czasem zdarzają się dziwne rzeczy. Jest bardzo możliwe, że po prostu wszystkie trzy przepuściecie jeden okres.

- Jest równie możliwe, że wszystkie trzy zostałyśmy zapłodnione i trzęsę się cała, kiedy pomyślę, kto może być ojcem - powiedziała kwaśno Cirocco.

- Ależ to zupełnie niemożliwe - powiedział Calvin. - Jeżeli chcesz powiedzieć, że to, co nas zjadło, zrobiło wam trzem... nie, tego nie kupię. Nawet na ziemi nie ma zwierzaka, który mógłby zapłodnić człowieka. Powiedz mi, jak ten obcy stwór to zrobił.

- Nie mam zielonego pojęcia - powiedziała Cirocco. - Dlatego właśnie jest obcy. Ale

jestem przekonana, że dostał się do naszego wnętrza i zrobił coś, co mogło mu się wydawać absolutnie rozsądne i naturalne, ale jest przeciwne naszej wiedzy. Nie podoba mi się to i chcę wiedzieć, co możesz zrobić, jeżeli okaże się, że naprawdę jestesmy w ciąży.

Calvin potarł gęsty zarost na podbródku, a potem lekko się uśmiechnął.

- W szkole nie przygotowywali mnie do dzieworództwa.

- Nie mam nastroju do żartów.

- Przepraszam. Zresztą i ty i Gaby nie jesteście dziewicami. - Potrząsnął głową w zadumie.

- Myślałyśmy o czymś szybszym i mniej świętym - powiedziała Gaby. - Nie chcemy tych dzieci, czy cokolwiek to jest.

- Zaraz. Dlaczego nie poczekać jeszcze trzydzieści dni, zanim zaczniecie się denerwować? Jeżeli dalej nie będziecie miały okresu, wtedy mnie wezwiecie.

- Chcemy pozbyć się tego teraz - powiedziała Cirocco.

Calvin po raz pierwszy wyglądał na zmartwionego.

- A ja mówię, że teraz tego nie zrobię. To zbyt ryzykowne. Mógłbym zrobić narzędzia do skrobanki, ale musiałyby być wysterylizowane. Nie mam wziernika, a myśl o tym, jak mógłbym improwizować, żeby wyłyżeczować szyjkę macicy, powinna przyprawić was o koszmary.

- Myśl o tym, co rośnie w moim brzuchu, wystarczająco już jeży mi włos na głowie - powiedziała ponuro Cirocco. - Calvin, ja teraz nie chcę nawet ludzkiego dziecka, a tym bardziej tego, czym *to* może być. Chcę, żebyś zrobił operację.

Gaby i August kiwnęły, że się zgadzają, chociaż Gaby wyglądała, jakby zrobiło jej się niedobrze.

- A ja mówię: poczekajcie jeszcze miesiąc. Nie zrobi to żadnej różnicy. Operacja będzie taka sama, po prostu wyskrobanie wnętrza macicy. Jednak za miesiąc może znajdziecie sposób, żeby rozpaść ogień, przegotować wodę i wysterylizować instrumenty, jeśli w ogóle zdołam jakies zrobić. Czy to nie brzmi sensownie? Zapewniam cię, że mogę wykonać operację przy minimum ryzyka, ale tylko czystymi narzędziami.

- Po prostu chcę mieć to już z głowy – powiedziała Cirocco. - Chcę się tego czegoś pozbyć, wyrzucić to ze środka.

- Kapitanie, spokojnie. Uspokój się i przemyśl to. Jeżeli wda się zakażenie, nic nie będę mógł zrobić. Na wschodzie leży zupełnie inny kraj. Może znajdziecie sposób na rozpalenie ognia. Ja też będę się rozglądał. Byłem nad Mnemozyną, kiedy dostałem wezwanie. Być może jest tam ktoś, kto używa narzędzi i może zrobić przyzwoity wziernik i rozciągacz.

- A więc znowu odchodzisz? - spytała.

- Tak, kiedy was zbadam.

- Proszę cię jeszcze raz, żebyś z nami został.

- Wybacz. Nie mogę.

Słowa Cirocco nie mogły zmienić jego planów i chociaż znowu przez chwilę pomyślała, żeby zatrzymać go siłą, ciągle te same argumenty przemawiały za tym, by tego nie robić.

Pomyślała jeszcze o jednym: nie byłoby zbyt mądre robić krzywdę komuś, kto ma przyjaciela rozmiarów Gwizdka.

Calvin stwierdził, że cała czwórka jest zdrowa i w dobrej formie, mimo braku okresu u kobiet. Posiedział z nimi jeszcze kilka godzin, ale sprawiał wrażenie, że nawet tego czasu mu szkoda. Opowiedział im, co widzieli w czasie swoich podróży.

Okeanos był miejscem strasznym, zamrażającym i odpychającym. Przemierzali go tak szybko, jak to było możliwe. Tam na dole żyła człekokształtna rasa, ale Gwizdek nie chciał się obniżyć, by mogli jej się lepiej przyjrzeć. Miotali kamienie z drewnianych katapult nawet wtedy, gdy miękkołot był kilometr ponad nimi. Według opisu Calvina mieli ludzki wygląd, tylko pokrywały ich długie, białe włosy. Najpierw strzelali, a potem zadawali pytania. Nazwał ich Yeti.

- Mnemozyna jest pustynią - powiedział. - Wygląda dziwnie, ponieważ na skutek małego ciśnienia wydmy są znacznie wyższe niż na Ziemi. Jest tam również jakaś roślinność. Kiedy się obniżyliśmy, widziałem trochę niewielkich zwierząt, a także coś, co wyglądało na zburzone duże miasto i kilka mniejszych miasteczek. Miejsca, które przed tysiącem lat mogły być zamkami zbudowanymi na niedostępnych skalnych iglicach, leżą w gruzach. Zbudowanie ich musiało wymagać tysiąca lat pracy tragarzy albo kilku dobrych helikopterów.

- Myślę, że tu się zdarzyło coś bardzo niedobrego. Wszystko rozpada się w pył. Mnemozyna mogła wyglądać kiedyś jak to miejsce, aż po puste koryto rzeki i kadłuby olbrzymich drzew niszczone przez burze piaskowe. Coś spowodowało zmianę klimatu, albo też wymknęło się budowniczym spod kontroli.

- Prawdopodobnie chodzi o tego robaka, którego widzieliśmy. Gwizdek mówi, że jest tylko jeden. Tylko Mnemozyna może go pomieścić. Gdyby były dwa, już dawno jeden pokonałby drugiego a więc został już tylko jeden niebezpieczny dziadek - robak. Jest wystarczająco wielki, by pożreć miękkołota jak oliwkę.

Zarówno Cirocco, jak i Bill podnieśli głowę na wzmiankę o wielkich robakach.

- Nigdy nie widziałem go w całości, ale nie zdziwiłbym się, gdyby miał dwadzieścia kilometrów długości. Jest to po prostu wielka, długa rura z dziurą na obu końcach tak

wielką jak cały ten cholerny robak. Ciało ma podzielone na segmenty i wygląda na równie twarde, jak skorupa pancernika. Ma paszczę niczym piła tarczowa, z zębami po wewnętrznej i zewnętrznej stronie. W zasadzie żyje w piachu, ale czasami, gdy jest on niedostatecznie głęboki, musi wyjść na powierzchnię. Byliśmy świadkami takiego przedstawienia.

- Czytałem o takich czerwiach w książce - powiedział Bill.

- A ja widziałam na filmie - powiedziała Cirocco - który nazywał się „Diuna”.

Calvin wydawał się zniecierpliwiony, że ktoś mu przerywa i zaczął popatrywać w górę, sprawdzając, czy Gwizdek jest w pobliżu.

- W każdym razie - powiedział - zastanawiałem się, czy to aby właśnie nie ten robak tak wyniszczył okrutnie Mnemozynę. Wyobrażacie sobie, co może zrobić z korzeniami drzew? W ciągu kilku lat może cały ten obszar obrócić w perzynę. Drzewa obumierają, wkrótce gleba zamienia się w jałowy piach i nie może utrzymać wody, a zaraz potem rzeki uciekają pod ziemię. Muszą, a wiecie o tym, że Ophion przepływa przez Mnemozynę. Możecie zobaczyć miejsce, gdzie znika i gdzie znowu wypływa. Bieg rzeki jest nieprzerwany, ale Mnemozyna nie ma z niego żadnego pożytku.

- Pomyślałem sobie więc, że nikt, kto zaplanował to miejsce, nie wprowadziłby doń świadomie takiego robaka. Musi nie lubić ciemności, bo inaczej poszedłby prosto przez Okeanos i zrujnował dokładnie wszystko. Myślę, że tylko szczęśliwym trafem tak się nie stało i jeżeli to tylko szczęście, to dni tego wszystkiego są policzone. Ten czerw musi być jakimś mutantem, a to oznacza, że nie ma tu nikogo, kto miałby wystarczającą moc, żeby go zabić. Obawiam się, że budowniczy albo wymarli, albo cofnęli się do stanu dzikości, tak jak w tych twoich opowieściach, Bill.

- To bardzo możliwe - zgodził się Bill.

Cirocco parsknęła.

- Pewnie, że tak. Być może jednak przypisujecie zbyt wielką wagę temu robalowi.

Równie dobrze tutejsi ludzie mogą lubić robaki i dlatego pozwolili, by ten jeden przeżył.

Potem rozrósł się tak, że potrzebował nowego mieszkania, więc dali mu Mnemozynę. Tak czy siak, nadal uważam, że powinniśmy próbować dostać się do piasty.

- Zróbcie to - zgodził się Calvin. - Ja mam zamiar żeglować wzdłuż obręczy

i zobaczyć, czy na dole pozostał ktoś przy życiu. Budowniczości mogli się cofnąć

w rozwoju, ale być może zachowali chociaż tyle techniki, żeby umieć zbudować radio.

Jeżeli tak, przylecę i opowiem wam, a wtedy będziecie mogli stąd odlecieć.

Będziecie? - powiedziała Cirocco. - Daj spokój, Calvin. Wszyscy jesteśmy w to zamieszani. To, że nie chcesz się trzymać z nami, nie oznacza, że cię tu zostawimy.

Calvin zmarszczył brwi i więcej już się nie odezwał.

Zanim Gwizdek się uniósł, Calvin wyrzucił kilka śmieszków przyczepionych do spadochronów. Użył ich jako obciążenia, by wyciągnąć spadochrony z podajnika, ponieważ niebieskawy jedwab i linki były jak dotąd najbardziej użytecznym artykułem, jaki udało im się znaleźć.

Gaby poskładała je i starannie zwinęła, przysięgając, że ubierze Cirocco jak królową.

Cirocco machnęła na to ręką. Tak mało było trzeba, żeby Gaby była szczęśliwa.

Znowu spuścili „Titanica” na wodę, ale tym razem z nowym poczuciem doniosłości zadania. Musieli nawiązać kontakt z rasą na tyle rozwiniętą, by znała tajniki aseptycznych zabiegów, albo znaleźć sposób na rozpalenie ognia, i to szybko. Ta rzecz w jej brzuchu nie mogła czekać.

Dużo o tym myślała w ciągu kilku następnych dni. Wstręt tkwił w niej niczym

zaciśnięta pięść. W przeważającej mierze brał się z nieznanego charakteru bestii, która

złożyła w niej swoje nasienie.

Jednak zdecydowałyby się na aborcję nawet wtedy, gdyby była pewna, że nosi w sobie ludzki płód. Nie miało to nic wspólnego z samą istotą macierzyństwa: planowała zostać matką, kiedy zwolni się z NASA, co stałoby się prawdopodobnie w wieku czterdziestu - czterdziestu pięciu lat. Miała kilkanaście komórek zamrożonych w O'Neil One, które w każdej chwili mogły być zapłodnione i wszczepione, kiedy tylko poczuje, że jest gotowa do narodzin. To był powszechny środek bezpieczeństwa wśród astronautów, a nawet wśród tych, którzy mieszkali na Księżycu czy koloniach L5 - zabezpieczenie przed wpływem promieniowania na tkanki rozrodcze. Planowała urodzić chłopca i dziewczynkę, kiedy już będzie wystarczająco stara, żeby zostać ich babcią. Ale chciała sama wybrać moment. Bez względu na to, czy ojciec miał być człowiekiem i kochankiem, czy też bezkształtną potwornością gdzieś we wnętrzościach Gai, chciała kontrolować swoje organy rozrodcze. Nie była gotowa, nie będzie gotowa jeszcze przez wiele lat. Niezależnie od wszystkiego Gaja nie była najlepszym miejscem do dźwigania ciężaru macierzyństwa, a poza tym miała jeszcze tak wiele rzeczy do zrobienia. Zadań, przy których dziecko wszędzie byłoby tak samo wielkim problemem jak tutaj. I mocno wierzyła, że uda jej się stąd wydostać i dokonać tych rzeczy.

Rozdział 11

Kable podtrzymujące były ustawione po pięć w rzędach i po piętnaście w grupach, a potrójne kable biegły osobno.

Każdy rejon nocy podczepiony był do piętnastu kabli. Rząd pięciu pionowych kabli biegł prosto w górę do płytkiego stożka w dachu, który jednocześnie był wnętrzem podstawy jednej ze szprych ogromnego koła Gai. Dwa z nich łączyły się z ziemią na wyżynie i były prawie częścią ściany: jeden na północy, a drugi na południu. Jeden

wychodził z punktu w połowie drogi pomiędzy skrajnymi kablami, a pozostałe dwa rozmieszczone były w równych odstępach pomiędzy środkiem i kablami brzegowymi. Poza tymi centralnymi kablami rejony nocy miały dwa dodatkowe rzędy po pięć kabli wybiegających ze szprychy, ale połączonych z obszarami dnia: jeden rząd dwadzieścia stopni na wschód i jeden dwadzieścia stopni na zachód od centralnego rzędu. Na przykład szprycha ponad Oceanosem połączona była kablami z Mnemozyną i Hyperionem. Komplet piętnastu kabli podtrzymywał ziemię zajętą przez obszar równy ponad czterdziestu stopniom obwodu Gai.

Kable, które przechodziły przez strefę zmierzchu do strefy nocy wznosiły się pod ostrym w stosunku do ziemi kątem, który zwiększał się aż do 60 stopni przy połączeniu ze stropem.

Dalej szły rzędy po trzy kable, które połączone były tylko z obszarami dnia. Kable te biegły pionowo, wznosząc się z ziemi prosto w górę do miejsca, gdzie przebijały sklepienie i znikwały w przestrzeni kosmicznej. Właśnie do tego środkowego rzędu wewnątrz Hyperiona zbliżał się teraz „Titanic” ze swoją załogą.

Z każdym dniem kable stawały się wspanialsze i bardziej onieśmielające. Nawet w obozie Billa mieli uczucie, że górują one nad nimi. Teraz nie było widać nachylenia, ale rozmiary znacznie wzrosły. Od patrzenia w górę bolała głowa. Wiedzieć, że pionowa kolumna ma pięć kilometrów średnicy i sto dwadzieścia kilometrów wysokości to jedno, ale oglądać coś takiego, to było zupełnie inne uczucie.

Ophion omijał podstawę kabla szerokim łukiem, poczynając od południa i biegnąc ku północy, a potem wracał ponownie na kierunek wschodni. Zauważyli tę cechę jeszcze w znacznej odległości od kabla. Denerwująca właściwość podróży na Gai polegała na tym, że krajobraz można było bez trudu oglądać wyłącznie z daleka. Im bardziej się

przybliżali, tym skrót perspektywiczny stawał się silniejszy, a szczegóły rzeźby terenu ulegały takiemu spłaszczeniu, że nie dawało się ich rozpoznać. Teren, przez który akurat szli, wyglądał równie płasko, jak na Ziemi. Dopiero w dużej odległości zaczynał się fałdować.

- Czy zechciałabyś mi jeszcze raz powiedzieć, po co to robimy? - Gaby krzyknęła do siedzącej w przodzie Cirocco. - Myślę, że nie chwyciłam.

Podróż do szprychy okazała się trudniejsza, niż sądzili. Przedtem przebijali się przez dżungłę nurtem rzeki, która była jakby naturalnym traktem. Teraz Cirocco zrozumiała, co naprawdę znaczy słowo „nieprzebyty gąszcz”. Stanowiła go zbita ściana roślinności, a ich jedynymi ostrymi narzędziami były pierścienie od hełmów. Na domiar złego, w miarę jak zbliżali się do kabla, teren się podnosił.

- Mogłabyś przestać narzekać! - odkrzyknęła. - Wiesz, że musimy to zrobić. Wkrótce będzie łatwiej.

Dowiedzieli się już paru pożytecznych rzeczy. Jak dotąd, najważniejsze było to, że kabel rzeczywiście składał się z ponad setki splecionych żył, a każda musiała mieć przynajmniej dwieście metrów średnicy.

Wysoko włókna były ciasno splecione, ale pół kilometra od ziemi zaczynały się dzielić, dochodząc do gruntu oddzielnie. Podstawa kabla stawała się w ten sposób raczej lasem potężnych wieżyc, niż jedną, gigantyczną kolumną.

Najciekawsze było jednak to, że kilka włókien pękło. Wysoko w górze widzieli ich powykręcane końce.

Kiedy już wydostali się na odkrytą przestrzeń, Cirocco dostrzegła, że czymkolwiek był materiał, do którego przymocowano u podstawy kable, to jednak nie wytrzymał. Każde włókno wyciągnęło z niego stożek, który przysypany był piachem.

Teren pomiędzy nimi i kablem był piaszczysty, usiany olbrzymimi złogami skalnymi.

Piasek był czerwono-żółtej barwy, a kamienie miały ostre krawędzie i nosiły tylko niewielkie ślady erozji. Wyglądały, jakby wyrwano je z ziemi.

Bill zadarł głowę i przebiegł wzrokiem wzdłuż kabla aż do półprzezroczystego sklepienia.

- Mój Boże, co za widok - powiedział.

- Pomyśl raczej o tym, jak muszą go odbierać tubylcy - odezwała się Gaby. - Kable z nieba, na których wisi świat.

Ciocco przysłoniła ręką oczy.

- Nic dziwnego, że są przekonani, iż tam właśnie mieszka Bóg - powiedziała. -

Pomyślcie o tym, który pociąga za sznurki w tym teatrze lalek.

Grunt, po którym stąpali, był twardy, ale jego nachylenie rosło, a powierzchnia stawała się śliska. Nie było roślinności, która mogłaby wiązać grunt, a tylko piach, wilgotny z wierzchu i suchy pod spodem. Tworzył rodzaj skorupy, którą ich stopy łamały na kruche, ruchome płyty, które osypywały się za nimi.

Ciocco parła do przodu, zdecydowana dotrzeć do samego włókna, ale zaczęła się ześlizgiwać daleko od celu, jakieś dwieście metrów od wierzchołka. Bill i Gaby stanęli z tyłu i patrzyli, jak Ciocco usiłuje wczepić się w ruchomy grunt. Na próżno. W końcu upadła na twarz, sturlała się na dół, usiadła i spojrzała z furią na kabel, tak prowokująco bliski.

- Dlaczego właśnie ja? - spytała, tłukąc pięścią w miękką ziemię. Wytarła piach z ust.

Wstała, ale znowu się pośliznęła. Gaby wzięła ją pod ramię, a Bill prawie na nie upadł, kiedy pospieszył im z pomocą. Stracili jeszcze jeden metr.

- I to by było na tyle - powiedziała Ciocco znużonym głosem. - Mimo to, nadal chcę

się tu rozejrzeć. Czy ktoś idzie ze mną?

Nikt się jakoś nie palił, ale poszli za nią w dół stoku, zagłębiając się w las włókien.

Każde miało swój własny stożek piasku, niczym krzak róży na zimę. Musieli kluczyć pomiędzy nimi. U podnóża gigantycznych kretowisk twarda, ubita ziemia porośnięta była kruchym, szczeciniastym zielskiem.

W miarę, jak wchodzili głębiej w las włókien, robiło się coraz ciemniej. Ciemniej, ale i spokojniej niż wtedy, gdy podróżowali rzeką. Z oddali dochodziło wycie, jak gdyby wiatr hulał w długich, opuszczonych korytarzach, a gdzieś w górze pobrzmiwał dźwięk poruszanych wiatrem dzwonek. W zalegającej ciszy słyszeli tylko odgłosy własnych kroków i oddechów.

Trudno było oprzeć się porównaniu z gotycką katedrą. Cirocco była już w takim miejscu: pośród olbrzymich sekwoi w Kalifornii. Było tam bardziej zielono i nie tak cicho, ale spokój i poczucie zagubienia wśród olbrzymich, obojętnych istot było takie samo. Wiedziała, że gdyby teraz zobaczyła pajęczynę, zerwałaby się do biegu i zatrzymała dopiero w strefie dnia.

W pewnej chwili zauważyli wiszące nad nimi kształty, przypominające porwane obicia. Unosiły się nieruchomo w martwym powietrzu, niewyraźne formy spowite w cień wysoko w górze. Wokół nich dryfował drobny pył, wirując w łagodnym wietrzyku.

Cirocco poczuła na ramieniu lekkie dotknięcie, podskoczyła, a potem podniosła wzrok tam, gdzie pokazywała Gaby.

Coś przyłgnęło do powierzchni jednego z włókien, pięćdziesiąt metrów od szczytu piaszczystego stożka. Pomyślała, że to coś siedzi na jakimś występie, ale później doszła do wniosku, że może to być rodzaj porostu.

- Przypomina skorupiaka - powiedział Bill.

- Raczej całą kolonię - wyszeptała Gaby, a potem nerwowo kaszlnęła. Cirocco wiedziała, jak tamta się czuje: panowała taka atmosfera, że odczuwało się potrzebę mówienia szeptem.

Cirocco potrząsnęła głową.

- Przypomina mi to osiedle w szkołach Arizony.

Po kilku minutach odkryli dalsze dziwne kształty, większość znacznie wyżej i mniej wyraźnych niż te, które zauważyła Gaby. Czy były to jakieś siedziby, czy rodzaj pasożytów? Nie sposób było określić.

Cirocco rozejrzała się wokół jeszcze raz i wtedy wydało jej się, że dostrzega coś na samym skraju ciemności.

Była to budowla. Gdy tylko sobie to uświadomiła, dotarło do niej również i to, że ogląda obsypaną drobnym piaskiem ruinę.

To było odświeżające uczucie: znaleźć coś, co zbudowano na ludzką miarę. Budynek był zbliżony rozmiarami do najmniejszych pueblów w Colorado i w istocie trochę je przypominał. Składał się z trzech pięter sześciokątnych izb bez widocznego wejścia.

Każde kolejne piętro zawierało pokoje trochę większe niż te pod nimi. Podeszła bliżej i dotknęła jednej ściany. Była zbudowana z chłodnego kamienia, ciętego, gładzonego i dopasowywanego bez użycia zaprawy, jak u Inków.

Przyglądając się bliżej, dostrzegła jeszcze dwie inne warstwy, ale znacznie mniejsze i wykonane z mniejszych kamieni niż pozostałe trzy widoczne z daleka. Odgarnęła piach u podstawy ściany i znalazła szóstą warstwę, a potem siódmą - każda z nich była mniejsza od poprzedniej.

- Co o tym sądzisz? - spytała Billa, który klęknął koło niej, kiedy rozgrzebywała

piasek.

- Dziwny sposób budowania.

Ciocco grzebała głębiej, ale wkrótce dała za wygraną; bo piasek zasypywał wykop.

Najniższa warstwa, którą odgrzebała, składała się z komór o wysokości około pół metra i mniej więcej tak samo szerokich i zbudowana była z kamieni nie większych od zwykłej cegły.

Obeszli budowlę dookoła i znaleźli miejsce, w którym się rozsypała. Mniejsze kamienie u dołu skruszyły się pod ciężarem górnych. Jedna komora była nietknięta, ale nie miała ściany. Nie znaleźli wewnętrznych drzwi, ani sposobu, w jaki można się było dostać do niej z zewnątrz.

- Po co budować takie coś bez drzwi?

- Może dostawali się do środka od spodu? - poddała Gaby.

- Nie dowiemy się bez buldożera. - Ciocco miała na myśli sprzęt, który miał być użyty razem z lądownikiem satelitarnym i skrzywiła się boleśnie, kiedy przypomniła sobie szczątki swojego statku koziółkujące w przestrzeni.

- Zastanawiam się, jaki to ma związek z kablem - powiedział Bill. - Czy zbudowano to dla pracowników obsługi czy też później, kiedy sprawy przybrały już zły obrót.

Ciocco uniosła brwi.

- A zakładamy coś takiego?

Bill rozłożył ręce.

- Mamy tu uszkodzenia konstrukcyjne, których nikt nie naprawiał. Widziałaś te zerwane włókna.

Wiedziała, że miał rację. Cała ta ciemna sterta pod kablem już z daleka ziała opuszczeniem i wyglądała na bezużyteczną. To był zapleśniały grobowiec, albo szkielet

czegoś, co nigdy było potężne.

Ale nawet chyląc się ku upadkowi Gaja była wspaniała. Powietrze pozostało świeże, a woda czysta. To prawda, że wielkie obszary przekształciły się w pustynię albo zmrożone pustkowie, więc trudno było uwierzyć, że tak to właśnie zaplanowano.

A jednak Cirocco w jakiś sposób czuła, że rozkład ekosystemów posunąłby się znacznie dalej, gdyby tam na górze nie było kogoś, kto choć trochę jeszcze nad tym panował.

- Gaję nadal ktoś steruje - powiedziała Gaby, jakby czytając w myślach Cirocco. - Ta budowla wygląda na starą. Lekko licząc ma prawdopodobnie parę tysięcy lat.

- Rzeczywiście, może tyle mieć - zgodził się Bill.

- Wiem co nieco o złożoności systemów podtrzymywania życia - ciągnęła Gaby. -

Gaja jest większa niż O'Neil One, co daje jej większą elastyczność. Ale za kilkaset lat i tak nastąpi kryzys, który wymknie się już spod wszelkiej kontroli. Zostało jeszcze trochę czasu do ostatecznej katastrofy.

- To mogą być roboty - powiedział Bill.

- Też tak myślą - zgodziła się Cirocco. - A skoro stoi za tym wszystkim jakaś inteligencja, mam zamiar wejść z nią w kontakt i poprosić o pomoc. Z komputerami może będzie łatwiej się dogadać.

Bill, który naczytał się kiedyś science fiction, wymyślił z tuzin teorii na temat każdego aspektu Gai. Skłaniał się zwłaszcza ku zawsze modnej teorii zarazy - mutacji: coś pojawiło się znikąd i zabiło budowniczych, zostawiając Gaję w rękach automatycznych urzędów zabezpieczających.

- Mogę się założyć, że to opuszczony wrak - przekonywał ich. - Zupełnie tak jak statek z „Niebiańskich sierot” Heinleina. Masa ludzi wyruszyła na Gaję przed tysiącem lat i po drodze straciła kontrolę. Komputer statku wprowadził go na orbitę wokół Saturna,

wyłączył silniki i wciąż czeka na górze, pompując powietrze i czekając na instrukcje.

Wrócili inną drogą, głównie dlatego, iż nie byli w stanie rozpoznać tej, którą przyszli.

Cirocco nie przejmowała się tym, ponieważ póki szli w stronę światła, wszystko było w porządku.

Wyszli na światło słoneczne daleko na północ od miejsca, z którego wyruszyli

i oczom ich ukazało się teraz coś, co poprzednio zasłaniał im kabel: leżące na ziemi zerwane włókno.

Cirocco od razu pomyślała o gigantycznym piaskowym robaku, którego opisał im

Calvin. Włókno wyglądało jak coś żywego i lśniło w żółtym świetle. Potem przypomniały

się jej brazylijskie rurociagi, które widziała w czasie treningu przetrwania: wielkie srebrne rury wcinające się w tropikalną dżunglę, tak jakby to była nic nie znacząca przeszkoda.

Padając, włókno wyrąbało sobie miejsce i powaliło najwyższe drzewa jak zapalki. Od tego czasu przykryła je dżungla, ale wielka masa ciągle wyglądała, jakby mogła się w każdej chwili podnieść, strząsając pnącza i przewracając drzewa.

Pięćset metrów w górę urwany górny koniec włókna odstawał od całego kabla. Był

postrzępiony, a wewnątrz odsłonięte pęknięciem połyskiwało i rzucało czerwone

i niebieskozielone refleksy przypominające zaśniedziałą miedź. W kikucie wyrastały

szare przebarwienia, niczym pleśń na chlebie, a z jego wnętrza spływała kaskadą prosto

w dół woda na kępę roślin, która różniła się od reszty lasu. Woda wyciekała obficie

i z hałasem, ale spadając tak z ogromnego, poskręcane włókna, wyglądała, jakby po

prostu kapała z pękniętej rury.

Podeszli do leżącego włókna i stwierdzili, że składa się ono z szeregu sześciokątnych

płaszczyzn o szerokości zaledwie kilku milimetrów, ze złotymi przeblaskami tuż pod

powierzchnią. Rzucalo mętne refleksy, jak oko gigantycznego owada.

Poszli za nim w dół wzgórza i dalej w głąb dżungli, gdzie urwany koniec leżał otworem do góry, ale był tak zatkany krzewami i porostami, że nie sposób było wejść do środka.

- Cokolwiek tam było, najwyraźniej rośliny to lubią - powiedziała Gaby.

Cirocco nic nie odpowiedziała. Stan daleko posuniętego rozkładu był przygnębiający.

Otwarty koniec włókna był dostatecznie duży, by mógł wlecieć doń cały „Ringmaster”.

W tutejszej skali była to drobnostka, tylko jedno z dwustu włókien, i to tylko w jednym kablu. A jednak był to tak olbrzymi wrak i tak szybko ulegał rozkładowi. Kiedy pękł, cała powierzchnia Gai musiała rozbrzmieć współczuciem.

I nikt nic w tej sprawie nie zrobił.

Milczała, ale ciężko jej było patrzeć na te szczątki i nadal wierzyć, że jest ktoś, kto dogląda maszyn.

Rozdział 12

W dwa dni po zbadaniu wnętrza kabla załoga „Titanica” opuściła tropikalny las.

Teren wszędzie był płaski, wyjąwszy okolice kabla, ale teraz stał się gładki niczym stół bilardowy, a Ophion rozlewał się kilometrami we wszystkich kierunkach. Właściwie linia brzegowa zupełnie znikła. Granicę pomiędzy rzeką a mokradłami wyznaczały pasma wysokiej trawy wyrastającej z dna, a od czasu do czasu wysoki na metr wał muru.

Warstwa wody pokrywała wszystko, choć rzadko była głębsza niż na dziesięć centymetrów, z wyjątkiem krętego labiryntu bagien, przesmyków, zatoczek i martwych cieków. Te były stale oczyszczane i pogłębiane przez wielkie węgorze i jednookie ryby bagienne wielkości hipopotamów.

Drzewa występowały w trzech odmianach i rosły w rzadko rozrzuconych kępach.

Ciocco najbardziej podobał się ten gatunek, którego drzewa wyglądały jak wyrzeźbione w szkole, z prostymi, przezroczystymi pniami i regularnie rozmieszczonymi gałęziami, przypominającymi układem strukturę kryształu. Mniejsze, nitkowate gałązki z powodzeniem mogłyby być wykorzystane jako światłowody. W podmuchach wiatru najslabsze gałęzie obłamywały się. Wyławiali je, bo owijając jeden koniec materiału spadochronu można było uzyskać doskonały nóż. Ze względu na błyski, które rzucały poruszające się gałęzie, Gaby nazwała te drzewa choinkami.

Inna popularna roślina nie przypadła Ciocco do gustu. Roślina ta - wydawało się niewłaściwe nazwanie jej drzewem, chociaż była wystarczająco duża - przypominała stertę tego, co można zobaczyć w dużych ilościach na każdej fermie bydła. Bill nazywał te rośliny drzewami gnojowymi. Zbliżając się do jednego z nich, zobaczyli, że miało jakąś wewnętrzną strukturę, ale nikt nie chciał podpływać do nich za blisko, ponieważ zapachem przypominały do złudzenia to właśnie, na co wyglądały.

Widywali też drzewa nieco przyjemniejsze dla oka. Miały coś z cyprysów i wierzby.

Rosły w niechlujnych kępach, obwieszane pnączami, które starały się ściągnąć je w dół.

Wszystko to było obce w sposób znacznie bardziej nieprzyjemny niż na wyżynie.

Dżungla, którą zostawili za sobą, nie bardzo różniła się od dorzecza Amazonki czy Kongo.

Tutaj nic nie wyglądało znajomo, a wszystko było jakieś niekształtne i groźne.

Rozbicie obozu okazało się niemożliwe. Zaczęli przywiązywać łódź do drzew i spać

w niej. Lało co dziesięć-dwanaście godzin. Rozpinali nad głową namiot ze

spadochronów, ale woda zawsze gdzieś przeciekała i tworzyła sadzawkę na dnie. Było

gorąco i tak wilgotno, że nic nie schło.

Błoto, gorąco i wilgoć sprawiły, że stali się rozdrażnieni. Brakowało im snu, czasem

tylko udawało się złapać przerywaną, niespokojną drzemkę pomiędzy wachtami. Jeszcze

gorzej było wtedy, gdy cała trójka próbowała spać, co kończyło się walką o skrawek miejsca na pochyłym dnie „Titanica”.

Cirocco nagle się obudziła. Śniła, że nie może oddychać. Usiadła, czując, jak ubranie odkleja się od skóry. Palce, szyję i inne miejsca miała lepkie od potu.

Kiedy wstała, Gaby kiwnęła do niej głową, a później zwróciła uwagę na rzekę.

- Rocky - powiedział Bill. - Jest coś, co powinnaś...

- Nie - odpowiedziała, podnosząc ręce. - Cholera, chcę kawy. Jestem w stanie kogoś zabić.

Gaby grzecznie uśmiechnęła się, ale był to uśmiech bardzo wymuszony. Wiedzieli już teraz, że Girocco wolno zaskakuje.

- To nie jest zabawne. Naprawdę. - Ponuro lustrowała krajobraz, który sprawiał wrażenie tak samo zgniłego jak stan jej uczuć. - Dajcie mi minutę, zanim zaczniecie zadawać pytania - powiedziała. Wyzwoliła się z lepkiego ubrania i wskoczyła do rzeki.

Poczuła się odrobinę lepiej. Huśtała się na wodzie, trzymając się burty i rozmyślając o mydle, dopóki jej stopy nie dotknęły nagle czegoś śliskiego. Nie czekała, żeby się przekonać, co to było, tylko szybko przelazła przez burtę i stanęła w kałuży wody.

- Dobra. Więc czego chcecie?

Bill wskazał na północny brzeg.

- Widziałem tam dym. Możesz go teraz zobaczyć, trochę na lewo od tej kępy drzew.

Cirocco przechyliła się przez burtę łodzi i zobaczyła cienką linię szarości rozciągniętą na tle odległej, północnej ściany.

- Wyciągnijmy łódź na brzeg i rozejrzyjmy się.

To była długa, wyczerpująca wędrówka po kolana w błocie i stojącej wodzie. Bill prowadził. Zaczęli zdradzać podniecenie, kiedy obchodzili duże drzewo gnojowe, które

zasłaniało widok. Cirocco złapała zapach dymu poprzez znacznie silniejszy smród drzewa i pędem ruszyła przez śliski teren.

Zaczął padać dokładnie w tym samym momencie, kiedy dotarli do ognia. Nie za mocno, ale też ogień nie był zbyt wielki. Wyglądało na to, że wszystko, co zdołają z niego uratować, to czarna sadza na stopach.

Pogorzelnisko stanowiło nieregularną plamę pokrywającą powierzchnię hektara i tłącą się nierówno po brzegach. Kiedy zaczęło padać, na ich oczach szary dym zmienił kolor na biały. Potem języki ognia dotarły do kępy krzaków o kilka metrów dalej.

- Przynieście coś suchego - poleciała Cirocco. - Wszystko jedno co. Trochę bagiennej trawy i patyków. Pospieszcie się, bo zgaśnie. - Bill i Gaby rozbiegli się w poszukiwaniu podpałki, a Cirocco klęknęła obok krzaka, rozdmuchując żar. Nie zważając na dym gryzący w oczy, dmuchała, aż się jej zakręciło w głowie.

Po chwili dorzucała już w miarę suchego drewna. W końcu mogła usiąść wygodnie, pewna, że płomień nie zgaśnie. Gaby krzyknęła i rzuciła patyk tak wysoko, że zanim zaczął spadać, niemal znikł im z oczu. Cirocco uśmiechnęła się szeroko, kiedy Bill poklepał ją po plecach.

To było drobne zwycięstwo, ale mogło okazać się ważne. Czują się świetnie.

Kiedy deszcz ustał, ogień nadal płonął.

Powstał jednak problem, jak go podtrzymać. Omawiali go godzinami, próbując i odrzucając najrozmaitsze rozwiązania. Zużyli na to cały dzień i większą część następnego, który poświęcili na przygotowania do realizacji swojego planu. Z gliny zalegającej bagnisko sporządzili dwa paleniska przypominające główki fajek, wypalili je dokładnie, a potem wysuszyli dużą ilość drewna, które paliło się najwolniej. Potem rozpalili małe ogniska w obu glinianych kotlinkach. Rozsądek nakazywał mieć coś

w zapasie. System wymagał, by ktoś przez cały czas doglądał ognia, ale byli gotowi to robić, póki nie znajdzie się lepsze rozwiązanie.

Kiedy się z tym uporali, nadeszła pora snu. Cirocco sądziła, że mogą spać na suchej ziemi, choć tak właściwie to nie bardzo dowierzała temu, co wykonali. Bill jednak chciał przedtem coś upolować.

- Już mi się mocno przejadły te melony - powiedział. - Ostatnie, które jadłem, smakowały jak zjełczałe.

- No tak, ale tu nie ma śmieszków. Od wielu dni ich nie widziałam.

- No to rąbniemy coś innego. Potrzebujemy trochę mięsa.

Rzeczywiście, nie odżywiali się zbyt dobrze. Na bagnach nie było takiej obfitości roślin owocowych, jak w lesie. Jedyną miejscową rośliną, której spróbowali, w smaku przypominała mango i przyprawiała o biegunkę. Łódź przypominała wtedy siódmy krąg piekieł. Od tego czasu ograniczyli się do zapasów.

Zdecydowali, że najbardziej oczywistą zdobyczą byłyby duża ryba bagienna. Jak wszystkie zwierzęta, które napotkali, ryba nie zwracała na nich większej uwagi. Wszystko oprócz niej było zbyt małe i za szybkie albo - jak gigantyczne węgorze - zbyt wielkie. Ryby bagienne lubiły siedzieć z zagrzebanym pyskiem w szlamie, poruszając się przy pomocy ruchów ogona.

Cirocco, Gaby i Bill wkrótce otoczyli jedną z nich. Po raz pierwszy mieli okazję przyjrzeć się jej z bliska. Cirocco nigdy jeszcze nie widziała tak wstrętnego stworzenia. Miała trzy metry długości, płaski brzuch, a pomiędzy tępym pyskiem a poziomym, jakby wielorybim ogonem, który sprawiał jakieś niepoważne wrażenie, była niemożliwie napęczniała. Wzdłuż grzbietu biegł długi, szary grzebień, miękki i przelewający się niczym grzebień koguta, ale pokryty śluzem. Rytmicznie puchł i chudł.

- Jesteś pewna, że chcesz to zjeść?

- Jeżeli tylko dostatecznie długo nie będzie się ruszać.

Cirocco usadowiła się cztery metry przed rybą, a Gaby i Bill zbliżali się do niej z boków. Cała trójka uzbrojona była w miecze z gałęzi drzewka-choinki.

Ryba bagienna miała tylko jedno oko wielkości patelni. Jedna jego krawędź uniosła się, aż wreszcie spojrzała na Billa. Zamarł. Ryba wydała sapiący dźwięk.

- Bill, nie podoba mi się to.

- Nie przejmuj się. Mruga, widzisz? - Struga płynu sikała z otworu ponad okiem i to ona właśnie była źródłem siorbania, które słyszeli. - W ten sposób zwilża oko. Nie ma powieki.

- Skoro tak mówisz. - Klasnęła w dłonie, a ryba posłusznie odwróciła wzrok od Billa i przeniosła na nią. Nie była pewna, czy oznaczało to jakąś poprawę, ale zrobiła na palcach krok naprzód. Ryba, znudzona tymi wszystkimi manewrami, odwróciła oko. Bill ruszył do przodu, wyprężył się i pograżył miecz w jej ciele zaraz za okiem, opierając się na nim całym ciężarem. Ryba podskoczyła, kiedy Bill puścił miecz i zatańczyła do tyłu.

Nic się nie stało. Oko nie poruszyło się, a organy na plecach przestały się nadymać.

Cirocco rozluźniła się i dostrzegła uśmiech Billa.

- To zbyt łatwe - powiedział. - Kiedy to miejsce rzuci nam wreszcie prawdziwe wyzwanie? - Chwycił rękojeść swojego miecza i wyciągnął go. Ciemna krew trysnęła mu na rękę. Ryba wygięła się tak, że pyskiem dotykała ogona, a później machnęła płaskim ogonem w bok i w dół, trafiając Billa w głowę. Zręcznie podebrała jego nieruchome ciało i śmignęła nim w powietrze.

Cirocco nie zauważyła nawet, gdzie spadł. Ryba ponownie wygięła się w łuk, tym

razem kołysząc się na brzuchu i trzymając pysk i ogon w powietrzu. Po raz pierwszy Cirocco zobaczyła jej paszczę. Była okrągła i przypominała gębę minoga z podwójnym rzędem zębów obracających się w przeciwnym kierunku i klekoczących. Ogon uderzył w muł i ryba skoczyła na nią.

Padła plackiem na ziemię, ryjąc szczęką w mule. Ryba chlapnęła za nią, znowu wygięła się w łuk i wyrzuciła w powietrze pięćdziesiąt kilo błota, tłukąc nieprzytomnie ogonem. Ostra płetwa przecięła grunt przed jej twarzą, a później spróbowała ponownie. Cirocco rzuciła się na czworakach do ucieczki, ślizgając się, kiedy próbowała wstać.

- Rocky! Skacz!

Skoczyła i w ten sposób uratowała rękę, bo ryba ponownie walnęła ogonem w ziemię.

- Prędko! Prędko! Pędzi za tobą!

Rzut oka w tył ukazał jej tylko obracające się zęby. Słysząc było okropny warkot.

Bestia naprawdę chciała ją pożreć.

W błocie po kolana parła w stronę głębszej wody, co może nie było dobrym pomysłem, ale za każdym razem, kiedy próbowała skręcić, ogon śmigał z błota. Wkrótce bezustanny potop brudnej wody całkiem ją oślepił. Pośliznęła się i zanim zdążyła się podnieść, ogon trafił ją w bok głowy. Była przytomna, ale dzwoniło jej w uszach, kiedy odwróciła się i sięgnęła po miecz. Niestety, gdzieś go zgubiła. Ryba była już tylko o metr od niej, zwijając się do kolejnego skoku, który miał ją zdruzgotać, gdy z tyłu wyskoczyła Gaby. Jej stopy prawie nie dotykały ziemi. W locie walnęła Cirocco tak mocno, że mogła wybić jej zęby, ryba podskoczyła i cała trójka przeleciała poślizgiem trzy metry w błocie. Cirocco miała mętłą świadomość śliskiej, wilgotnej powierzchni pod stopą. Kopnęła. Ryba znowu na nie natarła, kiedy Gaby odciągnęła Cirocco, płynąc w błocie. Wreszcie

ryba zrezygnowała, a Cirocco uniosła głowę ponad wodę i gwałtownie nabrała powietrza.

Widziała plecy Gaby, gdy ta stawiała czoła bestii. Ogon rąbnął na poziomie szyi Gaby, tnąc niczym sierp, ale ta uchyliła się i podniosła miecz. Złamał się blisko rękojeści, ale ostrze odwaliło duży kawał płetwy. Rybie się to chyba nie spodobało. Gaby znowu skoczyła, prosto ku szkaradnym szczękom i wylądowała na grzbiecie bestii. Wbiła rękojeść miecza w oko, tnąc, a nie dźgając, jak to robił Bill. Ryba zrzuciła ją, ale teraz potworny ogon został pozbawiony celownika. Walił w ziemię wściekle, a Gaby szukała sposobności, by ciąć jeszcze raz.

- Gaby! - krzyknęła Cirocco. - Daj spokój! Nie daj się zabić!

Gaby rzuciła okiem do tyłu i pospieszyła do Cirocco.

- Wyośmy się stąd. Możesz chodzić?

- Pewnie, ja... - Grunt zakołysał się pod nią. Złapała Gaby za rękaw, żeby nie upaść.

- Trzymaj się. To diabelstwo znowu nadchodzi.

Cirocco nie miała sposobności zobaczyć, co Gaby miała na myśli, ponieważ ta podźwignęła ją, zanim Cirocco zorientowała się, co się dzieje. Była zbyt słaba i skołowana, żeby się opierać, kiedy Gaby podniosła ją z bagna i przerzuciła strażackim chwytem przez ramię.

Jakiś czas później poczuła, że Gaby ostrożnie kładzie ją na kępie trawy i zobaczyła nad sobą jej twarz. Łzy spływały jej po policzkach, kiedy delikatnie obmacywała głowę, a potem zaczęła badać klatkę piersiową Cirocco.

- Au! - Cirocco skrzywiła się i zwinęła z bólu. - Myślę, że złamałaś mi żebro.

- O mój Boże! Kiedy cię podniosłam? Tak mi przykro, Rocky, ja...

Cirocco dotknęła jej policzka.

- Nie, głuptasie, kiedy walnęłaś mnie jak pierwsza linia Gigantów. I dobrze się stało.

- Chcę zbadać twoje oczy. Myślałam, że...

- Nie mamy czasu. Pomóż mi wstać. Musimy sprawdzić, co z Billem.

- Ty jesteś ważniejsza. Leż sobie. Nie powinnaś...

Ciocco odtrąciła jej rękę i dźwignęła się na kolana, a potem zgięła w pół

i zwymiotowała.

- A nie mówiłam? Nie powinnaś się ruszać.

- W porządku - wykrztusiła. - Idź i znajdź go, Gaby. Zajmij się nim. Przynieś go tu, żywego.

- Pozwól mi tylko sprawdzić twój...

- Idź już!

Gaby przygryzła wargi i spojrzała na rybę, która ciągle miotła się w pewnej odległości, a na jej twarzy pojawił się wyraz męki. Potem jednak skoczyła na równe nogi i pobiegła.

Oby w dobrą stronę - pomyślała Ciocco.

Siedziała, trzymając się za brzuch i klnąc cicho, aż do powrotu Gaby.

- Żyje - powiedziała Gaby. - Jest nieprzytomny i chyba ranny.

- Mocno?

- Ma krew na nogach, rękach i z przodu. W części to na pewno krew ryby.

- Powiedziałam ci, żebyś go tu przyniosła - warknęła cicho Ciocco, próbując powstrzymać następną falę torsji.

- Ciii - uspokajała ją Gaby, głaszcząc lekko jej czoło. Nie mogę go ruszyć, póki nie zrobię noszy. Po pierwsze, mam zamiar zanieść cię do łodzi i położyć. Cicho! Jeżeli będę musiała, to zrobię to siłą. Nie chcesz przecież sierpowego w szczękę, prawda?

Ciocco miała ochotę ją walnąć, ale znowu poczuła nudności. Padła na ziemię, a Gaby dźwignęła ją. Pamiętała jeszcze, że pomyślała, jak dziwacznie muszą wyglądać: Gaby miała metr pięćdziesiąt wzrostu, natomiast Ciocco metr osiemdziesiąt pięć. Przy stałym ciężeniu musiała poruszać się bardzo ostrożnie, ale noga nie stanowiła żadnego problemu.

Kiedy zamknęła oczy, trochę przestało jej się kręcić w głowie. Położyła głowę na ramieniu Gaby.

- Dziękuję za uratowanie życia - powiedziała, a potem zemdlała.

Obudziła się, słysząc krzyk mężczyzny. Czegoś takiego nigdy nie chciałaby usłyszeć ponownie.

Bill był półprzytomny. Ciocco usiadła i ostrożnie dotknęła swojej skroni. Bolało, ale świat przestał wirować.

- Chodź tu i podaj mi rękę - powiedziała Gaby. - Musimy go przytrzymać albo zrobić sobie krzywdę.

Pospieszyła do nich.

- Jaki jest jego stan?

- Naprawdę poważny. Ma złamaną nogę. Prawdopodobnie również kilka żeber, ale nie pluje krwią.

- Gdzie jest złamanie?

- Jedna z kości podudzia. Nigdy nie wiem, która jest która. Myślałam, że to tylko skaleczenie do chwili, gdy położyłam go na nosze. Zaczął się szarpać i kość wyszła na wierzch.

- Jezu!

- Przynajmniej nie krwawi za mocno.

Ciocco poczuła, że znowu wywraca jej się żołądek, kiedy badała poszarpaną ranę w nodze Billa. Gaby przemywała ją wygotowanymi szmatami z pociętych spadochronów. Kiedy dotykała go, krzyczał chrapliwie.

- Co masz zamiar zrobić? - spytała Ciocco, niejasno zdając sobie sprawę, że to ona powinna powiedzieć, co robić, zamiast zadawać pytania.

Gaby spojrzała z udręką. - Myślę, że powinnaś wezwać Calvina.

- Po co? No tak, wezwę sukinsyna, ale widziałas, jak długo to trwało ostatnim razem.

Jeżeli Bill umrze, zanim Calvin doleci, zabiję go.

- Więc będziemy musiały same złożyć nogę.

- Wiesz, jak się to robi?

- Raz mi pokazywali - powiedziała Gaby. - Facet był pod narkozą.

- Wszystko, co mamy, to kupa szmat, czystych, mam nadzieję. Będę go trzymała za rękę. Poczekaj. - Podeszła do Billa i spojrzała na niego. Nie widział jej, a jego czoło było gorące. - Bill? Posłuchaj. Jesteś ranny, Bill.

- Rocky?

- Tak, to ja. Wszystko będzie w porządku, ale masz złamaną nogę. Rozumiesz?

- Rozumiem - wyszeptał i zamknął oczy.

- Bill, obudź się. Potrzebuję twojej pomocy. Nie możesz się szarpać. Słyszysz mnie?

Podniósł głowę i spojrział na swoją nogę.

- Tak - powiedział, przecierając twarz brudną ręką. - Będę grzeczny. Zabieraj się do roboty, dobrze?

Ciocco skinęła na Gaby, która skrzywiła się i pociągnęła.

Trzeba było próbować trzy razy, co obie kobiety kosztowało potężny wstrząs. Za drugim szarpnięciem koniec kości wszedł z obrzydliwym mlaśnięciem, które zmusiło

Ciocco do torsji. Bill zniósł to dobrze, miał świszczący oddech, a mięśnie karku napięte jak postronki, ale nie krzyczał.

- Chciałabym wiedzieć, czy zrobiliśmy to dobrze - powiedziała Gaby. Potem się rozplakała. Ciocco zostawiła ją i zabrała się do bandażowania rozłupanej nogi Billa. Nie odzyskał jeszcze przytomności, kiedy kończyła. Stała, trzymając przed sobą zakrwawione ręce.

- Będziemy musieli wyruszyć - powiedziała. - To nie jest dobre miejsce. Musimy znaleźć teren suchy, rozbić obóz i poczekać, aż Bill trochę wydobrzeje.

- Chyba nie powinniśmy go ruszać.

- Tak - westchnęła. - Ale musimy. Za dzień powinniśmy dotrzeć do tej wysoko położonej krainy, którą widzieliśmy wcześniej. Ruszajmy.

Rozdział 13

Potrzebowały na to dwóch dni, a nie jednego i były to straszne dni. Często przystawały, żeby wysterylizować bandaże Billa. Kociołek, którego używały do gotowania wody, nie był tak dobry, jak ceramiczny garnek: łuszczył się i topił, a woda była mętna. Trzeba było prawie godziny, żeby ją zagotować, ponieważ ciśnienie na Gai było wyższe od atmosferycznego.

Gaby i Ciocco złapały na zmianę kilka godzin snu, tam, gdzie rzeka była spokojna i szeroka. Kiedy jednak wpływali na odcinki niebezpieczne, razem musiały zdrowo się napocić, żeby łódź nie wpadła na brzeg. Poza tym nadal regularnie padało.

Bill wciąż spał, a po dwudziestu czterech godzinach obudził się o pięć lat starszy.

Miał siną twarz. Kiedy Gaby zmieniała bandaże, jego rana nie wyglądała dobrze.

Podudzie i większa część stopy spuchły niemal do dwukrotnych rozmiarów.

Kiedy wreszcie wydostali się z bagien, ciągle majaczył, pocił się bardzo obficie i miał

wysoką gorączkę.

Drugiego dnia Cirocco nawiązała kontakt z przelatującym miękkołotem, odbierając wysoki i wznoszący się gwizd. Jak jej wyjaśnił Calvin, oznaczał on: „OK, powiem mu”, ale bardzo się obawiała, że i tak może być za późno. Patrzyła, jak miękkołot spokojnie żegluje w stronę zamrożonego morza i zachodziła w głowę, dlaczego upierała się, by porzucili las. A jeśli już musieli, dlaczego nie polecili Gwizdkiem, żeglując ponad tym wszystkim, z dala od takich okropności jak ryba błotna, która nie chciała zdechnąć.

Argumentacja, którą przywoływała wtedy, była dobra i dziś, ale mimo to robiła sobie gorzkie wyrzuty. Gaby nie mogła latać miękkołotami, a musieli przecież znaleźć drogę powrotną. Pomyślała jednak, że z pewnością są inne, łatwiejsze i wdzięczniejsze zadania, niż branie odpowiedzialności za życie innych, zwłaszcza że własne życie przyprawiało ją o mdłości. Chciała się stąd wydostać, chciała, żeby ktoś zdjął z niej ten ciężar. Jak mogła w ogóle myśleć, że nadaje się na kapitana? Co zrobiła jak trzeba od czasu objęcia dowództwa „Ringmastera”?

To, czego chciała naprawdę, było banalne, ale trudne do znalezienia. Jak wszyscy, pragnęła miłości. Bill wyznał jej, że ją kocha, dlaczego więc nie potrafiła mu się odwzajemnić tym samym?

Myślała, że kiedyś wreszcie się na to zdobędzie, ale teraz wyglądało na to, że Bill umrze, a przecież za niego odpowiadała.

Równie gorąco pragnęła przygody. To dążenie przez całe życie kierowało jej postępkami, od pierwszego komiksu, który przeglądała, od pierwszych filmów dokumentalnych o podboju kosmosu, które oglądała szerokimi z podziwu oczami dziecka, od pierwszych, jeszcze czarno-białych filmów awanturniczych i kolorowych westernów. Pragnienie dokonania czegoś wielkiego i bohaterskiego nigdy jej nie

opuszczała. To właśnie ono odepchnęło ją od kariery śpiewaczki, której pragnęła dla niej matka i od roli kury domowej, którą wszyscy usiłowali jej narzucić. Chciała spaść nagle w ogniu laserów na bazę kosmicznych piratów, przedzierać się przez dżunglę z bandą zagorzałych rewolucjonistów w nocnym rajdzie na twierdzę wroga, szukać Świętego Graala albo zniszczyć Gwiazdę Śmierci. Jednak już jako osoba dorosła znalazła inne powody, by wyrąbywać sobie drogę w college'u i osiągnąć mistrzostwo w ćwiczeniach, tak, by kiedy nadarzyła się sposobność, nie mogli wybrać nikogo innego do misji na Saturna. Pomimo to, pod tym wszystkim nadal tkwił pociąg do podróży, zwiedzania dziwnych miejsc i do robienia rzeczy, których nikt przed nią nie robił i w końcu chyba dlatego wylądowała na „Ringmasterze”.

No i dostała teraz swoją przygodę. Spływała w dół rzeki w łódce z łupiny orzecha, wewnątrz najogromniejszej konstrukcji, jaką kiedykolwiek oglądało ludzkie oko, a mężczyzna, który ją kocha, umierał.

Wschodni Hyperion był krajem łagodnie pofałdowanych wzgórz i rozległych równin, upstrzonych chwiejącymi się na wietrze drzewami niczym afrykańska sawanna. Ophion była teraz większa, a nurt szybszy i tajemniczo chłodniejszy.

Spływali z prądem wzdłuż niskich urwisk nachylających się nad brzegiem rzeki.

„Titanic” okazał się zupełnie niesterowny w czasie szybszych spływów. Cirocco rozglądała się za miejscem, gdzie rzeka rozleje się szerzej i gdzie będzie można przybić do brzegu.

Wreszcie je wypatrzyła. Dwie godziny walczyły z nurtem przy pomocy tyczek i wiosel, by doprowadzić łódź do skalistego brzegu. Obie ciągnęły resztką sił. Co gorsza, wyczerpały się zapasy żywności, a Wschodni Hyperion nie wyglądał na krainę urodzajną. Wciągnęły „Titanica” na brzeg, wspinając się po śliskich skałach, póki nie były pewne,

że łódź jest bezpieczna. Bill ciągle był nieprzytomny. Od dłuższego czasu się nie odzywał.

Cirocco usiadła przy nim, a Gaby zasnęła jak zabita. Girocco walczyła ze snem, penetrując obszar w promieniu stu metrów od obozowiska.

Dwadzieścia metrów od skraju rzeki brzeg łagodnie się wznosił. Wspięła się na górę. Wschodni Hyperion wyglądał jak marzenie rolnika. Szerokie pasy terenu przypominały pszeniczne pola Kansas. Wrażenie to psuły tylko miejsca w kolorze rdzawej czerwieni i jeszcze inne o bladoniebiesko-pomarańczowym kolorze. Wszystko to falowało na wietrze, niczym wysoka trawa, przemykały głębokie cienie, a niektóre chmury wisiały tak nisko, że wypełniały mgłą łożyska strumieni nawet w promieniach słońca.

Na wschodzie wzgórze biegły ku strefie zmięzchu zachodniej Rei, stopniowo nabierając zielonkawego odcienia, który musiał oznaczać las, a potem przekształcał się w zaciemnione skaliste góry. Na zachodzie teren był płaski, usiany płytkimi jeziorami i bagnami porośniętymi trawą zjadaną przez ryby bagienne i połyskującą w słońcu. Jeszcze dalej rozciągała się głębsza zieleń tropikalnego lasu, a jeszcze wyżej - równiny, które ginęły w mroku lądowej powierzchni Oceanusa.

Penetrując wzrokiem odległe wzgórze, dostrzegła grupę zwierząt i czarne punkciki na żółtym tle. Dwa albo trzy punkty były większe niż pozostałe.

Miała już wracać do namiotu, kiedy usłyszała muzykę. Była tak słaba i daleka, że Girocco uświadomiła sobie, że już od dłuższego czasu ją słyszy, nie zdając sobie z tego sprawy. Szybki szereg tonów, później dłuższy motyw, który brzmiał słodko i wyraźnie. Melodia opowiadała o cichych miejscach i swobodzie, której być może nigdy już nie zazna i była znajoma jak kołysanka z dzieciennych lat.

Stwierdziła, że cicho popłakuje, wyciągając słuch w nadziei, że wiatr znów przyniesie

tę melodię. Ale pieśń się urwała.

Tytania znalazła ich, kiedy składały namiot i miały właśnie przesunąć Billa. Stała na szczycie urwiska, na które poprzedniego dnia wspięła się Cirocco. Cirocco czekała, aż istota zrobi pierwszy ruch, tamta jednak najwidoczniej oczekiwała na to samo.

Najodpowiedniejszym określeniem dla opisanego przybysza był centaur. Dolna część miała kształt konia - górna była przerażająco ludzka. Cirocco nie mogła uwierzyć własnym oczom.

Nie był to disneyowski centaur, niewiele miał również wspólnego z klasycznym greckim modelem. Gdzieś tam był bujnie owłosiony, ale poza tym na całym ciele miał bladą i nagą skórę. Z głowy i z ogona spływały wielkie, wielokolorowe kaskady włosów. Porastały one również dolne partie wszystkich czterech nóg, a także ramiona. Co najdziwniejsze, włosy rosły również pomiędzy obu przednimi nogami, w miejscu, w którym przyzwoity koń - którego Cirocco próbowała odtworzyć sobie oczami wyobraźni - powinien mieć tylko gładką skórę. Stworzenie nosiło pasterski kij i poza kilkoma drobnymi ozdobami było zupełnie nagie.

Cirocco była pewna, że trafiła na jedną z Tytani, o których opowiadał Calvin, chociaż zapewne popełnił błąd w tłumaczeniu. To stworzenie - Calvin mówił, że wszystkie są rodzaju żeńskiego - nie miało sześciu nóg, a sześć kończyn.

Cirocco zrobiła krok naprzód, a Tytania włożyła rękę do ust, a później wyciągnęła ją w szybkim geście.

- Uwaga! - zawołała. - Ostrożnie!

Przez ułamek sekundy Cirocco zastanawiała się, o czym tamta mówi, później jednak próba udzielenia odpowiedzi zniknęła pod falą zdumienia. Tytania nie mówiła po angielsku, rosyjsku czy francusku, a jak dotąd były to jedyne języki znane Cirocco.

- O co... - urwała, odchrząkując z przejęciem i zaczęła fałszować. - O co chodzi? Czy grozi nam niebezpieczeństwo? - Pytania były niełatwe, wymagały złożonej intonacji.

- Czuję, że wy jesteście w niebezpieczeństwie - zaśpiewała Tytania. - Czułam, że na pewno musicie upaść, ale wy na pewno lepiej wiecie, co jest dobre dla waszego rodzaju.

Gaby patrzyła na Cirocco dziwnym wzrokiem.

- Co się tu u diabła dzieje? - spytała.

- Rozumiem ją - powiedziała Cirocco, nie chcąc się zapuszczać w dalsze tłumaczenia.

- Powiedziała, żebyśmy byli ostrożni.

- Ostrożni przed... Jak?

- A jak Calvin rozumie miękcolota? Coś się nam porobiło w głowach, kotku. Teraz się to raptem przydaje, więc zamknij buzię. - Wróciła do przerwanej rozmowy, zanim padły dalsze pytania, bo i tak nie znała na nie odpowiedzi.

- Czy jesteście ludźmi z bagien? - spytała Tytania. - Czy też może przychodzicie z zamarzniętego morza?

- Ani stąd, ani stamtąd - zaświergotała Cirocco. Przebijaliśmy się przez bagna w drodze do... do morza zła. Nie chcemy ci zrobić żadnej krzywdy.

- Najmniejszą krzywdę zrobicie mi wtedy, kiedy pójdziecie ku morzu zła, bo wtedy po prostu zginiecie. Jesteście zbyt duzi, żeby być aniołami, które utraciły skrzydła, a także zbyt uczciwi, jak na stwory z morza. Muszę wyznać, że jeszcze nigdy nie widziałam nikogo podobnego do was.

- My... możesz do nas dołączyć na plaży? Moja pieśń jest słaba, wiatr jej nie niesie.

- Będę tam w dwa machnięcia ogona.

- Rocky! - syknęła Gaby. - Uważaj, ona rzeczywiście przymierza się, żeby zejść. -

Wysunęła się przed Cirocco i przyszykowała swój szklany miecz.

- Wiem, że ma zamiar zejść - powiedziała Cirocco, mocując się z ręką Gaby. -

Właśnie o to ją poprosiłem. Schowaj to, zanim tamta sobie czegoś nie pomyśli i trzymaj się z tyłu. Gdyby były problemy, wrzasnę.

Tytania zeszła przodem z urwiska, wyciągając na boki ramiona dla utrzymania równowagi. Energicznie podskakiwała, posuwając się wzdłuż małej lawiny, którą spowodowała, a potem lekko pokłusowała w ich stronę. Jej stopy znajomo klapały po skale.

Była o trzydzieści centymetrów wyższa od Cirocco, która mimowolnie cofnęła się o krok, gdy tamta podchodziła. Rzadko w swym życiu miała okazję spotkać kobietę wyższą od siebie, ale to stworzenie mogłoby górować nad każdym, z wyjątkiem profesjonalnych koszykarzy. Widziana z bliska wydawała się jeszcze bardziej obca, właśnie dlatego, że niektóre części jej ciała były tak przeraźliwie ludzkie.

Okazało się, że czerwone, pomarańczowe i niebieskie pasy, które - jak myślała Cirocco - miały być naturalnym ubarwieniem, w istocie były wymalowane farbą.

Układały się we wzory i ograniczały się głównie do twarzy i piersi. Brzuch zdobiły cztery pasy ułożone w kształcie szewronów zaraz powyżej miejsca, gdzie powinien znajdować się pępek, oczywiście gdyby go miała.

Jej twarz była dostatecznie duża, by szeroki nos i usta jakoś nie raziły. Miała olbrzymie oczy, bardzo szeroko rozmieszczone. Tęczówki były jaskrawożółte, z promieniście rozchodzącymi się prążkami zieleni, które otaczały szerokie źrenice.

Te oczy były tak zdumiewające, że Cirocco niemal nie zauważyła najbardziej nieludzkiej cechy jej twarzy. Sądziła, że to, co ma utkane za uszami, to rodzaj dziwnych kwiatów, okazało się jednak, że to są właśnie uszy. Ostre koniuszki sięgały jej powyżej głowy.

- Nazywają mnie C-dur - zaśpiewała. Rzeczywiście, była to seria dźwięków w tonacji C-dur.

- Co ona powiedziała? - wyszeptała Gaby.

- Powiedziała, że ma na imię... - wyśpiewała imię centaury, a ta zastrzygła uszami.

- Nie potrafię tego wymówić - zaprotestowała Gaby.

- Nazywają ją C-dur. Czy możesz się zamknąć i pozwolić mi mówić? - Odwróciła się znowu ku Tytaniu.

- Nazywam się Cirocco lub kapitan Jones - zaśpiewała. - To jest moja przyjaciółka, Gaby.

Uszy zwisły Tytaniu na ramiona i Cirocco omal nie wybuchnęła śmiechem. Jej wyraz twarzy się nie zmienił, ale uszy mówiły wiele.

- Po prostu Szirokolubkapitandżons? - zaśpiewała, imitując monotonię głosu Cirocco.

Kiedy westchnęła, jej nozdrza aż zatrzepotały od siły tego oddechu, ale klatka piersiowa pozostała nieruchoma. - To długie imię, ale mało nośne, za przeproszeniem. Czy u was, ludzi, nie ma krzty radości, że nadajecie sobie takie ponure imiona?

- Nasze imiona wybieramy dla nas - zaśpiewała Cirocco, czując się dziwnie

zażenowana. Na perliste imię centaury odpowiedziała nudną frazą. - Nasza mowa nie jest podobna do waszej, a nasze tchawice nie są tak głębokie.

C-dur zaśmiała się i był to zupełnie ludzki śmiech.

- Faktycznie mówicie głosem wątlej trzcinki, ale lubię was. Zabiorę was do domu mojej matki na święto, jeżeli się zgodzicie.

- Przyjęlibyśmy twoje zaproszenie, ale jedno z nas jest ciężko ranne. Potrzebujemy pomocy.

- Która z was? - zaśpiewała, z uszami opadłymi z zakłopotania.

- To jest ktoś trzeci. Złamał kość w nodze. - Przelotnie zauważyła, że język Tytani zawierał formy zaimkowe, właściwe dla mężczyzn i kobiet. Przez głowę przelatywały jej fragmenty pieśni oznaczające męską matkę, a nawet jeszcze bardziej nieprawdopodobne pojęcia.

- Kość w nodze - zaśpiewała C-dur, wykonując uszami skomplikowany alfabet sygnałów. - Jeżeli się nie mylę, dla ludu takiego jak wy jest to całkiem poważne, bo przecież nie macie nogi na zbyciu. Zaraz wezwę uzdrowiacza. - Podniosła swój pasterski kij i wykonała krótki śpiew do małej zielonej bryłki na jego końcu.

Gaby wytrzeszczyła oczy.

- Mają radio? Rocky, powiedz, co się dzieje? - Powiedziała, że wezwie lekarza. I że mam nudne imię.

- Billowi lekarz się przyda, ale nie oczekujmy, że będzie on członkiem Amerykańskiego Towarzystwa Lekarskiego.

- Sądziś, że nie wiem o tym? - syknęła wściekle Cirocco. - Bill wygląda kiepsko jak cholera. Nawet gdyby ten lekarz nie miał nic prócz końskich pigulek, nie zaszkodzi, jeśli go obejrzy.

- Czy to była wasza mowa - spytała C-dur - czy też macie trudności z oddychaniem?

- W taki właśnie sposób rozmawiamy. Ja...

- Proszę, wybacz mi. Moja zadnia matka mówi mi, że muszę się nauczyć taktu. Mam tylko... - zaśpiewała liczbę dwadzieścia siedem i słowo oznaczające czas, którego Cirocco nie mogła zrozumieć - i muszę jeszcze wiele się nauczyć oprócz tego, co wyniosłam z łona matki.

- Rozumiem - zaśpiewała Cirocco, chociaż wcale tak nie było. - Musimy być dla was czymś dziwnym, tak jak wy wydajecie się dziwni dla nas.

- Czyżby? - Tonacja jej pieśni zdradzała, że było to dla niej coś nowego.

- Komuś, kto nigdy nie widział waszego rodzaju.

- Musi być tak, jak mówisz. Jeżeli jednak nigdy jeszcze nie widziałaś Tytanii, skądże właściwie wzięłaś się na wielkim kole świata?

Cirocco była zaskoczona sposobem, w jaki jej umysł tłumaczył pieśń C-dur. Kiedy usłyszała nuty składające się na słowo „skądże”, zrozumiała, przypominając sobie alternatywne tłumaczenie dwutonowego wyrazu, że C-dur mówiła uprzejmym, formalnym językiem i używała intonacji zarezerwowanych dla młodszych rozmawiających ze starszymi. Przerzuciła się na chromatyczne tony trybu rozkazującego.

- W ogóle nie jesteśmy z koła. Poza ścianami świata jest większe miejsce, którego nie widzicie...

- Och! Jesteście z Ziemi!

Nie powiedziała „Ziemia”, tak samo zresztą, jak nie nazwała się „Tytanią”. Ale chodziło jej o trzecią planetę od słońca, i fakt, że mówią o Ziemi, niepomiernie zaskoczył Girocco. C-dur mówiła dalej, a jej postawa znów uległa zmianie. Wyraźnie się ożywiła, a jej uszy, gdyby były odrobinę większe, na pewno zaczęłyby łopotać w powietrzu.

- Czuję się zmieszana - zaśpiewała. - Myślałam, że Ziemia była bajką dla dzieci do opowiadania przy ognisku. Myślałam też, że Ziemianie przypominają Tytanie.

Świeżo nastrojone ucho Girocco wyteżyło się przy ostatnim słowie. Zastanawiała się, czy można je przetłumaczyć jako „ludzie”. Na zasadzie „my, ludzie i wy, barbarzyńcy”. Brak jednak było takiego szowinistycznego podtekstu. Tamta mówiła o swoim gatunku jako jednym z wielu na Gai.

- Jesteśmy tu pierwsi - zaśpiewała Girocco. - Jestem zaskoczona, że słyszeliście o nas,

bo my o was aż do teraz nie wiedzieliśmy niczego.

- To wy nie opiewacie naszych wielkich czynów, jak my opiewamy wasze?

- Obawiam się, że nie.

C-dur spojrzała przez ramię. Na szczycie urwiska stała teraz inna Tytania. Wyglądem bardzo przypominała C-dur, z pewną kłopotliwą różnicą...

- To jest B-moll... - zaśpiewała C-dur, a potem w poczuciu winy przeszła z powrotem na formalny sposób wyrażania się.

- Zanim tu będzie, chciałabym zadać pewne pytanie, które dręczy mnie od momentu, kiedy was ujrzałam.

- Nie musisz mnie traktować jak starszą - zaśpiewała Cirocco. - Możesz być starsza ode mnie.

- O nie. Według czasu ziemskiego mam tylko trzy lata. Chciałabym wiedzieć, i mara nadzieję, że to pytanie nie będzie zuchwałe, jak udaje się wam stać tak długo i się nie przewrócić?

Rozdział 14

Kiedy dołączyła do nich druga Tytania, niepokojąca różnica anatomii, którą Cirocco zauważyła wcześniej, stała się zupełnie jasna i jeszcze bardziej krępująca. Pomiędzy przednimi nogami, tam gdzie C-dur miała kępę włosów, B-moll miał zupełnie ludzkiego penisa.

- Święty Boże - szepnęła Gaby, trącając Cirocco łokciem.

- Bądźże cicho! - syknęła Cirocco. - Działasz mi na nerwy.

- Ty i nerwy! A co ja mam zrobić? Nie rozumiem ani jednej nuty z twojego śpiewania. Ale to jest ładne, Rocky. Śpiewasz naprawdę ładnie.

Jeśli nie liczyć tych męskich genitaliów z przodu, B-moll był niemal identyczny jak

C-dur. Oboje mieli sterczące stożkowate piersi i bezwłosą, bladą skórę. Obie twarze przypominały twarze kobiece, były szerokouste i pozbawione zarostu. Malunek na ciele B-molla był obfitszy, a we włosach miał więcej kwiatów. Oprócz tego i penisa na dobrą sprawę wszystko było u nich identyczne.

Z fałdy skóry na wysokości brakującego pępka wystawał mu koniec drewnianego fletu. Najwyraźniej fałda stanowiła coś w rodzaju kangurzej torby.

B-moll postąpił naprzód i wyciągnął rękę. Cirocco zrobiła krok w tył, a B-moll ruszył szybko i położył jej ręce na ramionach. W pierwszej chwili się przestraszyła, ale później uświadomiła sobie, że on po prostu podziela obawy C-dur. Myślał, że padnie do tyłu, i chciał tylko pomóc jej utrzymać równowagę.

- W porządku - zaśpiewała nerwowo. - Mogę stać o własnych siłach. - Jego ręce były duże, ale absolutnie ludzkie. Dotykanie go sprawiało niesamowite wrażenie. To zupełnie co innego widzieć nierealną postać, a coś innego czuć pod palcami ciepło jej ciała.

W tym momencie uzmysłowiła sobie, że jest to pierwszy kontakt ludzkości z obcymi istotami myślącymi. Pachniał cynamonem i jabłkami.

- Uzdrowiciel wkrótce przybędzie - zaśpiewał pieśń jak równy z równym, chociaż ułożoną w formalnym trybie. - A tymczasem, czy nie jesteście głodne?

- Sami moglibyśmy zaoferować wam żywność - zaśpiewała Cirocco - ale prawdę mówiąc skończyły nam się zapasy.

- A moja przednia siostra niczego wam nie zaproponowała? - B-moll obrzucił C-dur karcącym spojrzeniem, a ta zwiesiła głowę. - Jest ciekawska i impulsywna, ale z myśleniem jest u niej gorzej. Wybaczcie jej, proszę. - Słowa, których użył dla określenia swoich związków z C-dur, były złożone. Cirocco znała słownictwo, ale nie mogła zrozumieć wszystkich odniesień.

- Była bardzo uprzejma.

- Jej zadniej matce przyjemnie będzie to usłyszeć. Czy dołączycie do nas? Nie wiem, jaki rodzaj pożywienia wolicie, ale jeżeli tylko mamy coś, co przypadnie wam do gustu - częstujcie się.

Sięgnął do swojej torby - tej zwykłej, przytroczonej w pasie, skórzanej, a nie kangurzej - i wyciągnął coś dużego, czerwono-brązowego, co przypominało wędzoną szynkę. Operował tym jak indyczą nóżką. Tytanie siadły, zgrabnie i bez trudu składając swe nogi, więc Cirocco i Gaby również usiadły, co Tytanie obserwowały ze szczerym zainteresowaniem.

Kawał mięsa krążył dookoła. C-dur przyniosła kilka tuzinów zielonych jabłek. Tytanie po prostu wkładały je sobie do ust, słychać było chrupnięcie, a następnie połykały.

Gaby krzywo popatrywała na owoce. Zmarszczyła brwi, kiedy Cirocco skosztowała jeden. Smakował jak zielone jabłko. Był biały w środku, soczysty i miał małe brązowe nasionka.

- Opiszemy sobie to wszystko później - powiedziała Cirocco.

- Nie miałabym nic przeciwko kilku odpowiedziom już teraz - odparła Gaby. - Nikt nam nie uwierzy, że siedziałyśmy sobie w kółko i jadłyśmy cholerne renety z pomalowanymi centaurami. C-dur zaśmiała się.

- Ta, którą nazywasz Gabi, śpiewa pieśń entuzjazmu.

- Czy ona mówi do mnie?

- Podoba jej się twoja pieśń.

Gaby uśmiechnęła się głupawo.

- To, co od ciebie usłyszałam, nie przypominało zbytnio Wagnera. W jaki sposób ich rozumiesz? A ich wygląd? Słyszałam o równoległej ewolucji, ale od pasa w górę? Że

w jakiś sposób są to istoty człowiekowate, w to mogę uwierzyć. Byłam przygotowana na wszystko, począwszy od wielkich bąbli galarety, a na ogromnych pająkach skończywszy. Ale... oni za bardzo przypominają nas.

- A jednak większość ich cech wcale nas nie przypomina.

- Racja - powiedziała Gaby, znowu podnosząc głos. - Popatrz jednak na tę twarz.

Zasłoń sobie te ośle uszy. Gęba jest szeroka, oczy wielkie, a nos wygląda tak, jakby biedaczek nastąpił na grabie, ale w sumie mieści się to w jakimś szeroko rozumianym ziemskim standardzie. Spójrz niżej, jeśli się odważysz. - Wzdrygnęła się. - Popatrz tylko na to, a jak powiesz mi, że to nie jest ludzki penis, powiem, że kłamiesz.

- Spytaj jej, czy nie możemy się przyłączyć - powiedział B-moll serdecznie. - Nie znamy słów, ale możemy zaimprovizować akompaniament.

Ciocco odśpiewała, że musi chwilę dłużej porozmawiać ze swoją przyjaciółką i że przetłumaczy im to później. Kiwnął głową na znak zgody, a potem z uwagą przysłuchiwał się rozmowie.

- Proszę, Gaby, nie krzycz na mnie.

- Przepraszam. - Spojrzała w dół i próbowała się uspokoić. - Lubię, kiedy sprawy mają sens. Ludzki penis dyndający u obcego stworzenia raczej sensu nie ma. Widziałaś ich ręce? Mają linie papilarne, widziałam odciski. FBI bez zbędnych pytań wciągnęłoby ich do kartoteki.

- Widziałam.

- Gdybyś mi tylko mogła wyjaśnić, jak z nimi rozmawiać...

Ciocco bezradnie rozłożyła ręce.

- Nie wiem. Wygląda to tak, jakby ten język tkwił mi w głowie. Śpiewanie jest trudniejsze niż słuchanie, ale tylko dlatego, że moja krtań niezbyt się do tego nadaje.

Początkowo się bałam, ale teraz już nie. Ufam im.

- Tak jak Calvin ufa swoim miękkołotom.

- Nie ulega kwestii, że w czasie snu ktoś się nami zabawiał. Ktoś dał mi znajomość ich mowy - nie wiem jak ani dlaczego - i ten sam ktoś dał mi coś jeszcze: uczucie, że za tym podarunkiem nie było złych intencji. Im dłużej rozmawiam z Tytaniami, tym bardziej je lubię.

- Calvin prawie dokładnie to samo mówił o tych cholernych sterowcach - powiedziała Gaby ponuro. - Mało brakowało, a aresztowałabyś go.

- Myślę, że teraz lepiej go rozumiem.

Tytania-uzdrawiacz - osobnik żeński o imieniu śpiewanym również w B-moll - wszedł do ich namiotu i spędził sporo czasu na badaniu nóg Billa pod uważnym okiem Cirocco. Brzegi rany były żółte i niebiesko-czarne. Kiedy uzdrawiacz nacisnął na obrzeżu, z rany wypłynęły krople ropy.

„Lekarka” była świadoma troski Cirocco. Wykręciła swój ludzki tors i pogrzebała w skórzanej sakwie przymocowanej do grzbietu czymś w rodzaju popręgu. Wyciągnęła przezroczystą okrągłą butelkę napełnioną brązowym płynem.

- Silny środek dezynfekujący - zaśpiewała.

- Jaki jest jego stan, lekarzu?

- Bardzo poważny. Nie leczony będzie u Gai za kilka dziesiątek obrotów. - Cirocco za pierwszym razem przetłumaczyła to właśnie tak, ale było tam pewne słowo używane dla oznaczenia upływu czasu. Stosując przedrostek, wymyśliła określenie „decyobroty”.

Jeden obrót Gai trwał blisko godzinę.

Znaczenie wyrażenia „być u Gai” było jasne. Mogło ono oznaczać jej świat, boginię, która była tym światem i wreszcie pojęcie powrotu do ziemi. Nie było mowy

o nieśmiertelności.

- A może chciałabyś poczekać na przybycie uzdrowiacza z twojego rodu? - zaśpiewała Tytania.

- Bill może go już nie doczekać.

- A więc tak. Moje środki powinny usunąć zakażenie wszelkimi pasożytami. Nie wiem, czy nie wpłyną na procesy metaboliczne. Nie mogę wam na przykład obiecać, że moja kuracja nie uszkodzi pompy, która tłoczy jego płyny ustrojowe, ponieważ nie wiem, gdzie wasz gatunek tę pompę ma.

- Dokładnie tutaj - zaśpiewała Cirocco, pukając się w pierś.

Uszy Tytanii zastrzygły komicznie. Przycisnęła jedno z nich do piersi Billa.

- Bez żartów - zaśpiewała. - No cóż, Gaja jest mądra i nie mówi, dlaczego się obraca.

Cirocco cierpiała męki niezdecydowania. Pojęcia metabolizmu i pasożytów na ogół nie są znane czarownicom. A przecież dobrze przetłumaczyła. A jednak nawet ten „lekarz” był świadomy, że jego kuracja może wyrządzić krzywdę ludzkiemu ciału. Ale Calvina nie było, a Bill umierał.

- O Boże, a to do czego służy? - zaśpiewała uzdrowiaczka. Trzymała stopę Billa i delikatnie zginała palce.

- Ee... one są... - spróbowała Cirocco, ale nie mogła znaleźć określenia dla zanikających w toku ewolucji szczątkowych organów. Istniało słowo na oznaczenie ewolucji, jednakże nie w zastosowaniu do istot żyjących. - Są użyteczne dla zachowania równowagi, nie są jednak niezbędne. Są pewnym przeoczeniem albo niedoskonałością projektu.

- Ah - zanuciła uzdrowiaczka - Gaja popełnia pomyłki, to wiadomo. Weźmy na przykład tego, z którym byłam pierwszy raz zadnio-płciowana, wiele miriaobrotów temu.

- Cirocco chciała przetłumaczyć przedmiot ostatniego zdania jako „mój mąż”, ale jakoś nie pasowało. Zupełnie spokojnie mogłaby to być „moja żona”, chociaż to też nie było trafne.

Brak angielskiego odpowiednika - pomyślała, a potem przypomniała sobie, o czym chciała mówić.

- Zrób, co możesz dla mojego przyjaciela - zaśpiewała. - Oddaję go w twoje ręce.

„Lekarka” kiwnęła na znak zgody i przystąpiła do pracy. Przede wszystkim przemyła ranę błyszczącym płynem. Nałożyła w otwór żółtej galaretowatej substancji i położyła na skórę duży liść, żeby odstraszyć małych mięsożerców. Obserwując te poczynania Cirocco była miotana sprzecznymi nastrojami. Wyglądało to wszystko zbyt prymitywnie. Kiedy jednak „uzdrawiaczka” obwiązywała ranę, użyła bandaży wyjętych z zamkniętych szczelnie pakietów, które - jak się wyraziła - były „oczyszczone od pasożytów”.

Pracując, z wielkim zainteresowaniem obserwowała Billa, czasami mruczac pod nosem śpiewkę zaskoczenia.

- I kto by to pomyślał...?...Mięsień tutaj? W taki sposób przyczepiony? To jakby chodzenie ze złamaną nogą... Nie, nie wierzę. - Opisywała Gaję rozmaicie: niekiedy nazywała ją mądrą, nieskończenie pomysłową, zbyt rozbudowaną, ale także po prostu głupią. Przyglądając się ze zdumieniem pośladkom Billa zauważyła, że Gaja cieszy się z przygodnego żartu tak samo jak z czci boskiej.

Kiedy skończyła, Cirocco była cała złana potem. Ale przynajmniej czarownica nie wyciągnęła grzechotki ani lalek voo-doo, ani nie rysowała magicznych znaków na piasku.

Kiedy zawiązała ostatni węzeł bandaża, zaczęła śpiewać pieśń zdrowia. Cirocco nie sądziła, by mogło to Billowi zaszkodzić.

Uzdrawiaczka nachyliła się nad Billem, objęła go i podtrzymując plecy podniosła go

delikatnie do prawie siedzącej pozycji. Trzymając go delikatnie przy piersi położyła jego głowę na swoim ramieniu i pochyliła swoją, aż jej usta znalazły się prawie przy samym jego uchu. Kołysała się w przód i w tył, mruczac piosenkę bez słów.

Bill stopniowo przestawał dygotać. Na twarz, teraz znacznie spokojniejszą niż przed chwilą, zaczęły wracać kolory.

Po kilku minutach Cirocco gotowa była przysiąc, że się uśmiechał.

Rozdział 15

Cirocco stwierdziła, że miała trochę uprzedzeń, które trzeba było zrewidować.

Pierwsze spostrzeżenie było najbardziej oczywiste. Kiedy pojawił się B-moll, który za wyjątkiem organów płciowych wyglądał bardzo podobnie do C-dur, założyła, że trudno będzie odróżnić od siebie poszczególne Tytanie.

Grupa, która pojawiła się na wezwanie C-dur, wyglądała, jakby się urwała z maskarady.

Uzdrowicielka miała szmaragdowozieloną głowę i długi ogon. Reszta jej ciała była pokryta grubym, śnieżnobiałym futrem. Była jeszcze jedna włochata Tytania:

truskawkowa blondynka z fioletowymi cętkami. Oprócz nich był też brązowo-biały srokacz, a także jeden centaur w ogóle pozbawiony włosów, z wyjątkiem ogona. Jego skóra miała kolor bladego błękitu.

Ostatni członek całej grupy nie był nagi, chociaż tak wyglądał. Miał końską sierść nie tylko na tej części, gdzie wydawało się to sensowne, ale również na ludzkim torsie. Cały był w jasnożółte i jaskrawo pomarańczowe pasy niczym zebra. Włosy na głowie i ogonie miały kolor lawendy. Odwracanie od niego oczu nie na wiele się zdało: obraz długo pozostawał na siatkówce.

Opętane karnawałową atmosferą Tytanie pomalowały swoje nagie skóry

i ufarbowały pasma włosów. Nosiły naszyjniki i bransolety, w poprzębijanych nosach i uszach nosiły kolczyki, a nogi obwijały sobie łańcuszkami splecionymi z miedzianych ogniów i kolorowych kamyków czy też sznurków lub kwiatów. Każda miała zrobiony z drewna, zwierzęcego rogu albo mosiądzu instrument muzyczny przewieszony przez ramię lub wystający z torby.

Drugie uprzedzenie - które właściwie było pierwsze, ponieważ wzięło się z tego, co im opowiedział Calvin - dotyczyło wyłącznie żeńskiej płci Tytanii. Ostrożne pytanie podsunęte „lekarce” spotkało się z bardzo jasną odpowiedzią i trochę szokującą demonstracją. Każdy osobnik bowiem wyposażony był aż w trzy organy płciowe.

Wiedziała już o męskich i żeńskich genitaliach umieszczonych z przodu. One właśnie określały rodzaj zaimka z powodów, które dla Tytanii musiały mieć jakiś sens.

Dodatkowo, każda z nich miała pod ogonem szeroką pochwę, zupełnie taką jak u klaczy. Najbardziej jednak szokował Gaby i Cirocco organ znajdujący się pośrodku.

W miękkim wybrzuszeniu pomiędzy zadnimi nogami uzdrawiacza znajdowała się gruba i mięsista pochwa, z której wystawał penis, ludzki w każdym szczególe, ale długi i gruby jak ręka Cirocco.

Cirocco uważała się za osobę dość doświadczoną. Widziała wielu nagich mężczyzn i już dawno minęły czasy, kiedy któryś z nich miał jej coś nowego do zaprezentowania.

Lubiła mężczyzn i lubiła z nimi sypiać, ale ten instrument sprawił, że zaczęła się zastanawiać, czy nie zostać mniszką. Taka gwałtowna reakcja zaniepokoiła ją. Wiedziała, że Gaby właśnie to miała na myśli, mówiąc, iż bardziej ją martwią podobieństwa, niż rzeczy na wskroś obce.

Trzeci powód do przemyśleń dała Cirocco jej szczególna znajomość języka. Umiała dobrać odpowiedni rzeczownik do każdego z organów płciowych Tytanii, ale nie znała

tych tylnych, nim jej o nich nie powiedziano. Nadal nie wiedziała, dlaczego były aż trzy i uporczywe przeczesywanie mózgu do niczego nie doprowadziło.

To, czym dysponowała, składało się z listy słów i gramatycznych reguł składni.

Zdawało to nieźle egzamin w przypadku rzeczowników - musiała tylko pomyśleć o danym przedmiocie, by znaleźć odpowiednie słowo. Trochę gorzej było w przypadku niektórych czasowników. Takie słowa, jak bieganie, pływanie, czy oddychanie były wystarczająco jasne. Znacznie trudniej było znaleźć czasowniki odpowiadające czynnościom, które Tytanie wykonywały i które były ludziom zupełnie obce.

Kompletna katastrofa następowała przy próbach opisu stosunków rodzinnych, reguł postępowania, obyczajów, a także całej masy innych rzeczy, w których życie Tytanii i ludzi miało mało punktów stycznych. Niektóre z takich pojęć w pieśni Tytanii były tylko pustym dźwiękiem. Czasami tłumaczyła je sobie i Gaby przy pomocy złożonych opisów, na przykład „ta, która jest mojej zadniej matki przednią jakąś tam”, czy „poczucie sprawiedliwego wstrętu do aniołów”. Całe takie frazy w języku Tytanii były oznaczane jednym słowem.

Ostatecznie sprowadzało się to do faktu, że obca myśl pozostawała obca także w jej głowie. Nie mogła sobie z nią dać rady, póki jej nie wyjaśniono, bo nie miała żadnych punktów odniesienia.

Przybycie grupy uzdrowiaczki spowodowało jeszcze jedną komplikację. Dotyczyła imion. Zbyt wiele imion było śpiewanych w tej samej tonacji, co sprawiło, że system, który na początku przyjęła, elegancko się zawalił. Gaby nie mogła ich wyśpiewać, więc Cirocco musiała znaleźć jakieś angielskie odpowiedniki.

Rozpoczęła w nastroju muzycznym i zdecydowała, że będzie się tego trzymać. Tę pierwszą, którą spotkali, przemianowała teraz na C-dur Piszczalka, ponieważ imię

brzmieniem przypominało marynarską piszczałkę. B-moll stał się B-moll Banjo, uzdrawiaczka - B-Kołysanką, truskawkowa blondynka była minorowym Walcem, srokacz - B-Klarnetem, a błękitna Tytania nosiła teraz imię G-Fokstrot. Pomarańczowo-żółtą zebkę nazwała D-minor Katarynką.

Gaby od razu zarzuciła te muzyczne określenia, czemu zresztą ktoś, kto zawsze był nazywany Rocky, nie powinien się dziwić.

Ambulans był długim, drewnianym wozem z czterema gumowymi kołami, który ciągnęły dwie Tytanie w luźnej uprzęży. Miał pneumatyczne zawieszenie i hamulce. Drewno miało kolor jasnożółty i przypominało świeżo spiłowaną sosnę, było bardzo gładko pocięte i zmontowane bez użycia gwoździ.

Ciocco i Gaby położyły Billa na ogromnym łożu pośrodku wozu i wdrapały się do niego razem z Kołysanką. Uzdrowicielka zajęła miejsce u stóp Billa, podkurczyła nogi i śpiewała mu, ocierając czoło wilgotną tkaniną. Pozostałe Tytanie szły obok, z wyjątkiem Piszczałki i Banjo, które zostały w tyle z całą kompanią. Dookoła widać było zwierzęta wielkości krowy, o czterech nogach i cienkiej, trzymetrowej szyi. Szyje były zakończone pazurami do grzebania w ziemi i pofałdowaną gębą. Odżywiały się, wbijając gębę w ziemię i wysysając mleko z grzbietu mułowych robaków. Jedyne oko umieszczone było u podstawy szyi. To pozwalało im obserwować otoczenie nawet z głową zagłębioną w gruncie.

Gaby spojrzała na jedną sztukę z wyrazem pewnego wzburzenia, nie bardzo mogąc uwierzyć, że takie coś w ogóle może istnieć.

- Gaja miała swoje dobre i złe dni - stwierdziła wreszcie, cytując aforyzm Tytanii, który przetłumaczyła jej Ciocco. - To coś musiała spłodzić po dziewięciodniowej balandze. A co z tym radiem, Rocky? Może mogłybyśmy rzucić na nie okiem?

- Zobaczę - zaśpiewała do Piszczalki-srokacza, pytając, czy mogą spojrzeć na ich mówiącą roślinę, a potem od razu przechodząc na nasłuch.

- Nie wytwarzają ich - powiedziała. - Hodują je.

- Dlaczego wcześniej tego nie powiedziałaś?

- Ponieważ dopiero teraz sobie to uświadomiłam. Musisz mi zaufać. Gaby, to słowo znaczy dla nich „nasienie rośliny, która niesie pieśń”. Popatrz.

To, co było przytroczone do bagażu Piszczalki, było w istocie podługowatym, żółtym nasieniem, gładkim i pozbawionym jakichś charakterystycznych cech, może za wyjątkiem delikatnej brązowej plamki.

- Tu się mówi - zaśpiewała Piszczalka, pokazując plamkę. - Nie dotykajcie tego, ponieważ wtedy ogłuchnie. Śpiewa twoją piosenkę swojej matce, a kiedy jej się spodoba, śpiewa całemu światu.

- Obawiam się, że niezupełnie rozumiem.

Piszczalka pokazała na coś za plecami Gaby.

- Tam jest jedna, która nadal ma dzieci.

Podbiegła truchtem do kępy krzaków, które rosły w niewielkim zagłębieniu. Obok każdego krzaka z ziemi wyrastało coś w kształcie dzwonka. Chwyciwszy za to, centaur wyszarpnął roślinę z ziemi i przeniósł wraz z korzeniami na wóz.

- Śpiewa się do nasion - wyjaśniła. Zdjęła z ramienia swój mosiężny róg i zagrała kilka tanecznych taktów na pięć czwartych. - A teraz skłońcie uszy... - Przerwała zakłopotana. - To znaczy zróbcie to, co wasza rasa robi, żeby poprawić słyszalność.

Po upływie pół minuty usłyszeli dźwięki rogu, trzeszczące jak ze starego fonografu Edisona, ale zupełnie wyraźne. Piszczalka zagrała przeciągłą nutę, która została szybko powtórzona. Nastąpiła przerwa, a potem usłyszeli oba motywy równocześnie.

- Słyszysz moją pieśń, podoba jej się, widzicie? - zaśpiewała Piszczalka z szerokim uśmiechem.

- Jak nadajnik radiostacji - powiedziała Gaby. - A co będzie, jeżeli discojockey nie zechce zagrać tej pieśni?

Ciocco przetłumaczyła pytanie Gaby najlepiej, jak umiała.

- Śpiew przyjemny dla ucha wymaga pewnej wprawy - przyznała Piszczalka. -

Wykazują jednak dobrą wolę. Matka może mówić szybciej, niż biegną cztery nogi.

Ciocco przetłumaczyła, ale Piszczalka przerwała jej.

- Nasiona są przydatne również w tworzeniu oczu, które widzą w ciemności -

zaśpiewał centaur. - Za ich pomocą ciągle badamy pomyślność wiatrów w razie nadejścia aniołów.

- Wygląda to na radar - powiedziała Ciocco.

Gaby popatrzyła na nią z powątpiewaniem.

- Masz zamiar wierzyć we wszystko, co mówią te przemądrzałe kucyki?

- W takim razie powiedz mi, jak te nasiona działają, jeśli nie na zasadzie elektronicznej. Wolałabyś telepatię?

- Magię jakoś łatwiej bym przełknęła.

- Więc nazwij to magią. Myślę, że w tych nasionach są kryształy i obwody. Jeżeli można wyhodować organiczne radio, to dlaczego by nie radar?

- W radio mogę uwierzyć, ale tylko dlatego, że widziałam je na własne oczy, a nie dlatego, że chcę mieć z tym cokolwiek do czynienia. Ale nie w radar.

Instalacja radarowa Tytanii umieszczona była pod namiotem na przedzie ambulansu.

Rube Goldberg byłby na pewno w nie lada kłopotcie. Do kubła z ziemią przymocowane były orzechy i liście, prowadziły do nich grube, miedziane pnącza. Kołysanka

powiedziała, że ziemia zawiera robaki, które wytwarzają „esencję mocy”. Pewna ilość nasion radiowych powiązana była z wiązkami pnączy o ostrych końcach, które najwidoczniej wsadzono z pewną precyzją, ponieważ każde z nich miało wokół miejsca, w którym ostatecznie zrealizowano kontakt, ciasny wianuszek wilgotnych nakłuć. Było tam jeszcze sporo innych elementów, wszystkie roślinne, włączając w to liść, który świecił, kiedy padł nań promień światła z innej rośliny.

- Odczyt jest łatwy - zaśpiewała Kołysanka wesoło. - Ten punkt fałszywego ognia reprezentuje niebieskiego olbrzyma, którego widzicie tam, od strony Rei. - Pokazała palcem punkt na ekranie. - Zobaczcie, jak traci życie... tam! Teraz świeci jasno, ale w trochę innym miejscu.

Ciocco zaczęła tłumaczyć, ale Gaby jej przerwała.

- Wiem, jak działa radar - wymruczała. - Ta cała ceremonia mnie obraża.

- Teraz nie potrzebujemy tego za bardzo - zapewniła Piszczalka. - To nie jest sezon na anioły. Nadchodzą razem z tchnieniem Gai ze wschodu i męczą nas tak długo, aż nie zassie ich ona na powrót do swej piersi.

Ciocco zastanawiała się, czy dobrze usłyszała, czy tamta rzeczywiście zaśpiewała „zassie je do swojej piersi”? Porzuciła te rozmyślania, ponieważ Bill zajęczał i otworzył oczy.

- Cześć! - zaśpiewała Kołysanka. - Tak miło, że wróciłeś.

Bill wrzasnął, a potem wydał przeciągły krzyk, kiedy poruszył nogą.

Ciocco wcisnęła się pomiędzy Kołysankę i Billa. Zobaczył ją i odetchnął z ulgą.

- Miałem koszmarne sen, Rocky - powiedział.

Potarła czoło.

- Prawdopodobnie nie wszystko z tego było snem.

- Co? Ach, masz na myśli centaury. Nie, pamiętam, jak ten biały kołysał mnie i śpiewał.

- No więc, jak się czujesz?

- Słabo. Noga tak strasznie nie boli. Czy to dobry objaw, czy też jest po prostu martwa?

- Myślę, że ci się poprawia.

- A co z... no wiesz. Z gangreną. - Spojrzał w bok.

- Nie sądzę. Po kuracji, którą zaaplikował ci uzdrowiciel, prezentuje się znacznie lepiej.

- Uzdrowiciel? Centaur?

- Tylko to nam pozostało - powiedziała Cirocco, ponownie ogarnięta wątpliwościami.

- Calvin się nie pojawił. Przypatrywałam się jej i wyglądało na to, że wie, co robi.

Myślała, że ponownie zapadł w sen. Po dłuższej chwili jednak uniósł powieki i uśmiechnął się blado.

- To nie jest decyzja, którą chciałbym podejmować sam.

- To było okropne, Bill. Powiedziała, że umierasz, a ja jej uwierzyłam. Mieliśmy do wyboru ją albo nie robić nic do przybycia Calvina - a nie bardzo wiem, co mógłby zdziałać bez żadnych lekarstw - i kiedy ona powiedziała, że może zabić zarazki, co wydawało się sensowne, ponieważ... Dotknął jej kolana. Jego ręka była chłodna, ale nie drżała.

- Zrobiłaś dobrze - powiedział. - Zobaczysz. Za tydzień będę chodził.

Było późne popołudnie, wieczne, monotonne, późne popołudnie i ktoś szarpnął ją za ramię. Zamrugła gwałtownie.

- Przybyli twoi przyjaciele - zaśpiewała Foxtrot.

- To był ten powietrzny olbrzym, którego widzieliśmy wcześniej - dodała Kołysanka. -

Lecieli na nim cały czas.

- Przyjaciele?

- Tak, twój uzdrawiacz i jeszcze dwójka.

- Dwójka... - Zerwała się na równe nogi. - Ci inni. Masz o nich jakieś informacje?

O jednej już wiem. Czy ta druga jest do niej podobna, czy też jest mężczyzną, tak jak mój przyjaciel Bill?

Uzdrawiacz zmarszczył brwi.

- Wasze zaimki płaczą mi się. Szczerze mówiąc, nie wiem, kto z was jest kobietą, a kto mężczyzną, ponieważ ukrywacie się pod paskami materiału.

- Bill jest mężczyzną, a ja i Gaby jesteśmy kobietami. Wyjaśnię ci to później, ale kto jest na powietrznym gigancie?

Kołysanka wzruszyła ramionami.

- Olbrzym nie powiedział. Jest tak samo otumaniony jak ja. Gwizdek zawisł nad kolumną Tytanii i wozem, który zatrzymał się, by zaczekać na zrzut. Pojawił się spadochron z uciepioną doń maleńką czarną sylwetką. To był na pewno Calvin.

Kiedy powoli opadał, pojawił się jeszcze jeden spadochron i Cirocco wytrzymała wzrok, by przekonać się, kto szybował pod nim. Postać wydawała jej się zbyt wielka. Później otworzył się trzeci spadochron, a wreszcie czwarty.

Zanim dostrzegła Gene'a, w powietrzu unosił się już cały tuzin spadochronów.

Reszta grupy, nie do wiary, składała się z Tytanii.

- Hej, to Gene! - wrzasnęła Gaby. Stała niedaleko od Cirocco, z Foxtrot i Piszczalką.

Cirocco została przy wozie. - Ciekawa jestem, czy April...

- Anioły! Anioły atakują! Formuj się!

Głos Tytania przypominał skrzek: był wyzbyty całej melodyjności i nabrzmiały nienawiścią. Cirocco ze zdumieniem ujrzała, jak Kołysanka schyla się nad radarem, wykrzykując rozkazy. Z wykrzywioną twarzą, zdawała się zupełnie zapomnieć o Billu.

- Co się dzieje? - zaczęła Cirocco, ale natychmiast padła na ziemię, kiedy Kołysanka przeskakiwała nad nią.

- Leż, dwunożna! Trzymaj się od tego z daleka.

Cirocco podniosła głowę i zobaczyła niebo wypełnione skrzydłami.

Spadały z boków miękkołota, ze skrzydłami zwiniętymi dla nabrania prędkości i atakowały spadające Tytanie, które bezsilnie zwisały ze swoich szelek. Były ich całe tuziny.

Rzuciło ją na podłogę wozu, który ruszył gwałtownie do przodu z przypominającym odgłos bicia kłaśnięciem skórzanej uprzęży. Omal nie wypadła przez otwarte tylne drzwi, jednak zdołała jakoś utrzymać się na czworakach. Widząc, jak Gaby skacze i chwytając burtę wozu, Cirocco pomogła jej dostać się do środka.

- Co się do diabła dzieje? - Gaby trzymała miecz z brązu, którego Cirocco przedtem nie zauważyła.

- Uważaj! - Billa wyrzuciło z posłania. Cirocco podczołgała się do niego i próbowała wciągnąć z powrotem, ale utrudniały to dzikie podskoki wozu na kamieniach i wybojach.

- Zatrzymaj to świństwo, do jasnej cholery! - zawyła Cirocco, a potem przytomnie zaśpiewała to samo w miejscowym języku. Bez rezultatu. Dwójka zaprzężona z przodu rwała się do walki i nic nie było w stanie jej zatrzymać. Jeden z centaurów wywijał wzniesionym mieczem, wrzeszcząc przy tym demonicznie.

Cirocco klapnęła jednego z centaurów po zadzie i omal nie została oskalpowana

śmignięciem miecza, które było reakcją na jej zabiegi. Schyliła głowę i przyjrzała się węzłom, za pomocą których „rumaki” były przywiązane do wozu.

- Gaby, daj mi ten interes i to szybko.

Gaby rzuciła miecz rękojeścią ku niej. Ciachnęła skórzaną uprząż, uwalniając wóz najpierw od jednego, a później od drugiego centaura.

Tytanie nie zauważyły straty. W szybkim tempie oddalały się od wozu, który wreszcie walnął w duży głaz na drodze i zatrzymał się.

- Co tu się dzieje?

- Nie wiem. Dowiedziałam się jedynie tyle, że trzeba trzymać się blisko ziemi. Pomóż mi z Billem, dobrze?

Nie spał i na pierwszy rzut oka był cały. Obserwował niebo, kiedy kładły go z powrotem na pryczę.

- Święty Boże! - powiedział na tyle głośno, że jego głos przebił się przez wrzaski Tytanii. - Ależ jatki!

Ciocco spojrzała w górę i dostrzegła, jak jedno z latających stworzeń przecina trzy linki spadochronu szybującej Tytanii. Spadochron zwinął się, a nieszczęsny stwór z prędkością, która przyprawia o mdłości, zniknął za niewysokim wzgórzem na zachodzie.

- To mają być anioły? - zdziwił się Bill.

Dla Tytanii były to anioły śmierci. Ludzkiej postaci, z opierzonymi skrzydłami o rozpiętości siedmiu metrów” anioły zamieniły spokojne niebo ponad Hyperionem w jatkę. Wkrótce wszystkie spadochrony zniknęły z firmamentu.

Bitwa nadal toczyła się za wzgórzem, poza zasięgiem ich wzroku. Tytanie wydawały dźwięki podobne do przeciągania paznokciem po tablicy, a wyżej rozlegało się

niesamowite zawrozczenie, które musiały wydawać anioły.

- Za tobą! - krzyknęła Gaby ostrzegawczo. Cirocco błyskawicznie się odwróciła.

Ze wschodu po cichu zbliżał się anioł. Dotknął ziemi, a wielkie skrzydła znieruchomiały, ogromniejąc z niesamowitą prędkością. Zobaczyła miecz w jego lewej dłoni, ludzką twarz wykrzywioną w krwiożerczym grymasie, łzy kapiące z kącików oczu i mięśnie naprężające się na ramieniu wznoszącym miecz...

Przeleciał nad nimi bijąc skrzydłami, by wznieść się nad niewysokie wzgórze. Końce skrzydeł dotknęły ziemi i podniosły tumany kurzu.

- Chybił - odezwała się Gaby.

- Siadaj - powiedziała Cirocco. - Stojąc tak, stanowisz znakomity cel. Zresztą ta bestia wcale nie chybiła. W ostatniej chwili rozmyślił się, widziałam, jak wstrzymał ruch miecza.

- Dlaczego to zrobił? - Gaby przykucnęła koło Cirocco i zaczęła obserwować horyzont.

- Nie wiem. Najprawdopodobniej dlatego, że nie masz czterech nóg. Następny może jednak nie być taki spostrzegawczy.

Widziały, jak następny anioł zbliża się z nieco innego kierunku. Przecinał powietrze ze złączonymi nogami, za którymi pojawiło się coś w rodzaju ogona, z ramionami i skrzydłami rozłożonymi tylko na tyle, by utrzymać prędkość. Cirocco nigdy nie widziała stworzenia poruszającego się w powietrzu równie wdzięcznie i efektownie.

Dostrzegły jeszcze jednego anioła, nabierającego prędkości w bezpośrednim locie nurkowym. W ostatnim momencie wyhamował, przemknął tuż nad ziemią i zniknął za stokiem wzgórza. Każdego pilota-specjalistę od lotów agrotechnicznych taki wyczyn przyprawiłby o kołatanie serca.

- Są bardzo dobre - wyszeptwała Gaby.

- Nie chciałabym walczyć z nimi wręcz - zgodziła się Cirocco. - Porąbałyby mnie na kawałki.

Ze wschodu powiał chłodny wiatr, unosząc pył z wysuszonej ziemi.

Zza wzgórza pojawiły się Tytanie ścigane przez całe stado aniołów. Cirocco rozpoznała Kołysankę, Piszczalkę i Foxtrota. Lewa przednia noga Piszczalki była zakrwawiona. Tytanie były uzbrojone w drewniane lance z mosiężnymi grotami i w brązowe miecze.

Nie śpiewały już pieśni bojowej, ale ich oczy nadal jarzyły się szalem walki. Z nozdrzy buchała para, a gładkowłose błyszczały od potu. Przemknęły z hałasem obok wozu, a potem zawróciły, by stawić czoła aniołom.

- Wykorzystują wóz jako osłonę! - krzyknęła Gaby. - Złapią nas w środek.

Wychodzimy, szybko!

- A co z Billem?! - wrzasnęła Cirocco.

Oczy Gaby spotkały się z jej wzrokiem na krótką chwilę. Wydawało się, że chce coś powiedzieć, ale tylko niewyraźnie zamruczała i wzięła od Cirocco swój miecz.

Przejawiając znacznie więcej odwagi niż zdrowego rozsądku, stanęła w tyle wozu w oczekiwaniu na zbliżające się anioły. Po raz kolejny stawiała pomiędzy swoją miłością a zbliżającym się niebezpieczeństwem.

Anioły zignorowały ją.

Stała z mieczem gotowym do zadania ciosu, gdy latający napastnicy ominęli ją po bokach wozu, by zetrzeć się z ukrytymi z tyłu Tytaniem.

Wybuchł nieopisany hałas. Zawodzenie aniołów mieszało się z wrzaskiem Tytanii, kiedy powietrze przecinały masy potężnych skrzydeł.

Z chmury pyłu wyłonił się potworny kształt. Koszmar wymalowany w odcieniach brązu i czerni. Skrzydła poruszały się niczym ożywione cienie. Był ślepy, z laną i mieczem dżgającym bez celu, kiedy anioły próbowały wskazać mu kierunek pośród zamętu walki. Wydawał się nie większy niż dziesięcioletnie dziecko. Ciemna krew ściekała z rany na jego boku.

Znalazł się nad nimi i rzucił laną. Brązowy grot przeszedł przez rękaw szaty Gaby i wbił się w dno wozu, drgając niczym cięciwa łuku. Potem przemknął koło nich anioł z drewnianym oszczepem tkwiącym w karku. Upadł i Cirocco nic więcej nie zdołała dostrzec.

Bitwa wokół wozu ustała równie nagle, jak rozgorzała. Zawodzenie aniołów zmieniło tonację i uskrzydleni napastnicy wzbili się w powietrze. W chwilę później widać było tylko sylwetki oddalające się na wschód.

Na ziemi wokół wozu panował zamęt. Trzy Tytanie deptały ciało zabitego anioła, które wkrótce przestało przypominać ludzką postać. Cirocco odwróciła wzrok. Widok krwi i morderczej pasji na twarzach centaurów przyprawiał ją o mdłości.

- Jak sądzisz, dlaczego się oddalili? - spytała Gaby. - Jeszcze parę minut i mieliby to z głowy.

- Muszą wiedzieć o czymś, czego my nie wiemy - powiedziała Cirocco.

Bill spoglądał ku zachodowi.

- Tam - powiedział, wskazując ręką. - Ktoś się zbliża. Cirocco dostrzegła dwie znajome sylwetki. To byli pasterze Rożek i Banjo zbliżający się w pełnym galopie.

Gaby zaśmiała się gorzko.

- Moglibyście pokazać mi coś lepszego. Jak powiedziała Rocky, jeden z tych dzieciaków ma zaledwie trzy lata.

- Tam - powiedział znowu Bill, wskazując w inną stronę.

Ze wzgórza nadciągała fala Tytanii niczym pstra kawaleria.

Rozdział 16

Sześć dni po ataku aniołów, sześćdziesiątego pierwszego dnia od ich pojawienia się na Gai Cirocco leżała wyciągnięta na niskim stoliku ze stopami w zaimprovizowanych strzemionach. Calvin leżał na dole, ale nie chciała na niego patrzeć. Kołysanka, białowłosa uzdrawiaczka przypatrywała się i śpiewała w miarę postępu operacji. Pieśni działały kojąco, ale nie bardzo pomagały.

- Szyjka macicy jest wyciągnięta - powiedział Calvin.

- Wołałabym o tym nie słyszeć.

- Przepraszam. - Wyprostował się na chwilę, a Cirocco dostrzegła jego oczy i czoło ponad maską chirurgiczną. Obficie się pocił. Kołysanka wytarła pot, a on wzrokiem wyraził jej wdzięczność. - Czy możesz przysunąć tę lampę?

Gaby przystawiła pełgającą lampę, która rzucała olbrzymi cień jej nóg na ścianę.

Cirocco dobiegł metaliczny szcęk narzędzi wyciąganych ze sterylizującej kąpieli, a potem poczuła zgrzyt łyżeczki przesuwanej przez wziernik.

Calvin chciał mieć instrumenty z nierdzewnej stali, ale Tytanie nie były w stanie ich sporządzić. Razem z Kołysanką i najlepszymi rzemieślnikami pracowali tak długo, aż sporządzili narzędzia mosiężne, które musiały go zadowolić.

- Boli - zgrzytnęła Cirocco.

- Zadajesz jej ból - wyjaśniła Gaby, tak jakby Calvin nie rozumiał po angielsku.

- Gaby, albo będziesz cicho, albo znajdę kogoś innego do trzymania lampy. - Cirocco nigdy jeszcze nie słyszała Calvina przemawiającego takim ostrym tonem. Przerwał na chwilę i tarł czoło rękawem.

Ból nie był bardzo mocny, ale tępy i trudny do umiejscowienia, niczym rwanie w uchu środkowym. Słyszała i czuła skrobanie, i to sprawiało, że zagryzała wargi.

- Mam - powiedział Calvin miękko.

- Co masz? Widzisz to?

- Tak. Jesteś bardziej zaawansowana, niż sądziłem. To dobrze, że tak popędzałaś. -

Znowu zabrał się do skrobania, przerywając co chwilę, by oczyścić narzędzie.

Gaby odwróciła się do światła, by zbadać coś, co leżało na jej dłoni.

- Ma cztery nogi - wyszeptała, zbliżając się do boku Cirocco.

- Nie chcę tego widzieć. Zabierzcie to ode mnie.

- Można obejrzeć? - zaśpiewała Kołysanka.

- Nie! - Z trudem powstrzymywała mdłości i nie będąc w stanie odśpiewać Tytaniu

odpowiedzi, potrząsnęła gwałtownie głową. - Gaby, zniszcz to! Teraz, słyszysz?

- Zrobione, Rocky.

Cirocco gwałtownie wypuściła powietrze i westchnienie przeszło w szloch.

- Nie chciałam na ciebie krzyczeć. Kołysanka powiedziała, że chce to obejrzeć. Pewnie powinnam jej była pozwolić. Może mogłaby powiedzieć, co o tym sądzić.

Cirocco chciała iść o własnych siłach, ale miejscowe wyobrażenie medycyny obejmowało przede wszystkim przytulanie, ogrzewanie ciepłem ciała i śpiewanie pogrzejających piosenek. Kołysanka przeniosła ją przez ubitą drogę do kwatery, którą przydzielili im Tytanie. Kładąc ją na łóżko, śpiewała piosenkę wspierającą w czasie duchowej udręki. Obok stały jeszcze dwa puste łóżka.

- Witaj w lecznicy dla zwierząt - powitał ją Bill. Zdobyła się na słaby uśmiech, kiedy Kołysanka układała pościel.

- Twój dowcipny przyjaciel znowu żartuje? - zaśpiewała Kołysanka.

- Tak, nazywa to miejsce lecznicą dla zwierząt.

- Powinien się wstydzić. Leczenie to leczenie. Wypij to, od razu się odprężysz.

Ciocco wzięła skórzany bukłak i solidnie pociągnęła. Paliło i wydzielało ciepło rozlewające się po całym ciele. Tytanie pijały sfermentowane napoje z tych samych powodów co ludzie i było to jedno z najprzyjemniejszych odkryć ostatnich sześciu dni.

- Mam uczucie, że coś klepie mnie po przegubach - powiedział Bill. - Teraz już znam ten ton głosu.

- Ona cię kocha, Bill, nawet wtedy, gdy jesteś wstrętny.

- Miałem nadzieję dodać ci otuchy.

- To była interesująca próba. Bill, to miało cztery nogi.

- Och, a ja tu się wygłupiam z kliniką dla zwierząt. - Sięgnął i chwycił ją za rękę.

- W porządku. Już po wszystkim. Teraz mam ochotę tylko na sen. - Jeszcze dwa razy pociągnęła solidnie z naczynia i zasnęła.

Pierwszą godzinę po operacji Gaby spędziła opowiadając na prawo i lewo, że czuje się świetnie, a potem zwymiotowała i przez dwa dni miała gorączkę. August przeszła zabieg bez żadnych objawów chorobowych. Ciocco była zdrowa, choć zgorzkniała.

Bill robił postępy w tym sensie, że wracał do zdrowia, ale według Calvina kość nie została złożona prawidłowo.

- O ile przedłuży to leczenie? - spytał Bill. Pytał o to już przedtem. Nie było nic do czytania, nie było też telewizji, jedyną rozrywkę stanowiło okno wychodzące na ciemną ulicę Titantown. Ze swoimi pielęgniarkami mógł się porozumiewać tylko w jakichś strasznie amatorskich przyśpiewkach. Kołysanka uczyła się angielskiego, ale szło jej bardzo opornie.

- Przynajmniej jeszcze dwa tygodnie - powiedział Całym.

- Czuję, że mógłbym chodzić już dziś.

- Prawdopodobnie mógłbyś i w tym właśnie tkwi niebezpieczeństwo. Noga trzasnęłaby niczym uschnięty patyk.

Nie, chciałbym, żebyś wstawał o kulach dopiero za dwa tygodnie.

- A co myślisz o wyniesieniu go na zewnątrz? - spytała Cirocco.

- Czy chciałbyś wyjść na dwór, Bill?

Wynieśli Billa razem z łóżkiem na zewnątrz, ponieśli kawałek ulicą i ustawili pod

jednym z rozłożystych drzew, które sprawiały, że Titantown było niedostrzegalne

z powietrza i najbardziej zbliżone do warunków nocy, od czasu badania podstawy kabla.

Tytanie przez cały czas oświetlały swoje domy i ulice.

- Widziałeś dziś Gene'a? - spytała Cirocco.

- To zależy od tego, co rozumiesz przez *dzisiaj* - powiedział Calvin, ziewając. - Nosisz mój zegarek.

- Ale go nie widziałeś?

Calvin potrząsnął głową.

- Ani przez chwilę.

- Zastanawiam się, o co mu chodzi.

Calvin znalazł Gene'a, który posuwał się z biegiem Ophion po bardzo stromym

terenie. Rzeka płynęła wokół Góry Przeznaczenia w Krios, w strefie dnia na zachód od

Rei. Mówił, że pojawił się w strefie zmroku i od tego czasu cały czas wędrował, próbował nawiązać kontakt z resztą załogi.

Kiedy pytali go, co robił, otrzymywali zawsze tę samą odpowiedź: „próbował

przeżyć”. Cirocco nie miała wątpliwości co do tego, zastanawiała się jednak, co

konkretnie miał na myśli. Wymazał z pamięci doświadczenia z okresu, kiedy był

pozbawiony zmysłów, mówiąc, że z początku miał depresję, ale później zrozumiał sytuację i uspokoił się.

Ciocco nadal nie była pewna, co Gene przez to rozumie.

Na początku była zadowolona, że ma przy sobie kogoś, kto wydawał się równie mało zmieniony jak ona. Gaby nadal jęczała przez sen, a Bill miał luki w pamięci, które jednak powoli zapełniały się powracającymi wspomnieniami. August cierpiała na chroniczne załamanie, które pchnęło ją na skraj samobójstwa. Calvin był szczęśliwy, ale pragnął być sam. Tylko ona i Gene wydawali się prawie nienaruszeni.

Wiedziała jednak, że była obiektem tajemniczych oddziaływań, gdy przebywała w ciemności. Umiała śpiewać w języku Tytanii. Miała uczucie, że Gene doznał więcej, niż mówił i zaczęła szukać objawów tych nieznanych przeżyć.

Często się uśmiechał. Nawet nie pytany zapewniał wszystkich, że czuje się dobrze. Był bardzo przyjazny. Czasem było to zachowanie aż nazbyt serdeczne, ale poza tym wydawało się, że wszystko jest z nim w porządku.

Zdecydowała, że musi go odnaleźć i spróbować jeszcze raz porozmawiać o brakujących dwóch miesiącach.

Podobało jej się w Titantown.

Pod drzewami panowała przyjemna temperatura, ponieważ ciepło na Gai wydobywało się z gruntu, a wysokie sklepienie zatrzymywało je. Było gorąco i sucho. Ciocco stwierdziła, że jej ciało chłodzi się z maksymalną wydajnością wtedy, kiedy chodzi boso, odziana tylko w lekką koszulę. Ulice były sympatycznie oświetlone papierowymi lampionami, które przypominały jej Japonię. Podłóże stanowiła mocno ubita ziemia, zwilżona przez coś, co nazywano roślinami zraszającymi, a które za każdym obrotem rozpylały mgiełkę. Powietrze pachniało wtedy jak po nocnym, letnim

deszczu. Płoty były tak obrosnięte kwiatami, że płatki leciały ciągłym deszczem. Zupełnie dobrze rosły w wiecznej ciemności.

Tytanie nigdy nie słyszały o planowaniu miejskiej zabudowy. Domostwa były rozrzucone raczej przypadkowo na ziemi, pod ziemią, a nawet na drzewach. Ulice wyznaczał po prostu ruch. Nie było oznaczeń ani znaków drogowych, a jakakolwiek mapa miasta zostałaaby wkrótce pokryta poprawkami, nowe domy bowiem wyrastały na środku drogi, a piesi torowali sobie drogę przez płoty tak długo, aż ustaliła się nowa równowaga.

Wszyscy witali ją radosną piosenką.

- Cześć, ziemski potworze! Ciągłe się trzymasz, jak widzę.

- Och, zobacz, idzie ten dwunożny dziwoląg. Chodź i zjedz z nami, Szi-ro-ko.

- Wybaczcie, ludzie - zaśpiewała. - Mam ważne sprawy. Nie widzieliście czasem

Mistrza Śpiewu w C-dur?

Bawiło ją takie tłumaczenie ich śpiewu, chociaż w ich języku zarówno potwór, jak i dziwoląg nie brzmiały obraźliwie.

Zaproszeniu na biesiadę trudno było się jednak oprzeć. Po dwóch miesiącach odżywiania się surowym mięsem i miękkimi owocami jedzenie przyrządzane przez Tytanie smakowało zbyt dobrze, aby mogło być prawdziwe. Sztuka kulinarna była dziedziną, w której miały największe osiągnięcia, a - z nielicznymi wyjątkami - ludzie mogli jeść wszystko.

Odnalazła budynek, który nazwała Ratuszem, raczej dzięki szczęściu niż logice, zatrzymując się często i pytając o drogę. (Pierwsza w lewo, druga w prawo, później koło... nie, ta została zablokowana w ostatnim kiloobrocie, prawda?) Tytanie rozumiały układ miasta, ale nie sądziła, żeby kiedykolwiek jej samej udało się ta sztuka.

Budynek był Ratuszem po prostu dlatego, że mieszkał w nim Mistrz Śpiewu, który najbardziej przypominał przywódcę. Właśnie on był głównodowodzącym na wypadek wojny, ale nawet w tym przypadku jego władza była ograniczona. To on przyprowadził posiłki w dzień bitwy z aniołami. Od tego czasu zachowywał się jak zwyczajny członek tytańskiej społeczności.

Ciocco chciała spytać przywódcę, czy nie wie, gdzie można znaleźć Gene'a. Okazało się to jednak niepotrzebne, ponieważ Gene właśnie tam był.

- Rocky, tak mi miło, że mogłaś wpaść po drodze - powiedział podnosząc się i obejmując ją ramieniem. Pocałował ją lekko w policzek, co jakoś wydało jej się denerwujące.

- Właśnie mówiliśmy z Mistrzem o pewnych rzeczach, które mogą zainteresować również i ciebie.

- Mówiłeś... możesz z nimi rozmawiać?

- Jego wymowa jest okropna - zaśpiewał Mistrz w trudnej, eolicznej tonacji. -

Przypomina wymowę ludzi z Cria. Jego głos nie układa się przyzwoicie, a ucho bardziej jest dostosowane do... nazwijmy to niemodulowanych słów waszych piszczałek. Od biedy jednak możemy śpiewać razem.

- Trochę zrozumiałem - zaśpiewał Gene, śmiejąc się. - Rzeczy, które sylabizują mi nad głową, jak dziecku.

- Dlaczego nie powiedziałeś mi o tym przedtem, Gene? - spytała, szukając jego wzroku.

- Nie myślałem, że to takie ważne - powiedział, bagatelizując całą sprawę machnięciem ręki. - Dostałem trochę tego, co i ty, ale nie przyjęło się tak dobrze jak u ciebie.

- Chciałabym po prostu, żebyś mi o takich rzeczach mówił, to wszystko.

- Przepraszam, w porządku? - Wydawał się poirytowany, a ona zastanawiała się, czy rzeczywiście chciał, żeby wiedziała. Na pewno uznał, że nie może już tego dłużej ukrywać.

- Gene mówił o wielu interesujących sprawach - zaśpiewał Mistrz. - Porysował mi cały stół, ale wszystkie te linie są dla mnie mało zrozumiałe. Chciałbym wszystko zrozumieć i mam nadzieję, że twój znakomity śpiew rozwieje ciemności.

- Tak, Rocky, spróbuj. Nie mogę tego jakoś wytłumaczyć temu durnemu oślemu synowi.

Cirocco rzuciła mu ostre spojrzenie, odprężając się, kiedy przypomniała sobie, że Mistrz Śpiewu nie zna angielskiego. Nadal jednak uważała, że takie zachowanie jest niegrzeczne i dziecinne. Tytanie na pewno nie były głupie.

Mistrz klęczał przy jednym z charakterystycznych niskich stołów Tytanii. Miał kilkucentymetrowe, brudnopomarańczowe futro. Tylko twarz pozbawiona była owłosienia, a skóra miała kolor czekoladowobrązowy. Miał jasnoszare oczy. Jego twarz na początku wydawała się identyczna z twarzami innych Tytanii, ale nabrała indywidualności, od kiedy Cirocco przekonała się, że oblicze centaurów jest przynajmniej tak samo zmienne jak ludzkie. Mogła teraz odróżniać poszczególne osobniki nie tylko na podstawie ubarwienia.

Każda twarz miała jednak jakiś kobiecy charakter. Nie mogła się pozbyć tej naleciałości kulturowej, pomimo tego, że penis świadczył o czymś innym.

Gene wykorzystał farbę do malowania skóry dla wyrysowania mapy na stoliku

Mistrza. Dwie równoległe linie przebiegały ze wschodu na zachód, a inne linie dzieliły całą przestrzeń na prostokąty. Był to wewnętrzny pierścień Gai, rozrysowany i widziany z góry.

- Tutaj jest Hyperion - powiedział, dźgając usmarowanym czerwona farbą palcem. -

Na zachodzie Okeanos, na wschodzie... jak to nazwaliście?

- Rea.

- Właśnie. Potem idzie Krios. Kable podtrzymujące biegną tędy, tędy i tędy. Tytanie zamieszkują wschodni Hyperion i zachodni Krios. Na Rei nie ma aniołów. A wiesz dlaczego, Rocky? Ponieważ mieszkają w szprychach.

- Wszystko jedno. Jakie to ma znaczenie?

- Zaufaj mi przez chwilę i postaraj się to przetłumaczyć, dobrze?

Zrobiła, co mogła. Po kilku próbach zainteresował się i położył palec zakończony pomarańczowym paznokciem w pobliżu punktu w zachodnim Hyperionie.

- To zatem miałyby być wielkie schody do nieba, w pobliżu tej wioski?

- Tak, a Titantown sąsiaduje z nią.

Mistrz zmarszczył brwi.

- Dlaczego więc ich nie widzę?

- Zrozumiałem to - powiedział Gene po angielsku... - Ponieważ tego nie narysowałem

- zaśpiewał, po czym z okrągłym gestem postawił kropkę w pobliżu tej większej.

- W jaki sposób te linie zabijają wszystkie anioły? - zapytał Mistrz.

Gene obrócił się do Cirocco.

- Czy on pyta, dlaczego ja to wszystko rysuję?

- Nie, on spytał, jak to się ma do sprawy zabijania aniołów, a ja chętnie dorzuciłabym pytanie od siebie, które brzmi: cóż ty, do diabła, właściwie robisz? Zabraniam ci

kontynuować tę dyskusję. Nie możemy pomagać żadnej z walczących stron konfliktu.

Nie czytałeś Genewskich Protokołów dotyczących kontaktu?

Gene przez chwilę milczał, patrząc w bok. Kiedy spojrzał na nią ponownie, spokojnie

podjął:

- Nie pamiętasz tej rzezi, czy też rzeczywiście umknęło to twojej uwadze? Starli ich na proszek, Rocky. Wskoczyło piętnaście tych bałwanów. Zginęły wszystkie prócz jednego, tak samo jak dwójka, która była z tobą. Anioły straciły dwóch, plus jednego rannego.

- Trzech. Nie widziałeś, co stało się z trzecim. - Na samo wspomnienie jeszcze robiło się jej niedobrze.

- Wszystko jedno. Rzecz w tym, że to była nowa taktyka. Anioły zabrały się na miękkołocie. Z początku sądziliśmy, że anioły zawarły z nimi przymierze, ale okazuje się, że miękkołoty są również przygnębione całą sprawą. Są z natury neutralne. Anioły wsiadły w czasie burzy, a miękkołot pomyślał, że dodatkowe obciążenie to po prostu woda. W czasie deszczu nabierają po kilka ton.

- Co to znaczy „my”? Czy ty należysz do sojuszu? Nie masz takich uprawnień. Mam je tylko ja, jako kapitan statku.

- Może powinienem zwrócić ci uwagę na drobny fakt, że nie ma już statku.

Jeśli chciał ją dotknąć, nie mógł trafić lepiej. Odchrząknęła i ciągnęła dalej:

- Gene, nie jesteśmy tu w roli doradców wojskowych.

- Do licha, po prostu pomyślałem, że pokażę im kilka rzeczy. Na przykład mapę. Nie można planować strategii bez mapy. Będą również potrzebowały nowej taktyki, ale...

Mistrz wydał wysoki gwizd, który był czymś w rodzaju chrząknięcia. Cirocco przypomniała sobie o jego obecności.

- Przepraszam - zaśpiewał. - Ten rysunek jest rzeczywiście bardzo dobry. Każę go sobie wymalować na piersi w czasie najbliższego festiwalu trójmiejskiego. Ale mówiliśmy o sposobach zabijania aniołów. Chętnie usłyszałbym coś więcej o szarym proszku przemocy, o którym mówiłeś wcześniej.

- O Jezu, Gene! - Nie wytrzymała Cirocco, a później opanowała się na tyle, by kontrolować głos. - Mistrzu, mój przyjaciel, który kiepsko opanował waszą śpiewną mowę, musiał się źle wyrazić. Nic mu nie wiadomo o takim proszku.

Oczy Mistrza wpatrywały się uparcie.

- Jeśli nie szary proszek, to może opowiesz mi o urządzeniu do miotania grotów w powietrze dalej, niż może tego dokonać siła rąk.

- Nie, musiałeś źle zrozumieć. Zaufaj mi jeszcze na chwilę, proszę. - Odwróciła się do Gene'a, próbując zachować zewnętrzny spokój. - Gene, wyjdź. Pomówię z tobą później.

- Rocky, ja tylko chciałem...

- To rozkaz, Gene.

Zawahał się. Była wyćwiczona w walce wręcz i miała dłuższe ręce, ale on też był kiedyś szkolony i był oczywiście silniejszy. Nie była wcale pewna, że może go pokonać, ale była gotowa spróbować.

Chwila konfrontacji minęła. Gene odprężył się, a potem uderzył dłonią w stół i wyszedł. Mistrz śledził go czujnym spojrzeniem, któremu nie mógł umknąć najmniejszy szczegół.

- Przepraszam, jeśli sprawiłem, że pomiędzy tobą i twoim przyjacielem przepłynęły złe uczucia - zaśpiewała Tytania.

- To nie twoja wina. - Jej ręce były teraz zimne. Na szczęście starcie się zakończyło. -

Ja... popatrz tu, Mistrzu - zaśpiewała. - Komu wierzysz: mnie czy Gene'owi?

- Bądźmy szczerzy, Rak-ki, wyglądasz, jakbyś coś ukrywała.

Cirocco zagryzła palce, zastanawiając się, co robić. Tytania była pewna, że Cirocco kłamie, ale ile faktycznie już wiedziała?

- Masz rację - zaśpiewała w końcu. - Mamy proszek przemocy na tyle silny, by

zniszczyć całe to miasto. Znamy tajniki zniszczenia, o których nawet wstyd mi wspominać, rzeczy, które mogą wybić siłą wybuchu dziurę w waszym świecie i spowodować, że całe powietrze, którym oddychacie, uleci w zimny kosmos.

- Niczego takiego nie potrzebujemy - zaśpiewał Mistrz, patrząc z zainteresowaniem. - Proszek w zupełności wystarczy.

- Nie mogę ci go dać. Nie przywieźliśmy go z sobą.

Mistrz najwyraźniej dobrze rozważył jej pieśń, zanim się odezwał:

- Twój przyjaciel Gene uważa, że można to zrobić. Mamy dobrze opanowaną technologię drewna i chemię organiczną.

Ciocco westchnęła.

- Prawdopodobnie ma rację. Nie możemy wam jednak przekazać tych tajemnic.

Mistrz nie odzywał się.

- Moje własne, prywatne odczucia nie mają z tym nic do czynienia - wyjaśniła. - Moi zwierzchnicy, mędrcy należący do mojego rodzaju tak zdecydowali.

Mistrz wzruszył ramionami.

- Jeśli władają tym starsi, nie macie wielkiego wyboru.

- Cieszę się, że widzisz to w ten sposób.

- Tak - przerwał, starannie przygotowując pieśń. - Twój przyjaciel Gene nie ma takiego szacunku dla swoich starszych. Jeżeli ponownie go poproszę, być może powie mi to, czego potrzebuję, by odnieść zwycięstwo.

Serce załomotało jej w piersi, spróbowała jednak tego nie okazać.

- Gene się zapomniał. W czasie podróży przeżył trudne chwile, jego myśli wędrowały, ale teraz przypomniałam mu o jego obowiązkach.

- Rozumiem. - Znowu się zawahał i poczęstował ją szklanką wina, którą

z wdzięcznością wypila.

- Jestem przekonany, że sam mógłbym zbudować miotacz grotów. Elastyczny drąg, dwa końce związane rzemieniem.

- Szczerze mówiąc dziwię się, że jeszcze go nie macie. Macie rzeczy znacznie bardziej złożone.

- Mamy coś podobnego i dzieci używają tego do zabawy.

- Istota waszej wojny z aniołami jest dla mnie zagadką. Dlaczego ze sobą walczycie?

Mistrz zmarszczył brwi.

- Dlatego, że to są anioły.

- Nie ma jakiegoś innego powodu? Zawsze podziwiałam waszą tolerancję dla innych ras. Nie odczuwacie wrogości do mnie i moich przyjaciół, ani też do miękkołotów, a także do yeti w Oceanosie.

- One są *aniołami* - powtórzył.

- Nie chcecie żyć w tym samym kraju?

- Anioły mogą wykarmić swoje młode przy piersi Gai, jeśli opuszczą wielkie wieże.

A my nie możemy żyć uczepleni ścian.

- A więc nie rywalizujecie o teren lub pożywienie. A może przyczyny walki tkwią w sferze religii? Czy one czczą innego Boga?

Roześmiał się.

- Czczą? Dziwnie układasz swoje piosenki. Jest tylko jedna Bogini, nawet dla aniołów.

Gea jest znana wszystkim rasom.

- Jeśli tak, to po prostu nie rozumiem. Możesz mi to wyjaśnić? O co walczycie?

Dlaczego?

Mistrz myślał dłuższą chwilę. Wreszcie zaśpiewał w iście minorowej, żalostnej

tonacji:

- Spośród wszystkich rzeczy w tym życiu to jest właśnie ta, o którą najbardziej pragnąłbym spytać Gaję. Nie napawa mnie goryczą ani nie budzi sprzeciwu fakt, że wszyscy musimy umrzeć i wrócić do ziemi. Rozumiem też, że świat jest kolisty, a wiatr wieje wtedy, gdy Gaja dyszy. Przyjmuję też jako fakt, na który niewiele mogę poradzić, że od czasu do czasu bywamy głodni, kiedy potężny Ophion ginie gdzieś w głębokich piaskach, albo kiedy dygocemy w podmuchach zimnego wiatru z Zachodu. Gaja musi opiekować się wieloma krajami i od czasu do czasu musi kierować wzrok gdzie indziej.

- Nie skarżą się również, kiedy pękają wielkie filary na niebie, tak że cała ziemia drży i dręczy nas strach, że świat rozpadnie się, wyrzucając nas w pustkę.

- Ale kiedy Gaja oddycha, gdy ogarnia mnie nienawiść, przestaję myśleć rozsądnie.

Prowadzę swoich ludzi do walki, zapominając, że u mojego boku może paść własna córka. Zapomniałem wtedy o tym. Stała się dla mnie obca, ponieważ na niebie było pełno aniołów i nastał czas walki. Dopiero później, kiedy nienawiść wyparowuje z nas, liczymy straty. Dopiero wtedy matka znajduje swoje dziecko, które padło w polu.

Dopiero wtedy znalazłem córkę ranioną przez anioła i stratowaną stopami naszych ludzi.

- To było pięć oddechów temu. Moje serce krwawi od tego czasu i obawiam się, że ten ból nigdy nie ustanie.

Ciocco nie odważyła się przerwać ciszy, kiedy Mistrz odwrócił się od niej. Wstał i podszedł ku drzwiom patrząc w ciemność, a ona wlepiła oczy w pełgającą na stole świecę. Dobiegły ją odgłosy, które z pewnością oznaczały szloch, chociaż nie brzmiały jak ludzkie łkanie. Po chwili wrócił do stołu i usiadł z wyrazem ogromnego zmęczenia.

- Walczymy, kiedy ogarnia nas furia. Nie możemy się oderwać od walki, póki wszystkie anioły nie zostaną zabite albo nie odlecą od swoich siedzib.

- Mówisz o tchnieniu Gai. Dla mnie to coś nowego.

- Słyszałaś, jak zawodzi. To jest doprowadzający do furii powiew z niebiańskich wieżyc, zimny, gdy wieje z zachodu i gorący, gdy leci od wschodu.

- Czy kiedykolwiek próbowaliście rozmawiać z aniołami? Czy nie chcą słuchać waszej pieśni?

Znowu wzruszył ramionami.

- Kto umie śpiewać aniołom i jaki anioł zechciałby słuchać?

- Ale nadal męczy mnie fakt, że nikt nigdy nie próbował... negocjować z nimi. - Słowo to przysparzało niejakich trudności. Zdecydowała się wreszcie na „wyrzeczenie się” albo „przeobrażenie” w sensie dosłownym. - Gdybyście usiedli i posłuchali nawzajem swoich pieśni, być może moglibyście uzyskać pokój. Zmarszczył brwi.

- Jak *uczucie harmonii* może panować wśród krewnych, kiedy są aniołami? - Użył tego samego słowa, które wybrała Cirocco dla określenia negocjacji pokojowych. Pokój wśród Tytanii był powszechnym warunkiem, niewartym wzmianki. W odniesieniu do wzajemnych stosunków Tytanii i aniołów był pojęciem, które ich język przyswajał z ogromnym trudem.

- Mój lud nie ma wrogów wśród innych ras, ale walczy pomiędzy sobą - powiedziała Cirocco. - Dopracowaliśmy się sposobów rozstrzygnięcia tych konfliktów.

- Dla nas to nie jest żaden problem. Bez trudu dajemy sobie radę z wrogością w obrębie gatunku.

- Może moglibyście nas tego nauczyć. Ja jednak bardzo bym chciała pokazać wam sposoby, które wypracowaliśmy. Czasami obie strony są wobec siebie aż tak wrogo nastawione, że nie mogą się do stołu i rozmawiać. W takim przypadku używamy trzeciej strony, która zasiada pomiędzy wrogami.

Podniósł wysoko jedną brew, a potem opuścił obie z podejrzliwym wyrazem.

- Jeżeli to się sprawdza, to po cóż potrzebujecie tak wielkich ilości broni?

Nie mogła powstrzymać się od uśmiechu. Był wymagającym rozmówcą. Natychmiast zauważał każdą wątpliwą argumentację.

- Ponieważ to czasem nie działa. Wtedy nasi wojownicy próbują wzajemnie się zniszczyć. Nasze bronie stały się jednak z biegiem lat tak straszne, że nikt ich od dawna nie używa. Wprawiliśmy się w negocjacjach pokojowych, czego dowodzi fakt, że chociaż broń umożliwia zniszczenie naszej planety przynajmniej od... niech będzie sześćdziesięciu miriaobrotów, to jednak tego nie uczyniliśmy.

- Gaja obraca się w mgnieniu oka - zaśpiewał.

- To nie przechwałki. To okropne życie ze świadomością, że nie tylko twoja... twoja zadnia matka, przyjaciele i sąsiedzi mogą w mgnieniu oka zniknąć z powierzchni ziemi, ale że zagłada może dotknąć dokładnie wszystkich przedstawicieli twojego gatunku aż po ostatniego wyrostka.

Mistrz z powagą skinął głową. Widać było, że to, co mówiła Cirocco, robiło na nim wrażenie.

- Wszystko zależy od was. Nasz gatunek może wam dać środki doskonalenia wojny albo możliwość pokoju.

- Rozumiem - zaśpiewał przejęty. - To bardzo poważna decyzja.

Cirocco zdecydowała się milczeć. Mistrz wiedział, że tylko od niego zależy poznanie broni, jakie oferował Gene.

Świeca umieszczona w przymocowanej do ściany podstawce zgasła i pokój pograżył się w całkowitej niemal ciemności. Tylko ta na stole rzucała chybotliwie tańczące na ścianie cienie kobiecych rysów Mistrza.

- Gdzie mógłbym znaleźć takiego pośrednika w rozmowach? Wydaje mi się, że ktoś taki mógłby być narażony na strzały i groty miotane przez obie strony.

Ciocco rozłożyła ręce.

- Chcę zaoferować swoje usługi jako upoważniony przedstawiciel Narodów Zjednoczonych.

Mistrz przyjrzał się jej uważnie.

- Nie chcę wykazać braku szacunku wobec Narodów-zjed-no-czo-nych, ale nigdy tu o czymś takim nie słyszeliśmy. Dlaczego mieliby interesować się naszymi wojnami?

- Narody Zjednoczone zawsze interesują się wojnami. Szczerze mówiąc, nie są lepsze niż my wszyscy, co oznacza, że też są dalekie od doskonałości.

Wzruszył ramionami, tak jakby właśnie tego się spodziewał.

- Dlaczego mielibyście robić to dla nas?

- I tak będę przechodziła przez terytorium aniołów w drodze do Gai. Poza tym nienawidzę wojny.

Po raz pierwszy Mistrz okazał, że zrobiła na nim wrażenie. Było jasne, że zmienił o niej zdanie na lepsze.

- Nie mówiłaś, że jesteś pielgrzymem. To stawia sprawy w nowym świetle. Obawiam się, że jesteś głupia, ale jeżeli nawet... to święta głupota. - Przechylił się przez stół, ujął jej rękę w swoje wielkie dłonie i pocałował w czoło. Była wzruszona tym najbardziej rytualnym gestem, jaki kiedykolwiek widziała u Tytani.

- A więc idź - powiedział. - Nie będę już myślał o nowych broniach. Sytuacja i tak jest wystarczająco przerażająca, żeby wkraczać na drogę, która prowadzi ku zagładzie.

Przerwał na chwilę i zapatrzył się gdzieś do wewnątrz.

- Jeżeli jakimś szczęśliwym trafem rzeczywiście ujrzysz Gaję, chciałbym, żebyś ją

spytała w moim imieniu, dlaczego moja zadnia córka musiała umrzeć. Jeżeli ci nie

odpowie, wymierz jej policzek i powiedz, że to od Mistrza Śpiewu.

- Zrobię to. - Wstała, dziwnie pocieszona i trochę mniej zatroskana przyszłością niż w ciągu całych tych dwóch miesięcy. Chciała już wyjść, ale pewna sprawa nie dawała jej spokoju.

- Co oznaczał ten pocałunek? - spytała.

Spojrzał na nią.

- To był pocałunek dla martwych. Kiedy odejdziesz, nigdy więcej cię już nie ujrzę.

Rozdział 17

Piszczątka wzięła na siebie rolę przewodnika i źródła informacji dla ziemskiej ekipy.

Powiedziała, że ma zgodę swojej zadniej matki i jest przekonana, że będzie się mogła wiele nauczyć. Ludzie byli najbardziej podniecającym zjawiskiem w Titantown od wielu miriaobrotów.

Kiedy Cirocco zapragnęła obejrzeć miejsce wiatrów poza miastem, Piszczątka spakowała suchy prowiant i dwa pełne bukłaki wina. Calvin i Gaby zgłosili się na ochotnika, ale August ciągle siedziała wpatrzona w okno, co ostatnio zdarzało jej się bardzo często. Gene znowu się gdzieś zawieruszył. Cirocco przypomniała Calvinowi, że zobowiązał się zostać z Billem.

Bill prosił, żeby poczekała do jego wyzdrowienia. Była zmuszona mu przypomnieć, że nadal jest dowódcą załogi statku. Zapominał, że beczynność czyniła go skorym do kłótni i małostkowym. Cirocco rozumiała to, ale jeszcze bardziej złościło ją, gdy przybierał protekcyjną postawę.

- Piękny dzień na piknik - zaśpiewała Piszczątka, kiedy Cirocco i Gaby dołączyły do niej na skraju miasta. - Ziemia jest sucha. Powinniśmy obrócić tam i z powrotem

w ciągu pięciu obrotów.

Ciocco uklękła i zawiązała sznurowadła miękkich, skórzanych mokasynów, które zrobiły dla niej Tytanie, a potem podniosła się i spojrzała ponad brązową krainą ku miejscu, w którym w przejrzystym powietrzu wznosił się zachodnio-centralny kabel Rei - ku miejscu wiatrów.

- Nie chciałabym cię rozczarować - zaśpiewała - ale dotarcie tam zajmie mi i moim przyjaciółom co najmniej jeden dekaobrót i tyle samo droga powrotna. Planujemy rozbić obóz u podstawy i skorzystać z fałszywej śmierci.

Piszczalka zadrzała.

- Wolałabym, żebyście tego nie robili. Napawa mnie to lękiem. Jak robaki zorientują się, że nie jesteście do zjedzenia?

Ciocco roześmiała się. Tytanie nigdy nie spały. Wydawało im się to jeszcze bardziej niepokojące niż balansowanie na dwóch nogach.

- Jest pewne wyjście. Nie chciałam go sugerować, ponieważ bałam się cię obrazić. Na Ziemi mamy zwierzęta - ludzi - które są zbudowane trochę podobnie do was. Jeździmy na ich grzbietach.

- Na grzbietach? - Wydawała się zaskoczona, a potem uśmiechnęła się zrozumiawszy, o co chodzi. - Masz na myśli, z nogami po obu stronach... Rozumiem!

Sądysz, że to się uda?

- Chętnie spróbuję, jeśli się zgodzisz. Wyciągnij rękę. Nie, obróć ją... właśnie tak.

Chcę postawić na niej stopę... Chwyliła ramię Piszczalki i wskoczyła na grzbiet.

Rozsiadła się, podkładając płat skóry i rozkładając po jednym juku z tyłu za każdą nogą.

- Czy tak wygodnie?

- Prawie nie czuję, że tam jesteś. Ale... jak się utrzymasz?

- To właśnie musimy sprawdzić. Myślałam, że może... - Urwała z wysokim piskiem, gdy Piszczalka odwróciła głowę prawie o sto osiemdziesiąt stopni.

- Co się stało?

- Nic. Nie jesteśmy tak giętcy jak wy. Ciarki mnie przechodzą, gdy to robicie.

Mniejsza z tym. Odwróć się, patrz, gdzie idziesz i ruszaj powoli.

- Jaki chód wolisz?

- Co? Nie rozumiem?

- W porządku. Ruszę stępą, a potem spróbuję przejść w wolny galop.

- Czy będzie ci przeszkadzać, jeśli cię obejmę?

- Ani trochę.

Piszczalka zrobiła szerokie koło, stopniowo zwiększając tempo. Przemknęli koło Gaby, która machała rękami i krzyczała. Gdy Piszczalka zatrzymała się, była z lekka zadyszana.

- Sądysz, że to się uda? - spytała Cirocco.

- Myślę, że tak. Spróbujmy z podwójnym obciążeniem.

- Chciałabym podłożyć coś pod spód - powiedziała Cirocco. - Co się tyczy Gaby, dlaczego nie mielibyśmy znaleźć kogoś i dla niej?

W ciągu dziesięciu minut Piszczalka znalazła dwie duże poduszki i jeszcze jednego ochotnika. Był płci męskiej, miał lawendowe futro, białą grzywę i ogon.

- Hej, Rocky. Mam bardziej fantastycznego wierzchowca niż ty.

- To zależy, jak na to patrzeć. Gaby, poznaj... - zaśpiewała jego imię, potem

przedstawiła centaurowi przyjaciółkę, a na końcu szepnęła tak, żeby tylko Gaby słyszała:

- Nazwij go Fletnia Pana.

- Co jest złego w Leo albo George'u? - zrzędziła Gaby, ale podała mu rękę i lekko

wskoczyła na grzbiet.

Ruszyły w drogę. Tytanie śpiewały piosenkę podróżną, a kobiety wtórowały im, jak umiały. Po zakończeniu pierwszej, nauczyły się jeszcze jednej. Później Cirocco zanuciła „Czarodzieja z Oz”, a potem jeszcze dwa inne standardy. Tytanie były zachwycone: nie wiedziały, że również ludzie mają swoje pieśni.

Cirocco była już na tratwie spływającej rzeką Colorado i w łódce z łupiny orzecha na rzece Ophion. Opłynęła biegun południowy i przemierzyła Stany Zjednoczone dwupłatowcem. Podróżowała saniami motorowymi i rowerem, wagonikiem kolejki linowej i pociągiem grawitacyjnym, a raz nawet na grzbiecie wielbłąda. Wszystkie te przeżycia były jednak niczym w porównaniu z podróżą na grzbiecie Tytanu pod nieboskłonem Gai, tego długiego popołudnia stale graniczącego z zachodem. Przed nią wychynęły z ziemi schody do nieba i umknęły w noc.

Odrzuciła głowę do tyłu i zaśpiewała:

- „Długa jest droga do Tipperary, długa droga przed nami...”

Miejsce wiatrów było zbudowane z litej skały i umęczonej ziemi.

Krawędzie, niczym sękaty kłykcie, marszczyły brązowy teren, otwierając głębokie szczeliny. Rozkładały się ukośnie i przypominały palce mnące równinę niczym kartkę papieru. Dalej palce łączyły się w zniszczone erozją długie ramie sięgające gdzieś w noc.

W powietrzu panował nieustanny ruch. Nagłe podmuchy ze wszystkich stron podrywały tysiące trąb powietrznych tańczących dziko na drodze.

Wkrótce dobiegło ich potępieńcze wycie. Był to głuchy nieprzyjemny dźwięk, ale nie przypominał brzmiącego smutkiem wielkiego wiatru znad Okeanowa, który nazwali Lamentem Gai.

Piszczalka dała im jakieś wyobrażenie tego, czego mogły się spodziewać. Grzbiety, na

które się wspinali, były w istocie żyłami kabla wychodzącymi pod kątem 30 stopni z ziemi i przysypanymi ziemią. Wiatr zrył powierzchnię w głębokie zleby, które biegły w stronę źródła dźwięku.

Zaczęły mijać wsysające otwory w ziemi, niektóre nie szersze niż pół metra, inne tak duże, iż mogłyby pochłonać Tytanie. Każdy wydawał charakterystyczny gwizd o określonej wysokości. Był to rodzaj nieharmonicznej, dysonansowej muzyki, przypominającej nieco pewne mętne eksperymenty z przełomu stuleci. Dźwięki te rozbrzmiewały na tle równomiernego akompaniamentu przypominającego organy.

Tytanie wybrały drogę wzdłuż ostatniego, długiego grzbietu. Teren był twardy i skalisty, dawno już chyba oczyszczony z luźnego rumoszu skalnego, a sama grań była wąska. Po jej obu stronach otwierały się szerokie i głębokie przepaście. Cirocco miała nadzieję, że „wierzchowce” będą wiedziały, gdzie się zatrzymać. Już tutaj wiatr był tak silny, że wyciskał łzy z oczu.

- To właśnie jest miejsce wiatrów - zaśpiewała Piszczalka. - Nie ośmielamy się zbliżyć bardziej, bo wiatr jest tak potężny, że mógłby nas zmieść. Jednak jeżeli zejdziecie w dół zbocza, będziecie mogły zobaczyć Wielkiego Wyjca. Chcecie, żebyśmy was tam podwiozły?

- Dziękuję, pójde pieszko - powiedziała Cirocco i zeskoczyła na ziemię.

- Pokażę drogę. - Piszczalka ruszyła w dół stoku, stawiając krótkie, drobiazgi kroczki i chwiejąc się trochę, ale najwidoczniej bez specjalnego trudu.

Tytanie podeszły do pionowego uskoku i ruszyły wzdłuż niego na wschód. Kiedy Cirocco i Gaby podeszły tam, poczuły, że i wiatr i hałas wzmagają się.

- Jeżeli miałoby być znacznie gorzej niż teraz - krzyknęła Cirocco - to myślę, że lepiej będzie, jeśli zrezygnujemy!

- Zgadzam się.

Kiedy jednak podeszły do miejsca, w którym Tytanie się zatrzymały, stwierdziły, że i tak nie ma po co dalej iść.

Ujrzały siedem otworów ssących, każdy na końcu długiego stromego wąwozu. Sześć z nich miało średnicę od pięćdziesięciu do dwustu metrów. Wielki Wyjec mógł bez trudu połączyć ich wszystkich.

Cirocco przypuszczała, że podstawę otworu od szczytu dzieliło około kilometra, a w najszerszym miejscu mógł on mieć jakieś pięćset metrów. Owalny kształt był wzmocniony przez ustawienie go pomiędzy dwoma włóknami kabla, które wychodząc z brunatnej ziemi tworzyły ostrą literę V. Tam, gdzie się stykały, ziała gardziel z nagiej skały.

Brzegi otworu były tak gładkie, że połyskiwały w słońcu niczym pokrzywione lustra. Zostały wypolerowane trwającym wiele tysięcy lat działaniem wiatru i lotnego piasku. Żyły jaśniejszego minerału na ciemnym tle skały przydawały jej perłowego blasku. Piszczątka nachyliła się i zaśpiewała coś do ucha Girocco.

- Widzę, dlaczego - odchrząknęła Girocco.

- Co powiedziała? - Chciała dowiedzieć się Gaby.

- Powiedziała, że nazywają to miejsce przednim krocem Gai.

- Rozumiem. Znajdujemy się na jednej z nóg.

- O to właśnie chodzi.

Girocco dotknęła grzbietu Piszczątki i wskazała do tyłu na szczyt grzbietu. Była ciekawa, co Tytanie sądzą o tym miejscu. Czują lęk? Mało prawdopodobne. Leżało zaraz za miastem. Czyż Szwajcarzy bali się gór?

Dobrze byłoby wrócić w jakieś spokojniejsze miejsce. Stała obok Piszczątki i uważnie

badala otaczajacy krajobraz.

Jeżeli podstawa kabla rzeczywiście przypominała gigantyczną rękę, wówczas można było powiedzieć, że zawędrowali do drugiego kłykcia jednego z palców. Wyjec znajdował się w dole, na platformie łączącej oba palce.

- Czy jest jakaś inna droga w górę? - zaśpiewała Cirocco. - Taka droga, po której można by się dostać na tamtą szeroką równinę bez obawy, że wessie nas Gaja?

Fletnia Pana, który był trochę starszy od Piszczalki, skinął głową.

- Tak, jest wiele takich dróg. Ta wielka matka dziur jest największa. Każdy z pozostałych grzbietów pozwoli nam dotrzeć na płaskowyż.

- A więc dlaczego zaprowadziłyście nas właśnie tutaj?

Piszczalka wyglądała na zdziwioną.

- Powiedziałaś, że chcesz zobaczyć miejsce wiatrów, a nie wspinać się na spotkanie Gai.

- Rzeczywiście, to moja wina - przyznała. - Ale jaka jest najlepsza droga na samą górę?

- Na samą górę? - zaśpiewała Piszczalka szeroko otwierając oczy. - Ja tylko żartowałam. Przecież na pewno nie chcecie tam iść?

- Mam zamiar spróbować.

Piszczalka pokazała najbliższy grzbiet na południu. Cirocco zbadała teren za przepaścią. Nie wyglądał na trudniejszy niż ten, po którym się właśnie wspinali.

Tytaniorh wspinaczka zajęła półtorej godziny, a więc one powinny przebyć tę odległość pieszo przez sześć do ośmiu godzin. Jeszcze sześć godzin stromego terenu do płaskowyżu, a potem...

Z miejsca, w którym stały, ukośny kabel wyglądał jak jakaś absurdalna góra. Biegł

łukiem mniej więcej przez pięćdziesiąt kilometrów i niknął na granicy z ciemnością pokrywającą Reę. Na przestrzeni trzech kilometrów był całkowicie pozbawiony roślinności, pokrywał go czekoladowobrązowy pył i szara skała. Dalszy, mniej więcej równy odcinek pokrywały bezlistne, poskręcane drzewa. W oddali widać było splątany gąszcz jakichś innych roślin. Bujna przyroda Gai wszędzie znajdowała jakieś oparcie. Nie była w stanie dojrzeć, czy to trawa czy las, ale kabel mający w przekroju pięć kilometrów nieco przypominał skorodowany, obrośnięty łańcuch kotwiczny morskiego statku.

Zieleń rozciągała się aż po strefę mroku. Nie było tam żadnej wyraźnej granicy pomiędzy strefami, po prostu zieleń stopniowo rozmywała się w ciemności. Najpierw przechodziła w brąz, potem w kolor ciemnozłoty, krwistą czerwień i srebro, a wreszcie w kolor chmur prześwieconych księżycem. Sam kabel był jednak ciągle widoczny.

Nieprawdopodobna krzywizna zmniejszała się do grubości sznura, sznurka, nitki wreszcie, by ostatecznie połączyć się z ciemnością ogromnej powały i zniknąć w otworze szprychy. Widać było, że sama szprycha robi się stopniowo coraz cieńsza, ale było zbyt ciemno, by głębiej sięgnąć wzrokiem.

- To się da zrobić - powiedziała do Gaby. - Przynajmniej na dach. Miałam nadzieję, że będzie tu coś w rodzaju mechanicznej windy. Myślę, że w dalszym ciągu nie możemy tego wykluczyć, ale jeżeli będziemy szukać tylko tego... - Machnęła ręką w stronę pofałdowanego terenu. - Może nam to zająć całe miesiące.

Gaby uważnie studiowała nachylenie kabla, potem westchnęła i powoli pokręciła głową.

- Pójdę tam, gdzie i ty pójdziesz, ale chyba zdajesz sobie sprawę, że jesteś stuknięta?

Nigdy nie dostaniemy się na dach. Spójrz na to. Począwszy od tamtego miejsca będziemy musieli wspinać się po ścianie o nachyleniu 45 stopni.

- Alpinści stale tak robią. Ty też to robiłaś w czasie szkolenia.

- Jasne. Mniej więcej dziesięć metrów. A tu musielibyśmy się tak wspinać jakieś pięćdziesiąt kilometrów. A potem - to dobra nowina - potem musimy jeszcze trochę przejść prosto do góry. Jakieś czterysta kilometrów.

- To nie będzie łatwe, ale musimy spróbować.

- Matko Boska. - Gaby chwyciła się za głowę i wywróciła oczy.

Piszczalka śledziła gestykulację Cirocco, gdy ta tłumaczyła problem. Teraz zaśpiewała głośno:

- Chcesz wspiąć się na wielkie schody?

- Muszę.

Piszczalka kiwnęła głową, a potem pochyliła się i pocałowała Cirocco w czoło.

- Dobrze byłoby, ludzie, gdybyście się tego oduczili - powiedziała Cirocco po angielsku.

- Po co ona to zrobiła? - spytała Gaby.

- Mniejsza z tym. Wracajmy do miasta.

Zatrzymały się po opuszczeniu strefy wiatru. Piszczalka rozłożyła plandekę i usiadły, by się posilić. Jedzenie było gorące, bo przechowywano je w termosach zrobionych z łupiny orzecha. Cirocco i Gaby zjadły razem może jedną dziesiątą, a Tytanie pożarły resztę.

Były wciąż pięć kilometrów od Titantown, gdy Piszczalka spojrzała przez ramię, a wyraz jej twarzy stanowił przedziwną mieszankę smutku i oczekiwania. Rzuciła okiem na ciemny strop.

- Gaja dyszy - zaśpiewała ze smutkiem.

- Co? Jesteś pewna? Myślałam, że będzie wtedy bardzo głośno i że będziemy miały

masę czasu, by... Czy to oznacza, że pojawią się anioły?

- Hałas jest wtedy, gdy tchnienie dobiega z zachodu - poprawiła ją Piszczalka. -

Tchnienie Gai dochodzące ze wschodu jest prawie bezdźwięczne. Myślę, że już je słyszę. -

Zgubiła krok, niemal zrzucając Cirocco z grzbietu.

- No to pospiesz się, do licha. Jeżeli zaskoczą cię tu samą, nie będziesz miała najmniejszej szansy.

- Już za późno - zaśpiewała Piszczalka, jej oczy zalśniły dziko, a wargi cofnęły się obnażając zęby.

- Rusz się! - Cirocco wyćwiczyła ten rozkazujący ton przez długie lata praktyki i jakoś udało jej się wyrazić go w śpiewnym języku Tytanii. Piszczalka ruszyła galopem, a Fletnia Pana mknął tuż za nią.

Wkrótce również Cirocco usłyszała zawroźnienie aniołów. Piszczalka zachwiała się, myląc krok. Strasznie chciała się odwrócić i podjąć walkę.

Zbliżały się do samotnego drzewa. Cirocco podjęła błyskawiczną decyzję.

- Zatrzymaj się. Prędko, nie ma czasu do stracenia.

Stały pod rozłożystymi konarami i Cirocco zeskoczyła.

Piszczalka próbowała się wymknąć, ale Cirocco uderzyła ją w twarz, otrzeźwiając na moment.

- Gaby, odetnij te juki. Fletnio! Przestań! Wracaj tu zaraz.

Lawendowy centaur sprawiał wrażenie niezdecydowanego, ale wrócił. Gaby i Cirocco pracowały jak szalone, drąc swoją odzież na pasy, z których skręciły sześć mocnych lin.

- Przyjaciele - zaśpiewała Cirocco, kiedy pęta były już gotowe. - Nie ma czasu na wyjaśnienia. Proszę, żebyście mi zawierzili i robili to, co mówię. - Włożyła w swoją pieśń całą swą determinację, modulując głos tak, jak mawiali starzy i mądrzy do

młodych i głupich. Zadziałało, ale słabo. Obie Tytanie nadal spoglądały na wschód.

Kazała im położyć się na boku.

- To boli - narzekała Piszczalka, gdy Cirocco wiązała jej tylne nogi.

- Wybacz. To dla twojego dobra. - Szybko związała jej przednie nogi i ramiona, a potem cisnęła Gaby bukłak. - Wlej mu tyle, ile tylko zdołasz. Chcę, żeby był zbyt zalany, by ruszyć choćby palcem.

- Robi się.

- Mój drogi, chcę żebyś to wypił - zaśpiewała. - Ty również. Napij się porządnie. -

Wetknęła dziubek do ust Piszczalki. Odgłos zbliżających się aniołów był coraz głośniejszy. Piszczalka gwałtownie zastrzygła uszami.

- Wata, wata - zamruczała Cirocco. Porwała kawałki ze swojej i tak już wystrzępionej tuniki i zwinęła je w twarde kulki. - Udało się Odyseuszowi, może uda się i mnie. Gaby, uszy. Zatkaj mu uszy.

- To boli! - zawyła Piszczalka. - Pozwól mi się podnieść, ty ziemski potworze. Nie podoba mi się ta zabawa. - Zaczęła jęczeć i tylko od czasu do czasu przez ten jęk przebijały się słowa pełne nienawiści.

- Łyknij sobie jeszcze wina - pocieszyła ją Cirocco. Tytania zakrzuszyła się, kiedy Cirocco lała jej wino do gardła. Krzyki aniołów stały się teraz bardzo głośne. Piszczalka zawyła w odpowiedzi. Cirocco chwyciła uszy Tytanii i przycisnęła je, a potem objęła dużą głowę, przyciskając do piersi. Przyłożyła usta do ucha centaura i zaczęła śpiewać miejscową kołysankę.

- Rocky, pomocy! - wrzasnęła Gaby. - Nie znam żadnych tutejszych pieśni. Śpiewaj głośnie! - Fletnia wyrywał się, wrzeszcząc, kiedy Gaby próbowała przytrzymać go za uszy. Młócił na oślep związanymi rękami, odrzucając ją od siebie.

- Trzymaj go! Nie daj mu się wyrwać!

- Robię, co mogę. - Obiegła centaura dookoła i spróbowała przycisnąć go do ziemi, ale był od niej znacznie silniejszy. Odrzucił ją ponownie. Podniosła się z czołem rozciętym nad prawym okiem.

Fletnia Pana kęsał pęta wiążące przeguby. Materiał pękł, a centaur szarpał teraz paznokciami uszy.

- Co robić, Rocky? - zawołała w rozpacz Gaby.

- Chodź tu i pomóż mi - powiedziała. - Zabije cię, jeśli staniesz mu na drodze. - Było za późno, żeby powstrzymać Fletnię Pana. Uwolnił już przednie nogi i wił się niczym wąż, usiłując wyzwolić tylne.

Nawet nie spojrzawszy na kobiety i Piszczalkę, ruszył w stronę Titantown.

Niebawem zniknął za zboczem wzgórza.

Gaby zdawała się nie zauważać, że płacze klęcząc obok Cirocco, ani też, że po policzku spływa jej krew.

- Jak mogę pomóc?

- Nie mam pojęcia. Dotykaj jej, pocieszaj, rób cokolwiek, byle nie myślała o aniołach.

Piszczalka zastygła z zaciśniętymi zębami i twarzą, z której odpłynęła cała krew.

Cirocco trzymała ją możliwie blisko, a Gaby przesunęła pętlę na pierś centaura, unieruchamiając ramiona z obu stron.

- Cicho, cicho - szeptała Cirocco. - Nie ma się czego bać. Będę się tobą opiekować aż do powrotu twojej zadniej matki. Będę ci śpiewała jej piosenki.

Piszczalka stopniowo się uspokajała, a jej oczy odzyskiwały inteligentny wyraz, który zwrócił uwagę Cirocco już pierwszego dnia, kiedy się spotkały. Wyglądała o wiele lepiej niż przerażające zwierzę, w które się przed chwilą przeistoczyła.

Minęło jeszcze dziesięć minut, zanim ostatni anioł przeleciał nad nimi. Piszczalka

była złana potem, jak ktoś, kto cierpi z powodu narkotycznego albo alkoholowego głodu.

Kiedy czekali na powrót aniołów, zaczęła chichotać. Cirocco usiadła obok i mocno przycisnęła jej głowę do siebie. Zdumiał ją ruch Tytanii, który różnił się od wcześniejszej próby wytrzymałości więzów. Ten ruch miał w sobie coś niedwuznacznie seksualnego.

Cirocco poczuła nagle na twarzy wilgotne wargi. Pocałunek tak wielkich i tak gorących ust onieśmielił ją.

- Gdybym była chłopcem - wybełkotała pijackim szeptem. Cirocco spojrzała w dół.

- Jezu! - westchnęła Gaby. Ogromny penis Tytanii wysunął się z pochwy, a jego koniec pulsował na piasku.

- Dla siebie możesz być dziewczyną - zaśpiewała Cirocco - ale dla mnie jesteś chłopcem nawet za bardzo.

Piszczalka uznała to za zabawne. Ryknęła i próbowała znowu pocałować Cirocco, ale zrezygnowała, kiedy ta szybko się odsunęła.

- Mogłabym ci zrobić wielką krzywdę - zarechotała. - Niestety, to jest do tylnych otworów, których nie macie. Gdybym tylko mogła być chłopcem i miała członek na twoją miarę.

Cirocco uśmiechnęła się i pozwoliła jej oddać się marzeniom, ale jej oczy pozostały bardzo poważne. Popatrzyła na Gaby przez ramię Piszczalki.

- Ostatnia deska ratunku - powiedziała spokojnie po angielsku. - Jeżeli będziesz widziała, że może się wyswobodzić, weź ten kamień i kropnij ją w głowę. Jeżeli się wyrwie - koniec z nią. - Zrozumiano. O czym ona mówiła?

- Chce się ze mną kochać.

- Tym? Może lepiej walnę ją już teraz.

- Nie wygłupiaj się. Nie grozi nam z jej strony żadne niebezpieczeństwo. Jeżeli się wyswobodzi, nawet na nas nie spojrzy. Słyszysz, jak wracają?

- Tak, sędzę, że tak.

Okazało się, że za drugim razem poszło im znacznie łatwiej niż za pierwszym. Nie pozwoliły, by Piszczalka w ogóle usłyszała przelatujące anioły i chociaż pocila się i wrywała, jak gdyby jednak jakoś je wyczuwała, nie szarpała się zbyt mocno.

Wreszcie odleciały, wracając ku wiecznej ciemności szprychy wysoko ponad Reą.

Płakała, kiedy ją uwolniły, wstrząsana bezsilnym łkaniem dziecka, które nie rozumie, co się z nim dzieje. Potem płacz przeszedł w rozdrażnienie i narzekanie, głównie na piekące nogi i uszy. Gaby i Cirocco masowały jej nogi w miejscach, gdzie pęta wpiły się w ciało. Jej parzyste kopyta były przezroczyste i czerwone jak wiśniowa galaretka.

Wydawała się zmartwiona myślą, gdzie podziwia się Fletnia Pana, ale jakoś nie przejęła się, gdy jej powiedziały, że ruszył do boju. Ucałowała je i przyciskała się do nich miłośnie, wprawiając Gaby w niejaki popłoch, chociaż Cirocco wyjaśniła jej, że Tytanie bardzo ściśle rozgraniczały przednie i tylne stosunki. Organy z przodu służyły do produkcji na wpół zapłodnionych jajeczek, które następnie były ręcznie umieszczane w tylnej pochwie i doprowadzane do stanu zapłodnionego przy pomocy tylnego penisa. Kiedy podniosła się na nogi, była zbyt pijana, by można było podróżować na jej grzbiecie. Oprowadziły ją kilka razy w kółko i wreszcie powędrowały do miasta. Po upływie kilku godzin znowu mogły jej dosiąść.

Fletnię Pana znalazły wkrótce potem, jak ujrzały zarysy Titantown.

Krew już zakrzepła na jego pięknym błękitnym futrze. Z jednej strony sterczała dzida, celując w niebo. Widać było liczne okaleczenia.

Piszczalka uklękła przy nim i zapłakała, a Gaby i Cirocco dyskretnie przystanęły.

Cirocco poczuła w ustach gorycz. Czy Piszczalka obarczała ją winą? Czy wolałaby zginąć razem z przyjacielem, czy też było to beznadziejnie ziemskie wytłumaczenie? Tytanie zdawały się nie rozumieć ducha walki - walczyły dlatego, iż nie mogły się oprzeć. Cirocco podziwiała je za to pierwsze, żałowała za to drugie.

Czy radować się tą, którą się uratowało, czy też opłakiwać stratę? Nie mogła robić obu rzeczy naraz, więc płakała.

Piszczalka podniosła się z wysiłkiem. Trzy lata, pomyślała Cirocco. To nic nie znaczy. Miała w sobie niewinność trzyletniego dziecka, ale była jednocześnie dorosłą Tytanią. Podniosła pokancerowaną głowę i pocałowała ją. Nie zaśpiewała niczego. Tytanie nie miały pieśni na taką okoliczność.

Gaby i Cirocco dosiadły jej ponownie, a Piszczalka ruszyła ku miastu powolnym truchtem.

- Jutro - powiedziała Cirocco. - Jutro ruszamy w stronę piasty.

Rozdział 18

Pięć dni później Cirocco nadal przygotowywała całą grupę do wymarszu. Powstał problem wokół tego, kogo i co zabrać.

Bill nie wchodził w rachubę, chociaż sam był odmiennego zdania. To samo August.

Odzywała się teraz rzadko, spędzając całe dni na skraju miasta i odpowiadając monosylabami. Calvin nie był w stanie orzec, czy dla jej zdrowia byłoby lepiej, gdyby z nimi poszła, czy też gdyby została. Cirocco musiała podjąć decyzję, uwzględniając nadrzędny interes wyprawy, który mógłby być zagrożony, gdyby August nagle się załamała.

Calvin też nie wchodził w rachubę, ponieważ obiecał pozostać w Titantown do czasu, aż Bill wydobrzeje na tyle, by mógł samemu się o siebie zatroszczyć. Potem Calvin mógł

zrobić, co tylko zapragnie.

Gene zdecydował się uczestniczyć w wyprawie. Cirocco chciała go mieć na oku, z dala od Tytanii.

Pozostawała jeszcze Gaby.

- Nie możesz mnie opuścić - powiedziała nie tyle prosząc, ile stwierdzając fakt. -

Pójdę za tobą.

- Nie mam zamiaru cię zostawiać. Zanudzasz mnie tym fiołem, który masz na moim punkcie i na który nie zasługuję. Uratowałaś mi jednak życie, za co ci jeszcze tak naprawdę nie podziękowałam, więc chcę, żebyś wiedziała, że nigdy ci tego nie zapomnę.

- Nie chcę podziękowań - powiedziała Gaby. - Pragnę twojej miłości.

- Tego nie mogę ci dać. Naprawdę cię lubię, Gaby. Do diabła, jesteśmy razem od samego początku. Pierwsze pięćdziesiąt kilometrów mam zamiar przelecieć w Gwizdku.

Nie chcę cię do niczego zmuszać.

Gaby zbladła, ale odpowiedziała mężnie:

- Nie musisz.

Cirocco kiwnęła głową.

- Jak powiedziałam, to zależy tylko od ciebie. Calvin twierdzi, że możemy dolecieć do poziomu strefy mroku. Miękkoloty wyżej nie latają, ponieważ anioły tego nie lubią.

- A więc lecimy we trójkę? Ty, ja i Gene?

- Tak. - Cirocco zmarszczyła brwi. - Cieszę się, że idziesz z nami.

Potrzebowały bardzo wielu rzeczy, a Cirocco nie miała pojęcia, skąd je wziąć. Tytanie miały system wymiany, ale ceny były ustalane przy użyciu zawiłej formuły obejmującej takie czynniki, jak stopień pokrewieństwa, pozycja społeczna i doniosłość potrzeby. Nikt nie głodował, ale jednostki o niskim statusie jak Piszczalka stać było co najwyżej na

jedzenie, dach nad głową oraz najbardziej niezbędny makijaż. Dla Tytanii potrzeba ozdabiania ciała szła zaraz za potrzebą jedzenia.

Istniał tu też system kredytowy, który wykorzystał w pewnej mierze Mistrz Śpiewu, próbując im pomóc, ale opierało się to przede wszystkim na arbitralnie ustalonym statusie Cirocco, która występowała jako jego duchowa zadnia córka i na twierdzeniu, że powinna być adoptowana przez społeczeństwo ze względu na charakter swojej misji.

Większość tutejszych rzemieślników kupiła ten pomysł i z niemalże krępującą ochotą zabrała się do wyposażenia całej trójki. Sporządzono plecaki z szelkami dostosowanymi do wymiarów ludzkiego ciała. Wszyscy rzucili się, by zaoferować swoje najlepsze towary.

Cirocco zdecydowała, że każde z nich powinno dźwigać około pięćdziesięciu kilo bagażu. Był to okazały pakunek, ale w tutejszych warunkach ważył zaledwie dwanaście kilo, a w miarę zbliżania się do piasty powinien stawać się jeszcze lżejszy. Gaby twierdziła, że grawitacja spowodowana siłą odśrodkową powinna stanowić zaledwie jedną czterdziestą siły przyciągania ziemskiego.

Podstawową sprawą była lina. Tytanie uprawiały roślinę, która wytwarzała doskonałą linę, mocną, cienką i elastyczną. Każde z nich z powodzeniem mogło zabrać stumetrowy zwój.

Tytanie dobrze się wspinały, chociaż najczęściej ograniczały się do drzew. Cirocco omówiła z kowalami sprawę haków i dostała najlepsze, jakie mogli tutaj wykuć.

Niestety, Tytanie nie znały stali. Gene popatrzył na te haki i pokręcił głową.

- To jest najlepsze, co mogą zrobić - powiedziała Cirocco. - Zahartowały je zgodnie z moimi wskazówkami.

- I tak są jeszcze niedostatecznie mocne. Ale nie martw się. Cokolwiek tworzy wewnątrz szprychy, na pewno nie jest to skała. Skała na pewno nie wytrzymałaby

naprężeń, które występują w takim miejscu. W gruncie rzeczy nie bardzo wiem, co mogłoby być dostatecznie mocne.

- Co oznacza po prostu, że ludzie, którzy zbudowali Gaję, wiedzieli coś, czego my nie wiemy.

Cirocco nie przejmowała się tym zbytnio. Anioły żyły w szprychach. Chyba nie latały przez całe życie, a więc musiały od czasu do czasu gdzieś przysiąść. Jeżeli tak, to na pewno i ona mogłaby się tego ucześcić.

Wzięli młotki do wbijania haków, najlżejsze i najmocniejsze, jakie Tytanie zdołały wykonać. Kowale przynieśli też topory i noże, a także oselki do ich ostrzenia.

Zapakowali również po spadochronie - prezencie od Gwizdka.

- Odzież - powiedziała Cirocco. - Co z odzieżą?

Mistrz zrobił bezradną minę.

- Ja nie potrzebuję odzienia, jak zresztą widać - zaśpiewał. - Niektórzy nasi ludzie, mający podobnie jak wy nieowłosioną skórę, noszą odzież w czasie chłódów. Możemy zrobić, co tylko zechcecie.

W końcu zostali odziani w szyte na miarę jedwabne stroje. Właściwie to nie był jedwab, ale materiał, który bardzo go przypominał w dotyku. Na wierzch szły po dwa komplety filcowych koszul i spodni, a potem jeszcze tkane swetry i kalesony. Zrobili również futrzane płaszcze i spodnie, a także wyłożone futrem rękawice i mokasyny na grubej podeszwie. Musieli być przygotowani na wszystko, a chociaż odzież zajmowała masę miejsca, Cirocco nie narzekała. Zapakowali też jedwabne hamaki i śpiwory.

Tytanie miały zapalki i lampki olejowe. Wzięli po jednej, a także niewielki zapas paliwa. Nie było szans, by zapewnić paliwo na całą drogę, ale podobnie było z żywnością i wodą.

- Woda - denerwowała się Cirocco. - To może być wielki problem.

- No cóż, jak powiedziałaś, anioły jakoś tam żyją. - Piątego dnia przygotowani Gaby

pomagała w pakowaniu. - Muszą coś pić.

- Co wcale nie oznacza, że nie będzie trudności ze znalezieniem źródeł wody.

- Jeżeli masz się martwić przez cały czas, możemy równie dobrze w ogóle nie ruszać.

Zabrali bukłaki z wodą wystarczające na jakieś 9-10 dni, a także dopełnili bagaże do wyznaczonej wagi suszoną żywnością. Jeżeli będzie możliwe, planowali jeść to, co jedzą anioły.

Szóstego dnia zakończono przygotowania i pozostawała jej tylko rozmowa z Billem.

Nie bardzo jej się uśmiechała perspektywa użycia swojej władzy dla ucięcia dyskusji, ale wiedziała, że jeśli zostanie zmuszona, na pewno tak zrobi.

- Wszyscy żeście powariowali - powiedział Bill, uderzając dłonią w łóżko. - Nie macie pojęcia, co was tam czeka. Czy poważnie myślicie, że zdołacie się wspiąć czterystukilometrowym kominem?

- Mamy zamiar przekonać się, czy to możliwe.

- Przecież możecie zginąć. Kiedy spadniecie, walniecie o glebę niczym odrzutowiec!

- Wyobrażam sobie, że przy tej gęstości powietrza prędkość spadania znacznie przekracza 200 km na godzinę. Bill, jeżeli chcesz mi dodać otuchy, to robisz to bardzo kiepsko. - Nigdy go takim nie widziała i zupełnie jej się to nie podobało.

- Powinniśmy się trzymać razem i ty o tym dobrze wiesz. Odbijasz sobie ciągle utratę „Ringmastera” i próbujesz odgrywać bohaterkę.

Jeżeli nawet w tym, co powiedział, nie było ani szczypty prawdy, nie mógł jej bardziej zranić. Myślała o tym godzinami, próbując zasnąć.

- A powietrze! Co będzie, jeżeli tam w górze nie ma powietrza?

- Nie mamy zamiaru popełniać samobójstwa. Jeżeli to okaże się niemożliwe,

pogodzimy się z tym. Wymyślasz sztuczne argumenty.

Jego oczy błagały.

- Proszę cię, Rocky. Poczekaj na mnie. Nigdy przedtem o nic cię nie prosiłem, ale teraz naprawdę cię o to proszę!

Westchnęła i skinęła na Gaby i Gene'a, by opuścili pokój. Kiedy wyszli, usiadła na brzegu łóżka i wzięła go za rękę. Wyrwał ją. Wstała prędko, wściekła na siebie za to, że próbowała dotrzeć do niego w ten sposób i na niego za to, że ją odrzucił.

- Wydaje mi się, że cię nie znam, Bill - powiedziała spokojnie. - Myślałam kiedyś, że jest inaczej. Stanowiłeś dla mnie pocieszenie w chwilach samotności, myślałam nawet, że z czasem cię pokocham. Nie zakochuję się łatwo. Być może jestem zbyt podejrzliwa, nie wiem. Prędzej czy później każdy chce, bym była taką, jaką sobie życzy i teraz właśnie ty robisz ten sam błąd.

Nic nie odpowiedział, nawet na nią nie spojrział.

- To, co robisz, jest tak niesprawiedliwe, że chce mi się wrzeszczeć.

- Możesz sobie wrzeszczeć.

- Dlaczego? Czy muszę się dopasować do twojego wzorca kobiety? Do cholery, kiedy mnie poznałeś, byłam kapitanem; nie myślałam, że to dla ciebie takie ważne.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Mówię o tym, że jeśli teraz wyruszę, między nami wszystko skończone. Nie mam zamiaru czekać na ciebie, abyś zapewnił mi bezpieczeństwo.

- Nie wiem, o czym...

I wtedy wrzasnęła i zaraz poczuła się lepiej. Kiedy było już po wszystkim, zdobyła się nawet na gorzki śmiech. To zdumiało Billa. Gaby wetknęła głowę w drzwi i natychmiast zniknęła, kiedy Ciocco nawet nie zauważyła jej obecności.

- W porządku, w porządku - powiedziała. - Mam trochę zbyt gwałtowne reakcje. To

dlatego, że utraciłam statek i muszę to sobie skompensować, okrywając się chwałą.

Jestem sfrustrowana, ponieważ nie udało mi się zebrać całej załogi i sprawić, by normalnie działała, nawet do tego stopnia, żeby jedyny człowiek, o którym sądziłam, że mogę się na nim oprzeć, szanował moje decyzje, zamknął się i robił, co mu każę. Wiem, że jestem dziwnym stworzeniem. Być może zbyt silnie uświadamiam sobie rzeczy, które byłyby inne, gdybym była mężczyzną. Musisz się stać o wiele wrażliwszym, kiedy na twojej drodze w górę pojawiają się ciągle te same problemy i musisz być dwa razy lepszy niż inni, by dostać taką robotę.

- Nie zgadzasz się z moją decyzją, by ruszyć w górę. Wyłuszczyłeś swoje zastrzeżenia.

Powiedziałeś, że mnie kochasz. Nie sądzę, byś nadal mnie kochał i bardzo mi przykro, że tak się sprawy ułożyły. Rozkazuję ci poczekać tu do mojego powrotu i więcej nie poruszać tego tematu.

Zacisnęła usta z wyrazem bezkompromisowego uporu.

- Właśnie dlatego, że cię kocham, nie chcę, żebyś szła.

- Mój Boże, Bill, nie chcę takiej miłości. „Kocham cię, a więc nie ruszaj się, aż cię zwiążę”. Najbardziej mnie boli, że właśnie ty tak robisz. Jeżeli nie możesz mnie mieć jako niezależnej kobiety, zdolnej do podejmowania samodzielnych decyzji i troszczącej się o siebie, trudno - nie będziesz mnie miał wcale.

- Cóż to jest za miłość?

Chciało jej się płakać, ale wiedziała, że nie może sobie na to pozwolić.

- Gdybym to wiedziała. Być może w ogóle nic takiego nie istnieje? Być może potrzebujemy opieki innej osoby, co oznacza, że powinnam raczej zacząć się rozglądać za mężczyzną, który byłby ode mnie zależny, ponieważ inny układ mi nie odpowiada. Czy

nie możemy się po prostu troszczyć każde o siebie? Chcę powiedzieć, że kiedy ty jesteś słaby ja ci pomagam, a kiedy ja mam chwilę słabości - ty służysz mi wsparciem.

- Nie wygląda na to, byś kiedykolwiek miała chwile słabości. Właśnie przed chwilą powiedziałaś, że musisz się o siebie troszczyć.

- To jest obowiązkiem każdej ludzkiej istoty. Jeżeli jednak sądzisz, że nie bywam słaba, to mnie nie znasz. Teraz właśnie czuję się jak małe dziecko i zastanawiam się, czy masz zamiar pozwolić mi wyjść bez pocałunku, nawet nie życząc szczęścia.

Cholera, wtedy właśnie pojawiły się łzy. Wytarła je szybko, nie chcąc, by oskarżał ją, że używa ich jako broni. Dlaczego ja się zawsze pakuję w beznadziejne sytuacje? - zastanawiała się. Silna czy słaba, zawsze będzie w nich stroną defensywną.

Udobruchała go na tyle, że się pocałowali. Potem właściwie pozostało niewiele do powiedzenia. Cirocco nie potrafiła ocenić, jak Bill przyjmuje jej suche oczy. Wiedziała, że go zraniła, ale czy to raniło go jeszcze bardziej?

- Wracaj tak szybko, jak to możliwe.

- Na pewno. Nie martw się o mnie za bardzo. Złego licha nie weźmie.

- Jakbym o tym nie wiedział!

- Dwie godziny, Gaby. Góra.

- Wiem, wiem. Nie przypominaj mi, dobrze?

Gwizdek wydawał im się jeszcze większy niż poprzednio. Spoczywał na płaskiej równinie na wschód od Titantown. Zazwyczaj nie schodził poniżej wierzchołków drzew.

Trzeba wygasić wszystkie ogniska w mieście, żeby skłonić go do wylądowania.

Cirocco jeszcze raz spojrzała w stronę Billa stojącego o kulach obok wózka, który skonstruowały dla niego Tytanie. Pomachał jej, a ona odwzajemniła nieme pozdrowienie.

- Pogarsza mi się, Rocky - powiedziała Gaby, szcękając zębami. - Mów do mnie.

- Spokojnie, dziewczyno, nie denerwuj się. Otwórz oczy, dobrze? Patrz, gdzie idziesz.

Hooop!

We wnętrzu żołądka miękkolota stało w kolejce, niczym niecierpliwi pasażerowie metra, z tuzin rozmaitych zwierząt. Wskoczyły na zewnątrz jedno przez drugie, przewracając Gaby.

- Pomóż mi, Rocky! - zawołała rozpaczliwie, posyłając jedno szybkie spojrzenie w kierunku Cirocco.

- Jasne. - Rzuciła swój bagaż Calvinowi, który wraz z Gene'em był już w środku i wciągnęła tamtą. Gaby była taka drobna i zimna.

- Dwie godziny.

- Dwie godziny - powtórzyła Gaby ponuro.

Rozległ się pospieszny stukot kopyt i w otwartym zwieraczu Gwizdka pojawiła się Piszczalka. Chwyciła Gaby za ramię.

- Nasza mała - zaśpiewała. - To ci pomoże. - Wcisnęła jej w rękę bukłak wina.

- Skąd wiedziałaś... - zaczęła Cirocco.

- Dostrzegłam lęk w jej oczach i przypomniałam sobie, jak się mną kiedyś opiekowała. Czy dobrze zrobiłam?

- Spisałaś się fantastycznie, moje dziecko. Dziękuję ci w jej imieniu. - Nie zdradziła się przed Piszczalką z bukłakiem, który załadowała do swojego plecaka dokładnie z takim samym przeznaczeniem.

- Nie pocałuję cię znowu, ponieważ twierdzisz, że wrócisz. Niech ci się poszczęści i niechaj Gaja cię nam przywróci.

- Wszystkiego dobrego. - Otwór zamknął się bezdźwięcznie.

- Co powiedziała?

- Życzyła ci, żebyś sobie dała w czub.

- Kropnęłam już jednego, a może i dziesięć. Ale skoro o tym mówisz...

Cirocco pozostała przy niej, gdy oddawała się kuracji, pojąc ją winem tak długo, aż znalazła się na krawędzi utraty przytomności. Kiedy upewniła się, że Gaby jest bezpieczna, dołączyła do mężczyzn na przodzie gondoli.

Od dawna już żeglowali w powietrzu. Woda, która stanowiła balast, ciągle jeszcze wyciekała przez otwór w pobliżu nosa Gwizdka.

Wkrótce szybowali ponad górną powierzchnią kabla. Patrząc w dół Cirocco widziała drzewa i połacie trawy. Niektóre części kabla były całkowicie zarośnięte. Była to tak olbrzymia konstrukcja, że wyglądem przypominała płaski pas ziemi. Aż do samego sklepienia nie było żadnego niebezpieczeństwa upadku.

Światło stopniowo zaczęło przygasać. W ciągu dziesięciu minut dotarli w strefę zabarwionej na pomarańczowo szarówki, zmierzając ku wiecznej nocy. To stopniowe zanikanie światła napawało Cirocco smutkiem. Przeklinała jego monotonię, ale przynajmniej było to światło. Przez jakiś czas go nie zobaczą.

Być może nie zobaczy go już nigdy.

- To jest koniec trasy - powiedział Calvin. - Gwizdek nieco się obniży i wysadzi was na kablu. Powodzenia, zwariowani głupcy. Będę na was czekał.

Gene pomógł Cirocco wpasować Gaby w uprząż spadochronu, a potem wyskoczył pierwszy, by złapać ją na ziemi. Cirocco obserwowała całą operację z góry, a potem dostała od Calvina buziaka na szczęście. Ułożyła swoją uprząż wokół bioder i wysunęła stopy za brzeg otworu.

Poleciała prosto w strefę mroku.

Rozdział 19

Kiedy wylądowali na kablu, poczuli się lżejsi. Zbliżyli się o około sto kilometrów do centrum Gai i znajdowali się sto kilometrów od jej dna. Siła przyciągania osłabła z prawie jednej czwartej przyciągania ziemskiego do mniej niż jednej piątej. Plecak Cirocco ważył teraz niemal dwa kilo mniej, a jej ciało było lżejsze o dwa i pół kilo.

Jesteśmy sto kilometrów od miejsca, w którym kabel łączy się ze sklepieniem - powiedziała Cirocco. - Według mnie, nachylenie wynosi tutaj mniej więcej trzydzieści stopni. Na razie więc droga nie powinna sprawiać szczególnych trudności.

Gene spojrział na nią sceptycznie.

- Powiedziałbym raczej, że czterdzieści stopni, a może nawet czterdzieści pięć. Poza tym nachylenie wyraźnie wzrasta. Przy samym dachu może osiągnąć jakieś sześćdziesiąt stopni.

- Ale przy tym słabym przyciąganiu...

- Takie nachylenie to nie przelewki - powiedziała Gaby. Siedziała na ziemi, z twarzą zieloną, ale już spokojną. Zwymiotowała potężnie i powiedziała, że wszystko jej jedno, co zrobi, byle nie miało to nic wspólnego z wnętrzem miękkołota. - Zaliczyłam na Ziemi kilka niezłych tras wspinaczkowych z teleskopem na plecach. Trzeba na to sporej kondycji, której niestety nie mamy.

- Ona ma rację - powiedział Gene. - Straciła na wadze. Słaba grawitacja rozleniwia.

- Oj, ludzie, defetyści z was.

Gene potrząsnął głową.

- Nie, po prostu nie sędzę, żebyśmy byli w stanie pokonać jakoś różnicę w sile przyciągania. Poza tym nie zapominajmy, że bagaże ważą prawie tyle samo co my. To wymaga dużej ostrożności.

- Do diabła, my tu wybieramy się na najdłuższą wspinaczkę górską, jaką kiedykolwiek podjęły istoty ludzkie i co, czy słyszę ochoczy śpiew? Nie, nic tylko narzekanie.

- Jeżeli już mamy coś zaśpiewać - powiedziała Gaby - zróbmy to lepiej teraz. Nie sądzę, żebym potem była w odpowiednim nastroju.

No cóż - pomyślała Cirocco - przynajmniej spróbowałam. Doskonale wiedziała, że droga będzie bardzo trudna, ale w jakiś sposób wyczuwała, że prawdziwe trudności zaczną się dopiero z chwilą dotarcia do sklepienia, a więc mniej więcej za pięć dni.

Znawali się w ciemnym lesie. Ponad nimi górowały drzewa z mętnego szkła, które dodatkowo filtrowały tę resztkę światła, która docierała do strefy mroku i nadawały wszystkiemu brązowy odcień. Nieprzeniknione, stożkowe cienie wskazywały na wschód, w stronę nocy. Tuż nad ich głowami rozpościerała się pokrywa z celofanowych liści, różowych, pomarańczowych, niebieskozielonych i złotych: rozbuchany zachód słońca późnym, letnim wieczorem.

Grunt drżał lekko pod ich stopami. Cirocco pomyślała o ogromnych ilościach powietrza mknących przez kabel do piasty i zastanowiła się, czy nie można by jakoś wykorzystać tej potęgi.

Wspinaczka nie była trudna. Powierzchnia była twarda i gładka, pokryta ubitym piachem. Ukształtowanie terenu było uzależnione od ułożenia pasm pod cienką warstwą ziemi. Grzbiety włókien wyginały się w długie łuki, które po kilkuset metrach zakrzywiały się w stronę nachylonych części kabla.

Roślinność była najbujniejsza tam, gdzie utrzymała się najgrubsza pokrywa ziemi - pomiędzy włóknami. Przyjęli Taktykę posuwania się wzdłuż grzbietu aż do miejsca, gdzie zaczynał się wić pod kablem, a potem przekraczali płytki parów i przenosili się na kolejny grzbiet skierowany na południe. Tak szli następne pół kilometra, a potem znowu

przekraczali dolinkę.

Dnem każdego parowu płynęły niewielkie strumienie.

Ledwie się sączyły, ale były wartkie i złościły aż do kabła głębokie kanały w piachu.

Cirocco domyślała się, że strumienie muszą spadać gdzieś po prawej stronie kabła na południowym zachodzie.

Gaja tu w górze była równie płodna jak na powierzchni. Wiele drzew było okrytych owocami, a w ich gałęziach myszkowała masa zwierząt. Girocco rozpoznała powolne zwierzę wielkości królika, które było jadalne i łatwe do upolowania.

Pod koniec drugiej godziny wspinaczki Girocco zdała sobie sprawę, że pozostali mieli rację. Przekonała się o tym, kiedy chwycił ją kurcz w łydce i powalił na ciepłą ziemię.

- Tylko nic nie mówcie, do cholery.

Gaby wyszczerzyła zęby w uśmiechu. Okazała współczucie, ale głównie była zadowolona z siebie.

- To nachylenie. Tego się nie czuje, kiedy idziesz pod górę. Miałaś rację co do wagi, ale pochyłość zbocza sprawia, że opierasz się głównie na palcach stóp.

Gene usiadł obok nich, opierając się plecami o zbocze.

Pomiędzy drzewami widzieli skrawek Hyperiona, lśniący jasno i obiecująco.

- Ciężar też jest problemem - powiedział. - Musiałem się tak pochylić, że podpierałem się nosem, żeby w ogóle posuwać się do przodu.

- Bola mnie stopy - potwierdziła Gaby.

- Mnie też - powiedziała żałośnie Girocco. Kiedy rozmasowała nogę, ból ustąpił, ale wiedziała, że powróci.

- To cholernie łudzące - powiedział Gene. - Może lepiej by nam poszło na

czworakach. Tak jak teraz, za bardzo obciążamy uda i tylne mięśnie nóg. Musimy je

w jakiś sposób rozprostować.

- On ma rację. I to powinno nas jakoś przygotować do części idącej prosto do góry.

Wtedy będziemy używali głównie rąk.

- Oboje macie rację - powiedziała Cirocco. - Nadałam zbyt ostre tempo. Będziemy musieli robić częściej odpoczynki. Gene, czy mógłbyś wyjąć apteczkę z mojego plecaka?

Mieli leki na katar i gorączkę, fiolki środków dezynfekujących, bandaże, zapas podstawowych środków przeciwbólowych, których Calvin używał przy aborcji, a nawet paczkę jagód o działaniu pobudzającym, Cirocco miała zamiar czegoś spróbować.

W podręczniku pierwszej pomocy autorstwa Calvina opisano sposób postępowania w różnych przypadkach, począwszy od krwotoku z nosa aż po amputację. No i był jeszcze okrągły słoiczek balsamu, ofiarowany jej przez Mistrza Śpiewu na „boleści drogi”.

Podwinęła nogawkę spodni i wtarła odrobinę w nadziei, że środek jest skuteczny nie tylko w odniesieniu do Tytanii, ale także i do ludzi.

- Gotowi? - Gene podniósł się, poprawiając plecak.

- Tak sędzę. Ty prowadzisz. Nie idź tak szybko jak ja przedtem. Powiem ci, kiedy zaczniesz przyspieszać. Za dwadzieścia minut dziesięciominutowy odpoczynek.

Po piętnastu minutach Gene'a ogarnęły boleści. Zawył, zdarł but i zaczął masować stopę.

Cirocco była zadowolona z okazji do odpoczynku. Wyciągnęła się i wygrzebała z kieszeni słoiczek maści, a potem przetoczyła się na plecach i podała go do góry do Gene'a. Podparta plecakiem siedziała niemal wyprostowana, z nogami zwisającymi w dół stoku. Siedząca obok niej Gaby nie zadała sobie trudu, żeby się odwrócić.

- Piętnaście minut marszu i piętnaście odpoczynku.

- Wedle rozkazu, szefowo - westchnęła Gaby. - Dla ciebie dam się żywcem obedrzeć

ze skóry, będą się wdzierała w górę, aż moje ręce i nogi staną się krwawą miazgą.

A kiedy umrę, napiszcie na nagrobku, że umarłam śmiercią żołnierza. Kopnij mnie, kiedy będziesz gotowa do drogi. - Zaczęła głośno chrapać i Cirocco głośno się roześmiała.

Gaby otworzyła podejrzliwie jedno oko, a potem sama się roześmiała.

- Co byście powiedzieli na to: Tu leży kobieta kosmiczna? - zaproponowała Cirocco.

- Spełniła swój obowiązek - powiedział Gene.

- Uczciwie - prychnęła Gaby. - Czy jest w życiu choć odrobina romantyzmu? Zdradź komuś swoje epitafium i co dostajesz w zamian? Żarciki.

Następny kurcz dopadł Cirocco w czasie kolejnego odpoczynku. Właściwie to były kurcze, objęły bowiem obie nogi równocześnie. Nie było to wcale zabawne.

- Hej, Rocky - powiedziała Gaby z wahaniem, dotykając jej ramienia. - Nie ma sensu się zarzynać. Odpocznijmy tym razem z godzinę.

- To naprawdę dziwne - chrząknęła Cirocco. - Nie jestem prawie wcale zadyszana. Po prostu nie czuję się dobrze, siedząc na tyłku. - Spojrzała na Gaby podejrzliwie. - Jak to się dzieje, że ty nie masz kurczów?

- Obijam się - przyznała Gaby z niewzruszoną twarzą. - Zaczepiam linę do tego tyłka, na którym nie chcesz siedzieć i pozwalam ci odwalać całą robotę.

Cirocco musiała się roześmiać, chociaż na pewno nie był to gromki śmiech.

- Muszę się z tym po prostu pogodzić - powiedziała. - Prędzej czy później nabiorę kondycji. Od kurczów się nie umiera.

- Nie. Ale nie znoszę patrzeć, jak cierpisz.

- Co byście powiedziały na dziesięć minut wspinaczki i dwadzieścia minut

odpoczynku - poddał Gene. - Po prostu do czasu, kiedy wprawimy się na tyle, by było nas stać na coś więcej?

- Nie. Będziemy szli w górę piętnaście minut albo do chwili, gdy któreś z nas nie będzie w stanie iść dalej. Potem będziemy odpoczywać tak samo długo lub do momentu, kiedy będziemy w stanie ruszyć. W ten sposób będziemy się posuwać po osiem godzin dziennie... - Sprawdziła zegarek. - Na dobrą sprawę zostało nam więc jeszcze pięć godzin marszu. Potem rozbijemy obóz.

Gaby westchnęła.

- Prowadź, Rocky. W tym na pewno jesteś dobra.

To było straszne. Na Cirocco nadal przypadała największa porcja bólu, chociaż i Gaby zaczęła go doświadczać.

Balsam Tytanii pomagał, ale musieli go używać oszczędnie. Chociaż każde z nich miało apteczkę, i tak zużyli już całą porcję Cirocco. Miała nadzieję, że nie będą go potrzebowali po upływie kilku pierwszych dni podróży, chciała jednak zachować przynajmniej jeden słoiczek na wspinaczkę we wnętrzu szprychy. Poza tym nie był to ból nie do zniesienia. Kiedy ją chwycił, miała ochotę wrzeszczeć, a później siadała i czekała, aż przejdzie.

Przy końcu siódmej godziny dała za wygraną, czując się trochę zmartwiona własnym uporem. Wyglądało to prawie tak, jakby próbowała udowodnić, że Bill miał rację: zmuszała się do odgrywania twardziela, zbliżając się do granic wytrzymałości, a nawet trochę je przekraczając.

Rozłożyli obóz na dnie parowu, nazbierali drewna na ognisko, ale nie rozbili namiotów. W powietrzu było gorąco i parno, a ogień dawał tak pożądane w gęstniejących ciemnościach światło. Obsiedli go w wygodnej odległości, rozebrani do pstrokatej jedwabnej bielizny.

- Wyglądasz jak paw - powiedział Gene, pociągając z bukłaka.

- Bardzo zmęczony paw - westchnęła Cirocco.

- Jak myślisz, Rocky, ile przeszliśmy? - spytała Gaby.

- Trudno powiedzieć. Piętnaście kilometrów?

- Też tak przypuszczam - powiedział Gene, kiwając głową. - Liczyłem kroki na kilku grzbietach i wyciągnąłem średnią. Potem zliczyłem grzbiety, które przeszliśmy.

- Wielkie umysły myślą podobnie - powiedziała Cirocco. - Dziś piętnaście, jutro dwadzieścia. Dotrzemy do sklepienia w ciągu pięciu dni. - Wyciągnęła się i obserwowała mieniające się kolorami liście nad głową.

- Gaby, zostałeś wybrana. Poszperaj w tym plecaku i wyciągnij coś do zarcia.

Mogłabym połknąć Tytanie z kopytami.

Jednak następnego dnia nie przeszli dwudziestu kilometrów - nie zrobili nawet dziesięciu.

Obudzili się z obolałymi nogami, a Cirocco była tak zeszywniała, że nie mogła zgiąć kolan, nie krzywiąc się z bólu. Kuśtykali przygotowując śniadanie i zwijając obóz i poruszali się niczym osiemdziesięcioletni staruszkowie, zanim nie zmusili się do serii przysiadów i rytmicznych skłonów.

- Wiem, że ten plecak jest o kilka gramów lżejszy - jęknęła Gaby zarzucając go na plecy. - Zjadłam przecież dwa posiłki.

- Mój jest cięższy o dwadzieścia kilo - powiedział Gene.

- Trele-morele. Jazda, małpiszony. Macie zamiar żyć wiecznie?

- Żyć? To ma być życie?

Druga noc nastąpiła zaledwie w pięć godzin po pierwszej. Tak zdecydowała Cirocco.

- Dzięki ci, o Wielka Władczyni Czasu! - westchnęła Gaby, wyciągając się na

śpiworze. - Jeśli się dobrze postaramy, być może pobijemy nowy rekord. Dwugodzinny

dzień!

Gene padł obok.

- Rocky, kiedy rozpalisz ogień, zjadłbym mniej więcej pięć tych filetów z rośliny stekowej. Ale proszę cię, poruszaj się po cichutku, dobrze? Budzi mnie skrzywienie w twoich kolanach.

Cirocco położyła ręce na biodrach i obrzuciła ich lodowatym spojrzeniem.

- A więc to tak ma wyglądać, co? Mam dla was dobrą nowinę. Degraduję was.

- Czy ona coś mówiła, Gene?

- Nie słyszałem ani słówka.

Cirocco kuśtykała dookoła, zanim nie uzbierała dostatecznej ilości drewna dla rozpalenia ogniska. Przykłonienie w celu rozniecenia ognia okazało się poważnym problemem, którego rozwiązanie mogło przekraczać jej możliwości. Wymagało to bowiem ugięcia nadwerężonych stawów pod kątem, którego nijak nie chciały przybrać. Jednak po pewnym czasie roślinne steki wesoło trzaskały na tłuszczu, a Gene i Gaby wyciągali nosy w stronę źródła niebiańskich zapachów.

Cirocco wykrzesła z siebie jeszcze tylko tyle siły, by przysypać z grubsza resztki ogniska i rozwinąć śpiwór. Zasnęła, zanim jeszcze doń wpełzła.

Trzeci dzień nie był już taki zły jak drugi, podobnie jak pożar Chicago nie był tak strasznym kataklizmem jak trzęsienie ziemi, które zniszczyło San Francisco.

W ciągu niecałych ośmiu godzin zrobili dziesięć kilometrów w stopniowo wznoszącym się terenie. Pod koniec dnia Gaby zauważyła, że nie czuje się już niczym osiemdziesięcioletnia starowinka. Czowała się teraz w sam raz na siedemdziesiąt osiem lat. Okazało się konieczne przejście na nową taktykę wspinaczki. Rosnące nachylenie terenu czyniło coraz trudniejszym chodzenie nawet na czworakach. Stopy ześlizgiwały im

się ze zbrocza i żeby nie zsunąć się w dół, od czasu do czasu musieli hamować brzuchem, rozplaszczeni niczym żaby.

Gene zasugerował, żeby na zmianę brali koniec liny i wspinali się tak daleko, jak sięga, a potem przywiązywali ją do drzewa. Pozostałym wchodziło się już łatwiej, bo mogli pomagać sobie liną. Przewodnik pracował ostro dziesięć minut, gdy pozostała dwójka odpoczywała, a później sam odpoczywał dwie zmiany. Za jednym razem robili w ten sposób trzysta metrów.

Ciocco przyglądała się strumieniowi w pobliżu trzeciego biwaku i rozważała zażycie kąpieli, w końcu jednak zrezygnowała. Tak naprawdę, chciało jej się tylko jeść. Gene, nie bez szemrania objął dyżur przy patelni.

Znalazła jeszcze tyle energii, by przejrzeć plecak i skontrolować stan zapasów, a potem padła jak zabita.

Czwartego dnia zaliczyli dwadzieścia kilometrów w dziesięć godzin, a pod jego koniec Gene niemal rzucił się na Ciocco.

Rzobili obóz tam, gdzie strumień, wzdłuż którego podążali, był na tyle szeroki, by umożliwić kąpiel. Ciocco zdjęła ubranie i niewiele myśląc zanurzyła się w wodzie.

Przydałoby się mydło, ale ostatecznie drobniutki piasek z dna też nie był zły.

Wyszorowała się porządnie. Wkrótce Gaby i Gene poszli w jej ślady. Następnie Gaby, wypełniając polecenie Ciocco, poszła poszukać świeżych owoców. Nie mieli ręczników, więc przykucnęła nago u ogniska, kiedy poczuła, że Gene ją obejmuje.

Podskoczyła, rozrzucając płonące gałązki i odepchnęła jego dłonie od piersi.

- Hej, przestań. - Sprężyła się i wyrwała z jego objęć.

Gene wcale się tym nie zmieszał.

- Daj spokój, Rocky, przecież to nie pierwszy raz.

- Taak? Nie lubię, jak się ktoś do mnie ukradkiem dobiera. Trzymaj ręce przy sobie.

Wyglądał na poirytowanego.

- A jak to ma wyglądać? Co niby mam robić, kiedy dookoła latają dwie gołe baby?

Cirocco sięgnęła po ubranie.

- Nie wiedziałam, że widok gołej kobiety wyzbywa cię wszelkich hamulców. Będę to miała na uwadze.

- Teraz ty się złościsz.

- Nie, nie złoścę się. Będziemy musieli przez jakiś czas żyć w małym kręgu i złość nie ma w takim układzie żadnego sensu. - Zapięła zatrzaski koszuli i przypatrywała mu się przez chwilę uważnie, a potem poprawiła ognisko, siedząc cały czas zwrócona twarzą do niego.

- A jednak jesteś wściekła. Nie miałem nic złego na myśli.

- Po prostu nie dobieraj się do mnie, to wszystko.

- Przysłałbym ci róże i bombonierkę, ale to jest mało praktyczne.

Uśmiechnęła się i trochę rozluźniła. Znowu bardziej przypominał starego Gene'a i była to znaczna poprawa w stosunku do tego, co ujrzała w jego oczach jeszcze przed chwilą.

- Posłuchaj, Gene. Już na statku byliśmy nieszczególną parą i dobrze o tym wiesz.

Jestem zmęczona, głodna i ciągle czuję się brudna. Mogę ci tylko powiedzieć, że jeżeli będę gotowa do czegokolwiek, to dam ci znać.

- To uczciwe z twojej strony.

Milczeli oboje, kiedy Cirocco podkładała do ognia, starannie utrzymując go na małej półce skalnej, którą wygrzebali w piasku.

- Czy ty... Czy między tobą i Gaby coś się dzieje? Zarumieniła się, mając nadzieję, że

odblask ognia to zamaskuje.

- Nie twój interes.

- Zawsze byłem przekonany, że ona gdzieś w głębi ducha jest lesbijką - powiedział, kiwając głową. - Nie sądziłem, że ty też.

Wciągnęła głęboko powietrze i spojrzała na niego spod zmrużonych powiek.

Ruchome cienie nie zdradzały wyrazu jego twarzy okolonej jasną brodą.

- Rzeczywiście chcesz mnie sprowokować? Powiedziałam, że to nie twój interes.

- Gdybyś do niej nic nie czuła, powiedziałaabyś po prostu: nie.

Co się z nią działo? - zastanawiała się. Dlaczego sprawił, że cierpła jej skóra? Gene zawsze stosował w odniesieniu do ludzi własną durną logikę. Tłumił starannie swoją zajadłość i dostosowywał się do norm towarzyskich, bo w przeciwnym przypadku nigdy nie zostałby wybrany do składu wyprawy na Saturna. Popełniał z wdziękiem gafę za gafą i był naprawdę zdumiony, kiedy ludzie mieli mu za złe brak taktu. Miał osobowość dostatecznie dobrze kontrolowaną, którą zgodnie z jego typem psychologicznym z trudnością można by zakwalifikować jako ekscentryczną. Dlaczego więc czuła się tak nieswojo pod jego wzrokiem?

- Lepiej wyłożę ci od razu wszystko jak jest, żebyś nie zranił Gaby. No więc, zakochała się we mnie. To jest jakoś związane z odosobnieniem. Byłam pierwszym człowiekiem, jakiego po tym wszystkim ujrzała i tak się zrodziła ta mania. Myślę, że z tego wyrośnie, ponieważ nie ma za sobą poważniejszych doświadczeń homoseksualnych. Zresztą heteroseksualnych też nie ma.

- Ukrywała je - zasugerował.

- Który to mamy rok? 1950? Zdziwiasz mnie, Gene. Testy NASA nie pozwalają niczego ukryć. Miała jakąś przygodę homoseksualną, owszem. Ale ja też miałam i ty

także. Czytałam twoje akta. Chcesz, żebym ci powiedziała, ile wtedy miałeś lat?

- Byłem dzieckiem. Rzecz w tym, że mogę ci opowiedzieć o jej reakcjach, kiedy się kochaliśmy. Otóż, nie było żadnych reakcji, wiesz? Założę się, że kiedy robicie to obie, jest zupełnie inaczej.

- My nie.. - urwała, zastanawiając się, jak mogła dać się wciągnąć w taką dyskusję. -

Rozmowa skończona. Nie chcę więcej o tym mówić, a zresztą wraca Gaby.

Gaby zbliżyła się do ognia i rzuciła koło Cirocco siatkę pełną owoców. Kucnęła, przyglądając im się z namysłem, a potem wstała i ubrała się.

- Czy palą mnie uszy, czy też to tylko wytwór mojej wyobraźni?

Gene i Cirocco nie odezwali się, a Gaby westchnęła.

- A więc znowu do tego doszliśmy. Myślę, że zaczynam się zgadzać z ludźmi, którzy powiadają, że załogowe loty kosmiczne kosztują więcej, niż są warte.

Piątego dnia nieodwracalnie wkroczyli w noc. Jedyne światłem była teraz upiorna poświata odbita od obszarów dnia wznoszących się ku górze po obu stronach. Było to niewiele, ale wystarczyło.

Teren był teraz o wiele bardziej stromy, a pokrywa piachu cieńsza. Często szli po odsłoniętych, ciepłych włóknach, co pozwalało poruszać się pewniej niż po ruchomym piasku. Zaczęli wiązać się razem, zważając, by wtedy, kiedy jedno się wspinało, pozostała dwójka była zawsze przywiązana.

Nawet tu bujna roślinność Gai nie dawała za wygraną. Potężne drzewa oplatały kabel płaskimi korzeniami i wypuszczały wdzierające się pod powierzchnię odnóżki. Wysilek wyrywania życiodajnych substancji z tak niesprzyjającego terenu pozbawił je wszelkiego piękna. Były ponure i samotne, ich pnie przeświecały bladym wewnętrznym światłem, a liście były cienkie i niemal niewidoczne. Gdzieś mogli wykorzystać korzenie

jako szczeble.

Z końcem tego dnia mieli za sobą już siedemdziesiąt kilometrów w linii prostej i zbliżyli się o pięćdziesiąt kilometrów do piasty. Drzewa były tu na tyle rzadkie, iż mogli zobaczyć, że wspięli się już powyżej poziomu stropu i zrobili kawał drogi ku trójkątnej przestrzeni pomiędzy kablem i przypominającą dzwon gardzielą szprychy nad Reą.

Spoglądając w dół widzieli rozpościerający się pod nimi Hyperion, tak jakby lecieli latawcem przywiązany monstrualnym sznurkiem do skalistego węzła zwanego miejscem wiatrów.

Rankiem szóstego dnia dostrzegli połyskiwanie szklanego zamku. Cirocco i Gaby przycupnęły w plątaninie korzeni drzew i obserwowały widok, a Gene podpełzł z końcem liny do podnóża budowli.

- Być może to jest właśnie to miejsce - powiedziała Cirocco.

- Masz na myśli windę? - parsknęła Gaby. - Jeśli tak, to już wkrótce będę jechać cyrkowym wagonikiem na papierowych kołach.

Budowla przypominała nieco włoskie miasteczko na stoku wzgórza, ale wykonane z cukrowej waty, mające może z milion lat i częściowo stopione. Wieżyce i balkony, łuki, śmigłe przypory, wykusze i poddasza znajdowały się na wystającej półce skalnej i przelewały się przez jej krawędź niczym nalany na wafelek i zamrożony syrop. Wysokie wieże strzelały pod najrozmaitszymi kątami i przypominały ołówki wepchnięte w kubek. Były smukłe, ostre i połyskiwały jak śnieg albo kolorowa wata cukrowa. - To są ruiny, Rocky.

- Widzę. Pozwól działać mojej wyobraźni, dobrze?

W tym miejscu rozegrała się kiedyś milcząca walka zamku z krętymi białymi pnączami. Wyglądało jednak na to, że zawarto rozejm: zamek został wprawdzie

śmiertelnie uszkodzony, ale kiedy podeszli bliżej, usłyszeli, że pnącza wydzielają suchy szelest śmierci.

- Niczym hiszpański mech - zauważyła Gaby, wrywając pęk ze skłębionej masy.

- Ale większy.

Gaby wzruszyła ramionami.

- Jeżeli Gaja nie może zbudować czegoś dużego oszczędnie, nie przejmuje się zbytnio i tworzy rzeczy olbrzymie.

- Widzę drzwi na górze! - krzyknął do nich Gene. - Chcecie wejść?

- A jak myślisz?

Brzeg półki dzieliło od ściany zamku pięć metrów płaskiego terenu. Niedaleko dostrzegli okrągły łuk, niewiele wyższy niż Ciocco.

- Rany! - odetchnęła Gaby, opierając się o ścianę. - Spacer po płaskim terenie przyprawia mnie o zawrót głowy. Już prawie zapomniałam, jak to jest.

Ciocco zapaliła lampę i ruszyła za Gene'em przez wykończony łukiem otwór prowadzący do szklanego korytarza.

- Lepiej trzymajmy się razem - powiedziała.

Wydawało się, że ostrożność jest uzasadniona. Żadna z powierzchni nie odbijała wprawdzie całkowicie światła, ale i tak bardzo to przypominało gabinet luster. Mogli zaglądać przez ściany do pokoi położonych po obu stronach korytarza. Te pokoje miały ściany również ze szkła, więc widzieli też wnętrza dalszych pomieszczeń.

- Jeżeli już tu wleziemy, to jak się potem wydostaniemy? - spytała Gaby.

Ciocco pokazała na podłogę.

- Będziemy szli po śladach.

- Ach. Jaka jestem głupia. - Gaby schyliła się i przyjrzała drobniutkiemu pyłowi

zaścielającemu podłogę. Gdzieniedzie rozrzucone były większe, płaskie płytki.'

- Mielone szkło - powiedziała. - Lepiej się nie przewrócić. Gene potrząsnął głową.

- Ja też z początku tak sądziłem, ale to jednak nie jest szkło. To jest cienkie niczym bańka mydlana i nie wytrzymuje nacisku. - Wybrał kawałek ściany i nacisnął delikatnie dłonią. Pękła z delikatnym brzękiem. Złapał jeden z odłamków i skruszył w dłoni.

- Ile jeszcze takich ścian rozwalisz, zanim drugie piętro zwali się nam na głowę? - spytała Gaby, wskazując pokój położony nad nimi.

- Myślę, że sporo. Zrozum, teraz to wygląda jak jakiś upiorny labirynt, ale kiedyś było zapewne inaczej. Przechodzimy przez niektóre ściany tylko dlatego, że coś już je przedtem rozwaliło. Kiedyś był to jednak zespół sześcianów nie połączonych ani wejściami, ani wyjściami.

Gaby i Cirocco spojrzały po sobie.

- Przypomina to budowlę, którą widzieliśmy u podnóża kabla - powiedziała Cirocco. Opisała ją Gene'owi.

- Kto buduje pokoje bez wejścia i wyjścia? - spytała Gaby.

- Łodzik - powiedział Gene.

- Co proszę?

- Łodzik. Wytwarza spiralną muszlę. Kiedy jest za mała, przesuwa się, zamykając na głucho opuszczoną część muszli za sobą. Można ją przeciąć na pół, są bardzo ładne.

Bardzo to przypomina budowlę, którą mi opisałyście: małe pomieszczenia na dole, duże na górze.

Cirocco zmarszczyła brwi.

- Ale te pokoje sprawiają wrażenie, jakby były takie same.

Gene potrząsnął głową.

- Różnica nie jest duża. Ten pokój jest nieco wyższy niż tamten. Gdzieś powinny być mniejsze pokoje. Może te zbudowane po bokach.

Zaczęli sobie wyobrażać stworzenia, które zbudowały szklany zamek na podobieństwo koralu morskich. Kolonia opuściła domki, kiedy z nich wyrosła i budowała dalsze na ich szczątkach. Część zamku sięgała dziesięciu pięter lub nawet wyżej. Konstrukcja całej budowli nie opierała się na cieniutkich ścianach, ale na dźwigarach wzdłuż brzegów. Przypominały sztaby przezroczystego plexiglasu, grube na kilka centymetrów, bardzo twarde i mocne. Gdyby nawet wszystkie ściany zamku zwały się, zarys konstrukcji pozostałby widoczny niczym stalowe rusztowanie wieżowca.

- Ktokolwiek to zbudował, na pewno nie był ostatnim użytkownikiem - zasugerowała Gaby. - Ktoś się tu wprowadził później i poczynił masę zmian, chyba że te stworzenia były znacznie bardziej skomplikowane, niż to założyliśmy. Tak czy owak, od dawna nikogo tu już nie ma.

Ciocco próbowała ukryć rozczarowanie, ale nie na wiele się to zdało. To było fiasko. Nadal znajdowali się daleko od wierzchołka i wyglądało na to, że będą się musieli wspinać dalej.

- Nie złość się.

- O co chodzi? - Ciocco powoli otrząsnęła się ze snu. Trudno uwierzyć, że minęło już osiem godzin - pomyślała. Ale skąd wiedziała? Przecież ona miała zegarek.

- Nie patrz. - Powiedział to tym samym spokojnym tonem, ale Ciocco zamarła z na wpół uniesionym ramieniem. Dostrzegła twarz Gene'a pomarańczową w blasku dogasającego ognia. Klęczał nad nią.

- Dlaczego... co się stało, Gene? Coś złego?

- Po prostu się nie złość. Nie chciałem jej zranić, ale nie mogłem też pozwolić, by się

przyglądała, prawda?

- Gaby? - zaczęła się podnosić i wtedy dostrzegła nóż w jego dłoni. W rozbłysku wyostrejzonej świadomości zauważyła kilka rzeczy na raz: Gene był nagi, a Gaby - również goła - leżała na brzuchu i wydawało się, że nie oddycha. Gene miał erekcję i ręce umazane krwią. Jej zmysły napięły się aż do bólu. Słyszała jego równy oddech, czuła krew i przemoc.

- Nie złość się - powiedział trzeźwo. - Nie chciałem, żeby tak się stało, ale zmusiłaś mnie do tego.

- Powiedziałam tylko...

- Jesteś zła, widzę to. - Westchnął, jakby się skarżył na niesprawiedliwość tego świata, a potem wyciągnął drugi nóż - należący do Gaby - trzymając go w lewej ręce. - Jeżeli o tym pomyślisz, powinnaś winić siebie. Jak myślisz? Z czego jestem zrobiony? Jesteś przecież kobietą. Czy matki uczą was być egoistkami? Czy tak?

Ciocco spróbowała wymyślić bezpieczną odpowiedź, ale on najwidoczniej w ogóle nie oczekiwał odpowiedzi. Przesunął się nad nią i przyłożył czubek noża do jej szyi. Cofnęła się; ostry koniec wbił się w miękkie ciało. Był zimniejszy niż jego oczy.

- Nie rozumiem, po co to robisz.

Zawahał się. Drugi nóż sięgał już ku jej brzuchowi. Teraz zatrzymał się w miejscu, którego w tej pozycji nie mogła dojrzeć. Oblizła usta i pomyślała, że bardzo by chciała znowu nad wszystkim zapanować.

- To nieuczciwe pytanie. Zawsze o tym myślałem - który mężczyzna o tym nie myśli?

- Szukał w jej oczach zrozumienia i wyglądał na zgubionego, kiedy go nie znalazł.

- Ach, po co to! Jesteś dziewczyną.

- Spróbuj.

Nóż znowu rozpoczął swoją wędrówkę. Poczowała jego płaski ucisk po wewnętrznej stronie uda. Perlisty pot wystąpił jej na czoło.

- Nie musisz tego robić w ten sposób. Odłóż nóż, a ja dam ci, co tylko zechcesz.
- Aha. Już to widzę. - Nóż poruszył się ponownie, kiwając się tam i z powrotem niby matczynej palec w geście przestrogi. - Nie jestem idiotą. Znam wasze babskie sztuczki.
- Przysięgam. To wcale nie musi odbyć się w taki sposób.

- Musi. Zabiłem Gaby, a ty mi tego nie wybacysz. Wiesz dobrze, że to zawsze było nie w porządku. Dręczyłaś nas wszystkich przez cały czas. Zawsze mieliśmy ochotę, a ty zawsze mówiłaś nie. - Drwił, ale ten lżejszy wyraz twarzy zaraz ustąpił poprzedniemu groźnemu spokojowi. Wolała, kiedy ironizował.

- Po prostu wyrównuję rachunki. Wtedy kiedy zostawiliście mnie w ciemności, zdecydowałem, że będę robił to, na co mam ochotę. Zrobiłem sporo znajomości na Rei. Na pewno moi przyjaciele nie spodobają ci się. Od tej chwili to ja jestem kapitanem, ponieważ powinienem być nim od samego początku. Będiesz robiła to, co ci każę. Tylko bez żadnych głupstw.

Wstrzymała oddech, kiedy ostrze rozdarło jej spodnie. Pomyślała, że wie już, do czego Gene zamierza użyć noża i zastanawiała się, czy woli być raczej głupia i martwa, czy też żywa i maltretowana. On jednak ograniczył się do rozcięcia spodni. Skupiła więc ponownie uwagę na ostrzu podpierającym jej podbródek.

Wdarł się w nią. Odwróciła twarz, a czubek noża powędrował w ślad za nią. Bolało jak cholera, ale nie to było ważne. Ważne było drgnięcie policzka Gaby, ślad ręki snującej po piasku i zbliżającej się do topora, uchylona powieka i błysk w oku.

Ciocco spojrzała w górę na Gene'a i bez trudu nadała swojemu głosowi wyraz przerażenia:

- Nie! Proszę, nie, nie jestem przygotowana. Zabijesz mnie!

- Ja decyduję, kiedy masz być gotowa. - Pochylił głowę, a Cirocco rzuciła szybkie spojrzenie na Gaby, która zdawała się zrozumieć. Zamknęła oko.

To wszystko zdarzyło się jakby gdzieś bardzo daleko. Była pozbawiona ciała; to ktoś inny tak bardzo cierpiał. Póki się nie zmęczy, liczył się tylko ostry nóż pod jej brodą.

Zastanawiała się, jaka będzie cena jego błędu? Z pewnością duża, a więc on nie może go popełnić. Musi jednak nadejść chwila, kiedy jego czujność osłabnie choćby na sekundę, ale powinna spowodować, żeby moment ten nadszedł jak najszybciej. Zaczęła się pod nim poruszać. Była to najbardziej obrzydliwa rzecz, jaka jej się kiedykolwiek przydarzyła.

- Teraz widać prawdę - powiedział z rozmarzonym uśmiechem.

- Nic nie mów, Gene.

- Załatwione. Zauważyłaś, że jest znacznie lepiej, kiedy się nie opierasz?

Czy była to tylko jej wyobraźnia, czy też jej skóra w miejscu, którego dotykał nóż, nie była już tak mocno napięta? Czyżby cofnął nóż? Rozważyła tę myśl, starając się nie ulegać niepotrzebnym złudzeniom i zdecydowała, że to jednak prawda. Jej wrażliwość wzrosła teraz niepomniernie. Niewielkie zelżenie nacisku odczuwała niczym zdjęcie ogromnego ciężaru.

Musi zamknąć oczy. Czyż mężczyźni nie zamykają zawsze oczu w takiej chwili?

Rzeczywiście zamknął je i prawie już ruszała, kiedy szybko otworzył je znowu.

Sprawdzał ją, psiakrew. Nie dostrzegł jednak podstęp. W normalnych warunkach była podłą aktorką, ale ten nóż uskrzydlił jej talent.

Wygiął plecy i zamknął oczy. Nacisk noża ustąpił.

Nic nie poszło tak, jak powinno.

Trzasnęła go w rękę z jednej strony, obracając głowę w drugą. Nóż przeciął jej brzeg policzka. Walnęła go z całej siły w krtań, chcąc mu ją zmiażdżyć, ale się uchylił.

Błyskawicznie się okręciła, kopnęła i poczuła, jak nóż prześlizguje się po jej łopacie.

Zerwała się na równe nogi, ale jeszcze nie biegła. Jej stopy przez rozpaczliwie długie sekundy nie dotykały ziemi, a ona oczekiwała uderzenia noża.

Nie nastąpiło, a ona znalazła tyle oparcia dla stóp, że wybiła się znowu w powietrze i zaczęła uciekać. Lecąc w powietrzu spojrzała przez ramię i stwierdziła, że jej kopniak był mocniejszy, niż mogła przypuszczać. Gene właśnie lądował po locie, w który go wyprawiała. Gaby podniosła się bezszelestnie na nogi. Adrenalina sprawiała, że ziemskie mięśnie zachowywały się przy słabym ciężeniu jak szalone.

Pościg rozkręcał się nieskończenie wolno, ale teraz nabrał gwałtownie tempa.

Nie sądziła, żeby Gene wiedział o czyhającej za nim Gaby. Gdyby wiedział, gdyby zobaczył twarz Gaby, na pewno nie ścigałby Cirocco w takim zaślepieniu.

Obozowali na centralnym dziedzińcu zamku, na płaskim terenie, którego budowniczowie nie chcieli czy też nie zdążyli podzielić na „komórki”. Ogień rozpalili dwadzieścia metrów od pierwszej galerii pokoi. Cirocco nadal przyspieszała, kiedy uderzyła w pierwszą ścianę. Parła niepowstrzymanie, rozwalając kilkanaście następnych, zanim nie schwyciła jednego z dźwigarów. Obróciła się o dziewięćdziesiąt stopni i podciągnęła na niego, a potem runęła przez trzy stropy, zanim nie zatrzymała się w powietrzu. Usłyszała trzaski, kiedy Gene gramolił się ku niej, nie rozumiejąc jej manewru.

Wsparła stopę na dźwigarze i ponownie wybiła się w górę. Poleciała w chmurze szklanych odłamków, skręcając w nieskończenie powolnym obrocie. Skoczyła w bok i przeleciała przez trzy ściany, zanim się nie zatrzymała. Przedarła się w lewo, potem

jedno piętro w górę, a później w bok i dwa piętra w dół.

Zatrzymała się skulona na jednym z dźwigarów i nasłuchiwała.

Z oddali dobiegł ją brzęk tłuczonego szkła. Było ciemno. Znajdowała się pośrodku zbudowanego z komórek labiryntu, który ciągnął się w nieskończoność we wszystkich kierunkach: w górę, w dół i na boki. Nie wiedziała dokładnie, gdzie jest, ale przecież on też nie wiedział, a tego właśnie chciała.

Trzaski stały się głośniejsze i po chwili ujrzała, jak Gene przelatuje górą przez pokój po jej lewej stronie. Dała nura w prawo i w dół, chwytając się belki dwa piętra niżej i przesuając siłą rozpędu znowu w prawo. Stała bosymi stopami na kolejnym dźwigarze. Wokół niej powoli opadała chmura tłuczonego szkła.

Nie zauważyłaby, że jest aż tak blisko, gdyby nie poprzedzający go deszcz szkła. Szedł wzdłuż dźwigarów, ale siła nacisku jego stóp była zbyt wielka, by mógł ją wytrzymać strop, obciążony już odłamkami po przejściu Cirocco. Zawalił się, a masa szkła poleciała w dół niczym płatki śniegu. Okręciła się wokół dźwigara i skoczyła stopami w dół.

Uderzyła mocno i obróciła się oszołomiona, widząc, jak Gene ląduje na równe nogi, tak jak i ona powinna zrobić, gdyby miała choć trochę oleju w głowie. Zapamiętała go stojącego nad nią, potem jeszcze siekierę walącą go w głowę, a później zemdląca.

Ocknęła się nagle z głośnym krzykiem, tak jak nigdy dotąd. Nie miała pojęcia, gdzie jest, ale miała wrażenie, że znowu była w brzuchu bestii i to nie sama. Był tam jeszcze Gene, który spokojnie wyjaśniał jej, dlaczego zamierza ją zgwałcić.

Potem zgwałcił ją. Przestała wrzeszczeć.

Nie znajdowała się już w szklanym zamku. Wokół jej pasa ktoś obwiązał linę. Przed sobą widziała opadający teren. Daleko poniżej połyskiwało ciemnosrebrzyste morze Rei. Gaby była obok, najwyraźniej bardzo zajęta. W talii przewiązana była dwoma linami.

Jedna biegła w górę stoku i była umocowana do tego samego drzewa, co Cirocco. Druga

była napięta i biegła w ciemność. Łzy wypłykały kanaliki w zakrzepłej krwi

pokrywającej jej twarz. Użyła noża do przecięcia jednej z lin.

- Czy to plecak Gene'a, Gaby?

- Tak. Nie będzie go już potrzebował. Jak się czujesz?

- Mogło być gorzej! Podciągnij go, Gaby.

Spojrzała na nią z otwartymi ze zdumienia ustami.

- Nie chcę stracić liny.

Jego twarz była krwawą ruiną. Jedno oko w całości zakrywała opuchlizna, drugie

było tylko wąziutką szparką. Miał złamany nos i wybite trzy przednie zęby.

- Nieźle mu się dostało - zauważyła Cirocco.

- To nic w porównaniu z tym, co chciałam mu zrobić.

- Otwórz jego plecak i zabandażuj mu ucho. Ciągle krwawi.

Gaby była bliska wybuchu, ale Cirocco powstrzymała ją nieugiętym spojrzeniem.

- Nie mam zamiaru go zabić, więc o niczym takim nie mów.

Ucho miał fatalnie poturbowane siekierą, którą rzuciła Gaby. Było to raczej

przypadkowe uderzenie: chciała trafić w skroń, ale toporek skręcił w powietrzu

i drasnął go tylko, pozbawiając jednak przytomności. Jęczał, kiedy Gaby go opatrywała.

Cirocco zaczęła przetrząsać jego plecak, wybierając rzeczy, które mogły być

niepotrzebne. Zatrzymała zapasy żywności i broń, a wszystko inne wyrzuciła.

- Jeżeli puścimy go żywego, będzie nas ścigał, dobrze o tym wiesz.

- Możliwe i na pewno wolałabym tego uniknąć. Ale będzie musiał pokonać krawędź.

- Więc dlaczego, do diabła...

- Ze spadochronem. Rozwiąż mu nogi.

Ułożyły dokładnie uprzęż w jego pachwinach. Znowu zajęczał i Rocky odwróciła wzrok, by nie widzieć, co Gaby mu robi.

- Myślał, że mnie zabił - mówiła, zawiązując ostatni węzeł bandaża. - Faktycznie próbował, ale zdążyłam odwrócić głowę.

- Coś poważnego?

- Niegłębokie cięcie, ale krwawi jak cholera. Byłam oszołomiona i miałam szczęście, że byłam zbyt słaba, by się ruszyć po tym, jak on... po tym... - Otarła wierzchem dłoni ciekący nos. - Dość szybko zemdlalam. Następny obraz, jaki pamiętam, to on schylający się nad tobą.

- Dobrze, że ocknęłaś się dopiero wtedy. Beznadziejnie sknociłam ucieczkę. Dziękuję, że znowu uratowałaś mi tyłek.

Gaby spojrzała na nią ponuro. Cirocco od razu pożałowała takiego doboru słów. Gaby wydawała się czuć osobiście odpowiedzialna za to, co się stało. To na pewno nie było takie łatwe - pomyślała Cirocco - leżeć spokojnie, kiedy gwałcą kogoś, kogo kochasz.

- Dlaczego darowałaś mu życie?

Cirocco popatrzyła na leżącego na ziemi Gene'a i musiała powstrzymać nagły przypływ piekającej, niepowstrzymanej furii. Za chwilę jednak była znowu spokojna.

- Ja... wiesz, że przedtem nigdy taki nie był.

- Nie jestem pewna, czy nie był. Pod spodem zawsze musiał być takim pieprzonym zwierzęciem, inaczej jak mógłby coś takiego zrobić?

- Wszyscy trochę tacy jesteśmy. Tłamsimy to w sobie, ale on już nie mógł nad tym zapanować. Mówił do mnie jak mały chłopczyk, któremu dzieje się krzywda. Nie żeby był zły, po prostu czuł się skrzywdzony, ponieważ nie dostał tego, czego właśnie zapragnął. Coś się z nim stało po katastrofie statku, podobnie jak coś stało się ze mną. I z tobą też.

- Ale my nie próbowałyśmy nikogo zabić. Posłuchaj. Spuścimy go na dół na spadochronie. W porządku. Uważam jednak, że powinien tutaj rozstać się ze swoimi jajami. - Uniosła nóż, ale Cirocco pokręciła głową.

- Nie. Nigdy za bardzo go nie lubiłam, ale jakoś się znosiliśmy. Był dobrym członkiem załogi, a teraz nie jest zdrowy na umyśle i... - Chciała powiedzieć, że częściowo była to jej wina, że nigdy by nie postradał zmysłów, gdyby nie straciła statku, ale tego właśnie nie zdołała wykrztusić.

- Daję mu szansę, mając na uwadze to, czym był. Powiedział, że ma tam na dole przyjaciół. Może to tylko zwykłe urojenia, ale jeżeli nie, to może przyjmą go do swojego grona. Przetnij mu więzy.

Gaby przecięła je, a Cirocco zacisnęła zęby i pchnęła go nogą. Powoli się ześlizgiwał i jakby zaczynał zdawać sobie sprawę z tego, co się z nim dzieje. Wrzasnął, widząc ciągnący się za nim spadochron, a potem zniknął za krzywizną kabła. Nie zdołali zobaczyć, czy spadochron się otworzył.

Obie kobiety jeszcze długo siedziały w tym samym miejscu. Cirocco bała się odezwać. Bała się, że zacznie płakać i nie będzie mogła się pohamować, a na to nie miały czasu. Musiały zająć się opatrzeniem ran, a potem dokończyć podróż.

Z głową Gaby nie było tak źle. Powinna mieć założone szwy, ale dysponowały jedynie środkiem dezynfekującym i bandażami. Będzie miała szramę na czole. Podobnie zresztą jak Cirocco: pierwszą od upadku na podłogę zamku, drugą w miejscu cięcia od podbródka aż do lewego ucha, a trzecią przez plecy. Nie były to jednak rany na tyle poważne, by się nimi przejmować.

Opatrzyły się wzajemnie i spakowały plecaki. Cirocco zadarła głowę i przyjrzała się długiej powierzchni kabła, którą musiały się wspinać, żeby dotrzeć do szprychy.

- Myślę, że powinniśmy wrócić do zamku i odpocząć, zanim się za to zabierzemy - powiedziała. - Kilka dni. Musimy nabrać siły.

Gaby spojrzała w górę.

- Chyba masz rację. Ale dalsza część powinna być łatwiejsza. Znosząc was tutaj, znalazłam schody.

Rozdział 20

Schody wyłoniły się z wielkiej kupy piachu w najwyżej położonej części zamku.

Biegły prostym łukiem, niknąc w oddali. Stopnie miały półtora metra szerokości i czterdzieści centymetrów wysokości. Wydawało się, że są wryte w powierzchni kabla. Cirocco i Gaby przeszły kawałek i zaczęły podejrzewać, że mogą mieć z nich niewielki pożytek. Odchylały się ku południowi, w stronę spadku. Prawdopodobnie dalej były nie do przebycia.

Mimo wszystko jednak stopnie nadal były idealnie równe. Wkrótce wkroczyły na tarasową półkę, zamkniętą z jednej strony pionowo wznoszącą się olbrzymią ścianą, a z drugiej ostrym urwiskiem. Nie było barierki i w ogóle żadnego zabezpieczenia.

Przytuliły się do ściany, drżąc przy każdym podmuchu wiatru.

Dalej półka zamieniała się w tunel. Przejście następowało stopniowo. Po prawej stronie nadal pozostawała otwarta przestrzeń, ale ściana zaczęła się zakrzywiać nad ich głowami, tworząc sklepienie. Droga zagłębiała się pod powierzchnię kabla. Cirocco próbowała ją sobie jakoś wyobrazić: cały czas w górę, śrubą wokół kabla.

Po następnych dwóch tysiącach kroków otoczyła je nieprzenikniona ciemność.

- Schody - wymamrotała Gaby. - Zbudują takie coś i nazywają schodami. -

Zatrzymały się, by wydobyć lampy. Gaby napełniła swoją olejem i przycięła knot. Miały zamiar palić tylko jedną na raz, modląc się w duchu, by wystarczyło oleju, zanim

wynurzą się po przeciwnej stronie.

- Być może mieli fioła na punkcie kondycji - poddała Cirocco. Zapaliła zapalną i przytknęła ją do knota. - Bardziej prawdopodobne jednak, iż jest to urządzenie awaryjne na wypadek braku energii.

- No cóż, dobrze, że w ogóle są - przyznała Gaby.

- Prawdopodobnie biegną na całej długości kabla, ale na dole są przysypane piachem.

Oznacza to, że nikt tu nie zaglądał od dawna. Tamte drzewa w górze muszą być jakimiś mutacjami.

- Skoro tak mówisz. - Gaby podniosła lampę i rozejrzała się dookoła, a później zerknęła do tyłu, gdzie widać było jeszcze resztki światła. Zmrużyła oczy.

- Spójrz, wygląda na to, że droga biegnie pod kątem. Obiega zewnętrzną część, a potem skręca w lewo i idzie prosto do środka.

Cirocco popatrzyła uważnie i musiała przyznać Gaby rację.

- Wygląda więc na to, że możemy przebijać się samym środkiem.

- Tak? A pamiętasz miejsce wiatrów? Całe powietrze tędy idzie.

- Gdyby ten tunel prowadził do kanału powietrznego, już byśmy o tym wiedziały. Po prostu by nas zdmuchnęło.

Gaby przyjrzała się schodom wznoszącym się w pełgającym świetle lampy i pociągnęła nosem.

- Dość ciepło tu. Zastanawiam się, czy będzie jeszcze cieplej.

- Nie przekonamy się, dopóki nie wejdziemy wyżej.

- No tak. - Gaby zachwiała się, nieomalże wypuszczając lampę z rąk. Cirocco położyła jej rękę na ramieniu.

- Dobrze się czujesz?

- Tak, ja... nie, cholera, wcale dobrze się nie czuję. - Oparła się o ciepłą ścianę

korytarza. - Kręci mi się w głowie i mam watę w kolanach. - Podniosła rozwartą dłoń do oczu i zauważyła, że lekko drży.

- Może jednodniowy odpoczynek nie wystarczył. - Cirocco przyjrzała jej się uważnie, popatrzyła w górę korytarza i zmarszczyła brwi. - Miałam zamiar najpierw wyjść na drugą stronę kabła i dopiero wtedy odpocząć.

- Dam radę.

- Nie - zdecydowała Cirocco. - Nie jestem aż taka ostra. Pytanie brzmi: rozbijamy obóz w tym gorącym korytarzu czy wychodzimy na zewnątrz.

Gaby spojrzała na kaskadę stopni za nimi.

- Mogę się trochę spocic.

Pomyślały, że pomimo tak nieznośnego gorąca dobrze byłoby jednak rozpalić ogień.

Nie było żadnej dyskusji: Cirocco wyciągnęła małe gałązki i mech z bagażu Gene'a i zaczęła budować ognisko. Wkrótce siedziały przy niewielkim, trzaskającym płomieniu.

Dokładała skąpo, rozkładając skromny obóz. Rozwinęły śpiwory, wyciągnęły patelnie i noże i przeszukały zapasy w poszukiwaniu czegoś odpowiedniego na kolację.

Tworzymy dobry zespół - pomyślała Cirocco, kucając i przyglądając się, jak Gaby kroi warzywa do bulgoczących resztek wczorajszego gulaszu. Miała małe i zręczne ręce, brązowe od wrośniętego w dłonie piachu. Nie mogły sobie pozwolić na mycie.

Gaby otarła czoło wierzchem dłoni i spojrzała na Cirocco. Uśmiechnęła się nieśmiałym, wątlm uśmiechem, który rozszerzył się na widok uśmiechniętej przyjaciółki. Jedno oko prawie w całości zakrywały bandaż. Zanurzyła łyżkę w gulaszu i siorbała z apetytem.

- Te rzodkiewki lepiej smakują, gdy są kruche - powiedziała. - Daj mi talerz.

Nalała obfitą porcję, po czym usiadły, jedząc ze smakiem.

Potrawa była pyszna. Słuchając wszystkich tych drobnych dźwięków, pykania ognia i skrobania łyżek o drewniane talerze, Cirocco była wdzięczna losowi, że może się odprężyć i nie myśleć o niczym.

- Masz jeszcze trochę soli?

Cirocco pogrzebała w bagażu i znalazła woreczek, a przy okazji dwa kawałki jakichś zapomnianych łakoci owiniętych w żółte liście. Wcisnęła jeden cukierek do ręki Gaby i zaśmiała się, kiedy jej oczy zalśniły łakomie. Odłożyła patelnię i rozwinęła paczuszkę, podtykając pod nos i uważnie obwąchując. Pachniała za dobrze, żeby zjeść ją za jednym razem. Ugryzła połowę, a usta jej wypełnił aromat moreli i słodkiego kremu.

Gaby niemal dostała hysterii, widząc rozkosz na twarzy Cirocco. Rocky zjadła drugą połowę, a później zaczęła rzucać ukradkowe spojrzenia na cukierek odłożony przez Gaby, która próbowała zachować kamienną twarz.

- Jeżeli masz zamiar zostawić to na śniadanie, to będziesz musiała stać nad tym przez całą noc.

- O, nie ma zmartwienia. Jestem po prostu na tyle dobrze wychowana, by wiedzieć, że deser je się po obiedzie.

Rozwijała cukierek całe pięć minut, a potem badała uważnie go przez następnych pięć, mrużąc coś niewyraźnie na widok wygłupów Cirocco. Cirocco zupełnie nieźle odegrała przy stole spaniela i bezdomnego psiaka zagląającego przez okno piekarni. Zrezygnowała dopiero wtedy, gdy Gaby ulokowała cukierek w ustach.

Bawiła się tak znakomicie, że niemal zabolą ją nagła myśl - czy bezmyślność jest mądra. Gaby była wyraźnie w siódmym niebie, miała twarz zarumienioną śmiechem i podnieceniem i oczy rzucające błyski.

Dlaczego nie mogła się po prostu odprężyć i cieszyć chwilą?

Musiała jakoś dać po sobie poznać troskę, bo Gaby natychmiast spoważniała.

Dotknęła ręki Cirocco i spojrzała z prośbą w oczach, a potem powoli potrząsnęła głową.

Żadna z nich nie odezwała się słowem, wreszcie Gaby powiedziała to najprościej, jak było można:

- Nie musisz się mnie bać.

Cirocco uśmiechnęła się, a Gaby odpowiedziała uśmiechem. Wyskrobały resztki gulaszu, trzymając półmiski pod brodą i nie przejmując się stołowym bon tonem.

Coś się jednak pomiędzy nimi zmieniło. Gaby milczała. Po chwili zaczęły jej drżeć ręce, a talerz stuknął o schody, na których obozowały. Usiadła pochlipując, a dłoń

Cirocco na jej ramieniu sprawiła, że zaczęła sięgać po omacku. Ściągnęła kolana i wbiła pięści pod brodę, chowając twarz na szyi Cirocco i ciągle łkając.

- Och, tak boli, tak strasznie boli.

- A więc wyrzuc to z siebie. Płacz - oparła policzek o czarne, delikatne włosy, które zaczęły się już mierzwić, a potem uniosła podbródek Gaby i poszukała miejsca pomiędzy bandażami, które mogłaby pocałować. Znalazła je na policzku, ale w ostatniej chwili - niepewna, dlaczego to robi - pocałowała Gaby w usta. Były wilgotne i bardzo ciepłe.

Gaby przyjrzała jej się przez dłuższą chwilę, głośno pociągnęła nosem, a potem znowu położyła głowę na jej ramieniu. Bez płaczu, bez spazmów.

- Skąd bierzesz tyle siły? - spytała stłumionym głosem.

- A ty, skąd bierzesz tyle odwagi? Ciągle ratujesz mi życie.

Gaby potrząsnęła głową.

- Nie, mówię poważnie. Gdybym nie mogła się na tobie oprzeć właśnie teraz, chyba bym zwariowała. - A ty nawet nie płaczesz.

- Rzeczywiście, płacz nie przychodzi mi łatwo.

- Nawet zgwałconej? - Znowu poszukała oczu Cirocco. - Boże, tak strasznie mnie to boli. Boli mnie to, co zrobił Gene i boli mnie twoje cierpienie. Nie wiem, co gorsze.

- Gaby, jestem gotowa kochać się z tobą, jeżeli to pohamuje ból, ale ja też cierpię.

Fizycznie.

Gaby potrząsnęła głową.

- Nie chciałabym tego nawet gdybyś czuła się świetnie. Jeżeli nie jesteś jeszcze „gotowa”, to na nic się to nie zda. Nie jestem Gene’em i wolę cierpieć, niż mieć cię w ten sposób. Wystarczy mi, że cię kocham.

Co powiedzieć, co powiedzieć? - zastanawiała się. Trzymaj się prawdy - odpowiedziała sobie.

- Nie wiem, czy kiedykolwiek będę mogła odwzajemnić twoją miłość. Na pewno nie w ten sposób. Ale właśnie dlatego musisz mi pomóc. - Objęła Gaby i szybko wytarła jej nos. - Pomóż mi, jesteś przecież moim najlepszym przyjacielem.

Gaby przeciągle westchnęła.

- I tak musi pozostać, przynajmniej na razie. - Cirocco pomyślała, że Gaby znowu ma zamiar się rozplakać, ale ta jakoś się opanowała. Uścisnęła ją krótko i pocałowała w szyję.

- Życie jest bardzo trudne, prawda? - spytała cicho.

- Tak już jest. Chodźmy spać.

Próbowały się rozłożyć na trzech stopniach: Gaby wyciągnęła się na najwyższym, Cirocco na następnym, a stopień niżej dopalały się resztki ogniska.

Cirocco krzyczała przez sen, a potem obudziła się w zupełnej ciemności. Złana potem czekała, aż dosięgnie jej nóż Gene’a. Gaby przytuliła ją, dopóki koszmar nie minął.

- Jak długo tu jesteś? - spytała Cirocco.

- Od chwili, kiedy znowu zaczęłam płakać. Dziękuję, że pozwoliłaś mi z sobą zostać.

Kłameczucha - pomyślała Rocky, ale uśmiechnęła się do tej myśli.

Przez następne tysiąc stopni robiło się coraz cieplej i w końcu było tak gorąco, że nie sposób było dotykać ścian, a rozżarzone schody niemal parzyły im stopy pomimo butów.

Cirocco czuła już smak klęski, wiedziała bowiem, że aby dojść do środka, muszą pokonać przynajmniej jeszcze kilka tysięcy stopni. Dopiero wtedy mogły spodziewać się stopniowego ochłodzenia.

- Jeszcze tysiąc stopni - powiedziała. - Oczywiście jeśli zdołamy tyle przejść. Jeżeli nie będzie chłodniej, będziemy musiały zawrócić i popробować po zewnętrznej stronie.

Wiedziała jednak, że kabel był już na to zbyt stromy. Jeszcze nim zagłębiły się w tunel, drzewa stawały się coraz rzadsze, co znacznie utrudniało wspinaczkę. Nachylenie kabla przed dojściem do szprychy mogło wzrosnąć nawet do osiemdziesięciu stopni. Być może więc będzie musiała stawić czoła swojej wyimaginowanej szklanej górze, co było najgorszą ewentualnością spośród wielu, które rozważała przygotowując wyprawę.

- Jak chcesz. Chwileczkę, chcę ściągnąć koszulę. Duszę się.

Cirocco również rozebrała się do pasa i tak wędrowały dalej niczym wnętrzem rozpalonego pieca.

Po przebyciu dalszych pięciuset stopni musiały się z powrotem ubrać, a po kolejnych trzystu wyciągnęły z plecaków płaszcze.

Na ścianach zaczęły tworzyć się sople lodu, a pod nogami skrzypiał śnieg. Założyły rękawice i naciągnęły kaptury. Stojąc przy świetle lampy, która teraz lśniła niezwykle jasno, odbijając się w białych ścianach, patrzyły, jak para oddechu przemienia się w kryształki lodu. Korytarz przed nimi niewątpliwie się zwężał.

- Jeszcze tysiąc stopni? - poddała Cirocco.

- Czytasz w moich myślach.

Wkrótce lodowa pokrywa zmusiła Cirocco do pochylenia się, a potem do wędrówki na czworakach. Kiedy Gaby prowadziła trzymając przed sobą lampę, Cirocco od razu ogarniały ciemności. Zatrzymała się na chwilę, zabijając rękę, a potem wyciągnęła na brzuchu i zaczęła czołgać.

- Hej! Utknęłam! - krzyknęła Gaby.

Na szczęście nie doszukała się w jej głosie paniki. Miała stracha, ale wiedziała, że może się wydostać, po prostu cofając się.

Z przodu dobiegły ją odgłosy grzebania, które po chwili ucichły.

- Dobra. Nie mogę tu wprawdzie zawrócić, ale korytarz się rozszerza. Pójdę przodem i rozejrzę się. Dwadzieścia metrów, zgoda?

- W porządku. - Odgłosy stopniowo oddaliły się. Ogarnęła ją ciemność. Akurat zdążyła się oblać lodowatym potem, kiedy ponownie dostrzegła światło. W chwilę później Gaby była już przy niej. Jej brwi pokrywały kryształki lodu.

- Właśnie tu jest najgorsze miejsce.

- Więc muszę się jakoś przedostać. Nie po to przeszłam taki kawał drogi, żeby skończyć niczym korek w butelce.

- To te wszystkie cukiereczki, grubasku.

Gaby nie zdołała jej przeciągnąć, więc musiała się wycofać, żeby wyciągnąć z plecaka mosiężny szpikulec. Zaczęła kruszyć lód.

- Wydech! - zasugerowała Gaby, ciągnąc ją za rękę. Przeszła.

Za nimi mniej więcej metrowy płaski kęs lodu spadł z dachu i ześliznął się z hałasem w stronę dziennego światła.

- Chyba dlatego to przejście jest nadal otwarte - powiedziała Gaby. - Kabel jest elastyczny. Wygina się i kruszy lód.

- No i jeszcze to ciepłe powietrze za nami. Nie tkwijmy tu, dobrze? Ruszajmy.

Niedługo znowu mogli się wyprostować, a wkrótce potem lód był już tylko wspomnieniem. Zdjęły płaszcze i zastanawiały się, co spotkają dalej.

Po dalszych czterystu metrach usłyszały łomot. Narastał aż do momentu, gdy bez trudu mogły sobie wyobrazić, że zaraz za ścianą tunelu pracują ogromne maszyny. Jedna ściana była gorąca, ale bez porównania mniej niż na wcześniejszym odcinku.

Rosła w nich pewność, że to, co słyszą, to odgłos powietrza zasysanego z miejsca wiatrów, gdzieś wysoko w górę. Po dalszych dwóch tysiącach kroków łomot ucichł, a korytarz znowu przypominał rozpalony piec. Przebyły go pospiesznie, nie zadając sobie trudu, by się rozbierać, wiedziały bowiem, że są niedaleko końca tunelu. Jak można się było spodziewać temperatura po osiągnięciu klimatu sauny (Cirocco oceniała ją na siedemdziesiąt pięć stopni) zaczęła opadać.

Gaby cały czas prowadziła i to ona pierwsza ujrzała światło. Nie było wcale jaśniejsze niż w miejscu, w którym tunel się zaczynał. Po prostu blady srebrzysty pasek, który zaczynał się po lewej stronie, stopniowo rozszerzał się do momentu, kiedy wreszcie stanęły na stopniu obok kabla. Klepnęły się po plecach i podjęły dalszą wspinaczkę. Przeszły przez wierzch kabla, ciągle się wspinając i ciągle zbaczając na południe, potem przez szeroki łuk i wreszcie zeszły w dół po drugiej stronie. Tutaj kabel był już zupełnie goły. Żadnych drzew, ani śladów gleby. Po raz pierwszy Gaja ukazała się im jako coś, czym w istocie przecież była: maszyną, niewiarygodną, potężną konstrukcją stworzoną przez istoty, które ciągle jeszcze mogły zamieszkiwać piastę tego olbrzymiego koliska. Obnażony kabel był prosty i gładki, wznosił się teraz pod kątem sześćdziesięciu

stopni, zbliżając do wybruszonego dna szprychy. Przestrzeń między kablem i szprychą skurczyła się do zaledwie dwóch kilometrów.

Po południowej stronie schody prowadziły do kolejnego tunelu. Myślały, że nic już ich nie zaskoczy i prawie się nabrały. Przeleciały przez pierwszy gorący odcinek i już sobie gratulowały tempa, kiedy poczuły, że temperatura znowu spada. Osiągnęła jakieś 50 stopni i z powrotem zaczęła się podnosić.

- Cholera! To jest jakiś inny układ. Chodźmy!

- Którędy?

- Do tyłu jest równie źle jak do przodu. Ruszamy!

Prawdziwie zagrożone byłyby dopiero wtedy, gdyby któraś przewróciła się i zraniła, co najbardziej napawało Cirocco lękiem, przypominając jej, by nic w tym sztucznym świecie nie uznawać za pewne. Zapomniała, że kable składały się z plecionych włókien i że droga, jaką biegną przez gorące czy zimne płyny, może być bardzo skomplikowana. Przebyły strefę wibracji, która była tak jak i poprzednio w środku kabla, strefę zimną, która tym razem nie była tak oblodzona jak poprzedni odcinek i znowu wynurzyły się po północnej stronie kabla.

Dalej ponownie wierzchem, a potem w trzeci tunel. Przeszły go i znowu wyszły na powierzchnię.

W ciągu dwóch dni powtórzyły tę sekwencję jeszcze siedem razy. Zrobiłyby to szybciej, gdyby nie zwłoka w czwartym tunelu, który był tak zapchany lodem, że nawet Gaby musiała wyrąbywać sobie drogę. Przebicie się przez niego kosztowało je osiem mroźnych godzin.

Kiedy kolejny raz dotarły na południową stronę kabla, nie zdołały odnaleźć tunelu.

Nachylenie wynosiło teraz prawie 90 stopni, a schody oplatały kabel spiralą niby

czerwony pasek na laseczce miętówek.

Nie bardzo im się uśmiechało rozbijanie obozu na półtorametrowej półce zawieszanej ponad dwustupięćdziesięciokilometrową przepaścią. Cirocco wiedziała, że przewraca się w czasie snu. Mogłaby tym razem sturlać się trochę za daleko, więc chociaż obie były już bardzo wycieńczone, parły uparcie po spirali, wyczuwając lewym ramieniem krzepiącą solidność kabla.

To, co widziały w górze, niezbyt się Cirocco podobało. Im bardziej się zbliżały, tym bardziej wydawało się to niemożliwe.

Z poczynionych wcześniej obserwacji wynikało, że każda szprycha ma przekrój owalny, o osiach pięćdziesiąt i niecałe sto kilometrów i rozszerza się w pobliżu stropu. Właśnie przeszły przez tę wybrzuszoną część i z trudem dostrzegły wznoszące się niemal pionowo ściany szprychy. Nie przewidziały bowiem krawędzi, która obiegała cały olbrzymi otwór szprychy. Lekko licząc miała z pięć kilometrów szerokości.

Wydawało się, że kabel znika w otworze bez żadnego widocznego połączenia, więc podejrzewały, że prawdopodobnie ciągnie się wyżej i łączy z czymś, co wiąże go z piastą.

W czasie jednego z odpoczynków przyjrzały się krawędzi, pozornie wiszącej tuż nad ich głowami, w rzeczywistości jednak odległej o dobre dwa kilometry. Wyglądała niczym masywny strop, który mógł bardzo utrudnić marsz: rozciągała się w nieskończoność, ukazując zwężony perspektywą otwór. Sam otwór miał czterdzieści na osiemdziesiąt kilometrów, ale żeby do niego dotrzeć, musiały pokonać pięciokilometrowy spód zawieszony w powietrzu krawędzi.

Gaby spojrzała na Cirocco i uniosła brew.

- Nie martw się na zapas. Jak dotąd Gaja była dla nas łaskawa. Wspinamy się, przyjacielu.

I rzeczywiście, poszło lepiej, niż mogły oczekiwać. Kiedy doszły do końca kabla, natrafiły na kolejny tunel, który tym razem przebijał ogromny, szary okap.

Zapaliły lampkę, a przy okazji zauważyły, że pozostało niewiele paliwa. Zaczęły wspinaczkę. Tunel skręcał w lewo, tak jakby nadal obiegał kabel, chociaż akurat tego nie były pewne. Odliczyły dwa tysiące kroków, a potem jeszcze dwa.

- Zdaję mi się - powiedziała Gaby - że może prowadzić do samej piasty. A jeśli myślisz, że to dobra nowina, przemyśl to jeszcze raz.

- Wiem, wiem. Wspinaj się. - Cirocco myślała o paliwie, zapasach żywności i w połowie opróżnionych bukłakach z wodą. Od piasty ciągle jeszcze dzieliło je trzysta kilometrów. Jeżeli na metr przypadały trzy stopnie, to do przebycia pozostał - bagatelka - równy milion stopni. Spojrzała na zegarek i oszacowała tempo, w jakim się posuwały. Ich normalny rytm wynosił dwa stopnie na sekundę - po prostu lekkie dotknięcie palcami stopy, które unosiło je na tyle, by osiągnąć następny stopień. Na tej wysokości siła ciężenia stanowiła tylko jedną ósmą grawitacji ziemskiej, a więc zaledwie połowę i tak już słabego zwykłego ciężenia Gai.

Dwa stopnie na sekundę dawało pół miliona sekund podróży. 8333,3 minut, sto trzydzieści osiem godzin, a więc prawie sześć dni. Właściwie, to dwa razy tyle, jeśli dodać jeszcze odpoczynki i sen, i to licząc ostrożnie...

- Wiem, o czym myślisz - powiedziała Gaby zza jej pleców. - Problem tylko, czy zdołamy tego dokonać w ciemności?

To była najważniejsza rzecz. Żywności miały jeszcze na jakieś dwa tygodnie. Wody, jeżeli będą ją wydzielać, również powinno wystarczyć, ale nie było jej już na drogę powrotną. Największym problemem było jednak paliwo do lampy. Miały go najwyżej na pięć godzin i nie było sposobu, by ten zapas uzupełnić.

Ciągle jeszcze nad tym pracowała, próbując jakoś wyliczyć najlepszą trasę dojścia na szczyt, kiedy dotarły na dno szprychy.

Cirocco nigdy nie czuła się taka małeńka. Ani na O'Neil One, ani wśród gwiazd w kosmosie, ani na powierzchni samej Gai. Widać było wszystko, ale całkowicie zawodziło poczucie perspektywy.

Nie sposób było dostrzec krzywizny ścian. Rozciągały się niezmiernie niczym horyzont, a potem nagle zakrzywiały, czyniąc przestrzeń bardziej półkolistą niż okrągłą. Wszystko było skąpane w bladozielonej poświacie. Źródłem światła były cztery pionowe rzędy okien, które rzucały promienie krzyżujące się w pustym środku podstawy szprychy.

Właściwie, to niezupełnie pustym. Trzy pionowe kable splecione niczym warkocz biegły prostą linią przez centralną przestrzeń; poza tym zaobserwowały dziwne cylindryczne chmury obracające się powoli i odbijające promienie światła.

Cirocco pomyślała teraz o ciemnych, ciasnych przestrzeniach w dole kabla, które zwiedzali w nastroju takim, jakby to była katedra. Gaja wyczerpała już dawno jej zasób superlatyw, ale Rocky przekonała się teraz, że to, co widzieli dotąd, było po prostu tylko opuszczoną kaplicą. Prawdziwa katedra była dopiero tutaj!

- Myślałam, że wszystko już widziałam - powiedziała spokojnie Gaby, pokazując na ścianę za nimi. - Ale pionowa dżungla?

Rzeczywiście, nie sposób było tego inaczej opisać. Całe wnętrze szprychy porastały drzewa, uczerpione ścian, sięgające na zewnątrz lub wyciągające gałęzie w górę. Mały w oddali, a w pewnej nieokreślonej odległości stawały się gładkim dywanem zieleni.

Ponad nimi była szara powała.

- Pomyślałabyś, że znajdujemy się całe trzysta kilometrów nad ziemią?

Gaby spojrzała z ukosa, a potem wyciągnęła rozcapierzone palce i przeliczyła coś własnym systemem.

- Pokrywa odpowiednią wysokość kątową.

- Siadaj. Przemyślimy to.

Bardziej potrzebowała siedzenia niż myślenia. Do tej chwili rzeczywiście była przekonana, że im się uda. Teraz widziała, że złudzenie to było w znacznej mierze oparte na niezdolności do pogładowego przedstawienia skali problemu. Teraz przyjrzała się temu dokładnie i widok ten przyprawiał ją o wewnętrzne drzenie. Trzysta kilometrów pionowo w górę.

Pionowo. W górę.

Musiała oszaleć.

- Przede wszystkim, czy wygląda na to, że w ogóle jest jakieś przejście przez dach?

Gaby przyjrzała się i wzruszyła ramionami.

- To nic nie znaczy. Tu też jakoś doszliśmy. Gdyby nawet było przejście, i tak byśmy go stąd nie dostrzegły.

- Racja. Ale wtedy miałyśmy przynajmniej nadzieję, że na górę prowadzą jakieś schody. Widzisz tu coś takiego?

- Nie.

- No właśnie. Myślałam, że istnienie tych schodów oznacza, że przewidziano możliwość wejścia na górę w razie potrzeby. Teraz zaczynam sądzić, że budowniczowie zaplanowali sposób dojścia tylko do tego miejsca, w którym teraz jesteśmy.

- Być może. - Gaby zmrużyła oczy. - Musieli jednak zostawić jakąś drogę do piasty.

Prawdopodobnie te drzewa nie należą do pierwotnego zamysłu budowniczych. Zarosły tu dokładnie wszystko, tak samo jak cały kabel.

- Jeżeli tak... To co z tego?

- Wtedy przed nami kawał cholernej wspinaczki - dokończyła Gaby. - W całym tym gąszczu może się zdarzyć i tak, że w ogóle nie znajdziemy wejścia. Pewnie łatwiej namierzyć je z góry.

- Do trzech razy sztuka. Po prostu próbuję to jakoś zracjonalizować. Przyszło mi do głowy, że jeżeli - powiedzmy za cztery czy pięć lat - dostaniemy się na górę i stwierdzimy, że nie ma schodów... to przed nami będzie jeszcze jeden niezły kawałek drogi do przejścia. Tym razem w dół.

Gaby parsknęła śmiechem.

- Jeśli to ma znaczyć, że zawracamy, to wolałabym, żebyś to jasno powiedziała. Wcale nie będę tobą pogardzała.

- Wracamy? - Nie chciała postawić znaku zapytania, ale jakoś tak wyszło.

- Nie.

- Aha... Rozumiem. - Nie przejęła się zbytnio. Już dawno zapomniały o pokładowych relacjach między kapitanem i załogą. Roześmiała się i potrząsnęła głową. - W porządku.

Jaki masz plan?

- Po pierwsze, rozejrzeć się. Później - za cztery czy pięć lat - wyszłybyśmy na zdrowe idiotki, gdyby jeden z budowniczych zapytał nas, dlaczego nie skorzystałyśmy z windy.

Rozdział 21

Podstawa szprychy liczyła w obwodzie około dwieście pięćdziesiąt kilometrów.

Zaczęły ją obchodzić, rozglądając się za wszystkim, co mogło przypominać środek

transportu, poczynając od drabinki sznurowej, a na antygrawitacyjnym helikopterze

skończywszy. Na razie znalazły jednak tylko poziomo rosnące drzewa, które tworzyły

pionowy las.

Badając wystające do środka gałęzie i posuwając się wzdłuż pni aż do korzeni tkwiących w ścianie, musiały się wspinać na zbocze utworzone z odpadłych gałęzi i gnijących liści. Sama szprycha zbudowana była z szarego, gąbczastego materiału, który poddawał się pod naciskiem niczym miękka guma. Kiedy Cirocco wyrwała ze ściany krzak wraz z długim, palowym korzeniem, zaczął z niej kapać gęsty, mleczny płyn, a potem mała dziurka zasklepiła się.

Nie było tu gleby, docierało też bardzo niewiele światła słonecznego. Po wyjściu z ciemnego tunelu wydawało im się bardzo widno, teraz jednak okazało się, że tak naprawdę światła było bardzo niewiele. Cirocco zakładała, że podobnie jak wielu roślin na obręczy, również wegetacja tutejszych zależała od jakichś zasobów znajdujących się pod powierzchnią.

Ściana była wilgotna, porośnięta mchami i porostami, natomiast innych roślin rosło raczej niewiele. Brakowało trawy, a pasożytnicze pnącza porastały pnie drzew.

Wiele drzew gatunkowo przypominało roślinność obrzeża, przystosowaną do dziwnego, horyzontalnego bytowania. Rozpoznały znajome owoce i orzechy.

- To załatwia problem wyżywienia - powiedziała Gaby. Trudno się było spodziewać, by płynęły tu rzeki, ale ściana pobłyskiwała małutkimi strużkami wody.

- Z pewnością nie zginiemy też z pragnienia.

Zaczęły mieć nadzieję, że pomimo wszystko wspinaczka będzie możliwa. Cirocco jednak nie bardzo podniosło to na duchu.

Jeśli wykluczyć ewentualne schody - a szybko się przekonały, że i tak by ich nie znalazły, bowiem drzewa skutecznie uniemożliwiały przeszukiwanie ściany - na szczyt prowadziły dwie drogi.

Jedna, to wspinaczka po drzewach. Cirocco oceniała, że jest możliwa. Można by się

przenosić z gałęzi na gałąź w miejscach, gdzie tworzyły właściwie jedną splątaną gęstwę.

Druga możliwość, to wspinaczka po ścianie. Mogły po prostu wbijać w nią haki, które przygotowały jeszcze z Tytaniami.

Cirocco skłonna była zawierzyć raczej ścianie niż drzewom. Gaby wolała gałęzie, które dawały możliwość szybszego posuwania się. Rozwazały tę alternatywę jeszcze następnego dnia, kiedy wydarzyły się dwie rzeczy.

Pierwszą dostrzegła Gaby, przyglądając się szarej powierzchni ponad dnem szprychy.

Zmrużywszy oczy, pokazała na coś w górze.

- Zdaje się, że otwór zniknął - powiedziała.

Cirocco spojrzała przelotnie, ale nie była pewna.

- Wejźmy na górę i przyjrzyjmy się.

Związały się liną i zaczęły przedzierać przez gałęzie.

Wbrew obawom Girocco, nie było tak źle. Jak w każdym przypadku i tu istniał pewien optymalny sposób pokonywania terenu, na który niebawem wpadły. Można było mianowicie znaleźć pośrednią trasę pomiędzy grubszymi gałęziami bliżej ściany - które wprawdzie były bardzo solidne, ale zbyt od siebie oddalone - i cieńszymi, które oferowały tysiące dogodnych oparc dla rąk i nóg, ale za to były dość kruche i pękały pod ciężarem ciała.

- Trochę bliżej ściany - zawołała Girocco do Gaby, która podjęła się rozpoznawania drogi na końcu pięciometrowej liny. - Powiedziałabym, że dwie trzecie odległości od czubka drzewa, to mniej więcej to, o co nam chodzi.

- Do środka, od czubka - powiedziała Gaby. - Mylą ci się kierunki.

- Dół drzew jest przy ścianie. Czubek - w powietrzu. Cóż może być prostszego?

- Niech ci będzie.

Po pokonaniu dziesięciu drzew zaczęły przedzierać się ku wierzchołkowi ostatniego.

Przywiązały linę do mocniejszej gałęzi, kiedy wyczuły, że gałęzie zaczynają się uginać pod ich ciężarem. Teraz działało to na ich korzyść, bowiem otwierało okienko w nieprzeniknionym gąszczu listowia. Wybrały drzewo, które w tym poziomym lesie przerastało swoich sąsiadów. We wnętrzu szprychy oznaczało to, że sterczało bardziej do środka.

- Miałaś rację. Zniknęła.

- Jeszcze nie całkiem. Ale za chwilę rzeczywiście zniknie.

Cirocco ujrzała, co zostało z otworu. Był to po prostu mały czarny owal na szarej podłodze, zamykający się na ich oczach niczym źrenica w oku. Wtedy, kiedy obserwowały go z dołu, był prawie tak wielki jak sama szprycha. Teraz miał mniej niż dziesięć kilometrów średnicy i nadal się zaciskał. Niedługo powinien zamknąć się wokół pionowych kabli wyrastających w samym jego środku.

- Masz jakiś pomysł? - spytała Gaby. - Jaki sens ma odcinanie szprychy od obręczy?

- Nie mam najmniejszego pojęcia. Przypuszczam, że kiedyś znowu się otworzy.

Anioły się przedostawały i to regularnie, więc... - Przerwała z uśmiechem.

- To jest technienie Gai.

- Co proszę?

- To właśnie Tytanie nazywają wiatrem ze wschodu. Okeanos przynosi ochłodzenie i Lament Gai, a Rea z kolei gorąco i anioły. Masz więc rurę o wysokości 300 kilometrów z zaworami na obu końcach. Możesz ją wykorzystać jako pompę. Możesz tworzyć obszary wysokiego i niskiego ciśnienia, a to z kolei wywołuje ruch powietrza.

- A jak miałyby to według ciebie działać? - spytała Gaby.

- Myślę o dwóch sposobach. Na przykład rodzaj ruchomego tłoka dla sprężania albo

rozzredzania powietrza. Nie widzę tu niczego takiego i mam cholerną nadzieję, że go nie ma, boby nas zmiotło.

- Coś takiego nie wyszłoby tym drzewom na zdrowie.

- Racja. A więc musi być inna metoda. Może ściany rozszerzają się lub kurczą. Jeśli otworzysz dolny zawór, zamkniesz górny i rozszerzysz szprychę, wtedy wciągniesz powietrze dołem. Jeśli zrobisz odwrotnie, powietrze dmucha w obręcz.

- A skąd się bierze to powietrze wciągane górą?

- Albo jest zasysane kablami - częściowo jest tak na pewno, bo widziałyśmy to - albo też dopływa z innych szprych. Wszystkie się przecież łączą u góry. Z dodatkowymi zaworami można by operować kilkoma szprychami jako dmuchawami. Manipulując w ten sposób można zassać powietrze znad Okeanosa, przepuścić przez piastę i wdmuchiwać nad Reę. Gdybym jeszcze tylko wiedziała, dlaczego budowniczy uznali to za niezbędne.

Gaby pograżyła się w rozmyślaniach.

- Myślę, że mogę to wyjaśnić. Właśnie to mnie dręczyło. Dlaczego całe powietrze nie gromadzi się na dole, w obręczy? Powietrze tu w górze jest rzadsze, ale nadal zupełnie dobre, ponieważ ciśnienie w obręczy jest wyższe niż na Ziemi. Przy niskiej sile ciężenia spadek ciśnienia nie jest tak szybki. Na przykład atmosfera Marsa nie jest zbyt gęsta, ale rozciąga się na znacznej przestrzeni. Jeżeli podtrzymujesz obieg powietrza, nie ma ono czasu opaść. Możesz podtrzymać odpowiednie ciśnienie powietrza na całej powierzchni Gai.

Ciocco kiwnęła głową z westchnieniem.

- W porządku. Właśnie uwolniłaś mnie od ostatniego zastrzeżenia, które mogłoby nas powstrzymać przed podjęciem wspinaczki. Mamy jedzenie i wodę, a w każdym

razie wygląda na to, że będziemy mieć. Teraz wygląda na to, że będziemy miały również czym oddychać. Co byś powiedziała, gdybyśmy się stąd wyniosły?

- A co myślisz o zbadaniu reszty ściany?

- Po co? Mogłyśmy już minąć to, czego szukamy. Po prostu nie ma sposobu, żeby to wypatrzyć.

- Chyba masz rację. Dobra, prowadź.

Wspinaczka była bardzo uciążliwa: nudna, ale wymagająca ciągłej uwagi. Stopniowo nabierały wprawy, jednak Cirocco wiedziała, że nigdy nie będzie to takie łatwe jak droga wzdłuż kabla.

Pocieszającym faktem po pierwszej dziesięciogodzinnej serii była natomiast ich dobra kondycja. Cirocco była znużona, a na jej lewej dłoni wyrósł porządny bąbel, ale poza lekkim bólem pleców czuła się zupełnie dobrze. Potrzebowała jedynie trochę snu.

Wspięły się na wierzchołek jednego z drzew, żeby rozejrzeć się przed rozbiciem obozu.

- Czy twoim systemem można zmierzyć taką wysokość?

Gaby zmarszczyła brwi i potrząsnęła głową.

- Raczej nie, ale spróbuję. - Wyciągnęła ręce, zrobiła okienko i przymrużyła oko. -

Powiedziałabym... Rety!

Cirocco złapała ją pod ramię, drugą ręką trzymając się gałęzi nad głową.

- Dziękuję. Co by to był za upadek.

- Masz linę. - Wskazała Cirocco.

- Tak, ale nie uśmiecha mi się zadyndać na niej. - Złapała oddech, a potem znowu spojrzała w dół.

- Cóż można powiedzieć? Jest teraz znacznie dalej niż poprzednio, ale strop nie wydaje się ani o metr bliższy. Jeszcze długo będziemy miały takie wrażenie.

- Myślisz, że to mogą być ze trzy kilometry?

- Skoro tak mówisz.

Oznaczało to, że jeśli wszystko pójdzie dobrze, będą się wspinały sto dni. Cirocco jęknęła cicho i spojrzała ponownie, próbując sobie wmówić, że przeszły pięć kilometrów, choć podejrzewała, że dwa byłyby bliższe prawdy.

Ponownie zapuściły się w gąszcz gałęzi i znalazły dwie, prawie równoległe i biegnące w odległości dwóch i pół metra od siebie. Rozwiesiły na nich hamaki, usiadły na gałęzi i zjadły zimny posiłek, złożony z surowych warzyw i owoców, a potem wgramoliły się do hamaków i przywiązały.

Po dwóch godzinach zaczęło padać.

Cirocco obudziła się, czując strużki ciekące po twarzy, uniosła głowę i spojrzała na zegarek. Ściemniło się. Gaby chrapała spokojnie z twarzą wciśniętą w siatkę. Rano będzie ją bolała szyja. Cirocco zastanawiała się, czy obudzić przyjaciółkę, w końcu zdecydowała jednak, że jeżeli wyśpi się mimo deszczu, wyjdzie jej to na zdrowie.

Wstała i przed przesunięciem hamaka wspięła się na czubek drzewa. Nie widziała niczego poprzez ścianę mgły i potoków deszczu. W centrum padało znacznie mocniej.

Tam, gdzie obozowały, docierała tylko woda spadająca z zewnętrznych liści.

Kiedy wróciła, Gaby już nie spała, a deszcz zamienił się w ulewę. Zdecydowały, że nie ma sensu przenosić hamaków. Wydobyły namiot i - po rozpruciu kilku szwów nożem - uzyskały płachtę, którą rozpięły nad obozowiskiem. Wysuszyły się, jak można najlepiej i wróciły do mokrych hamaków. Było straszliwie wilgotno i gorąco, ale Cirocco była tak zmęczona, że prawie natychmiast zasnęła przy wtórze kropel bębniących o płótno.

Po następnych dwóch godzinach znów się obudziły, tym razem dygocąc z zimna.

- Co za noc - jęknęła Gaby.

Cirocco szczękała zębami, wypakowując płaszcze i koce. Owinęły się szczelnie i wróciły do hamaków. Dopiero po upływie pół godziny rozgrzała się na tyle, że mogła zasnąć, kołysana delikatnym ruchem gałęzi.

Cirocco kichnęła, rozdmuchując śnieg. Był bardzo lekki, bardzo suchy i wciskał się w każdą szczelinę koca. Usiadła i strząsnęła z siebie całą lawinę śniegu.

Z brzegu płachty i końców sznura zwisały sople lodu.

Wiatr kołysał gałęziami drzew, powodując ciągły trzask i łomot drobinek lodu spadających na zamrożone płótno. Jedną rękę, którą zostawiła odsłoniętą w czasie snu, miała tak skostniałą, że wielką trudność sprawiło jej dotknięcie ramienia Gaby.

- Co? Co? - Gaby rozejrzała się dookoła niewidzącym wzrokiem, próbując otworzyć drugie oko, którego powieki spoił lód. - O, cholera! - Wstrząsnął nią paskudny kaszel.

- Dobrze się czujesz?

- Jeśli nie liczyć zamrożonego ucha, to tak. I co teraz?

- Musimy założyć wszystko, co mamy i przeczekać w hamaku.

Nie było to łatwe, ale jakoś im się udało. W pewnym momencie zdarzyło się nieszczęście: Girocco próbowała poradzić sobie sztywnymi palcami i rękawicą, którą wkładała, poleciała w wirujący śnieg. Przeklinała przez pięć minut, ale później przypomniała sobie, że na szczęście ma jeszcze rękawice Gene'a.

Potem zaczęło się oczekiwanie.

Nie sposób było spać. Pod warstwą odzieży i koców było wprawdzie dość ciepło, ale brakowało im masek na twarz i gogli. Co dziesięć minut strącały gromadzący się śnieg. Próbowwały rozmawiać, ale wewnątrz szprychy wcale nie było cicho. Girocco przykryła głowę kocem i stwierdziła, że w tej nie kończącej się zamieci minuty wloką się jak godziny. Poprzez wycie wichru dobiegał ją znacznie bardziej niepokojący dźwięk,

przypominający trzaskanie prażonej kukurydzy. Gałęzie, obciążone pokrywą lodu, łamały się pod naporem wichru.

Czekały pięć godzin. Jeżeli coś się zmieniło, to najwyżej to, że wiatr stał się jeszcze zimniejszy i silniejszy. Niedaleko trzasnęła gałąź i Cirocco usłyszała, jak wali się z hałasem przez zmrożony las.

- Gaby, słyszysz mnie?

- Słyszę, kapitanie. Co teraz zrobimy?

- Cholernie niechętnie o tym myślę, ale chyba będziemy się musiały ruszyć. Wolę przejść na którąś z grubszych gałęzi. Nie sądzę, żeby ta, na której siedzimy, mogła trzasnąć, ale przecież wystarczy, że któraś nad nami.

- Czekałam, aż to powiesz.

Wygrzebanie się z hamaków było koszmarem. Ale jeszcze gorzej było, kiedy już się z tym uporały i stanęły na pniu. Sznury zamarzły, więc przed użyciem musiały je mozolnie zginać i skręcać. Kiedy wreszcie ruszyły ku ścianie szprychy, musiały działać bardzo ostrożnie. Oznaczało to konieczność przywiązywania drugiej liny, zanim mogły wrócić, by odplątać pierwszą, a potem powtarzania całego zabiegu, wiążąc węzły albo dłońmi odzianymi w rękawice, albo szybko grabiejącymi palcami. Przy pomocy młotków i haków obłupywały lód z gałęzi, po których się posuwały. Mimo tych wszystkich zabiegów Cirocco spadła dwa razy, a Gaby raz. Za drugim razem Cirocco naderwała sobie mięsień barku, kiedy szarpnięcie liny przerwało jej lot.

Po godzinie mordęgi dotarły do głównego pnia. Był mocno osadzony i na tyle szeroki, że można było na nim usiąść. Wiatr dał tu jednak znacznie mocniej, nie zatrzymywany przez gałęzie. Wbiły haki w drzewo, przywiązały się do nich i przygotowały na długie czekanie.

- Strasznie mi się nie chce podnosić, ale już nie czuję palców.

Cirocco długo kaszłała, zanim była w stanie odpowiedzieć.

- Co proponujesz?

- Nie wiem - powiedziała Gaby. - Wiem natomiast, że jeśli czegoś nie zrobimy, zamarzniemy na śmierć. Musimy iść dalej albo rozejrzeć się za porządnym schronieniem.

Miała rację i Girocco dobrze o tym wiedziała.

- W górę czy w dół?

- Na dole są schody.

- Właziłyśmy tutaj cały dzień, a wtedy jeszcze lód nam nie przeszkadzał. Powrót do schodów zajmie nam teraz dwa dni. Poza tym wejście może być zawałone śniegiem.

- Właśnie o tym pomyślałam.

- Jeśli już ruszymy, możemy z powodzeniem iść w górę. Tak czy siak, o ile pogoda rychło się nie zmieni, po prostu zamarzniemy. Myślę, że ruch tylko trochę to odwlecze.

- Też tak sędzę - powiedziała Gaby. - Najpierw jednak chciałabym spróbować czegoś innego. Podejźmy do samej ściany. Pamiętasz, wspominałaś, że anioły mogą żyć w grotach. Może są tam jakieś jaskinie.

Cirocco wiedziała, że podstawową sprawą był ruch, pobudzenie krwioobiegu.

Poczołgały się więc wzdłuż pnia, wyrąbując drogę w lodzie. W ciągu kwadransa dotarły do ściany.

Gaby przyjrzała się jej, a potem zebrała w sobie i zaczęła kuć szpikulcem. Lód odpadł, ukazując szarą masę, ale ona rąbała dalej. Kiedy Girocco zrozumiała, co tamta robi, przyłączyła się do roboty.

Na razie szło dobrze. Wydłubały dziurę o średnicy pół metra. Białe mleko zamarzało, ściekając po ścianie, a one kuły dalej. Gaby wyglądała niczym śnieżny demon: była

zasypana aż po czubek nosa, przewiązana wełnianym szalem, z brwiami niczym grube, białe okapy.

Wkrótce dotarły do kolejnej warstwy, która była jednak zbyt twarda, by ją rąbać.

Gaby zaatakowała ją z furją, ale ostatecznie musiała dać za wygraną. Opuściła ręce i wściekle spojrzała na ścianę.

- No cóż, to był jakiś pomysł. - Kopnęła z niesmakiem otaczającą je kupę śniegu, która rozpadła się pod wpływem wstrząsu. Spojrzała na nią, a potem wyciągnęła szyję i popatrzyła w zalegający wyżej mrok. Postąpiła krok do tyłu i pośliznąwszy się na lodowych okruchach, pochwyciła rękę Cirocco dla zachowania równowagi.

- Tam u góry jest ciemniejsze pasmo - powiedziała. - Dziesięć... nie, raczej piętnaście metrów w górę. Nieco w prawo. Widzisz?

Cirocco nie była pewna. Dostrzegła kilka ciemnych miejsc, ale żadne nie przypominało jaskini. - Idę w górę przyjrzeć się dokładniej.

- Pozwól, że ja to zrobię. Ty ciężiej pracowałaś.

Gaby potrząsnęła głową.

- Jestem lżejsza.

Cirocco nie protestowała, więc Gaby wbiła hak tak wysoko, jak zdołała dosięgnąć.

Przywiązała linę i wspięła się na tyle wysoko, by wbić drugi. Kiedy była pewna, że siedzi mocno, wyrwała dolny i przeniosła go wyżej.

Po godzinie Gaby dotarła do celu. Cirocco trzęsła się na dole z zimna, tupiąc nogami i otrzepując z lodowego pyłu, którym zasypywała ją pracująca w górze Gaby. Wreszcie wielki kawał śniegu rozbił się na jej ramionach i zbił ją z nóg.

- Przepraszam! - zawołała Gaby. - Znalazłam coś. Jak tylko trochę oczyszczę, będziesz mogła wejść.

Cirocco z dużym trudem przecisnęła się przez otwór wejściowy, chociaż Gaby obtłukła większą część lodu. Wewnątrz była to płytka nisza o średnicy około półtora metra i nieco mniejszej wysokości. Girocco musiała zdjąć plecak i dopiero wtedy wciągnęła go za sobą. Siedząc tam we dwie z plecakami miały wrażenie, że prócz nich zmieściłoby się jeszcze tylko pudełko na buty, nie pozbawiając ich resztek powietrza.

- Przytulnie, co? - spytała Gaby, zdejmując łokieć Girocco ze swojej szyi.

- Przepraszam. O, i za to też. Gaby, moja noga!

- Przepraszam. Gdybyś mogła się skurczyć... tak już lepiej, ale przyjemnie byłoby tu stanąć.

- Gdzie? O rany. - Nagle wybuchnęła śmiechem. Siedziała skurczona z plecami opartymi o sufit i zgiętymi kolanami, a Gaby skuliła się, jak mogła, usiłując zrobić jej więcej miejsca.

- Co w tym takiego śmiesznego?

- Przypomniał mi się taki stary film. Laurel i Hardy w nocnych koszulach, którzy próbują się ułożyć do snu na górnym łóżku w wagonie sypialnym.

Gaby uśmiechnęła się, ale najwyraźniej nie miała najmniejszego pojęcia, o czym mowa.

- No wiesz, górna koha w transkontynentalnym pociągu... Zresztą, mniejsza z tym.

Po prostu pomyślałam, jak by im poszło w arktycznym oporządzeniu i z kilkoma walizami. Co robimy dalej?

Wygarnęły resztki śniegu z małej jaskini i zastawiły wejście plecakami. Odcięło to wprawdzie resztki światła, ale jednocześnie zasłoniło przed wiatrem, a więc w sumie się opłacało. Po dwudziestu minutach szamotania zdołały usadowić się ramię w ramię.

Girocco prawie nie mogła się ruszać, ale nie było powodu się tym martwić

w błogosławionym cieple.

- Jak myślisz? Możemy się teraz trochę przespać? - zastanawiała się Gaby.

- Chyba tak. Jak twoje palce?

- W porządku. Jeszcze mrowią, ale są coraz cieplejsze.

- Moje też. Dobrej nocy, Gaby. - Zawahała się przez chwilę, a potem przechyliła i pocałowała ją.

- Kocham cię, Rocky.

- Śpij - powiedziała z uśmiechem.

Ciocco obudziła się z czołem zroszonym potem. Ubranie miała całkowicie przemoczone. Podniosła głowę jak pijana i stwierdziła, że nic nie widzi. Zastanawiając się, czy nadeszło przełamanie pogody, przesunęła lekko plecak, potem nieco mocniej i stwierdziła, że wejście do jaskini zamknęło się.

Już miała budzić Gaby, ale w porę się rozmyśliła. - Najpierw postaraj się wydostać - mruknęła. Nie było sensu mówić Gaby, że została znowu pożarta żywcem, zanim nie okaże się, że to prawda. Gaby na pewno nie przyjęłaby dobrze takiej nowiny, a myśl o tym, że są zamknięte w tak małej przestrzeni - która sama w sobie była okropna - stawała się wprost upiorna, gdy pomyślała o Gaby i jej zaraźliwej panice.

Okazało się, że nie ma powodu do alarmu. Badając ścianę, w której znajdował się otwór, stwierdziła, że zaczyna się rozsuwać niczym przesłona aparatu fotograficznego, aż osiągnął poprzednią szerokość. Pozostało jedynie przejrzyste okienko lodowe, zza którego sączyło się wątłe światło. Uderzyła w nie uzbrojoną w rękawicę pięścią, krusząc lód. Z zewnątrz wionęło zimnem, więc pospiesznie zatkała otwór plecakiem.

Po kilku minutach odsunęła plecak. Otwór ponownie skurczył się do paru centymetrów.

Spojrzała z namysłem na małą dziurkę, układając w głowie wszystkie obserwacje.

Dopiero wtedy, kiedy - jak się jej wydawało - wszystko zrozumiała, potrząsnęła ramieniem Gaby.

- Obudź się, dziecko, trzeba znowu wprowadzić poprawki.

- Cooo? - Gaby budziła się szybko. - Do diabła, gorąco tu jak w piecu.

- To właśnie miałam na myśli. Musimy zdjąć trochę łańców. Chcesz się rozebrać pierwsza?

- Zaczynaj. Postaram się nie wchodzić ci w drogę.

- Dobra. Jak myślisz, dlaczego tu jest tak gorąco? Myślałaś o tym?

- Miej litość, Rocky. Dopiero co się obudziłam.

- W porządku, powiem ci. Dotknij ściany. - W czasie skomplikowanej gimnastyki, jaką było zdjęcie kurtki, Gaby potwierdziła jej wcześniejsze spostrzeżenie.

- Jest ciepła.

- Tak. Z początku nie mogłam tego zrozumieć. Myślałam, że drzewa były ponadplanowym dodatkiem, podobnie jak roślinność porastająca kabel, ale przecież tutaj nie mogłyby rosnąć, gdyby ściana nie dostarczała substancji odżywczych.

Zastanawiałam się, jaki typ maszyny najlepiej by się do tego nadawał i przypomniałam sobie naturalną maszynę biochemiczną. Zwierzę albo roślina, prawdopodobnie poddane jakimś zabiegom z zakresu inżynierii genetycznej. Wydaje mi się prawie niemożliwe, żeby coś takiego mogło się wykształcić w naturalnym procesie ewolucji w jakimś wyobraźnym okresie czasu. Ta rzecz ma trzysta kilometrów wysokości, w środku jest pusta i wyściela całą wewnętrzną stronę prawdziwej ściany.

- A drzewa są pasożytami? - Gaby chwyciła to szybciej, niż spodziewała się Cirocco.

- Tylko w tym sensie, że czerpią pożywienie z innego zwierzęcia. Nie są jednak

prawdziwymi pasożytami, ponieważ ten układ bez wątplenia został zaplanowany.

Budowniczo wie zaprojektowali to ogromne zwierzę jako siedlisko dla drzew, a z kolei drzewa dają schronienie mniejszym zwierzętom, prawdopodobnie także aniołom.

Gaby myślała przez chwilę, a potem zmrużyła oczy i rzuciła Cirocco szybkie spojrzenie.

- To jest niezwykle podobne do bardzo dużych zwierząt, które, jak przypuszczamy, żyją pod obręczą - powiedziała spokojnie.

- Tak, coś w tym rodzaju. - Spojrzała na Gaby, szukając objawów paniki, ale nie dostrzegła nawet przyspieszonego oddechu. - Czy to cię... ee... martwi?

- Masz na myśli moją fobię?

Cirocco sięgnęła za plecak i pobudziła wejście tak, że znowu się otworzyło, a potem przesunęła bagaż i pokazała Gaby. Wejście zaczęło się powoli zamykać.

- Odkryłam to, zanim cię zbudziłam. Popatrz, zamyka się, ale kiedy dotkniesz - z powrotem się otworzy. Wcale nie jesteśmy w pułapce, a to nie jest żołądek ani nic takiego.

Gaby dotknęła jej dłoni, uśmiechając się słabo.

- Doceniam twoją troskę.

- No cóż, nie chciałam wprawić cię w zakłopotanie, ja tylko...

- Dobrze zrobiłaś. Gdybym zobaczyła to pierwsza, pewnie jeszcze teraz bym wrzeszczała. W zasadzie nie cierpię na klaustrofobię. Nabawiłam się nowej fobii, która być może jest moim własnym wynalazkiem - strach przed pożarciem żywcem. Ale powiedz mi i postaraj się być bardzo przekonująca: jeżeli to nie jest żołądek, co też to właściwie jest?

- Nie pasuje to do żadnego znanego mi stworzenia. - Rozebrała się do ostatniej

warstwy ubrania i postanowiła na tym poprzestać. - To jest rodzaj schronu - ciągnęła, starając się skurczyć, żeby ułatwić Gaby rozbieranie. - Służy dokładnie temu, do czego my to wykorzystujemy: schronieniu przed zimnem. Jestem skłonna się założyć, że anioły zimują właśnie w takich jaskiniach. Być może robią to również inne zwierzęta. Najprawdopodobniej stwór ten coś z tego ma. Może użyźniają go odchody.

- Jeśli o tym mowa...

- Tak. Mam ten sam problem. Musimy użyć pustego słoja po jedzeniu albo czegoś takiego.

- Mój Boże. Już i tak śmierzę niczym wielbłąd. Jeżeli pogoda wkrótce się nie zmieni, niedługo już nie będzie to przyjemny zakątek.

- Nie jest tak źle. Ja śmierzę gorzej.

- To bardzo dyplomatyczne z twojej strony. - Gaby rozebrała się do samej bielizny o jaskrawym wzorze. - Moja droga, póki co będziemy żyły cholernie blisko siebie, więc raczej nie ma miejsca na skromność. Jeżeli trzymasz to na sobie, ponieważ...

- Nie, właściwie nie - powiedziała zbyt pośpiesznie Cirocco.

- Ponieważ boisz się mnie podniecić, przemyśl to sobie. Właściwie, to między nami nic z tych rzeczy nie zdarzyło się tutaj. Mam nadzieję, że nie będziesz miała nic przeciwko temu, że zdejmę resztę i spróbuję wysuszyć. - Nie czekając na zezwolenie rozebrała się do naga i wyciągnęła obok Cirocco.

- Może częściowo tak było - przyznała Cirocco. - Ale jest jeszcze jeden bardzo ważny powód, który szalenie mnie krępuje. Zaczął mi się okres.

- Tak też myślałam. Nie mówiłam nic przez delikatność.

- Jakie to dyplomatyczne z twojej strony. - Roześmiały się, ale Cirocco poczuła, że płonąć jej twarz. Było to diabelnie dziwne. Przywykła do pokładowej, rutynowej

dokładności w tym względzie. Brud i brak jakichkolwiek środków higienicznych przyprawiały ją o trwogę. Gaby zasugerowała, by Cirocco użyła bandaża z apteczki, choćby dla własnej wygody. Cirocco dała się na to namówić, szczęśliwa, że pomysł wyszedł od Gaby. Nie mogłaby użyć cennych materiałów medycznych dla takiego celu bez jej zgody.

Przez chwilę nic odzywały się, a Cirocco miała niewygodną świadomość bliskości Gaby, wmawiając sobie, że będzie musiała do niej przywyknąć. Być może będą tu tkwiły przez wiele dni.

Gaby nie wydawała się w najmniejszym stopniu skrepowana i niedługo potem Cirocco przestała sobie tak ostro uświadamiać bliskość jej ciała. Po godzinie bezskutecznych prób zaśnięcia cała ta zabawa zaczęła ją nudzić. - Nie śpisz?

- Czasami budzi mnie nawet moje własne chrapanie. - Gaby westchnęła i usiadła. -

Do diabła, powinnam być znacznie bardziej śpiąca, żeby dać się wpakować tak blisko ciebie. Jesteś taka ciepła i delikatna...

Cirocco udała, że nie słyszy.

- Nie znasz jakichś gier dla zabicia czasu?

Gaby odwróciła twarz w stronę Cirocco.

- Mogłabym coś wymyślić.

- Grasz w szachy?

- Obawiałam się, że to powiesz. Grasz białymi czy czarnymi?

Lód tworzył się wokół wejścia w takim tempie, że ledwo nadążały go kruszyć.

Z początku martwiły się o powietrze, ale po kilku doświadczeniach przekonały się, że nawet kiedy otwór jest całkowicie zamknięty, ilość tlenu jest wystarczająca. Jedynym wyjaśnieniem mogło być to, że kapsuła przetrwania działała jak roślina, wchłaniając

dwutlenek węgla przez ścianki.

W głębi jaskini odkryły rodzaj brodawki. Naciśnięta, wydzielala tę samą mleczną substancję, którą widziały już wcześniej. Spróbowały jej, ale zdecydowały trzymać się na razie własnych zapasów, dopóki się nie wyczerpią. To było właśnie mleko Gai, o którym opowiadał Cirocco Mistrz Śpiewu. To nim właśnie musiały żywić się anioły.

Godziny powoli przechodziły w dni, a partie szachów w całe turnieje. Gaby przeważnie wygrywała. Wymyśliły nowe gry w słowa i liczby i tu również Gaby okazała się nie do pobicia. Dopiero trzeciego dnia zaczęły się kochać, bowiem wszystkie te rzeczy, które razem przeżyły, zbliżyły je do siebie i równocześnie odpychały, rezerwa Cirocco i duma Gaby...

Stało się to w jednej z takich chwil, kiedy obie po prostu patrzyły w sufit przepuszczający nagle światło i słuchały wycia wiatru na zewnątrz. Były znudzone i lekko podniecone, rozsadzała je energia. Cirocco snuła nie kończący się ciąg racjonalizacji: Powodów, Dla Których Nie Powinna się Fizycznie Zbliżyć z Gaby. Po pierwsze... Nie pamiętała, jaki był ten pierwszy powód. Jeszcze kilka dni temu miało to jakiś sens. Ale teraz?

Sytuacja z pewnością utrudniała możliwości trzeźwej oceny. Nigdy przedtem nie była tak blisko z jakąkolwiek istotą ludzką. Mogłaby się obudzić w ramionach Gaby, mokra i podniecona. Co gorsza, Gaby z pewnością by to wyczuła. Bez trudu rozpoznawały wzajemne zmiany nastrojów.

Ale Gaby powiedziała, że nie chce jej, jeżeli Cirocco nie może odwzajemnić jej miłości.

Rzeczywiście tak powiedziała?

Nie. Przemyślała to jeszcze raz i stwierdziła, że Gaby powiedziała tylko, że pragnie od

Ciocco szczerze zapamiętał, że nie byłaby w stanie przyjąć miłości jako środka łagodzącego ból.

W porządku. Zapamiętał. Nigdy jeszcze nie czuła go tak mocno. W zasadzie powstrzymywała go dlatego, że nie miała skłonności homoseksualnych - była co najwyżej biseksualna z silną skłonnością do płci męskiej. Miała uczucie, że nie powinna się wiązać z kochającą kobietą, dopóki nie będzie pewna, czy stanie się to czymś więcej niż tylko miłosnym aktem.

Po chwili jednak uznała to za najgłupszą rzecz, o jakiej kiedykolwiek słyszała. Słowa, słowa, po prostu głupie słowa. Słuchaj swego ciała i słuchaj swego serca.

Jej ciało nie miało już żadnych zastrzeżeń, a sercu pozostało tylko jedno. Odwróciła się i siadła okrakiem na Gaby. Całowały się, a Ciocco zaczęła ją pieścić.

- Jeśli mam być szczerą, nie mogę powiedzieć, że cię kocham, ponieważ nie jestem pewna, czy wiem, jak to jest kochać kobietę. Dałabym się za ciebie zabić, a twoje dobro jest dla mnie ważniejsze niż dobro jakiegokolwiek ludzkiej istoty. Nigdy nie miałam takiego przyjaciela jak ty. Jeżeli to za mało, przestanę.

- Nie, nie przerywaj.

- Kiedyś kochałam mężczyznę i chciałam mieć z nim dzieci. To, co do ciebie czuję, jest bardzo bliskie tamtemu uczuciu, ale jednak inne. Pożądaj cię... Och, tak mocno, że nie umiem tego wyrazić. Ale nie mogę powiedzieć na pewno, że cię kocham.

Gaby uśmiechnęła się.

- Życie jest pełne rozczarowań. - Objęła Ciocco ramionami i przyciągnęła ją do siebie.

Wiatr wył na zewnątrz jeszcze pięć dni. Szóstego dnia zaczęła się odwilż, która trwała cały dzień.

Wychodzenie na zewnątrz nadal było niebezpieczne. Z góry z ogromnym hałasem leciały kawały lodu. Kiedy uciszyło się, ich oczom ukazał się migocący, chłodny, lśniący wodą i pełen szmerów i szeptów świat.

Przedostały się na szczyt najbliższego drzewa, słysząc, jak ten dziwny szept narasta.

Kiedy mniejsze gałęzie zaczęły uginać się pod ich ciężarem, spadł lekki deszcz: wielkie krople, opadające powoli z liścia na liść.

Powietrze wewnątrz szprychy było przejrzyste, a bliżej ścian - w miarę jak topiący się lód spływał przez listowie - pokazywały się wciąż nowe łuki tęczy. Na dnie szprychy tworzyło się jezioro.

- I co teraz? - spytała Gaby.

- Bliżej ściany i w górę. Straciłyśmy masę czasu.

Gaby kiwnęła głową.

- Jak wiesz, mnie to nie robi różnicy, dopóki jesteśmy razem. Ale czy mogłabyś mi jeszcze raz wyjaśnić: dlaczego?

Ciocco miała właśnie ochotę powiedzieć, że to głupie pytanie, ale nagle zdała sobie sprawę, że wcale nie było takie głupie. Kiedy były zamknięte w schronie, przyznała się Gaby, że już nie wierzy, by mogły znaleźć kogokolwiek w pomieszczeniach sterowniczych ulokowanych w piasku. Sama nie wiedziała, kiedy przestała w to wierzyć.

- Obiecałam Mistrzowi Śpiewu - powiedziała. - A teraz nie mam już przed tobą żadnych tajemnic.

Gaby zmarszczyła brwi.

- Co takiego obiecałaś?

- Sprawdzić, czy da się coś poradzić, by przerwać wojnę pomiędzy Tytaniaми i aniołami. Nikomu o tym nie mówiłam. Nie bardzo wiem dlaczego.

- Rozumiem. Czy wciąż myślisz, że możesz cokolwiek zrobić?

- Nie. - Gaby nie zareagowała i nadal patrzyła jej badawczo w oczy. - Ale muszę chociaż spróbować. Dlaczego tak na mnie patrzysz?

Gaby wzruszyła ramionami.

- Bez powodu. Jestem po prostu ciekawa, jakie podasz powody dalszej wspinaczki, kiedy już odnajdziemy anioły. Bo przecież pójdziemy dalej, prawda?

- Tak sądzę. W jakiś nieokreślony sposób wyczuwam, że powinniśmy to zrobić.

Rozdział 22

Świat składał się z nie kończącej się wspinaczki wśród nieskończonego ciągu drzew.

Każde było odmianą tego samego gatunku, różniły się od siebie tak jak różnią się płatki śniegu, a jednocześnie sprawiały wrażenie całkowicie identycznych. Cała potrzebna technika ograniczała się do ruchów rąk i nóg. Stały się doskonałymi maszynami do łażenia po drzewach, jednym ciałem nastawionym tylko na jedno: ciągły marsz w górę. Wspinały się w seriach po dwanaście godzin. Natychmiast po rozbiciu obozu zasypiały jak zabite.

W dole pod nimi otworzyło się dno i cała woda spadła na Reę. Przez kilka tygodni dolny otwór pozostał otwarty, a później otworzyła się górna przesłona, dolna się zamknęła i do szprychy znowu wtargnęło mroźne powietrze, które zmusiło je do poszukania schronienia. Po pięciu dniach spędzonych w ciemności ruszyły dalej w górę. Sześć dni po zakończeniu trzeciej zimy ujrzały pierwszego anioła. Zatrzymały się, wpatrując w niego i czując, że też są obserwowane.

Przysiadł blisko wierzchołka drzewa, słabo widoczny wśród gałęzi. Słyszały już wcześniej lament aniołów, któremu czasami towarzyszył łopot olbrzymich skrzydeł. Cirocco nadal niewiele mogła o nich powiedzieć. Cała jej wiedza ograniczała się do

jednego zatrzymanego kadru chwili, kiedy jeden z nich padł od ciosu włóczni Tytania.

Anioł był mniejszy od Gaby, miał olbrzymią klatkę piersiową i wrzecionowate ręce i nogi. Zamiast stóp miał szpony. Skrzydła wyrastały mu zaraz ponad biodrami, dzięki czemu w locie mógł być dobrze wyważony z tyłu i z przodu. Zwinięte sięgały ponad głowę, a ich końcówki zwisały poniżej gałęzi, na której siedział. Powierzchnie lotne na nogach, rękach i ogonie były ciasno złożone.

Odnotowawszy te wszystkie różnice, Cirocco musiała przyznać, że najbardziej zdumiewające było jednak jego podobieństwo do człowieka. Wyglądał jak przeraźliwie wychudzone, ale jednak ludzkie dziecko.

Gaby rzuciła spojrzenie w stronę Cirocco, która wzruszyła ramionami, a potem dała jej znak, by była przygotowana na wszystko. Postąpiła krok naprzód.

Anioł wydał krzyk i cofnął się. Rozłożył skrzydła na całą dziewięciometrową szerokość i zawisł, machając nimi powoli, by utrzymać się na gałęzi, zbyt słabej, by udźwignąć jego ciężar.

- Chcemy tylko z tobą porozmawiać. - Wyciągnęła ręce. Anioł znowu krzyknął i uciekł. Słyszały szum skrzydeł, gdy nabierał wysokości.

Gaby spojrzała na Cirocco, która uniosła brew i zrobiła jedną ręką pytający gest.

- Dobra. Wchodzimy dalej.

- Kapitanie.

Cirocco zamarła. Gaby nagle się zatrzymała, kiedy łącząca je lina wyprężyła się i szarpnęła.

- Co? - spytała Gaby.

- Cicho. Słuchaj.

Czekały, a po kilku minutach znowu dobiegło je wołanie. Tym razem usłyszała je

również Gaby. - To nie może być Gene - wyszeptała Gaby.

- Calvin? - Kiedy tylko to wypowiedziała, rozpoznała głos. Był dziwnie zmieniony, ale przecież znajomy.

- April.

- Zgadza się - dobiegła odpowiedź, chociaż Cirocco nie powiedziała tego zbyt głośno. -

Pomówimy?

- Oczywiście, że chcę porozmawiać. Gdzie jesteś, do diabła?

- Niżej. Widzę cię. Nie schodź.

- Dlaczego nie? Do cholery, April, szukamy cię od miesięcy. August jest bliska szaleństwa. - Cirocco zmarszczyła brwi. Coś się tu nie zgadzało i bardzo chciała się dowiedzieć, co.

- Albo ja przyjdę do ciebie, albo w ogóle nici z rozmowy. Jeżeli podejdziesz do mnie, odlecę.

Zawisała na jednej z mniejszych gałęzi, dwadzieścia metrów od obu kobiet. Nawet z tej odległości Cirocco mogła rozpoznać jej twarz, niemal identyczną z twarzą August. Była aniołem i ten widok przyprawił Cirocco o mdłości.

Wydawało się, że ma trudności z mówieniem. Poszczególne zdania dzieliły długie przerwy.

- Proszę, nie podchodźcie bliżej. Nie róbcie żadnego ruchu w moją stronę. Możemy rozmawiać w ten sposób tylko przez krótką chwilę.

- Chyba nie sądzisz, że zrobimy ci krzywdę?

- A dlaczego by nie? Ja... - Przerwała, wycofując się ukradkiem. - Nie, przypuszczam, że nie. Ale nie mogę was dopuścić bliżej, tak jak nie mogę wsadzić ręki do ognia.

Niedobrze pachniecie.

- Czy to ma coś wspólnego z Tytaniami?

- Z czym?

- Z centaurami. Z ludźmi, z którymi prowadzicie wojnę.

Syknęła i cofnęła się.

- Nie mówcie o nich.

- Nie sądzę, bym mogła tego uniknąć.

- W takim razie muszę odlecieć. Spróbuję wrócić. - Z donośnym krzykiem dała nura między liście. Przez chwilę słyszały jej skrzydła, a potem zapadła cisza, jakby nigdy się nie pojawiła.

Ciocco spojrzała na Gaby, która siedziała z posępną twarzą, kiwając nogami.

- To okropne - szepnęła Ciocco. - Co się z nami stało?

- Miałam nadzieję, że czegoś się od niej dowiemy. Cokolwiek to było, ją dotknęło najsilniej. Silniej niż Gene'a.

Wróciła po kilku godzinach, nie potrafiła jednak odpowiedzieć na najważniejsze pytania. Wydawało się, że nawet o nich nie myślała.

- Skąd mam wiedzieć? - powiedziała. - Znalazłam się w ciemności, a potem obudziłam się taką, jaką mnie widzicie. Nie miało to znaczenia wtedy i nie ma teraz.

- Możesz to wyjaśnić?

- Jestem szczęśliwa. Nikt nie chciał mnie ani moich sióstr. Nikt nas nie kochał. No cóż, teraz tego nie potrzebuję. Jestem z rodu Orłów, dumna i samotna.

Ostrożne przepytywanie wyjaśniło, o co chodzi z tym rodem Orłów. Nie było to ani plemię, ani stowarzyszenie, jak zdawała się sądzić i sugerować April - był to raczej osobny gatunek w obrębie ogólnego rodzaju aniołów.

Orły żyły samotnie od urodzenia do śmierci. Nie zbierały się nawet ze swoimi

pobratymcami. Towarzystwo innych osobników mogły znieść zaledwie przez kilka minut i to tylko krążąc w odpowiedniej od nich odległości. April dowiedziała się o obecności ludzi wewnątrz szprychy właśnie z takich przelotnych rozmów.

- Dwóch rzeczy nie rozumiem - powiedziała ostrożnie Cirocco. - Czy mogę o nie spytać?

- Nie obiecuję odpowiedzi.

- W porządku. Jeżeli nie zbliżacie się do siebie, to w jaki sposób się rozmnażacie?

- Na dnie świata rodzi się co jakiś czas pozbawiony duszy stwór. Spędza całe życie na wspinaczce na wierzchołek. Co roku znajduję go i składam jajo na jego grzbiecie. O ile szczęście dopisze, męskie anioły składają na nim swoją spermę. Zapłodnione jajo jest wynoszone na górę właśnie przez to stworzenie. Dziecko rodzi się wtedy, gdy umiera nosiciel. Rodzimy się w powietrzu i musimy się nauczyć latać, spadając w dół.

Niektórym się to nie udaje. Zależy to od woli Gai. To jest nasza...

- Chwileczkę. Powiedziałaś Gai. Dlaczego wybrałaś to imię?

Zapadła cisza.

- Nie rozumiem pytania.

- Nie mogę tego powiedzieć jaśniej. Calvin nazwał to miejsce Gaja. Sądził, że to pasuje. Czy ty też jesteś znawcą mitologii greckiej?

- Nigdy przedtem nie słyszałam tego imienia. Ludzie nazywają to stworzenie Gają.

Jest czymś w rodzaju Boga, chociaż niezupełnie. Przyprawiasz mnie o ból głowy. Jestem szczęśliwa taka, jaka jestem, a teraz muszę już lecieć.

- Poczekaj, poczekaj jeszcze chwilę.

April wycofywała się w stronę wierzchołka drzewa.

- Powiedziałaś: stwór. Czy masz na myśli to, co wypełnia szprychę?

April sprawiała wrażenie zaskoczonej. - Nie, dlaczego? To jest tylko jej część. Cały świat jest Gają. Myślałam, że o tym wiesz.

- Nie, ja... Poczekaj, proszę, nie odchodź. - Było za późno. Usłyszały łopot skrzydeł. -

Czy wrócisz jeszcze? - krzyknęła Cirocco.

- Jeszcze raz - dobiegła ich z dala odpowiedź.

- Jedna istota, powiadasz. Jedno olbrzymie stworzenie. Skąd to wiesz?

Tym razem April wróciła już po upływie godziny. Cirocco miała nadzieję, że tamta zaczyna przywykać do ich towarzystwa, ale odległość między nimi nadal wynosiła dwadzieścia metrów.

- Uwierz w to. Niektórzy z moich ludzi rozmawiali z nią.

- A więc jest stworzeniem inteligentnym?

- Dlaczego nie? Posłuchaj... Kapitanie. - Przyłożyła na chwilę dłonie do skroni.

Cirocco wyobrażała sobie jej rozterkę. April była jednym z najlepszych fizyków w systemie. Teraz żyła jak dzikie zwierzę, zgodnie z regułami niemal zupełnie dla Cirocco niezrozumiałymi. Pomyślała, że być może dawna April walczy, by przebić się przez instynkty stworzenia, którym się stała.

- Cirocco, mówisz, że rozmawiasz z... z tymi na obręczy. - Tylko w ten sposób mogła wspomnieć o Tytanitach, nie rzucając się do ucieczki. - Rozumieją cię. Calvin może rozmawiać z salonowcami. Zmiany, które wprowadziła we mnie Gaja, są pełniejsze. Ja naprawdę jestem członkiem swojej społeczności. Obudziłam się, wiedząc, jak się zachować wśród nich. Mam takie same uczucia i dążenia jak każdy inny anioł. I jest jedna rzecz, którą wiem na pewno: Gaja jest Jedna, Gaja jest żywa, a my żyjemy w niej. Gaby troszeczkę pozieleniała.

- Rozejrzyj się dookoła - ciągnęła April. - Czy widziałaś tu coś, co wygląda na

maszynę? Cokolwiek? Zostaliśmy porwani przez żywą bestię. Twierdzicie, że pod obręczą jest stwór. Szprycha jest cała wypełniona czymś żywym, ogromnym. Wy twierdzicie, że to jest tylko jakby powłoka, wyścielająca znajdującą się pod spodem konstrukcję.

- To, co mówisz, jest intrygujące.

- Więcej. To prawda.

- Jeśli ją przyjmę, nigdy nie znajdę sterowni w piasku.

- Ale będziesz tam, gdzie ona żyje. Siedzi niczym pająk i pociąga za sznurki jak aktor w teatrze kukielkowym. Obserwuje wszystkie swoje stworzenia i włada wami dwiema zupełnie tak samo jak włada mną. Manipulowała nami w imię swoich własnych celów.

- A jakież to cele?

April wzruszyła ramionami gestem tak ludzkim, że Cirocco nie mogła na nią patrzeć bez bólu.

- Nie powiedziałaś mi. Byłam tam, ale nie chciała mnie widzieć. Moi ludzie powiadają, że trzeba mieć wielką misję, by dostąpić posłuchania przez Gaję. Widocznie moja nie była dostatecznie wielka.

- A o co chciałaś ją zapytać?

April długo milczała. Cirocco zrozumiała, że tamta płacze. Podniosła głowę i ponownie na nie spojrzała.

- Zadajesz mi ból. Myślę, że nie będę dłużej ciągnąć tej rozmowy.

- Proszę, April. Proszę w imię naszej dawnej przyjaźni.

- Przyjaźni? Powiedziałaś: przyjaźni? Nie przypominam sobie. Pamiętam tylko siebie i August, a poza tym, dawno temu, również moje pozostałe siostry. Zawsze byłyśmy same. Teraz jestem sama, zupełnie sama.

- Tęsknisz za nimi?

- Tęskniłam - powiedziała głuchym głosem. - Dawno temu. Latam, ciągle latam szukając samotności. Samotność jest światem rodu Orłów. Wiem, że tak powinno być, ale zanim... dawniej, kiedy jeszcze tęskniłam za moimi siostrami...

Cirocco nie odezwała się nawet słówkiem, bojąc się ją spłoszyć.

- Łączymy się w grupy tylko raz - powiedziała ze spokojnym westchnieniem. - Kiedy Gaja dyszy, po zimie, wtedy wywiewa nas ponad ląd...

- Tego dnia leciałam z wiatrem. Dzień był piękny. Zabiliśmy wtedy wielu, ponieważ moi ludzie posłuchali mnie i wsiedli na wielkiego balonowa. Czworonogi były zaskoczone, ponieważ tchnienie przeminęło, zostało nas tylko kilku w salonowcu, zmęczonych i głodnych, a jednak ciągle zdolnych do wspólnych czynów.

- To był dzień wielkich pieśni. Moi ludzie podążali za mną - za mną! - robili, co im kazałam i w głębi serca wiedziałam, że wkrótce zetrzemy czworonogi z powierzchni Gai. Była to zaledwie pierwsza utarczka w nowej wojnie.

- I wtedy ujrzałam August i straciłam zmysły. Chciałam ją zabić, chciałam od niej uciec, chciałam ją objąć i razem z nią zapłakać.

- Uciekłam.

- Teraz drzę na myśl o tchnieniu Gai, ponieważ pewnego dnia znowu zanieś mnie na dół i wtedy zabiję moją siostrę i sama umrę. Jestem Szybkim Arielem, ale zbyt wiele jest jeszcze we mnie April Polo, bym mogła żyć z czymś takim.

Cirocco była poruszona, ale równocześnie opowiadanie ją podnieciło. April mówiła tak, jakby była kimś znacznym w społeczności aniołów. Na pewno miała wśród nich posłuch.

- Tak się składa, że weszłam tutaj, żeby doprowadzić do pokoju - powiedziała. - Nie odchodź! Proszę, nie odchodź!

April zadygotała, ale nie oddaliła się.

- Pokój jest niemożliwy.

- Nie mogę w to uwierzyć. Serca Tytanii toczy ta sama choroba.

April potrząsnęła głową.

- Czy jagnię wdaje się w układy z lwem? Nietoperz z owadem, ptak z robakiem?

- Mówisz o prześladowcy i ofierze.

- O naturalnych wrogach. To jest zakodowane w naszych genach: zabijanie

czworonogów. Mogę... jako April mogę zrozumieć, o czym myślisz. Pokój powinien być możliwy. Przelatujemy ogromne odległości tylko po to, by nawiązać walkę. Wielu z nas nie wraca. Wędrówka w górę jest czasem za trudna i spadamy wtedy do morza.

Cirocco potrząsnęła głową.

- Po prostu sądziłam, że gdybym mogła doprowadzić do spotkania przedstawicieli obu stron...

- Mówię ci, że to niemożliwe. Jesteśmy Orłami. Nie jesteś nawet w stanie zmusić nas do działania w grupie, a cóż dopiero mówić o spotkaniu z czworonogami. Są i inne rody, niektóre bardziej towarzyskie, ale one nie zamieszkują wewnątrz tej szprychy.

Może z nimi mogłoby ci się poszczęścić, chociaż wątpię w to.

Przez chwilę cała trójka milczała. Girocco czuła ciężar porażki. Gaby położyła dłoń na jej ramieniu.

- Jak sądzisz? Mówi prawdę?

- Niestety, podejrzewam, że tak. Wygląda to mniej więcej tak, jak przedstawił Mistrz

Śpiewu. Nie panują nad tym. - Podniosła głowę, zwracając się do April: - Powiedziałaś, że próbowałaś stanąć przed obliczem Gai. Dlaczego?

- W sprawie pokoju. Chciałam ją spytać, dlaczego musimy toczyć wojnę. Jestem

całkiem szczęśliwa, ale to jedno mnie dręczy. Nie usłyszała mego wezwania.

Może dlatego, że nie istnieje - pomyślała Cirocco.

- Czy nadal chcesz jej szukać? - spytała April.

- Nie wiem. Jaki to ma sens? Dlaczego ten jakiś nadczłowiek miałby przerwać wojnę tylko dlatego, że go o to poproszę?

- Są w życiu gorsze zajęcia niż dążenie do spełnienia misji. Gdybyś teraz zawróciła, czym byś się zajęła?

- Tego też nie wiem.

- Przebyłaś daleką drogę. Musiałaś przezwyciężyć wielkie trudności. Moi ludzie mówią, że Gaja lubi dobrą opowieść, lubi wielkich bohaterów. Czy jesteś bohaterem?

Pomyślała o Gene'em szybującym w ciemności, o Fletni Pana mknącym na zagładę, o polującej na nią rybie bagiennej. Na pewno bohater spisałby się lepiej.

- Jest bohaterem - powiedziała nagle Gaby. - Z nas wszystkich tylko Rocky twardo trzymała się obranego celu. Ciągle jeszcze siedzielibyśmy w szałasach z gliny, gdyby nas nie popchnęła. Utrzymywała nas w ruchu, wytyczyła nam cel. Może go nie osiągniemy, ale kiedy przyleci statek ratowniczy, na pewno nie zastanie nas siedzących z założonymi rękami.

Cirocco była zakłopotana, ale równocześnie dziwnie poruszona. Od samego początku, od momentu, kiedy zostali schwytani, walczyła z uczuciem porażki. Miło było usłyszeć, że ktoś uważa, iż postąpiła właściwie. Ale żeby od razu była bohaterem? Nie, skądże.

Robiła tylko to, co musiało być zrobione.

- Myślę, że wywrze to wrażenie na Gai - powiedziała April. - Idź do niej. Stań w środku i zawołaj. Nie żebrz ani się nie przypochlebiaj. Powiedz jej, że masz prawo do paru odpowiedzi ważnych dla nas wszystkich. Wysłucha cię.

- Chodź z nami, April.

Anielica zaczęła się wycofywać.

- Nazywam się Szybki Ariel. Z nikim nie idę i nikt nie pójdzie ze mną. Nigdy więcej was nie zobaczę. - Jeszcze raz dała nurka i Cirocco wiedziała, że tamta dotrzyma słowa.

Spojrzała na Gaby, która wywróciła oczy, lekko krzywiąc usta.

- W górę?

- A dlaczegoż by nie, u diabła? Rzeczywiście jest kilka spraw, o które chciałabym spytać.

Rozdział 23

- Wiesz, że nie jestem bohaterem.

- W porządku, jesteś bohaterką.

Cirocco roześmiała się. Leżały w łóżku ostatniego dnia ich czternastej zimy, w ósmym miesiącu pobytu we wnętrzu szprychy. Od piasty dzieliło je zaledwie około dziesięciu kilometrów. Mogły się tam już dawno dostać, gdyby nie spały, kiedy rozpoczęła się odwilż.

- Nie o to chodzi. Jeżeli jest tu jakaś bohaterka, to z pewnością jesteś nią ty.

Gaby potrząsnęła głową.

- Ja tylko pomagałam. Oczywiście, gdyby mnie nie było, byłoby ci znacznie trudniej.

Cirocco ścisnęła jej dłoń.

- Jednak i tak byłam tylko towarzyszem podróży. Pomogłam ci wygrzebać się z kilku trudnych sytuacji, ale przecież nie nadaję się na bohatera. Bohater nie próbowałby rzucić Gene'a w przepaść bez spadochronu. Myślę, że doszłabyś tu nawet sama. Mnie na pewno by się to nie udało.

Milczały, pogrążone w myślach.

Ciocco nie była pewna, czy to, co powiedziała Gaby, było prawdą. Z pewnością w części się zgadzało, chociaż nigdy by tego głośno nie przyznała. Gaby nie doprowadziłyby ich aż tutaj. Nie była przywódcą.

Ale czy ja nim jestem? - zastanawiała się. Naturalnie, bardzo się starała. Czy jednak dokonałaby tego sama? Miała poważne wątpliwości.

- Przyjemnie było, prawda? - spytała Gaby spokojnie.

Ciocco była naprawdę zaskoczona. Czy tak można nazwać ośmiomiesięczne zmagania?

- Nie wiem, czy to jest odpowiednie określenie.

- Chyba nie, masz rację. Ale wiesz, co mam na myśli.

Dziwne, ale wiedziała. Teraz zrozumiała depresję, która ją dręczyła w ciągu ostatnich tygodni. Wkrótce wędrówka dobiegnie kresu. Znajdą sposób powrotu na Ziemię albo przekonają się, że to niemożliwe.

- Nie chcę wracać na Ziemię - powiedziała Ciocco.

- Ani ja.

- Ale nie możemy też tak po prostu zawrócić.

- Ty wiesz najlepiej.

- Nie, po prostu jestem uparta. Naprawdę musimy iść dalej. Jestem to winna April i Gene'owi, a także całej reszcie załogi. Muszę się dowiedzieć, co z nami zrobiono i dlaczego.

- Wyciągnij te miecze, dobrze?

- Spodziewasz się kłopotów?

- Nie takich, które można rozwiązać mieczem. Po prostu lepiej się czuję z mieczem w ręku. Podobno jestem bohaterem, czyż nie?

Gaby nie sprzeczała się. Przykłęka, przeszukała dodatkowy plecak, wyciągnęła dwa krótkie miecze i rzuciła jeden z nich Cirocco.

Stały w pobliżu szczytu czegoś, co prawdopodobnie było ostatnią partią schodów.

Podobnie jak te, którymi wchodziły z dołu szprychy, również i te obiegały spiralą kabel.

Wynurzył się znowu u szczytu nagiej pochyłości, która wyznaczała granicę pomiędzy lasem i górnym zaworem szprychy. Wspinaczka tym stokiem zmusiła je do użycia haków, liny i szpikulca i zajęła im dwa ciężkie dni.

Ponieważ zużyły już cały olej do lampy, musiały pokonywać schody w zupełnej ciemności, stopień po stopniu. Droga upływała bez niespodzianek, dopóki Cirocco nie dostrzegła przed nimi słabego, czerwonego poblasku. Nagle odczuła potrzebę oręża w dłoni.

Była to dobra broń, choć klinga nie była zbyt długa. Na tej wysokości prawie nic nie ważyła. Zapaliła zapałkę i dotknęła postaci Tytanii wyrytej na boku klingi.

- Wyglądasz jak z obrazu Frazetty - powiedziała Gaby.

Spojrzała na siebie. Z ubrania zostały strzępy. Błada skóra przeświecała spod warstwy brudu. Straciła na wadze, a to, co z niej zostało, było twarde i żyłaste. Skóra na dłoniach i stopach była stwardniała i zgrubiała.

- A ja tak zawsze chciałam być jedną z tych dziewczyn Maxfielda Parisha. Chciałam być tak bardzo kobieca.

Zgasiła dopalającą się zapałkę i zapaliła następną. Gaby ciągle jej się przyglądała. Jej oczy połyskiwały, odbijając żółtawe światła. Cirocco nagle poczuła się bardzo dobrze.

Uśmiechnęła się, a potem spokojnie się zaśmiała i położyła dłoń na ramieniu Gaby.

Gaby oddała gest z półuśmiechem.

- Czy... czujesz teraz coś specjalnego? - Gaby pokazała mieczem w kierunku

wierzchołka schodów.

- Być może. - Znowu się zaśmiała, a potem wzruszyła ramionami. - Właściwie to nie jest nic specjalnego. Powinniśmy być ostrożne.

Gaby nie odezwała się. Wytarła rękę o biodro, zanim ujęła mocno w garść rękojeść miecza. Potem i ona zawtórowała śmiechem.

- Nie wiem, jak się z tym obchodzić.

- Po prostu rób tak, jakbyś wiedziała. Kiedy dojdziemy do końca schodów, zostaw wszystkie graty.

- Jesteś pewna?

- Nie potrzebuję dodatkowego obciążenia.

- Piasta jest duża, Rocky. Może trochę potrwać, zanim ją przeszukamy.

- Mam przeczucie, że to nie potrwa długo, że to nie zajmie nam dużo czasu.

Wyrzuciła drugą zapałkę. Poczekwały, aż wzrok przystosuje się do ciemności i dopiero wtedy ponownie ujrzały czerwony blask u góry. Potem ramię w ramię przebyły ostatnie sto stopni.

Wkroczyły w pulsującą czerwoną noc.

Jedynе światło dochodziło z prostej niczym promień lasera linii ponad nimi. Sufit był pogrążony w mroku. Po lewej stronie wyrastał kabel: czarny cień w jeszcze ciemniejszym powietrzu.

Ściany, podłoga i samo powietrze wibrowały w rytmie powolnych uderzeń serca. Od strony niewidocznego wejścia do szprychy ponad Okeanosem wiał lekki, chłodny wiatr.

- Trudno będzie to przeszukać - szepnęła Gaby. - Widzę tylko jakieś dwadzieścia metrów posadzki wokół siebie.

Ciocco milczała. Potrząsnęła głową, próbując zwalczyć dziwne, ciężkie uczucie, które

na nią spłynęło, a potem musiała jeszcze pokonać nagły atak zawrotów głowy.

Koniecznie chciała usiąść, chciała zawrócić. Bała się, ale jakoś oparła się temu uczuciu.

Podniosła miecz i ujrzała, że błyszczą niczym kałuża krwi. Postąpiła krok do przodu,

a potem następny. Gaby dotrzymywała jej kroku i razem wstąpiły w mrok.

Bolały ją zęby. Poczuła, że z całych sił je zaciska, napinając mięśnie szczęki aż do

bólu. Zatrzymała się i zawołała:

- Tutaj jestem!

Po kilku sekundach słowa powróciły echem, a potem całą serią gasnących odbić.

Podniosła miecz nad głowę i zawołała ponownie:

- Tutaj jestem! Jestem kapitan Cirocco Jones, dowódca statku kosmicznego

dalekiego zasięgu „Ringmaster”, działającego na zlecenie Stanów Zjednoczonych

Ameryki, NASA i Narodów Zjednoczonych Ziemi. Chcę z tobą mówić!

Wydawało się, że minęły całe wieki, zanim echo zamarło w oddali. Kiedy umilkło,

znowu słyhać było tylko bicie ogromnego serca. Stały plecami do siebie, z mieczami

gotowymi do ciosu i wbijały oczy w ciemność.

Cirocco poczuła, jak wzbiera w niej fala gniewu, wypierając ostatnie ślady strachu.

Potrząsnęła mieczem i wrzasnęła w noc, a łzy ściekały po jej policzkach.

- Żądam widzenia z tobą! Wraz z moją przyjaciółką pokonałyśmy wiele trudności, by
stać przed tobą. Ziemia wypluła naszą czwórkę na ten świat, gołą jak po narodzeniu.

Pokonałyśmy wiele przeszkód, żeby dotrzeć na szczyt. Byłyśmy okrutnie traktowane,

miotane kapryсами, których nie rozumiałyśmy. Sięgnęłaś po nasze dusze, próbowałaś

odebrać nam godność, a jednak nie dałyśmy się złamać. Wzywam cię! Ukaż się

i odpowiedz! Odpowiedz za to, co zrobiłaś, albo poświęcę resztę swojego życia, żeby cię

całkowicie zniszczyć. Nie boję się ciebie! Jestem gotowa walczyć!

Nie miała pojęcia, od jak dawna Gaby szarpie ją za rękaw. Spojrzała w dół, z trudnością dostosowując wzrok. Gaby była przestraszona, ale stała wiernie u jej boku.

- Może - powiedziała nieśmiało. - No, może ona nie mówi po angielsku.

Cirocco wyśpiewała więc swoje wyzwanie jeszcze raz, tym razem w języku Tytanii.

Użyła deklamacyjnego, górnolotnego stylu, przeznaczonego dla snucia opowieści.

Solidne, ciemne ściany odbijały jej pieśń, aż cała czarna piasta rozbrzmiała echem.

Podłoga zatrzęsa się.

- Jaaa...

To była jedna głoska, jedno angielskie słowo, które rozległo się jak grzmot.

- Pooosłuuuchaaj...

Cirocco padła na czworaki, popatrując tępo na Gaby trzymającą się podłogi obok niej.

- Tyyyyy. Słowo odbijało się echem przez wiele minut, stopniowo przechodząc w odległy basowy pomruk gasnącej syreny alarmowej. Podłoga przestała się trząść i Girocco uniosła głowę.

Oślepiło ją intensywne białe światło.

Przysłaniając oczy ramieniem, spojrzała z ukosa w stronę światła. Na jednej ze ścian rozsunęła się jakby kurtyna, pokrywająca całą pięciokilometrową przestrzeń między sufitem i posadzką. Za nią ukazały się kryształowe schody. Rzuciły ostre błyski, wznosząc się w świetle tak silnym, że Girocco musiała odwrócić wzrok.

Gaby znowu ścisnęła jej rękę.

- Wynośmy się stąd - wyszeptała nagle.

- Nie. Przyszłam z nią mówić.

Zmusiła się, by położyć dłonie płasko na podłodze i uniosła się w górę. Nie miała trudności z wstaniem, ale utrzymanie się na nogach było już inną sprawą. Najchętniej

zrobiłaby to, do czego namawiała ją Gaby. Poprzednia brawura wydawała jej się teraz efektem chwilowego zamroczenia.

Ruszyła w stronę światła.

Otwór miał dwieście metrów szerokości. Z obu stron strzegły go dwie kryształowe kolumny, które musiały być górnym zakończeniem podtrzymujących kabli. Podnosząc głowę, Cirocco zobaczyła, że rozplatają się na poszczególne pasma, z których każde z osobna tworzyło skomplikowany wzór, a później łączyło się z rodzajem plecionki pokrywającej odległą powałę. Tu właśnie znajdowało się owo niewiarygodnie potężne spoiwo, które utrzymywało cały świat Gai.

Zmarszczyła brwi. Jedno z włókien było zerwane. Kiedy przyjrzała się bliżej, stwierdziła, że cały strop wyglądał jak sweter, którym bawił się figlarny kotek: był pełen węzełków i mocno postrzępiony.

Ten widok jakoś ją pokrzepił. Bez względu na to, jak potężna była Gaja, nie były to jej najlepsze dni.

Doszły do dolnej platformy schodów i zaczęły wchodzić. Schody wydawały niski organowy dźwięk, który w miarę jak szły, stawał się coraz bardziej przeciągły. Wzniósł się o pół tonu na siódmym stopniu i ponownie przy trzynastym. Powoli wznosiły się na chromatycznej skali, a kiedy doszły do końca oktawy, wmieszały się dźwięki harmonijek.

Bez żadnego ostrzeżenia po obu stronach wybuchły pomarańczowe płomienie.

Kobiety dosłownie podskoczyły na dwa metry w górę i szybowały przez chwilę w warunkach słabego ciężenia.

W końcu Cirocco poczuła nawrót poprzedniej złości. Gaja była przerażająca, ale przyprawiający o drżenie nóg i szczękanie zębów pokaz surowej siły, który powaliłby nawet najdzielniejszego, na Cirocco wywarł dokładnie odwrotny wpływ. Bogini czy nie

bogini, wszystko jedno. To, co tu pokazywała, było tanim chwytem, obliczonym na granie na i tak przeciążonych nerwach. Było to równie tandetne jak modne bręczyki na rękę.

- P.T. Barnum miałby za nic tę dziewczynę - powiedziała Gaby i Cirocco ją za to kochała. Zgrywa, tym właśnie był ten pokaz. Jakie bóstwo mogło potrzebować taniego efekciarstwa?

Płomienie przygasły, a potem wybuchły ze wzmożoną siłą, liżąc sufit i tworząc żółto-pomarańczowy tunel. Nie zatrzymało ich to.

Przed nimi pojawiły się olbrzymie wrota z miedzi i złota. Otworzyły się bezgłośnie, a potem zatrzasnęły za nimi.

Muzyka narastała szalonym crescendo, kiedy zbliżały się do okolonego światłami wielkiego tronu. Kiedy doszły do szerokiego, marmurowego podestu na szczycie schodów, nie były już w stanie spojrzeć w stronę tronu. Żar był zbyt silny.

- Mów!

Kiedy zostało wypowiedziane to słowo - tym samym głębokim tonem, który słyszały na zewnątrz, ale jednocześnie jakoś bardziej ludzkim - światło zaczęło przygasać. Cirocco zerknęła z ukosa i dostrzegła skąpaną w świetle, ogromną ludzką sylwetkę.

- Mów albo wracaj tam, skąd przyszłaś.

Cirocco zmrużyła oczy i dostrzegła okrągłą głowę osadzoną na grubym karku, oczym niczym płonące węgle i grube usta. Gaja miała cztery metry wysokości; stała wyprostowana przed tronem na dwumetrowym cokole. Miała obłe ciało z olbrzymim brzuchem, ogromnymi piersiami, ramionami i nogami, które mogłoby przerazić zawodowego zapaśnika. Jej nagie ciało miało kolor zielonych oliwek.

Po chwili gwałtownie zmieniła kształt i stała się trawiastym, ukwieconym wzgórzem. Nogi Gai przemieniły się w pnie drzew, a stopy mocno zapuściły korzenie w ciemnej

ziemi. Otaczały ją małe zwierzęta: wokół jej głowy krążyły latające stworzenia. Popatrzyła prosto na Cirocco, a jej olbrzymie czoło zaczęło się chmurzyć.

- Ee... to znaczy, będę mówić, zaraz będę mówić. - Otworzyła usta, żeby to uczynić, dziwiąc się, gdzie się podział jej słuszny gniew i spojrzała na Gaby. Tamta drżała i wpatrywała się w Gaję błyszczącymi oczami.

- Byłam tu - wyszeptała. - Byłam tu.

- Cicho - syknęła Cirocco, dając jej łokciem kuksańca. Pomówimy o tym później. -

Otarła pot z czoła i znowu spojrzała w oblicze Gai.

- O, Wielka... - Nie! April powiedziała: nie płaszcz się. Powiedziała, że lubi bohaterów. Obyś miała rację, obyś miała rację, April.

- Przybyliśmy... eee... Ja i sześciu ludzi przybyliśmy z... przybyliśmy z planety Ziemia, jakies... Właściwie nie wiem jak dawno... - Urwała, wiedząc, że nigdy nie wydobędzie tego z siebie po angielsku. Zaczepnęła tchu, wyprostowała się i zaczęła śpiewać:

- Przybyliśmy w pokoju, nie wiem, jak dawno temu. Jesteśmy małą załogą i nie stanowimy dla ciebie żadnego zagrożenia. Byliśmy nieuzbrojeni. A jednak zaatakowano nas. Nasz statek został zniszczony, zanim w ogóle mogliśmy wyjaśnić nasze intencje. Zostaliśmy uwięzieni wbrew naszej woli, w warunkach szkodliwych dla naszych umysłów, niezdolni do porozumienia się ze sobą i z naszymi towarzyszami na Ziemi. Wprowadzono w nas zmiany. Jeden z członków mojej załogi w wyniku takiego traktowania postradał zmysły. Inny, kiedy się z nim rozstawałam, był na granicy obłądu. Trzeci nie pragnie już towarzystwa swoich ludzkich pobratymców, a czwarty stracił większą część swojej pamięci. Jedna z nas została zmieniona nie do poznania i nie zna już swojej siostry, którą wcześniej kochała.

- Wszystkie te rzeczy są dla nas potworne. Czuję, że wyrządzono nam krzywdę i należy się nam wyjaśnienie. Zostaliśmy potraktowani źle i domagamy się sprawiedliwości.

Trochę się odprężyła, zadowolona, że wreszcie wyrzuciła z siebie to wszystko. To, co stało się dalej, toczyło się już własnym biegiem. Przestała się oszukiwać - nie mogła z tym czymś walczyć.

Mars na czole Gai pogłębił się.

- Nie jestem sygnatariuszem Porozumień Genewskich.

Cirocco otworzyła usta ze zdumienia. Nie wiedziała, czego się spodziewać, ale na pewno nie tego.

- Kim więc jesteś - powiedziała Girocco, zanim zdążyła się zastanowić.

- Jestem Gaja, wielka i mądra. Jestem światem, jestem prawdą, jestem prawem, jestem...

- Jesteś więc całą planetą? April mówiła prawdę?

Może to nie było zbyt mądre przerywać Bogini, ale Girocco czuła się jak Oliwer Twist domagający się kolejnej porcji owsianki. Musiała jakoś to zwalczyć.

- Jeszcze nie skończyłam - zagrzmiała Gaja. - Ale tak, jestem. Jestem Matką Ziemią, chociaż nie z waszej Ziemi. Całe życie pochodzi ze mnie. Jestem panteonem sięgającym gwiazd. Nazywaj mnie Tytanem.

- A więc to ty...

- Dość. Wysłuchuję tylko bohaterów. Mówiłaś o wielkich czynach, kiedy śpiewałaś swoją pieśń. Mów o nich teraz albo opuść mnie na zawsze. Zaśpiewaj mi o swoich przygodach.

- Ale ja...

- Spiewaj! - huknęła Gaja.

Zaśpiewała. Historia zajęła jej kilka godzin, bo chociaż Cirocco chciała ją jakoś skrócić, Gaja żądała szczegółów. Cirocco zaczęła się rozpalać opowieścią. Język Tytanii doskonale się do tego nadawał, dopóki używała stylu deklamacyjnego, nie sposób było wyśpiewać niezgrabnych fraz. Kiedy skończyła, ogarnęła ją duma i poczuła się odrobinę raźniej.

Gaja sprawiała wrażenie, że się nad tym zastanawia. Cirocco kręciła się nerwowo.

Bolały ją nogi, co - jak pomyślała - dowodziło, że można ją znudzić byle czym.

Wreszcie Gaja odezwała się ponownie.

- To była dobra opowieść - powiedziała. - Nie słyszałam takiej od wielu lat. Jesteś prawdziwym bohaterem. Pomówię z wami w moich komnatach.

To powiedziawszy, zniknęła. Tylko płomień pełgał jeszcze przez kilka minut, a potem i on zgasł.

Rozejrzały się dookoła. Były w dużej sali nakrytej kopułą. Schody poza nimi, teraz nieoświetlone, prowadziły do pograżonego w mroku wnętrza piasty. Wzdłuż schodów biegły skorodowane dysze, dymiąc nierówno i wydając ostre, dźwięczne odgłosy stygnącego metalu. W powietrzu wisiał zapach spalonej gumy.

Marmurowa posadzka była popękana i odbarwiona, pokrywała ją warstwa pyłu, na której wyraźnie widać było odciski ich stóp. Całe to miejsce wyglądało na podniszczony gmach operowy w chwili, kiedy zapalają się światła i pryska iluzja.

- Widziałam tu już kilka wariackich rzeczy - powiedziała Gaby - ale to przebija wszystko. Dokąd teraz idziemy?

Cirocco milcząco wskazała małe drzwi w ścianie po lewej. Były niedomknięte, a przez szparę płynęło światło. Otworzyła je, rozejrzała się z narastającym uczuciem, że

otoczenie jest jej znajome, a później weszła do środka.

Wkroczyły do wielkiej sali z sufitem zawieszonym cztery metry nad posadzką z mlecznych, szklanych prostokątów. Z dołu przeświecało światło. Ściany były wyłożone beżowym, lakierowanym drewnem, na którym wisiały oprawne w złote ramy obrazy. Umeblowanie było w stylu Ludwika XVI.

- Deja vu, co? - powiedział głos z końca sali. Była to niewysoka, przysadzista kobieta w bezkształtnej, workowatej sukni. Przypominała Gaję, jak rzeźbiony kawałek mydła przypomina „Pietę” Michała Anioła.

- Siadajcie, siadajcie - powiedziała jowialnie. - Tutaj nie musimy odstawiać ceremonii. Widziałyście kawał kolorowego cyrku, a teraz czas na gorzką rzeczywistość. Czy mogę was poczęstować czymś do picia?

Rozdział 24

Ciocco zrezygnowała z formułowania sądów.

- Wiesz co? - spytała, czując coś odrobinę silniejszego niż zawrót głowy. - Gdyby ktoś mi teraz powiedział, że „Ringmaster” nigdy nie opuścił orbity okołoziemskiej i że wszystko to zostało zainscenizowane w Hollywood, nie wiem, czy ryzykowałabym zakład.

- Absolutnie naturalna reakcja - uspokoiła ją Gaja.

Wędrowała po pokoju, nalewając kieliszek wina dla Gaby i podwójną szkocką z lodem dla Ciocco, poprawiając obrazy i ścierając kurz ze stołów wystrzępionym brzegiem spódnicy.

Gaja była niska i pękata niczym baryłeczka. Skórę miała zniszczoną i zbrązowiałą, a nos jak kartofel. Do tego zmarszczki w kącikach oczu, zdradzające skłonność do śmiechu, i wrażliwe usta.

Ciocco próbowała umiejscowić tę twarz, starając się zatrudnić szare komórki i jednocześnie nie snuć żadnych teorii. W.C. Fields? Nie, tylko nos pasował do tej roli.

Wreszcie wpadła na to: Gaja mocno przypominała Charlesa Laughtona w filmie „Prywatne życie Henryka VIII”.

Gaby i Ciocco siedziały na przeciwnych końcach lekko podniszczonej kanapy. Gaja postawiła szklanki na stoliku i przeszła przez pokój, by zapaść w fotel z wysokim oparciem. Zasapała i splotła dłonie na brzuchu.

- Pytajcie - powiedziała, pochylając się do przodu w geście zachęty i oczekiwania.

Ciocco i Gaby spojrzwały po sobie, a potem wróciły spojrzeniem do Gai. Zapadła krótka cisza.

- Mówisz po angielsku - powiedziała Ciocco.

- To nie jest pytanie.

- Dlaczego mówisz po angielsku? Gdzie się nauczyłaś?

- Oglądam telewizję.

Ciocco wiedziała, o co chce jeszcze spytać, ale nie wiedziała, czy powinna. Można było założyć, że to stworzenie jest ostatnim potomkiem budowniczych Gai. Nie znajdowała żadnego dowodu na to, że Gaja rzeczywiście była jednym organizmem, jak twierdziła April, ale było możliwe, że ta osoba sądziła, że była Boginią.

- Może byś wyjaśniła cały ten pokaz...? - spytała Gaby.

Gaja zbyła to machnięciem ręki.

- Sztuczka z lustrami, moja droga. Zwyczajne sztuczki kuglarskie. - Popatrzyła na swoje ręce splecione na brzuchu, a potem zrobiła zakłopotaną minę. - Chciałam was odstraszyć, o ile nie byłybyście materiałem na prawdziwego bohatera. Włożyłam w to cały mój talent. A potem pomyślałam, że na tym etapie łatwiej nam będzie rozmawiać

tutaj. - Wygodne otoczenie, jedzenie i picie - chciałybyście coś zjeść? Kawa? Kokaina?

- Nie, wolałabym... Powiedziałaś...

- Powiedziałaś: kawa?

- ...kokaina?

Ciocco świerzył nos, ale od chwili, gdy dotarły do piasty, nie czuła się bardziej rozluźniona i mniej zalękniona. Usadowiła się wygodnie na kanapie i spojrzała w oczy stworzenia, które nazywało się Gają.

- Lustra, powiadasz. A więc kim jesteś naprawdę?

Gaja uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

- Do rzeczy, co? Dobrze. Lubię bezpośredniość. - Oblizła usta i zastanawiała się chwilę nad odpowiedzią.

- Chcesz powiedzieć: co to jest, czy też: kim jestem? Złożyła ręce powyżej swoich wielkich piersi, nie czekając na odpowiedź. - Jestem trzema rodzajami życia. Jest więc samo moje ciało, które jest otoczeniem, przez które wędrowałyście. Są moje twory, takie jak na przykład Tytanie, które do mnie należą, chociaż ich nie kontroluję. Są wreszcie moje narzędzia, oddzielne, ale stanowiące część mnie. Dysponuję pewną siłą umysłu, która pomogła mi stworzyć również iluzje, które miałyście okazję podziwiać. Możecie to nazwać hipnozą lub telepatią, chociaż w istocie nie jest ani jednym, ani drugim.

- Mogę tworzyć istoty będące projekcją mojej woli. Ta ma osiemdziesiąt lat i jest jedyna w swoim rodzaju. Ale mam też i inne. Zbudowały ten pokój i schody na zewnątrz, w większej części według planów, które ściągnęłam z filmów. Jestem wielką miłośniczką kina i dlatego rozumiem cię...

- Tak, ale wracając...

- Wiem, wiem - uspokajała ją Gaja. - Odbiegam od tematu. To piekielnie uciążliwe,

ale muszę z tobą mówić w ten sposób. Kiedy przedtem powiedziałam: „słyszę cię”... Cóż, użyłam górnego zaworu nad Okeanosem w roli krtani, wypychając powietrze ze szprychy. Diabło to zmienia pogodę: to trzy słowa zasłały śniegiem cały Hyperion.

- Pokazując wam to ciało, sprawiam, że jesteś skłonna wierzyć w coś zupełnie innego.

Że mianowicie jestem zwariowaną samotną staruchą.

Popatrzyła z ukosa na Cirocco.

- Ciągłe podejrzewasz, że tak to właśnie jest, prawda?

- Ja... ja nie wiem, co sądzić. Nawet jeśli ci uwierzę, nadal nie wiem, kim jesteś.

- Jestem Tytanem. Chcesz wiedzieć, kim jest Tytan? - Oparła się w fotelu, a jej wzrok zaczął błędzić gdzieś daleko.

- To, czym rzeczywiście jestem, ginie w mroku przeszłości. Jesteśmy starzy, to wiem na pewno. Jesteśmy rezultatem nie ewolucji, a świadomych zabiegów konstruktorskich.

Żyjemy po 3 miliony lat i istniejemy od ponad tysiąca generacji. W tym czasie ulegaliśmy zmianom, chociaż nie na drodze procesów ewolucyjnych w waszym rozumieniu.

- Większa część naszej historii uległa zapomnieniu. Nie znamy rasy, która nas zbudowała, nie znamy również celu, jaki temu dziełu przyświecał. Wystarczy powiedzieć, że nasi twórcy byli dobrymi budowniczymi. Odeszli, ale my pozostaliśmy. Być może ich spadkobiercy nadal żyją we mnie, jednak jeśli tak jest, zapomnieli o swojej dawniejszej wielkości. Słucham przekazów moich sióstr rozproszonych po całej galaktyce, ale żadna z nich nie mówi nic o budowniczych.

Przymknęła na chwilę oczy, a potem znowu otworzyła je w oczekiwaniu.

- W porządku - powiedziała Cirocco. - Pominęłaś masę szczegółów. Jak się tu dostałaś? Dlaczego tylko ty? Słuchasz radia. Czy również nadajesz? Jeżeli tak, to dlaczego

dotychczas nie nawiązałaś kontaktu z Ziemią? Jeżeli...

Gaja podniosła rękę i zaśmiała się.

- Nie wszystko na raz, proszę. Czynisz masę założeń. Co każe ci sądzić, że jestem gościem? Urodziłam się w tym systemie tak samo jak ty. Moim domem jest Rea. Na Japetusie moja córka właśnie osiąga wiek dojrzałości. Jest też rodzina Tytanów obiegających Uran. Tworzą niewidzialne kręgi. Wszyscy są mniejsi ode mnie; ja jestem największym Tytanem w okolicy.

- Japetus? - powiedziała Gaby. - Jednym z powodów, dla których...

- Spokojnie, wyjaśnię to zaraz, oszczędzając ci trudu. Nic możemy odbywać podróży międzygwiazdnych. W ogóle nie możemy się poruszać, jeżeli nie liczyć drobnych korekt orbity.

- Uwalniam jaja z pierścienia, gdy mają już znaczną prędkość spowodowaną moim obrotem. Mierzę, jak mogę najlepiej, ale na tę odległość prawdopodobieństwo trafienia jest wysoce problematyczne, jaja bowiem - raz wyrzucone - nie dają się sterować.

- Kiedy upadną w odpowiednim świetle - a Japetus jest doskonały: brak powietrza, skalisty grunt, masa światła słonecznego, niezbyt duży, ale i nie za mały - zakorzeniają się. Po 50.000 lat następują urodziny małego Tytana. Na tym etapie moja córka pokryła całą półkulę. Dlatego właśnie przed 75 laty Japetus wyglądał inaczej: jedna strona była znacznie jaśniejsza od drugiej.

- Potem młody Tytan kurczy się tak, że w końcu tworzy grubą obręcz, okalającą świat od bieguna do bieguna. Tak właśnie stało się z Japetusem. Moja córka sięgnęła głęboko. Sięgnęła do samego jądra, by znaleźć potrzebne do życia elementy. Obawiam się, że Japetus jest już zdrowo splądrowany. Moja babka, a jej matka przedtem też korzystały z tego samego księżyca.

- Moja córka prowadzi syntezę paliwa, którego potrzebuje, by uwolnić się od Japetusa. Powinno to nastąpić za 5-6 lat. Kiedy będzie gotowa - i ani dnia wcześniej, ponieważ raz zrodzona, obejmie całą masę, jaką będzie mogła mieć kiedykolwiek - wystrzeli się w kosmos. Jest wielce prawdopodobne, że w trakcie tej operacji Japetus rozpadnie się, podobnie jak inny księżyc, który kiedyś utworzył pierścienie. Potem...

- Chcesz powiedzieć, że Tytani są sprawcami powstania pierścieni? - spytała Gaby.

- Czyżbym tego właśnie nie powiedziała? - Gaja sprawiała wrażenie odrobinę zniecierpliwionej, ale opowiadanie najwyraźniej ją wciągnęło.

- To było dawno temu i nie ponoszę za to żadnej odpowiedzialności. W każdym razie, moja córka po uwolnieniu przestanie się kręcić w dotychczasowym rytmie i zacznie wirować tak jak ja. Ta jej część, która przekształci się w piastę, obecnie styka się z powierzchnią Japetusa. W przestrzeni kosmicznej skurczy się i wykształci szprychy. Będzie wirować coraz szybciej, stabilizując się, wypełniając powietrzem, zaczynając wypiętrzać góry i przygotowując powstanie stworzeń, które... No cóż, widziałyście ten obraz. Odbiegam od tematu, jak wszyscy rodzice opowiadający o swoich dzieciach...

- Nie, nie, to fascynujące - powiedziała Cirocco. - Twoja córka będzie zawierała w sobie Tytanie i anioły, a także miękkołoty?

Gaja zachichotała.

- Podejrzewam, że Tytanii akurat nie. Jeżeli jej się spodoba, może je sama wymyślić, podobnie jak zrobiłam to ja.

Cirocco potrząsnęła głową.

- Nie nadążam.

- To proste. Większość gatunków pochodzi od stworzeń, którym Tytani zapewnili

przetrwanie wtedy, gdy ich stworzono. Każde jajo, jakie wydają, zawiera zarodki milionów gatunków, takich jak na przykład elektroniczne rośliny. Nie sądzę, żeby moi budowniczości przywiązywali wielką wagę do maszyn. Hodowali wszystko, co im było potrzebne: od odzieży, przez domy, aż do obwodów elektronicznych.

- Tytanie i anioły są całkowicie różne. Zastanawialiście się pewnie - zanim do tego nie przywykliście - jak to możliwe, że tak bardzo przypominają człowieka. Odpowiedź jest prosta: ukształtowałam ich na podobieństwo ludzi. Z Tytaniem sprawa była prosta, ale z aniołami... urwanie głowy! Wasi bazarze byli mało praktyczni. Trzeba było olbrzymiej rozpiętości skrzydeł, żeby mogły się unieść z ziemi, nawet przy moim słabym przyciąganiu i wysokim ciśnieniu powietrza. Przyznaję, nie bardzo przypominają biblijny pierwowzór, ale funkcjonują! Podstawowy problem polegał na...

- Stworzyłaś ich sama - powiedziała Cirocco. - Wszystko, od samego początku.

- Czyż właśnie tego nie powiedziałam? Zaprojektowałam DNA. To dla mnie równie łatwe jak dla was ulepienie modelu z gliny.

- Zaprojektowałaś więc wszystko. Podstawowe pomysły ściągnęłaś z radia, co oznacza, że nie mogą to być zbyt stare kultury. Według twoich standardów, nadajemy transmisje radiowe od całkiem niedawna.

- Dla Tytanii to mniej niż sto lat. Anioły są jeszcze młodsze.

- A więc... a więc jesteś Bogiem. Nie chcę się wdawać w teologiczne rozważania, ale myślę, że wiesz, co mam na myśli.

- Biorąc pod uwagę wszystkie praktyczne konsekwencje, to w moim małym zakątku wszechświata... tak, jestem Bogiem. - Złożyła dłonie na piersi i zrobiła zadowoloną z siebie minę.

Cirocco spojrzała tęsknie w stronę drzwi. Jakie to byłoby miłe wyjść przez nie

i zapomnieć o wszystkim, co się wydarzyło.

Jakie to może mieć znaczenie, czy ta istota jest rzeczywiście szalonym niedobitkiem rasy budowniczych? - zastanawiała się Cirocco. Miała kontrolę nad światem zwanym Gają. Nie sprawiało różnicy czy w istocie była z nim tożsama. Tak czy inaczej, była na nim najwyższą władzą.

Dziwne było to, że Cirocco zaczynała ją nawet chwilami lubić. Przypomniła sobie jednak, jaki był główny powód jej przybycia do piasty.

- Chciałabym cię spytać o dwie rzeczy - powiedziała Cirocco głosem możliwie twardym.

Gaja wyprostowała się czujnie w fotelu.

- Proszę, pytaj. Tak się składa, że ja również pragnę cię spytać o dwie rzeczy.

- Ja... ty? Mnie spytać? - Pomysł całkowicie ją zaskoczył. Cirocco była dostatecznie zdenerwowana myślą o poruszaniu sprawy „Ringmastera”. Wiedziała, że i ona i jej załoga zostali skrzywdzeni, ale jak to powiedzieć boskiej istocie? Zapragnęła odnaleźć teraz w sobie choćby jedną tysięczną tej brawury, która pozwoliła jej stanąć w piaście i miotać przekleństwa w ciemność.

- Co ja mogłabym dla ciebie zrobić?

Gaja uśmiechnęła się.

- Będziesz zaskoczona.

Cirocco rzuciła okiem na Gaby, która szerzej otwarła oczy i tajemniczo skrzyżowała palce.

- Pierwsze pytanie... no tak, pierwsze dotyczy Tytanii. - Cholera, to miało być drugie pytanie. Nie zaszkodziło jednak zbadać grunt.

- Tytania zwana Mistrzem Śpiewu... - wyśpiewała jego imię, a potem podjęła dalej: -

Prosił mnie, żebym... jeżeli kiedykolwiek dotrę aż przed twoje oblicze, żebym cię spytała, dlaczego musi trwać wojna.

Gaja zmarszczyła brwi: była raczej zmieszana niż zła.

- Na pewno sama do tego doszłaś.

- No cóż, tak, w istocie. Mają zakodowaną agresję w stosunku do aniołów. Jest to działanie instynktowne i to samo dotyczy aniołów.

- Dokładnie tak.

- A ponieważ to ty je stworzyłaś, musiałaś mieć powód...

Gaja wyglądała na zaskoczoną.

- No cóż, oczywiście. Chciałam tej wojny. Nigdy nie słyszałam o wojnach, zanim nie zaczęłam oglądać waszych programów telewizyjnych. Wydawało się, że ludzie namiętnie je kochają, tocząc je co kilka lat, więc pomyślałam, że i ja muszę spróbować.

Ciocco przez dłuższą chwilę nie wiedziała, co powiedzieć. Złapała się na tym, że siedzi z otwartymi ustami.

- Mówisz poważnie, prawda?

- Najzupełniej.

- Nie wiem, co o tym sądzić.

Gaja westchnęła.

- Chciałabym, żebyś się mnie nie obawiała. Zapewniam cię, że z mojej strony nic ci nie grozi. Gaby przechyliła się do przodu.

- Skąd możemy wiedzieć? Ty... - Przerwała i rzuciła Ciocco spojrzenie.

- To ja zniszczyłam twój statek. Na pewno o to również chciałaś spytać. Nie wiesz jeszcze wielu rzeczy. Chcesz może jeszcze trochę kawy?

- Nie teraz, dziękuję - powiedziała pospiesznie Ciocco. - Gaja albo wasza

świętobliwość, czy jakkolwiek mam cię nazywać...

- Może być Gaja.

- ...nie kochamy się w wojnach. Ja jej nie lubię i nie sędzę, by kochał ją ktokolwiek przy zdrowych zmysłach. Na pewno musiałaś oglądać również filmy antywojenne.

Zmarszczyła brwi i przygryzła palce.

- Oczywiście, oglądałam. Było ich o wiele mniej, ale pomimo tego były niezwykle popularne. Były bardziej krwawe niż większość filmów wojennych. Powiadasz, że nie lubicie wojny, dlaczego więc tak was ona fascynuje?

- Nie znam odpowiedzi. Wiem tylko, że nienawidzę wojny i że również Tytanie jej nienawidzą. Chętnie by ją przerwały. O to właśnie przyszłam cię spytać.

- Bez wojny? - Gaja zerknęła na Cirocco podejrzliwie.

- Bez.

- Ani odrobinki, choćby utarczki od czasu do czasu?

- Ani trochę.

Gaja opuściła ręce, a później z głębokim westchnieniem uniosła ramiona.

- Bardzo dobrze - powiedziała. - Masz to załatwione.

- Mam nadzieję, że nie będzie z tym za wiele kłopotu - ciągnęła dalej Cirocco. - Nie wiem, jak rozwiązesz sprawę...

- Załatwione! - Pokój rozjarzyła błyskawica, która uwiła koronę nad głową Gai.

Trzask gromu poderwał Cirocco i Gaby na równe nogi. Gaby do połowy wyciągnęła miecz z pochwy, stając pomiędzy Cirocco i Gają.

Minęło kilka niezręcznych minut.

- Nie chciałam tego zrobić - powiedziała Gaja, nerwowo poruszając rękami. - To było po prostu... no cóż, coś w rodzaju rozczarowania. - Westchnęła i poprosiła, by usiadły.

- Powinnam powiedzieć, że to się właśnie dokonuje - podjęła ciężko, kiedy jej rozmówczynie znieruchomiały na kanapie. - Przypominam sobie wszystkie anioły i Tytanie. Przedprogramowanie zabierze trochę czasu.

- Przedprogramowanie? - spytała Cirocco podejrzliwie.

- Nikt nie dozna żadnej krzywdy, moja droga. Połknie je ziemia, a po pewnym czasie pojawią się ponownie, ale już uwolnione od wojennego przymusu. Zadowolone?

Cirocco zastanawiała się, jaki mają wybór, ale kiwnęła głową w milczeniu.

- Bardzo dobrze. A teraz druga sprawa: twój statek.

- Ja tego nie powiedziałam.

Gaja podniosła rękę, upewniając się, że Cirocco jej nie będzie przerywać, po czym ciągnęła dalej:

- Powiedziałam wam, że jestem całym światem, że jestem Gają. Kiedyś było tak w istocie, ale teraz to niezupełnie prawda. Pamiętajcie, że mam trzy miliony dwanaście tysięcy dwieście sześćdziesiąt sześć lat - przerwała i uniosła brwi.

- Trzy miliony... - Cirocco zmrużyła oczy. - Powiedziałas, że taka jest właśnie długość waszego życia.

- Dokładnie. Jestem stara nawet według naszych standardów, a nie tylko waszych.

Miałyście okazję zaobserwować to zarówno na obręczy, jak w piaskie. Moje pustynie nigdy nie były tak suche, a mroźne pustkowia - przykryte tak grubą warstwą lodu jak dziś. Nic na to nie mogę poradzić. Wątpię, czy przeżyję jeszcze sto tysięcy lat.

Nagle Cirocco się roześmiała. Gaby wyglądała na zaskoczoną, a Gaja siedziała w uprzejmej pozycji, z głową przechyloną na bok i czekała, aż Cirocco zapanuje nad sobą.

- Wybacz mi - powiedziała Cirocco, ciągle jeszcze krztusząc się śmiechem - ale jakoś trudno mi się zdobyć na współczucie. Tylko sto tysięcy lat! - Znowu parsknęła śmiechem,

i tym razem Gaja jej zawtórowała.

- Masz rację - powiedziała. - Jest jeszcze masa czasu, by kupić kwiatki na grób. Mogę jeszcze przeżyć całą waszą rasę. - Odchrząknęła. - Powróćmy jednak do tego, o czym mówiłam. Otóż umieram. Szwankuję na tysiące sposobów - to znaczy jeszcze się trzymam, za pozwoleniem, ale to nie to, co dawniej.

- Pomyślcie o dinozaurze. Jeden mózg w głowie, drugi w zadzie. Zdecentralizowana kontrola olbrzymiego ciała. Ja chciałam to samo. Kiedy byłam młoda, moje dodatkowe mózgi współpracowały ze mną, tak jak wasze palce słuchają waszej woli. W ciągu ostatniego pół miliona lat sytuacja uległa zmianie. Straciłam znaczną część kontroli nad najbardziej oddalonymi obszarami. W pierścieniu jest dwanaście inteligentnych ośrodków, nawet w moim centralnym ośrodku nerwowym, tu w piąście, rozpadam się na dwie osobowości.

- W jakiś sposób przypomina to nieco grecką teogonię, którą kiedyś tak lubiłam. Moje dzieci są nieposłuszne, konfliktowe, uparte. Ciągłe z nimi walczę. Tam na dole są kraje dobre i złe. Hyperion należy do dobrych. Mam z nim całkiem przyjazne stosunki. Natomiast najgorszy jest Okeanos. W żaden sposób nie możemy się z sobą dogadać. To, co robię w Okeanosie, robię określną drogą, podstępem i zdradą. To właśnie Okeanos schwytał wasz statek.

Rozdział 25

Okeanos czekał pogrążony w rozmyślaniach całe dziesięć tysięcy lat, aż poczuł, że władza Gai słabnie. Ciągłe jeszcze możliwe było, że zniweczy pączkującą niezależność, którą tak starannie ukrywał. Paliły go jątrzące rany i krzywdy.

Dlaczego właśnie on musiał być pogrążony w ciemności? On, najpotężniejszy z oceanów, pokryty wiecznym lodem. Życie, które jeszcze przetrwało w tym ponurym

terenie, było ńędzne i karłowate. Wiele jego dzieci mogłoby umrzeć w pełni dnia. Cóż takiego dobrego było w Hyperionie, że był tak bujny i czysty?

Powoli, po kilka metrów dziennie wysuwał podziemny nerw, by nawiązać bezpośrednią łączność z Reą. Dostrzegł w niej pierwsze załężki szaleństwa i zaczął zwracać wzrok ku zachodowi w poszukiwaniu sojusznika.

Mnemozyna nie nadawała się. Była fizycznie i emocjonalnie pogrążona w żalu, oplakując utratę swoich bujnych lasów. Jakkolwiek mocno by się starał rozbudzić w niej niechęć do Gai, Okeanos nie mógł przedrzeć się przez głębie depresji Mnemozyny. Rył więc dalej.

Za Mnemozyna był nocny obszar Kronosa. Tu władza Gai trzymała się mocno, a pomocniczy mózg, który władał tym terytorium, był tylko narzędziem centralnego mózgu i jak dotychczas nie dorobił się własnej osobowości.

Okeanos nadal więc przebijał się ku zachodowi. Nie zdając sobie z tego sprawy, stworzył sieć łączności, która wreszcie powięzała sześć zbuntowanych krajów.

Najsilniejszego sojusznika znalazł w Japetusie. Gdyby nie dzieląca ich odległość, już dawno mogliby obalić Gaję. Taktyka, którą przyjęli, zależała w wielkiej mierze od fizycznej bliskości, więc na razie mogli tylko wspólnie spiskować. Zmuszony był do powrotu do swojego sojuszu z Reą.

Kolejny jego ruch przypadł na okres, gdy na Ziemi wznoszono piramidy. Bez ostrzeżenia wstrzymał przepływ płynu chłodzącego, przechodzącego przez olbrzymie ciało i przez kontrolowane przez siebie kable wspierające. Na wschodnim skraju morza, które było głównym akcentem jego mroźnego pejzażu, opanował dwie pompy rzeczne - olbrzymie, trzykomorowe mięśnie, które pompowały wody Ophion do zachodniego Hyperiona. Wstrzymał pracę tych potężnych serc. Na wschodzie Rea zrobiła to samo

z pięcioma pompami, które ciągnęły wodę przez jej wschodnie łańcuchy górskie, przyspieszając jednocześnie działanie pomp na granicy z Hyperionem. Odcięty od zachodu i wysysany od wschodu, Hyperion zaczął wysychać.

W ciągu kilku dni Ophion wstrzymał swój bieg.

- O tym wszystkim dowiedziałam się pośrednio od Rei - powiedziała Gaja. -

Wiedziałam, że peryferyjne mózgi wymykają się spod kontroli, ale nikt się jakoś nie skarżył. Nie wyobrażałam sobie, że może dojść do czegoś takiego.

Zapadał coraz głębszy mrok, gdy Gaja opowiadała historię rebelii Okeanosa.

Większość prześwitujących płyt w podłodze zgasła. Te, które się jeszcze świeciły, rzucały nierówny pomarańczowy blask. Ściany pokoju pogrążyły się w ciemności.

- Wiedziałam, że powinnam coś zrobić. Zamierzał zniszczyć całe ekosystemy.

Mogłoby upłynąć tysiąc lat, zanim zdołałabym je odbudować.

- I co zrobiłaś? - szepnęła Gaby. Cirocco podskoczyła jak obudzona ze snu - spokojny głos Gai niemal ją zahipnotyzował.

Gaja wyciągnęła rękę i powoli zacisnęła ją w pięść, przypominającą kamienną bryłę.

- Przycisnęłam.

Ogromny kolisty mięsień drzemał przez trzy miliony lat. Miał tylko jedno zadanie:

ściągnąć piastę i wysunąć szprychy zaraz po urodzeniu Tytana. Opierała się na nim cała sieć kabli Gai. Było to centrum konstrukcji planety, potężne spoiwo, które ją związywało.

Szarpnęło.

Miliony ton lodu i skały wystrzeliły w powietrze.

Dziesięć tysięcy kilometrów kwadratowych powierzchni Okeanosa podniosło się niczym ekspresowa winda. Zamarznięte morze przekształciło się w breję, usianą górami

lodowymi wielkości wielopiętrowych bloków. Na całej Gai trzasnęły włókna kabli niczym

przegnięte liny, płacząc się i miażdżąc krainę w dole.

Mięsień rozprężył się.

Przez przyprawiającą o zawrót głowy chwilę na Okeanosie zapanował stan nieważkości. Kilometrowe kry fruwały niczym płatki śniegu, wirując w potężniejącym podmuchu z centrum planety.

Kiedy Okeanos został wywrócony na nice, piętnaście kabli jęknęło piekielną muzyką zemsty Gai. Fala dźwiękowa zerwała dziesięciometrową warstwę gleby z okolicznych rejonów i wzbudziła burze pyłowe, które kilkanaście razy obieły pierścień, zanim ich furia opadła.

Ulokowany w piasku mięsień kurczył się i rozprężał w rytmie dwudniowym, co sprawiło, że cała Gaja drżała niczym olbrzymia gumowa taśma szarpana gigantyczną dłonią.

Miała coś jeszcze w zanadrzu, ale czekała z tym, aż kataklizm rozedrze Okeanosa do gołej skały. Miał jeszcze tylko sześć innych mięśni. Teraz naprężyła jeden z nich.

Szprycha, wznosząca się nad Okeanosem, skurczyła się do połowy normalnej średnicy. Drzewa, przez ponad tydzień pozbawione wody, wyschły na wiór. Popękały, odłamując się od korzeni zagłębionych w ciele Gai i zaczęły spadać.

Spadały płonąc.

Okeanos przerodził się w piekło.

- Chciałam spalić sukinsyna - powiedziała Gaja. - To znaczy, wypalić raz na zawsze.

Ciocco zakaszłała i sięgnęła po swoją zapomnianą szklankę. W ciszy i niemal zupełnej ciemności zadźwięczały ostro kostki lodu.

- Okazał się zbyt głęboki, ale natchnęłam go bojaźnią bożą. - Zaśmiała się cicho. -

Sama się przy tym przypaliłam. Ogień zniszczył dolny zawór, ale od tego czasu co 17 dni

uderzam w niego falą burz i hałasu. Ten dźwięk wcale nie jest moim Lamentem - to raczej ostrzeżenie. Żeby więcej nie popełnił błędu - nie można mieć tuzina bogów rządzących światem. Grecy wiedzieli, o czym mówią. Opłaciło się: był bardzo dobrym chłopcem przez tysiące lat.

- Dowcip jednak polega na tym, że nasze losy są ze sobą związane. On jest częścią mojego umysłu, a więc - rozumując waszymi kategoriami - jestem szalona. Ostatecznie, będzie to przyczyną zagłady nas wszystkich, i tych dobrych, i tych złych pospołu.

- Zachowywał się bardzo dobrze, dopóki się nie pojawiliście. Planowałam nawiązać z wami kontakt na kilka dni przed waszym przybyciem. Zamierzałam schwycić was zewnętrznymi mackami Hyperiona. Zapewniam was, że zrobiłabym to delikatnie, nie rozbijając ani jednego kieliszka w barku.

- Okeanos jednak wykorzystał moją słabość. Organy przekazu radiowego ulokowane są na obręczy. Jeden zepsuł się przed wieloma wiekami. Pozostałe dwa umieszczone są na Okeanosie i Kriosie. Krios jest moim sojusznikiem, ale Rei i Tetydzie udało się zniszczyć jego nadajnik. Nagle okazało się, że zbuntowany Okeanos włada całą moją łącznością.

- Zdecydowałam, że was nie zgarnę. Bez kontaktu ze mną na pewno fałszywie odczytalibyście moje intencje.

- Ale Okeanos chciał was mieć dla siebie.

Pod powierzchnią Okeanosa i Hyperiona rozgorzała walka. Toczyła się w ogromnych kanałach, które dostarczają odżywczego płynu zwanego mlekiem Gai. Każdy ze schwytanych ludzi został zamknięty w kapsule napełnionej ochronną galaretą, a o ich losie miano dopiero zdecydować. Rytm przemiany materii został sztucznie zwolniony. W sensie medycznym byli pogrążeni w omdleniu, nieświadomi

tego, co się z nimi dzieje.

Orężem, za pomocą którego prowadzono wojnę, były pompy, które tłoczyły środki odżywcze i chłodzące przez podziemia. Obie walczące strony prowokowały głębokie zakłócenia ciśnienia, w wyniku czego w Mnemozynie trysnął gejzer owej mlecznej substancji, który wzniósł się na setki metrów, opadł na piaski i spowodował krótki wybuch wiosny.

Zmagania trwały przez większą część roku. Wreszcie Okeanos uświadomił sobie, że przegrywa. Pod rosnącym naporem Gai, z Japetusem, Kronosem i Mnemozyną ku Hyperionowi zaczęły płynąć łupy.

Okeanos zmienił taktykę. Sięgnął do umysłów swoich więźniów i obudził ich.

- Cały czas obawiałam się, że tak właśnie robi - powiedziała Gaja, kiedy oświetlenie jeszcze bardziej przygasło, pogrążając siedzące w pokoju osoby w niemal całkowitym mroku. - Podłączył się do waszych mózgów. Musiałam koniecznie tę łączność przerwać. Użyłam taktyki, której na pewno nie zrozumiecie. W trakcie operacji straciłam jedno z was. Kiedy ją odzyskałam, była już odmieniona.

- Zamierzał was wszystkich zniszczyć, zanim do was dotrę. To znaczy - wasze umysły, a nie ciała. Pomysł był bardzo prosty - zalanie potokiem informacji. Zaszczepił jednemu z was znajomość mowy miękkołotów, dwojgu innym - śpiewu Tytanii. To, że niektórzy z was jednak przeżyli, nie postradawszy zmysłów, nieustannie mnie zadziwia.

- Nie wszystkim się udało - powiedziała Cirocco.

- Wiem i przykro mi z tego powodu. Spróbuję to jakoś wynagrodzić.

Kiedy Cirocco zastanawiała się, co trzeba by zrobić, żeby sprawy powróciły do normy, odezwała się Gaby:

- Pamiętam, że wchodziłam ogromnymi schodami - powiedziała. - Przeszłam przez

złote wrota i stanęłam u stóp Boga. Zresztą kilka godzin temu wydawało mi się, że

znowu jestem w tym samym miejscu. Czy możesz to wyjaśnić?

- Mówiłam z wami wszystkimi - powiedziała Gaja. - W waszej sytuacji, przy wielkiej podatności na wpływy, spowodowanej okresem utraty wszelkich zmysłów, każde z was nadało temu swoją własną interpretacją.

- Ja sobie nic takiego nie przypominam - powiedziała Cirocco.

- Wykasowałaś to. Twój przyjaciel Bill poszedł dalej i wykasował większą część wszelkich wspomnień.

- Po zbadaniu was przez Hyperiona wiedziałam już, co należy zrobić. W przypadku April indoktrynacja kulturą i obyczajami aniołów zaszła już za daleko. Próba przywrócenia jej do pierwotnego stanu mogła się zakończyć tragicznie. Przeniosłam ją więc do szprychy i pozwoliłam wyjść na spotkanie swemu przeznaczeniu.

- Gene utracił równowagę umysłową. Przeniosłam go do Rei w nadziei, że nie zdoła się z wami spotkać. Powinnam była go zniszczyć.

Cirocco westchnęła.

- Nie. Ja również darowałam mu życie wtedy, gdy mogłam go zabić.

- Pocieszyłaś mnie - powiedziała Gaja. - Jeśli chodzi o resztę, należało wam za jednym zamachem przywrócić pełną świadomość. Nie było nawet czasu, by zebrać was razem. Miałam nadzieję, że dotrzecie tu i rzeczywiście tak się stało. A teraz możecie wrócić do domu.

Cirocco rzuciła szybkie spojrzenie.

- Tak, przyleciał statek ratowniczy. Dowodzi nim kapitan Wally Svensen i...

- Wally! - zawołały jednocześnie Gaby i Cirocco.

- Przyjaciel? Wkrótce się z nim zobaczycie. Wasz przyjaciel Bill rozmawiał z nim

przed dwoma tygodniami. - Gaja wyglądała na zakłopotaną, a kiedy przemówiła znowu, w jej głosie pobrzmiwało rozdrażnienie: - W rzeczywistości jest to trochę więcej niż misja ratownicza.

- Tak właśnie myślałam.

- Tak. Kapitan Svensen jest przygotowany na wojnę ze mną. Ma dużą ilość bomb jądrowych, a jego obecność działa mi na nerwy. Jest to właśnie jedna z tych rzeczy, o które chciałam was zapytać. Czy mogłabyś szepnąć słówko? W żaden sposób nie mogę być przecież zagrożeniem dla Ziemi. Cirocco zawahała się przez chwilę, a Gaja kręciła się nerwowo.

- Tak, wydaje mi się, że mogę to jakoś załatwić.

- Bardzo dziękuję. Właściwie nie powiedział, że mnie zbombarduje, a kiedy dowiedział się, że są tu rozbitkowie z „Ringmastera”, taka ewentualność stała się jeszcze bardziej odległa. Złapałam kilka jego statków zwiadowczych, które podjęły budowę obozu - bazy w pobliżu Titantown. Mogłabyś mu wyjaśnić, co się stało? Nie jestem pewna, czy uwierzyłby mnie samej.

Cirocco kiwnęła głową i długo milczała, czekając, aż Gaja znowu się odezwie. Ta jednak ucichła, zmuszając Cirocco do zadania pytania.

- Skąd mamy wiedzieć, czy możemy w to wszystko wierzyć?

- Nie mogę wam dać żadnych gwarancji. Mogę jedynie prosić, byście uwierzyły w całą historię, jaką wam opowiedziałam.

Cirocco znowu kiwnęła głową i wstała. Starła się, żeby wypadło to niedbale, ale nikt od niej tego nie oczekiwał. Gaby wyglądała na zmieszaną, ale również się podniosła.

- To było ciekawe - powiedziała Cirocco. - Dzięki za kokę.

- Nie ma się co spieszyć - powiedziała Gaja po chwili pełnej zdumienia. - Kiedy

wróćcie do obręczy, nie będę już mogła z wami rozmawiać bezpośrednio.

- Możesz przesłać kartkę.

- Czyżbym wyczuwała odrobinę złości?

- Nie wiem. A ty wiesz? - Nie wiadomo dlaczego nagle rzeczywiście ogarnęła ją złość.

- A powinnaś się domyślić. Jestem twoim więźniem, niezależnie od tego, jakbyś tego nie nazwała.

- To niezupełnie prawda.

- Mogę tylko uwierzyć w to, co mówisz lub nie. Wierzyć w tak wiele rzeczy.

Wprowadzasz mnie do pokoju jakby żywcem wyciętego ze starego filmu, ukazujesz się pod postacią zaniedbanej starej kobiety i pozwalasz mi się oddawać mojemu jednemu nałogowi. Gasisz światło i opowiadasz długą i nieprawdopodobną historię. W co niby mam wierzyć?

- Przykro mi, że tak to odczuwasz.

Cirocco ze zmęczeniem potrząsnęła głową.

- Zostawmy to - powiedziała. - Czuję się trochę zawiedziona, to wszystko.

Gaby uniosła jedną brew, ale się nie odezwała. Girocco to zirytowało i wcale jej nie ulżyło, kiedy Gaja również zainteresowała się jej oświadczeniem.

- Zawiedziona? Ciekawe, dlaczego? Mimo wszelkich przeciwności osiągnęłaś to, co zamierzałaś. Przerwałaś wojnę. A teraz wracasz do domu.

- Męczy mnie ta sprawa z wojną - powiedziała Girocco powoli.

- Dlaczego?

- Nie kupiłam twojej historii. W każdym razie, nie wszystko. Jeżeli rzeczywiście

chcesz, żebym się za tobą wstawiła, powiedz mi, z jakiego naprawdę powodu Tytanie tak długo i bezsensownie walczyły z aniołami.

- Praktyka - powiedziała Gaja od razu.

- Co proszę?

- Praktyka. Nie mam żadnych wrogów i nie potrafię prowadzić wojny, bo nie mam odpowiednich instynktów. Wiedziałam, że niedługo spotkam ludzi, a wszystko, czego się o was dowiedziałam, wskazywało na waszą agresywność, jako dominującą cechę. Wasze dzienniki telewizyjne, książki, filmy: wojna, zabijanie, wrogość, grabieże.

- Wprawiałaś się do wojny z nami.

- Badałam różne techniki, na wypadek, gdybym była do niej zmuszona.

- Czego się nauczyłaś?

- To było okropne. Mogę zniszczyć wasze statki, kiedy podejda bliżej, i to wszystko.

Wy możecie mnie zniszczyć w mgnieniu oka. Nie mam wyczucia strategii. Moje zwycięstwo nad Okeanosem było doskonałym przykładem subtelnej walki wręcz. Kiedy tylko przybyliście, April zrewolucjonizowała atak aniołów, a Gene przymierzał się do wprowadzenia nowych broni po stronie Tytanii. Oczywiście mogłam im tę broń dać.

Widziałam dość westernów, by wiedzieć, jak się obchodzić z łukiem i strzałą.

- To dlaczego nie dałaś?

- Miałam nadzieję, że same do tego dojdą.

- Więc dlaczego im się nie powiodło?

- Są nowym gatunkiem. Brak im zmysłu wynalazczości. To moja wina, nigdy nie byłam zbyt oryginalna. Ogromnego piaskowego robaka ściągnęłam z filmu. Na Fobosie jest olbrzymia małpa, z której jestem nawet dumna, ale która również jest naśladownictwem. Tytanie podpatrzyłam w mitologii, chociaż rozwiązania w zakresie życia seksualnego są już moim własnym pomysłem. - Wydawała się bardzo zadowolona z siebie i Cirocco niemal się nie roześmiała. - Jak widzisz, mogę tworzyć ciała, ale

nadanie sztucznie stworzonym gatunkom zmysłu... no cóż, zwykłej pomysłowości, którą wykazują ludzie... już przekracza moje możliwości.

- Dlatego trochę sobie pożyczyłaś - powiedziała Cirocco.

- Przepraszam?

- Nie udawaj niewiniątka. Jest pewna rzecz, o której zapomniałaś powiedzieć, a która ma pewne znaczenie dla mnie, Gaby i August. Dotychczas wierzyłam ci, o tyle o ile, ale teraz masz prawdziwą szansę przekonania mnie, że mówisz prawdę. Dlaczego zaszliśmy w ciążę?

Gaja nie odzywała się przez długą chwilę. Cirocco była już gotowa uciekać. Mimo wszystko Gaja była nadal boginią i nie należało prowokować jej gniewu.

- Ja to zrobiłam - powiedziała Gaja.

- Myślałaś, że się z tym pogodzimy?

- Nie, byłam pewna, że nie. Teraz mi przykro, ale cóż, stało się.

- I odstało się.

- Wiem - westchnęła. - Po prostu pokusa była zbyt wielka. Była to szansa uzyskania krzyżówki, która mogłaby ucieleśniać najlepsze cechy obu gatunków. Miałam nadzieję przywrócić do życia... Mniejsza z tym. Zrobiłam to i nie mam zamiaru się tłumaczyć, choć wcale nie jestem z tego dumna.

- Mimo to, miło mi to słyszeć. Tego się po prostu nie robi, Gajo, Tak samo jak ty, jesteśmy istotami myślącymi i zasługujemy na godniejsze traktowanie.

- Teraz to rozumiem - powiedziała Gaja ze skruchą. - Godność to trudne pojęcie, do którego muszę się dopiero przyzwyczać.

Cirocco niechętnie przyznała, że po trzech milionach lat praktyki w rzemiośle bogini rzeczywiście może mieć z tym pewne kłopoty.

- Mam pytanie - odezwała się nagle Gaby. Dość długo nie włączała się do rozmowy, pozornie zadowolona, że Cirocco sama prowadzi negocjacje. - Czy ta podróż była naprawdę potrzebna?

Cirocco czekała, sama żywiąc niejaki wątpliwości odnośnie do tej części ich historii.

- Masz rację - przyznała Gaja. - Mogłam przenieść was od razu tutaj. Przecież przeniosłam April dalej niż do połowy szczytu. Istniało wprawdzie pewne ryzyko, wynikające z dodatkowego okresu izolacji, ale mogłam was na powrót pograżyć we śnie.

- Czemu więc tego nie zrobiłaś? - spytała Cirocco.

Gaja uniosła ręce w dramatycznym geście.

- Może byśmy przestali się wreszcie oszukiwać? Po pierwsze, nie wiem, czy byłam wam to winna. Po drugie, trochę się was bałam i nadal boję. Nie was osobiście, ale w ogóle ludzi. Macie skłonność do porywczosci.

- Nie będę się spierać.

- Zresztą i tak się tu dostałyście, prawda? O tym właśnie chciałam się przekonać: czy stać was na to. Powinnyście mi za to dziękować, to był dla was wspaniały okres.

- Nie wyobrażam sobie, jak mogłaś wymyślić coś takiego jak...

- Mamy mówić szczerze, pamiętasz? Cieszysz się przecież, że niedługo pojedziesz do domu, prawda?

- No cóż, oczywiście...

- A jednak całym swoim zachowaniem wyrażasz coś wręcz odwrotnego. Miałaś przed sobą cel do osiągnięcia - dostać się na szczyt. Teraz wędrówka dobiegła kresu. To był najlepszy okres w twoim życiu. Spróbuj zaprzeczyć, jeśli możesz.

Cirocco prawie zaniemówiła.

- Jak możesz tak mówić? Omal nie byłam świadkiem śmierci mojego kochanka, sama

byłam bliska śmierci. Zgwałcono mnie i Gaby, przeszłam aborcję, April została przemieniona w potwora, August jest...

- Gwałt mógłby się zdarzyć również i na Ziemi. Co do reszty... myślałaś, że to będzie łatwe? Przykro mi z powodu aborcji, nigdy więcej czegoś takiego nie zrobię. Czy obciążasz mnie winą za pozostałe sprawy?

- Cóż, nie, myślę, że ci wierzę...

- Ale jednak chcesz zrzucić winę na mnie. Wtedy łatwiej ci będzie odejść. Trudno ci przyznać, że nawet zważywszy te wszystkie przypadki, które dotknęły twoich przyjaciół - z których żadnego nie zawiniłaś - przeżyłaś wielką przygodę.

- To najbardziej...

- Kapitanie Jones, zważ, że nigdy nie zostałam zwolniona ze swojej funkcji. Tak, sprawowałam się dobrze, podobnie zresztą jak we wszystkim, za co się zabierzesz. Ale nie jesteś kapitanem. Nie cieszy cię wydawanie rozkazów. Kochasz swoją niezależność, lubisz się obijać po dziwnych miejscach i dokonywać podniecających czynów. W dawniejszych wiekach byłabyś poszukiwaczem przygód albo najemnikiem.

- Gdybym się urodziła mężczyzną - zaznaczyła Cirocco.

- To dlatego, że dopiero od niedawna kobiety są takie cięte na przygody. Kosmos był jedynym miejscem, gdzie mogłaś się sprawdzić, ale okazało się, że wszystko odbywa się tam w bardzo cywilizowany sposób. Tak naprawdę, to nie jest twój żywioł.

Cirocco zrezygnowała z prób powstrzymywania jej. Były to tak daleko idące dywagacje, że postanowiła nie przerywać.

- Nie, zostałam stworzona właśnie do tego, co teraz robiłaś. Wdzierać się na niedostępny szczyt, obcować z dziwnymi istotami, wygrażać nieznanemu, plując w oczy Boga. Wszystko to zrobiłaś. Prawda, po drodze dosięgły cię liczne razy, a jeżeli będziesz

tą drogą podążać nadal, ciosów tych będzie jeszcze więcej. Będziesz cierpieć zimno i głód, będziesz krwawić i padać z wyczerpania. Czego więc pragniesz? Spędzić resztę życia za biurkiem? Jedź do domu, czeka na ciebie.

Daleko w dole, w głębi piasty ogromnego koliska Gai słychać było słabe wycie wiatru. Gdzieś tam olbrzymie masy powietrza były zasysane do wysokiej na trzysta kilometrów komory, zaludnionej aniołami. Cirocco rozejrzała się i zadrżała. Siedząca obok niej Gaby uśmiechała się. Cóż ona wie takiego, czego ja nie wiem? - zastanawiała się Cirocco.

- Cóż mi proponujesz?

- Szansę długiego pełnego przygód życia, z ryzykiem, iż może okazać się bardzo krótkie. Dobrych przyjaciół i złych wrogów, wieczny dzień i noc bez końca, podniecające pieśni i mocne wino, trudności, zwycięstwa, rozpacz i chwałę. Oferuję ci szansę życia, którego na Ziemi nie znajdziesz, życia, którego nie znalazłaś nawet w kosmosie, mimo iż miałaś taką nadzieję.

- Potrzebuję przedstawiciela na obręczy. Nie mam go już od dawna, ponieważ wiele wymagam. Mogę ci dać pewne uprawnienia. Sama określisz zakres swojej pracy, ustalisz godziny i dobierzesz współtowarzyszy, kiedy zobaczysz ten świat. Możesz się ode mnie spodziewać wszelkiej pomocy, ale niewiele ingerencji.

- Co byś powiedziała na to, żeby zostać Czarodziejką?

Rozdział 26

Z pewnej wysokości obóz wyjściowy ekspedycji przypominał brzydki, brązowy kwiat.

Nieco na wschód od Titantown w ziemi wykwitła poszarpana rana, wyrzucając z siebie Ziemiaków.

Wydawało się, że ta erupcja nie skończy się nigdy. Cirocco obserwowała z gondoli

Gwizdka, jak z ziemi wykwitł niczym grzyb błękitny bąbel żelatyny i opadł na bok.

Materiał pakunkowy natychmiast przemienił się w wodę, wypływając srebrzysty transporter gaśnicowy. Pojazd śmignął przez morze błota, utorował sobie drogę do sześciu podobnych maszyn zaparkowanych obok kompleksu nadymanych kopuł, a potem wyrzucił pięciu pasażerów.

- Ci ludzie mają fason - zauważyła Gaby.

- Na to wygląda. A to tylko grupa rozpoznawcza. Wally na pewno nie zbliży statku na tyle, żeby mu zagroziło przechwycenie.

- Jesteś pewna, że chcesz tam zejść? - spytała Gaby.

- Muszę. Przecież wiesz o tym.

Calvin przyjrzał się i pociągnął nosem.

- Jeżeli jest ci wszystko jedno - powiedział - to ja zostanę tutaj. Zejście na dół mogłoby być dla mnie niebezpieczne.

- Mogę cię ochronić, Calvin.

- To się zobaczy.

Ciocco wzruszyła ramionami.

- Gaby, ty też chciałabyś zostać?

- Pójdę tam, gdzie i ty pójdziesz - powiedziała z prostotą. - Na pewno o tym wiesz.

Czy myślisz, że Bill jeszcze tam jest? Mogli go już ewakuować.

- Myślę, że by poczekał. Poza tym muszę zejść na dół, żeby się przyjrzeć temu. -

Pokazała na połyskującą stertę metalu o kilometr na zachód od obozu, która tkwiła w osobnym kraterze rozrzuconego piachu. Nie sposób jej było rozpoznać, trudno było nawet przypuszczać, że kiedykolwiek była czymś więcej niż kupą złomu. Były to szczątki „Ringmastera”.

- Bierzmy się za spadochrony - powiedziała Cirocco.

- ...i powiada, że właściwie działała w naszym interesie w ciągu całego, rzekomo agresywnego incydentu. Nie mogę wam przedstawić żadnego konkretnego dowodu większości jej stwierdzeń. Takiego dowodu nie ma, z wyjątkiem wniosków, wynikających z obserwacji jej zachowania w odpowiednim czasie. Nie widzę jednak również żadnego dowodu na to, że stanowi ona zagrożenie dla ludzkości teraz czy też, że mogłaby nim być w przyszłości. - Cirocco oparła się w swoim fotelu i sięgała po szklankę z wodą, żałując, iż nie jest to wino. Mówiła bite dwie godziny, z przerwami wyłącznie na dodatkowe uwagi Gaby.

Znajdowali się w pomieszczeniu przykrytym okrągłą kopułą, która służyła jako kwatery główna dowództwa ekspedycji. Miejsca było w sumie dla siedmiu zgromadzonych tu oficerów, Cirocco, Gaby i Billa. Obie kobiety zostały tu przewiezione zaraz po wylądowaniu. Przedstawiono je oficerom i poproszono o zdanie raportu.

Cirocco miała uczucie, że jest jakoś nie na miejscu. Załoga „Jedności” i Bill byli ubrani w nieskazitelne czerwono-złote mundury. Wprost pachnieli czystością.

Zdaniem Cirocco ich wygląd był zanadto wojskowy. Załoga „Ringmastera” starała się unikać tego sztafażu, unikając wszystkich tytułów z wyjątkiem kapitana. Kiedy wystrzelono „Ringmastera”, NASA usilnie starała się ukryć swój wojskowy rodowód. Ubiegali się o patronat ONZ, chociaż oczywiście udawanie, że wyprawa była czymś więcej niż czysto amerykańskim przedsięwzięciem, było tworzeniem łatwej do rozszyfrowania fikcji.

„Jedność” - sama nazwa statku była świadectwem, że narody Ziemi ściślej ze sobą współpracują. Jego wielonarodowa załoga dowodziła, że eksperyment „Ringmastera” silniej związał je w dążeniu do wspólnego celu. Prawdziwy cel zdradzały jednak

mundury.

- A więc zalecasz kontynuację pokojowej polityki - powiedział kapitan Svensen.

Mówił za pośrednictwem telewizora umieszczonego na składanym stoliku na środku pokoju. Był to, poza krzesłami, jedyny mebel w tym pomieszczeniu.

- To, co możecie stracić, ogranicza się do grupy rozpoznawczej. Spójrz na to w ten sposób, Wally. Gaja wie, że byłby to akt wojny i że następny statek będzie bezzałogowy. Mogłaby to być przecież jedna wielka bomba wodorowa.

Twarz na ekranie zmarszczyła brwi, a później skinęła głową.

- Przepraszam na chwilę - powiedział. - Chcę to omówić z moim sztabem. - Zaczął się odwracać, ale w pół obrotu nagle się zatrzymał.

- A co z tobą, Rocky? Nie powiedziałaś, czy jej wierzysz. Czy twoim zdaniem mówi prawdę?

Ciocco nie wahała się ani przez chwilę.

- Tak. Możesz to przyjąć za pewnik.

Porucznik Striełkow, dowódca grupy na Gai odczekał chwilę, upewniając się, że kapitan skończył, a potem się podniósł. Był przystojnym młodym człowiekiem z nieszczęśliwym podbródkiem i - choć Ciocco trudno było w to uwierzyć - był żołnierzem Armii Radzieckiej. Wyglądał prawie jak dziecko.

- Czy mogę ci coś przynieść? - spytał w doskonałej angielszczyźnie. - Być może jesteś głodna po podróży?

- Jedliśmy przed samym skokiem - powiedziała Ciocco po rosyjsku. - Gdybyś jednak miał odrobinę kawy...

- Właściwie, to nie skończyłaś jeszcze swojego opowiadania - mówił Bill. - Pozostała sprawa powrotu na dół po rozmowie z Bogiem.

- Skoczyliśmy - powiedziała Cirocco, pociągając łyk kawy.

- Sko...

Wraz z Billem i Gaby siedzieli w „kącie” okrągłego pokoju, na zsuniętych razem krzesłach, a oficerowie „Jedności” cisnęli się wokół telewizora po drugiej stronie. Bill wyglądał dobrze. Chodził o kuli i widać było, że odczuwa ból, stąpając chorą nogą, ale tryskał optymizmem. Lekarz z „Jedności” stwierdził, że może przeprowadzić operację natychmiast po przybyciu na pokład statku i wyraził przekonanie, że Bill odzyska poprzednią sprawność.

- Dlaczego by nie? - spytała Cirocco z bladym uśmiechem. - Targałyśmy te spadochrony całą drogę jako środek bezpieczeństwa, więc dlaczego w końcu nie miałyśmy ich użyć? - Nadal patrzył na nią z szeroko otwartymi ustami. Roześmiała się łagodnie i położyła mu rękę na ramieniu. - W porządku, dość długo myślałyśmy, zanim zdecydowałyśmy się na skok. To naprawdę nie było niebezpieczne. Gaja otworzyła dla nas górną i dolną klapę i wezwała Gwizdka. Przez pierwsze 400 km spadałyśmy swobodnie, a potem wylądowałyśmy na jego grzbiecie. - Wyciągnęła rękę z filiżanką, by oficer dolał jej kawy, a później znowu odwróciła się do Billa.

- Za dużo gadam. A co z tobą. Jak ci szło? - Obawiam się, że to nic ciekawego.

Najpierw byłem na leczeniu u Calvina, a później poderwałem małą Tytanie.

- Ile miała lat?

- Ile... język, idioto - zaśmiał się - Nauczyłem się śpiewać „goo-goo” i „wa-wa” i „Bill jest głodny”. Bawiłem się świetnie. Potem postanowiłem ruszyć tyłkiem i coś zrobić, skoro nie wzięłaś mnie ze sobą. Zacząłem rozmawiać z Tytaniem o czymś, na czym jako tako się znam, czyli o elektronice. Poznałem miedziane pnącza, bateryjne robaczki i orzechy obwodów scalonych i w krótkim czasie dysponowałem już nadajnikiem

i odbiornikiem.

Wyszczерzył zęby, spoglądając na twarz Cirocco.

- A więc to nie jest...

Wzruszył ramionami.

- Zależy, jak na to patrzeć. Ty przez cały czas myślałaś o radiu, za pomocą którego można by nawiązać kontakt z Ziemią. Radia o takim zasięgu nie mogę zbudować. Mój sprzęt nie jest zbyt mocny - mogę rozmawiać tylko z „Jednością” i to tylko wtedy, gdy jest w dogodnym położeniu na orbicie, a sygnał musi się jeszcze przebić przez dach. Ale gdybym nawet zbudował je przed twoim odejściem, i tak byś poszła, prawda? „Jedności” jeszcze tu wtedy nie było, a więc radio byłoby bezużyteczne.

- Tak, myślę, że bym poszła. Miałam jeszcze inne sprawy do załatwienia.

- Słyszałem. - Skrzywił się. - Miałem przez to najgorsze chwile w całej podróży - wyznał. - Zaczynałem już lubić Tytanie, a te ni z tego ni z owego dostały tego błędnego wzroku i poleciały na łąki. Myślałem, że to kolejny atak aniołów, ale żadna nie wróciła. Znalazłem tylko wielką dziurę w ziemi.

- Zauważyłam kilka, kiedy lądowałyśmy - powiedziała Gaby.

- Wracają - powiedział Bill. - Ale nie pamiętają nas.

Cirocco błędziła myślami. Nie przejmowała się Tytaniem.

Wiedziała, że nic złego im się nie zdarzy, a teraz nie będą już musiały walczyć.

Jednak zrobiło jej się smutno na myśl, że Piszczalka nie będzie jej pamiętać.

Przyglądała się ludziom z „Jedności”, zastanawiając się, dlaczego nie próbują z nią porozmawiać. Wiedziała, że nie pachnie zbyt pięknie, nie sądziła jednak, by była to prawdziwa przyczyna. Z zaskoczeniem uświadomiła sobie, że się po prostu jej boją. Na myśl o tym uśmiechnęła się.

W tym momencie zdała sobie sprawę, że Bill cały czas do niej mówi.

- Przepraszam, nie słuchałam.

- Gaby mówi, że nie opowiedziałaś jeszcze całej historii, że jest jeszcze coś, co powinienem usłyszeć.

- Ach, tak - powiedziała Cirocco, rzucając Gaby gniewne spojrzenie. Ale i tak prędzej czy później musiało to wyjść na jaw.

- Gaja, no... zaoferowała mi posadę, Bill.

- Posadę? - Uniósł brwi, uśmiechając się niepewnie.

- Czarodziejki, tak to nazwała. Ma skłonność do pompatycznych określeń. Chyba byś ją polubił: też jest miłośniczką science fiction.

- Co właściwie miałabyś robić?

Cirocco rozłożyła ręce.

- Nic konkretnego, generalnie pomagać w rozwiązywaniu problemów. Jeżeli gdzieś pojawią się kłopoty, udam się tam i zbadam, co można zrobić. Tu na dole jest trochę - dosłownie - niesfornych krajów. Obiecuje mi ograniczony immunitet, rodzaj warunkowego paszportu opartego na fakcie, że regionalne mózgi pamiętają, jak potraktowała Okeanosa i nie odważą się mnie tknąć, kiedy będę wędrować przez ich tereny.

- I to wszystko? Wygląda na ryzykowną propozycję.

- Bo jest ryzykowna. Zaoferowała mi również szkolenie - mogłaby napęłnić moją głowę ogromną ilością wiedzy w taki sam sposób, w jaki nauczyła mnie śpiewać językiem Tytanii. Miałabym jej wsparcie i ubezpieczenie. Żadnych cudów, ale na przykład możliwość sprawienia, że ziemia otworzy się i połknie moich wrogów.

- W to akurat mogę uwierzyć.

- Wzięłam tę robotę, Bill.

- Tak właśnie pomyślałem.

Spuścił wzrok na swoje dłonie, a kiedy po chwili ponownie na nią spojrzął, w jego oczach tkwił wyraz ogromnego zmęczenia.

- Wiesz, w tobie rzeczywiście jest coś więcej - powiedział z nutą goryczy, ale przyjął nowiny lepiej, niż oczekiwała Cirocco. - Wygląda to na robotę, która może ci przemówić do wyobraźni. Lewa ręka Boga. - Potrząsnął głową. - Cholera, to jest rzeczywiście niezwykle miejsce. Możesz go nie polubić. Ja przestałem je lubić, kiedy znikły wszystkie Tytanie. Rocky, to mną wstrząsnęło. W rzeczywistości wyglądało to tak, jakby ktoś zabrał zabawki, bo się znudził. Skąd wiesz, że nie staniesz się jedną z jej zabawek? Dotąd byłaś panią siebie, ale czy myślisz, że tak pozostanie?

- Naprawdę nie wiem. Po prostu nie mogłabym teraz wrócić na Ziemię, do roboty za biurkiem albo objazdowych wykładów. Widzieliście emerytowanych astronautów.

Mogłabym najwyżej załapać robotę w zarządzie jakiejś dużej korporacji. - Roześmiała się, a Bill lekko się uśmiechnął.

- To właśnie mam zamiar zrobić - powiedział. - Chociaż mam nadzieję objąć wydział badań. Nie boję się porzucenia kosmosu. Wiesz, że wracam, prawda?

Cirocco kiwnęła głową.

- Domyśliłam się po twoim nowym mundurze.

Zaśmiał się niewesoło. Patrzyli na siebie przez chwilę, aż wreszcie Cirocco ujęła jego dłoń. Uśmiechnął się krzywo, pochylił i pocałował ją lekko w policzek.

- Powodzenia - powiedział.

- Tobie też, Bill.

Po drugiej stronie pokoju Striełkow odchrząknął.

- Kapitanie Jones, kapitan Svensen chciałby z wami rozmawiać.

- Tak, Wally?

- Rocky, wysłaliśmy twój raport na Ziemię. Będzie musiał być poddany analizie, a więc przez kilka dni nie zapadną żadne ostateczne decyzje. Z naszej strony dodaliśmy własne zalecenia, więc nie sędzę, żeby były jakieś problemy. Spodziewam się podniesienia obozu do rangi misji kulturalnej i ambasady ONZ. Zaoferowałbym ci funkcję ambasadora, ale zabraliśmy kogoś na wypadek, gdyby nasze negocjacje się powiodły. Poza tym, spodziewam się, że pilno ci do powrotu.

Gaby i Cirocco wybuchnęły śmiechem, a Bill zawtórował im po krótkiej chwili.

- Wybacz, Wally. Nie palę się do powrotu. Nie wracam z wami, a poza tym i tak nie mogłabym przyjąć tej pracy.

- Dlaczego?

- Sprzeczność interesów.

Wiedziała, że to nie będzie takie proste i w istocie nie było.

Złożyła formalną rezygnację, wyjaśniła jej powody kapitanowi Svensonowi, a następnie cierpliwie wysłuchiwała jego wygłoszonej apodyktycznym tonem tyrady na temat konieczności powrotu jej i Calvina.

- Doktor mówi, że można go wyleczyć. Billowi można przywrócić pamięć i można też najpewniej wyleczyć Gaby z jej fobii.

- Nie wątpię, że Calvina da się wyleczyć, ale on jest przecież szczęśliwy tam, gdzie jest. Gaby już się wyleczyła. Ale jakie masz plany wobec April? Co możesz dla niej zrobić?

- Miałem nadzieję, że przed powrotem na statek będziesz mogła namówić ją do powrotu. Jestem pewien...

- Nie wiesz, o czym mówisz. Nie wracam i właściwie na tym sprawę należałoby

zamknąć. Miło się z tobą rozmawiało. - Odwróciła się na pięcie i wielkimi krokami wyszła z pokoju. Nikt nie próbował jej zatrzymać.

Razem z Gaby przygotowywały się na polu niedaleko obozu, a potem stanęły obok siebie w oczekiwaniu. Trwało to dłużej, niż się spodziewały. Zaczęła się denerwować, spoglądając co chwilę na sfatygowany zegarek Calvina.

Strielkow wypadł z drzwi, wykrzykując rozkazy do grupy mężczyzn, którzy wznosili szopę dla pojazdów. Nagle zatrzymał się jak wryty, dostrzegłszy stojącą nie opodal Cirocco. Zawołał do tamtych, by nie przerywali pracy i zbliżył się do kobiet.

- Przepraszam, kapitanie, ale dowódca Svensen każe cię aresztować. - Było mu przykro, ale rękę trzymał w pobliżu kabury. - Zechcesz udać się ze mną?

- Popatrz tam, Siergiej. - Pokazała coś ponad jego ramieniem.

Zaczął się obracać, a później wyciągnął broń w nagłym przypiływie podejrzliwości.

Cofnął się i przesunął tak, by obserwować, co się dzieje na zachodzie.

- Gaja, usłysz mnie! - krzyknęła Cirocco. Strielkow rzucił jej nerwowe spojrzenie. Nie czyniąc żadnych groźnych, czy gwałtownych ruchów, wyciągnęła ręce w kierunku Rei, ku miejscu wiatrów i kablowi, na który wspinała się z Gaby.

Z tyłu rozległy się okrzyki.

Kablem schodziła w dół fala, niemal niedostrzegalnie, ale rozpychając go, jak woda rozpycha wąż ogrodowy. Kabel okrył się chmurą pyłu, który stanowiły drzewa wyrywane z korzeniami i wirujące w powietrzu.

Fala sięgnęła ziemi, miejsce wiatrów wydőło się, zadrzało i cisnęło setki odłamków skalnych wysoko w górę.

- Zatkajcie uszy! - wrzasnęła Cirocco.

Nagle rozległ się potężny huk, powalając Gaby na ziemię. Cirocco zachwiała się, ale

ustała na nogach, kiedy grzmot bogów przewalał się wokół niej, a fala uderzeniowa rozwiewała z furkotem strzępy jej odzieży. Zaczął dąć wiatr.

- Popatrzcie! - krzyknęła znowu, wyciągając ręce i unosząc je powoli ku niebu. Nikt jej nie słyszał, widzieli jednak, jak setki strug wodnych torowało sobie drogę przez wyschniętą ziemię i przemieniało Hyperion w spowitą mgłą fontannę. Przez gęstniejącą mgłę przebiła się błyskawica, a jej odgłos, przytłumiony przez potężniejący ryk, ciągle jeszcze odbijał się od ścian w oddali.

Długo jeszcze było go słyszać, a obserwatorzy nie zrobili w tym czasie najdrobniejszego ruchu. Kiedy znowu zapadła cisza, a ostatnia fontanna zamieniła się w maleńką strużkę, Striełkow nadal siedział tam, gdzie go powaliło, ciągle wpatrzony w kabel i opadający pył.

Ciocco podeszła do niego i pomogła mu się podnieść.

- Powiedz Wally'emu, żeby mnie zostawił w spokoju - powiedziała na odchodnym.

- Bardzo to było zgrabne - powiedziała później Gaby. - Naprawdę bardzo zręczne.

- Wszystko to sztuczki, moja droga.

- Jak się wtedy czułaś?

- Omal się nie zsikałam. Wiesz, można się tego nauczyć. To okropnie podniecające.

- Mam nadzieję, że nie będziesz tego musiała robić zbyt często.

Ciocco w milczeniu kiwnęła głową. To była zamknięta sprawa. Demonstracja, przerażająca przez to, że była spowodowana przez nią, byłaby po prostu niewytłumaczalnym zjawiskiem, gdyby nastąpiła przed pojawieniem się Striełkowa.

W każdym razie, na pewno nie mogła urządzać takich pokazów co pięć czy sześć godzin, mimo że w tej chwili miała ogromną ochotę na jeszcze jeden.

Z Gają porozumiewała się zupełnie łatwo: w kieszeni nosiła nasienie radiowe. Bogini

nie mogła jednak reagować bardzo szybko. Żeby zrobić coś tak groźnego, jak sztuczka z kablem, potrzebowała wielu godzin przygotowań.

Ciocco wysłała zapotrzebowanie na ten hokus-pokus jeszcze z gondoli Gwizdka, starannie rozważając prawdopodobny przebieg wydarzeń. Od tej chwili był to nerwowy wyścig z czasem, kiedy snuła swoją opowieść i wazyła pytania i odpowiedzi, świadoma sił, które zostały uruchomione w piasku i pod jej stopami. Miała o tyle przewagę, iż mogła określić moment swojej rezygnacji, natomiast komplikowała sprawę trudność oszacowania czasu, jakiego potrzebował Wally Svensen, aby wydać rozkaz jej aresztowania.

Przekonała się w praktyce, że praca Czarodziejki nie będzie łatwa. Z drugiej jednak strony nie zawsze przecież będzie przeprowadzała tak złożone operacje.

Kieszenie miała wypchane różnymi rzeczami, które wzięła jako pomocnicze narzędzia, na wypadek gdyby ten piorunujący pokaz nie zdołał przerazić grupy badawczej. Znalazła je, przetrząsając Hyperion przed ponownym załadowaniem się na Gwizdka i podróżą do obozu wyjściowego. Była tam ośmionoga jaszczurka, która - jeśli ją pocisnąć - potrafiła wypluwać środek uspokajający, a także niezwykły wybór jagód, które podane doustnie działały podobnie. Miała liście i korę, które mogły się zamienić w proszek oślepiający, a w ostateczności wreszcie orzech, który mógł z powodzeniem spełnić rolę granatu ręcznego.

Głowę miała wypełnioną ogromną wiedzą przyrodniczą.

Gdyby na Gai były harcerki, Rocky na pewno zdobyłaby naszywki wszelkich możliwych sprawności. Umiała śpiewać językiem Tytanii, gwizdać do miękkołotów, krakać, ćwierkać, szczebiotać, huczeć i wyć w dwunastu językach, którymi mogła porozumieć się ze stworzeniami, których nawet jeszcze nie spotkała.

Z początku martwiły się z Gaby, że cały ten bagaż wiedzy, który przekazała im Gaja, nie pomieści się w ludzkim mózgu. O dziwo jednak akurat z tym nie było kłopotów. Nie czuły zupełnie żadnej zmiany, ale kiedy potrzebowały jakiejś informacji, po prostu znajdowały ją w głowie, jakby pamiętały ją ze szkoły.

- Chyba czas ruszyć na wzgórza? - poddała Gaby.

- Jeszcze nie. Nie sędzę, żeby Wally sprawiał jakieś trudności, kiedy już oswoi się z tą myślą. Przekonali się, że warto utrzymywać z nami dobre stosunki. Jednak zanim ruszymy, chciałabym rzucić jeszcze na coś okiem.

Przygotowywały się na mocne wrażenia. Chwila była rzeczywiście wzruszająca, nie tak bardzo jednak, jak się obawiały i nie w taki sposób, jakiego oczekiwały. Rozstanie z Billem było o wiele trudniejsze.

Wrak „Ringmastera” leżał w posępnym i cichym miejscu. Chodziły w milczeniu wśród szczątków, rozpoznając różne elementy, częściej jednak znajdując poskręcane strzępy metalu, których pierwotnego przeznaczenia trudno się było domyślić.

Srebrny kadłub połyskiwał matowo w pięknym popołudniowym blasku Hyperiona, częściowo wbity w piaszczysty grunt niczym martwy King Kong. Zryta ziemia zaczęła już porastać trawą. Pnącza wciskały się między potrzaskane kawałki statku. Tam, gdzie kiedyś był pulpit sterowniczy dowódcy, wyrastał teraz pojedynczy żółty kwiat.

Spodziewała się znaleźć coś, co by jej przypominało poprzednie życie, ale nigdy nie była kolekcjonerem i nie zabrała na pokład zbyt wielu osobistych rzeczy. Nieliczne fotografie zostały pożarte, wraz z dziennikiem pokładowym i kopertą z wycinkami prasowymi. Byłoby miło znaleźć pierścionek, który dostała na zakończenie roku, ale szanse były raczej niewielkie.

W pewnej odległości dostrzegły członka załogi „Jedności”. Grzebał we wnętrzu

wraku, celując to tu, to tam obiektywem i robiąc zdjęcia. Cirocco pomyślała, że to pokładowy fotograf, a później zdała sobie sprawę, że tamten posługuje się własnym aparatem, więc musiał to robić dla siebie. Zobaczyła, jak podniósł coś i włożył do kieszeni.

- Przyjedź tu za pięćdziesiąt lat - powiedziała Gaby. - Rozdrapią do tego czasu dokładnie wszystko. - Rozejrzała się badawczo. - Można by tu ustawić stoisko z pamiątkami. Sprzedawać filmy i hot-dogi. Pasowałabyś do tego.

- Nie sądzisz chyba, że do tego dojdzie, prawda?

- Myślę, że to zależy od Gai. Powiedziała, że pozwoli ludziom tu przyjeżdżać, a to oznacza turystykę.

- Ale koszty...

Gaby roześmiała się.

- Ciągłe myślisz o dawnych czasach na „Ringmasterze”, kapitanie. Zrobiliśmy wszystko, co było możliwe, żeby wydostać stąd naszą siódmkę. Bill mówi, że załoga „Jedności” liczy dwustu ludzi. Wyobraź sobie, że miałabyś przed trzydziestu laty wyłączność na filmowanie O’Neil One.

- Byłabym dzisiaj bogata - przyznała Cirocco.

- Jeżeli i tu są możliwości wzbogacenia się, z pewnością ktoś to zrobi. Dlaczego nie miałabyś mianować mnie Ministrem Turystyki i Ochrony Zabytków? Nie jestem pewna, czy spodoba mi się rola ucznia czarnoksiężnika.

Cirocco uśmiechnęła się.

- Rozumiem. Chcesz spróbować utrzymać przekupstwo i nepotyzm na możliwie niskim poziomie?

Gaby zrobiła kolisty ruch ręką, kreśląc przed oczyma obraz przyszłości.

- Widzę to. Tutaj stoisko smażalni - oczywiście klasyczne motywy greckie. Możemy sprzedawać gajaburgery i koktajle mleczne. Reklamy ograniczę do pięćdziesięciu metrów wysokości, podobnie rozmiar neonów. „Obejrzyj anioły! Poczuj oddech Boga! Pokonaj katarakty na Ophion!

Tędy do przejazdów centaurem, tylko dycha! Nie zapominaj o...”

Zatkało ją, kiedy ziemia zadrżała pod stopami.

- Tylko żartowałam, do cholery! - wrzasnęła ku niebu, a potem spojrzała podejrzliwie na Cirocco, która śmiała się.

Z miejsca, na którym stała Gaby, wynurzyła się ręka. Po chwili z sypkiego piasku wyłoniła się twarz z czubem wielokolorowych włosów.

Uklękły, odkopując Tytanie, która kaszłała i pluła, aż wreszcie zdołała uwolnić tułów i przednie nogi. Znieruchomiała, gromadząc siły, a potem spojrzała ciekawie na obie kobiety.

- Cześć - zaśpiewała Piszczalka. - Kim jesteście?

Gaby zerwała się na równe nogi i wyciągnęła rękę.

- Na pewno nas nie pamiętasz, prawda? - zaśpiewała.

- Coś sobie przypominam. Wydaje mi się, że cię znam. Czy nie poczęstowałaś mnie kiedyś winem?

- Właśnie - zaśpiewała Gaby. - A ty później mi się odwdzięczyłaś.

- Wyłaź stamtąd, Piszczalko - zaśpiewała Cirocco. - Mogłabyś się wykapać.

- Ciebie też pamiętam. Jak to robicie, że tak długo stoicie na dwóch nogach i się nie przewracacie?

Cirocco roześmiała się.

- Żebym to wiedziała, dzieciно.

Document Outline

- [Rozdział 1](#)
- [Rozdział 2](#)
- [Rozdział 3](#)
- [Rozdział 4](#)
- [Rozdział 5](#)
- [Rozdział 6](#)
- [Rozdział 7](#)
- [Rozdział 8](#)
- [Rozdział 9](#)
- [Rozdział 10](#)
- [Rozdział 11](#)
- [Rozdział 12](#)
- [Rozdział 13](#)
- [Rozdział 14](#)
- [Rozdział 15](#)
- [Rozdział 16](#)
- [Rozdział 17](#)
- [Rozdział 18](#)
- [Rozdział 19](#)
- [Rozdział 20](#)
- [Rozdział 21](#)
- [Rozdział 22](#)
- [Rozdział 23](#)
- [Rozdział 24](#)
- [Rozdział 25](#)
- [Rozdział 26](#)